

Biali bogowie

Torsten Krol

t

Przekład ANNA KOŁYSZKO

&

AMBER

Projekt graficzny okładki Małgorzata Foniok

Opracowanie graficzne okładki Studio Graficzne Wydawnictwa Amber

Redakcja techniczna Andrzej Witkowski

Korekta

Jolanta Kucharska Elżbieta Steglińska

Skład

Wydawnictwo Amber Druk

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA, Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału The Dolphin People

Copyright © Torsten Kroi, 2006. All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-2774-0

Warszawa 2007. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40

13,620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Rozdział 1

Białe grzebienie piany zdobiły jasnozielone grzbiety kotłujących się fal, a spod zieleni wyzierał granat. Marynarz Giovanni, który lubił Zeppiego i mnie, powiedział nam, że niebieskie wody Atlantyku różnią się odcieniem od błękitu znanego nam już Morza Śródziemnego. Nie mylił się. Granat Atlantyku głęboko pod niebieskimi

warstwami krył w sobie domieszkę zieleni. Im dalej na północ, tym bardziej przybierał barwę granatu przechodzącego w czerń, a im dalej na południe, tym bardziej zieleniał.

Kiedy powiedziałem o tym mamie, zapewniła mnie, że woda tu i tam ma taką samą barwę, tylko więc podniecenie każe nam się dopatrywać różnicy koloru fal. Zeppi, owszem, był podniecony, ale ja nie. Miał zaledwie dwanaście lat, natomiast mnie, cztery lata starszego, trudno było nazwać dzieckiem. Dla mamy jednak byliśmy identyczni podobnie jak fale. Giovanni uświadomił mi, że wszystkie matki są pod tym względem takie same.

Był to włoski statek, „Stromboli”, a pod jego nazwą na rufie widniał napis „Genua”, port, w którym razem z mamą i Zeppim wsiadłem na pokład, żeby ruszyć do Wenezueli, gdzie czekał na nas stryj Klaus. Mama miała wyjść za niego za męża, bo mój tata zginął w czterdziestym trzecim roku na froncie w Rosji, a ona była za młoda, żeby iść przez życie sama z dwoma synami. Tak nam to wyjaśniła, kiedy przyszedł list z oświadczeniami stryja Klause.

Czytając nam list, zataiła pewne fragmenty. Stryj Klaus pisał, że dwaj dorodni synowie jego brata zasługują na ojca, a Helga na

5

mężczyznę, który się nami zajmie zwłaszcza teraz, kiedy przegraliśmy wojnę i Fiihrer nie żyje. Pisał o tym wszystkim bardzo rzeczowo -o wojnie, Fiihrerze, powodach, dla których mama powinna rozważyć poważnie małżeństwo z nim i możliwość wychowywania nas, synów, z dala od gruzów Niemiec oraz całej tej historycznej katastrofy. Pisał, że powinna to zrobić dla Zeppiego i Ericha, a także dla Heinricha, jego zmarłego brata, bohatera pochowanego w rosyjskiej ziemi, który zasłużył sobie na pewno, że jego najbliżsi przeżyją bez niego.

Tak właśnie to ujął, a kiedy mama przeczytała jeszcze raz ten fragment na głos, powiedziała, że w Biblii wdowy często wychodzą za braci swoich zmarłych mężów. Mama czasem była wierząca, a czasem nie. Najwyraźniej się wahała. Odczekała cztery dni, po czym odpisała stryjowi Klausowi do Caracas. Po półtora miesiąca pocztą przyszły bilety na parowiec. Mama sprzedała wszystkie sprzęty za duże, żeby

je zabrać, w tym meble i inne rzeczy, które przetrwały bombardowania, po czym udaliśmy się pociągiem do Genui.

Przez całą drogę z Włoch do Cieśniny Gibraltarskiej mama cierpiała na chorobę morską, chociaż fale nie były zbyt wysokie. W kabinie okropnie cuchnęło, dlatego spędzałem dużo czasu z Zeppim na pokładzie. Tam poznałem Giovanniego.

Oprowadził nas po statku, pokazał, gdzie się zgłosić po kamizelki ratunkowe w razie alarmu, gdyby statek tonął, gdzie jest kuchnia okrętowa i gdzie mesa, w której pasażerowie jedzą posiłki.

Na statku płynęło tylko jedenaście osób, bo „Stromboli” był frachtowcem, zatem poza załogą znajdowało się na nim miejsce zaledwie dla kilku pasażerów.

Podróżowała z nami jeszcze jedna kobieta, która poświęciła trochę czasu mamie, a potem powiedziała, że jako dobry syn powinienem otoczyć ją opieką ze względu na chorobę morską. Powiedziała, że Zeppi też musi jej pomóc, ale jak zwykle nie słuchał, schodziłem więc kilka razy dziennie do kabiny, żeby zapytać mamę, czy czegoś nie potrzebuje. Na szczęście, za bardzo udreńczona chorobą, niczego nie potrzebowała.

Kiedy mijaliśmy cieśninę, wyszedłem z Zeppim na pokład, żeby popatrzeć, chociaż już zapadł zmrok. Spodziewaliśmy się ciekawszego widoku, wysokich skał zbryzganych rozbijającą się z obu stron pianą,

6

między którymi ledwo przeciska się statek, lecz spotkał nas srogi zawód. Chcieliśmy zobaczyć mityczne Słupy Heraklesa, ale mgła zasnuła skały, dlatego przepływając wolno przez cieśninę, ujrzeliśmy po prawej jedynie światła Gibraltaru, a i one niebawem zniknęły. Zeppi uznał, że widocznie nie minęliśmy Słupów Heraklesa, lecz zapewniłem go, że się myli i poprosiłem, żeby przestał skamleć o swoim rozczarowaniu. Sam również przeżyłem rozczarowanie, ale mama zawsze twierdziła, że muszę dawać przykład Zeppiemu, który zszedł do kajuty i położył się spać. Ja jeszcze długo stałem na pokładzie, czując zwięższającą się pod nami głębokość, kiedy wypływaliśmy na wody Atlantyku. Czulem, jak fale niewidoczne we mgle rosna i wydłużają się, i słyszałem, jak spowite w ciemnościach rozbijają się o dziób

statku, by następnie ześliznąć się po kadłubie. Na tych niebieskozielonych falach Atlantyku mieliśmy dopłynąć aż do Wenezueli. Poszedłem na rufę, żeby po raz ostatni rzucić okiem na Europę, ale już zniknęła.

Mama zapowiedziała, że już nigdy tam nie wrócimy i nie zobaczymy odbudowanej ojczyzny, jeżeli kiedykolwiek ją odbudują. Dodała, że Rosjanie i Amerykanie podzielą ją między sobą jak tort, rozkroją na pół, czyli nie będą to już prawdziwe Niemcy, dlatego dobrze, że wyjeżdżamy, żeby rozpocząć nowe życie. Stryj Klaus jest lekarzem, a zarazem szlachetnym człowiekiem. Otoczy nas ojcowską opieką w kraju, w którym zawsze świeci słońce, fruwią kolorowe papugi i unosi się zapach bananów. Już raz jadłem banana, mając mniej lat niż teraz Zeppi, ale nie pamiętałem smaku. W Wenezueli nasze życie całkiem się odmieni, a ja wyrosnę na takiego mężczyznę jak mój ojciec, który zginął w śniegach Rosji.

W połowie oceanu złapał nas sztorm, a mama, która przez chwilę czuła się lepiej, ponownie zapadła na chorobę morską. Zeppi też. Musiałem opróżniać ich wiadra do ubikacji i spuszczać wodę. Raz i mnie zemdliło, ale od tego smrodu, a nie od kołysania statku. Kiedy mama i Zeppi nie mieli już czym wymiotować, wyszedłem na pokład i oglądałem sztorm przez luki w mesie. Giovanni zabronił mi wychodzić na pokład, żeby nie zmiotły mnie fale przelewające się przez statek, dlatego do wieczoru właśnie stamtąd obserwowałem bryzgi wody i słuchałem wycia wiatru.

7

W mesie nie było żywej duszy. Wszyscy pasażerowie poza mną chorowali, a marynarze musieli się uwijać, dlatego całą salę miałem dla siebie. Musiałem stać na rozstawionych nogach i mocno trzymać się poręczy pod lukami. Miałem nie lada frajdę, kiedy szarpało mnie tak na wszystkie strony, a ja czułem własną siłę. Ojciec przed odjazdem przykazał mi, żebym zawsze był silny. I właśnie wtedy podczas sztormu po raz pierwszy poczułem ową siłę. Ciekawe, czy mnie tam widzi, stojącego w rozkroku podczas atlantyckiego sztormu. Mama twierdziła, że umarli idą do nieba, skąd nas potem obserwują, dlatego nie wolno sprawiać im zawodu zachowaniem, którego by nie pochwalali. Zastanawiałem się, czy ojciec pochwalalby nasz wyjazd

do Wenezueli, gdzie mieliśmy stworzyć rodzinę z jego bratem, i czy na miejscu też będę musiał okazywać siłę, kiedy nowy, silny ojciec roztoczy nad nami opiekę. Stryja Klause spotkałem przed wojną raz, może dwa razy. Po śmierci ojca przyjechał do nas, żeby złożyć kondolencje. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać lekarz. Był bardzo wysoki, bezpośredni i inteligentny, a przy tym niezwykle przystojny, bardziej od brata, bo ten przypominał z urody ich matkę, a nie ojca, który wstąpił do wojska w 1916 roku. Stryj, choć był lekarzem, bardziej przypominał wojskowego, ojciec natomiast, który służył w wojsku, przypominał raczej tragarza kolejowego, chociaż nim nie był, gdyż sprzedawał polisy dużego towarzystwa ubezpieczeniowego. W każdym razie wykazał się niezwykłą odwagą. Dał mi Krzyż Żelazny, który Fiihrer wręczył mu osobiście za zabicie wielu Rosjan, kiedy służył jako czołgista. Fiihrer uśmiechnął się, przypinając mu ten order, a tata wyjaśnił mi, że dostał tym samym największego zaszczytu, jaki może spotkać Niemca.

Teraz order spoczywał w skórzanym pudełku, schowany na dnie mojego kufra podróżnego, żeby umknął uwagi ewentualnego złodzieja. Ojciec, przekazując mi go, powiedział, że zawsze muszę zachować siłę dla rodziny. Raz go przymierzyłem, powiesiłem sobie na szyi i przejrzałem się w lustrze. Niewiele ważył. Zrobiło mi się głupio, że wkładam tak wysokie odznaczenie, nie mając do niego prawa, i odłożyłem do pudełka. Po śmierci ojca mama nie chciała oglądać

i

krzyża. Wiedziałem, że stryj Klaus zechce. Podam mu go i będę patrzył, jak otwiera pudełko.

- Ojciec go zdobył - powiem. - Na pewno chciałby, żebyś go zobaczył.

Przez pokład pode mną przeląła się długa fala i spłynęła po burcie płachtami piany. Pomyślałem, że wypłukuje ze mnie przeszłość, spuszcza ją za burte, żeby zatoneła na dnie oceanu. Teraz zaczniemy nowe, lepsze życie. Mama już mnie uprzedziła, że niegrzecznie byłoby porównywać stryja Klause z ojcem, bo takie porównanie mija się z celem. Ponieważ byli braćmi, a mój rodzony ojciec nie żyje, nowy jest jego najbliższą kopią. Nie ma lepszego rozwiązania, które zapewniłoby Zeppiemu i mnie ojca, a mamie - męża.

— Kochasz stryja Klause? - zapytałem. Odpowiedziała, że zawsze go szanowała i że wzbudził jej podziw, kiedy w roku 1933 wstąpił do partii, żeby pomaszerować pod wodzą Fihrera i zawalczyć o złote jutro dla wszystkich Niemców. Ojciec nigdy nie poszedł w jego ślady, co wiedziałem, bo podsłuchiwałem jego kłótnie z mamą, która wymawiała mu, że zawiódł rodzinę, nie wstępując do partii tak jak jego brat, lecz mimo to nie zmienił decyzji. Dlatego była taka duma, gdy wstąpił do Wehrmachtu, i zdjęcie przedstawiające go w wieżyczce czołgu postawiła na kominku, gdzie stało, dopóki ta część domu nie wyleciała w powietrze podczas nalotu bombowego Amerykanów.

Patrząc na burzę, obiecałem sobie, że będę słuchał mamy. Stryj Klaus w swej wielkoduszności zaproponował nam nowe życie z dala od zbombardowanych miast, głodu i Niemiec przekrojonych na pół niczym tort. Znany nam przedtem świat zniknął na zawsze, a stryj Klaus pozostał ostatnim ogniwem łączącym nas z przeszłością i wyciągnął rękę, żeby wydobyć nas z czeluści. Mama podkreślała, że jest dobrym człowiekiem, bo wcale nie musi tego robić, dlatego powinniśmy doceniać jego gest. Podkreślała również, że nie będziemy musieli zmieniać nazwiska. Czyli ja nadal będę się nazywał Erich Linden i nie będę musiał przybierać nazwiska, które mogłoby brzmieć głupio albo ohydnie. Wydawało się więc, że stryj Klaus stanowi najlepszą odpowiedź na wszystko. Bardzo usiłowałem sobie przypomnieć smak

9

bananów, ale na próżno. Zniknął wraz z całym moim światem, tyle że za niecały tydzień znów będę mógł ich skosztować.

Zapach Wenezueli poczuliliśmy, jeszcze zanim ją zobaczyliśmy. Zeppi spytał Giovanniego, co to za ciężki, wilgotny zapach, a Giovanni odparł, że czuć ląd, który zobaczymy dopiero nazajutrz.

- Okropnie cuchnie. Czuć zgnilizną - stwierdził Zeppi.

Powiedziałem mu, że widocznie przywykł do zapachu oceanu, ale kiedy przybijemy do brzegu, odór z pewnością ustąpi.

- Nie podoba mi się - powtórzył płaczącym głosem, jakim czasem skamlał, kiedy coś szło nie po jego myśli.

- Posłuchaj, kretynku - przywołałem go do porządku. - Lepiej szybko przywyknij, bo i tak go nie zmienisz. I nie leć do mamy ze skargą na brzydkie zapachy, bo ci wykręcę ucho.

Wiedział, że nie żartuję, dlatego zagryzł tylko ze zdenerwowania dolną wargę, jakby miał siedem, a nie dwanaście lat.

- Dorośnij wreszcie — rzuciłem kąśliwie, na co pokazał mi język i uciekł ze śmiechem, zanim zdążyłem go złapać za ucho.

Chwilę potem weszła na pokład mama i zapytała:

- A cóż tak dziwnie pachnie?

Powiedziałem jej, że Wenezuela, ale nie skomentowała.

Następnego dnia o świcie wyszedłem na pokład. Zobaczyłem majaczący na horyzoncie ląd, nad nim niskie chmury. W jeszcze gorętszym powietrzu zapach się nasilił. Wokół fruwały ptaki, jeszcze nie papugi, a mewy. Poczulem, jak serce podchodzi mi do gardła. Przede mną rozciągał się mój nowy kraj i gdzieś za długą zieloną linią horyzontu czekał Klaus.

Poprzedniego wieczoru postanowiłem przestać widzieć w nim stryja, a ponieważ jeszcze nie był mężem mamy ani nie zasługiwał na miano ojca, uznałem, że do rozstrzygnięcia sytuacji pozostanie dla mnie Klaus. Kiedy myśląc o nim, używałem samego imienia, od razu się do niego zbliżyłem, jak gdybym zobaczył w nim kolegę, a nie kogoś, kogo widziałem tylko kilka razy na przestrzeni lat. Z godzin spędzonych w jego towarzystwie nie uzbierałby się nawet cały dzień, a teraz miał zostać nowym ojcem moim i Zeppiego, a także nowym mężem mamy.

10

bananów, ale na próżno. Zniknął wraz z całym moim światem, tyle że za niecały tydzień znów będę mógł ich skosztować.

Zapach Wenezueli poczuliśmy, jeszcze zanim ją zobaczyliśmy. Zeppi spytał Giovanniego, co to za ciężki, wilgotny zapach, a Giovanni odparł, że czuć ląd, który zobaczymy dopiero nazajutrz.

- Okropnie cuchnie. Czuć zgnilizną - stwierdził Zeppi.

Powiedziałem mu, że widocznie przywykł do zapachu oceanu, ale kiedy przybijemy do brzegu, odór z pewnością ustąpi.

- Nie podoba mi się - powtórzył płaczącym głosem, jakim czasem skamlał, kiedy coś szło nie po jego myśli.

- Posłuchaj, kretynku — przywołałem go do porządku. - Lepiej szybko przywyknij, bo i tak go nie zmienisz. I nie leć do mamy ze skargą na brzydkie zapachy, bo ci wykręcę ucho.

Wiedział, że nie żartuję, dlatego zagryzł tylko ze zdenerwowania dolną wargę, jakby miał siedem, a nie dwanaście lat.

- Dorośnij wreszcie - rzuciłem kąśliwie, na co pokazał mi język i uciekł ze śmiechem, zanim zdążyłem go złapać za ucho.

Chwilę potem weszła na pokład mama i zapytała:

- A cóż tak dziwnie pachnie?

Powiedziałem jej, że Wenezuela, ale nie skomentowała.

Następnego dnia o świcie wyszedłem na pokład. Zobaczyłem majaczący na horyzoncie ląd, nad nim niskie chmury. W jeszcze gorętszym powietrzu zapach się nasilił. Wokół fruwały ptaki, jeszcze nie papugi, a mewy. Poczulem, jak serce podchodzi mi do gardła. Przede mną rozciągał się mój nowy kraj i gdzieś za długą zieloną linią horyzontu czekał Klaus.

Poprzedniego wieczoru postanowiłem przestać widzieć w nim stryja, a ponieważ jeszcze nie był mężem mamy ani nie zasługiwał na miano ojca, uznałem, że do rozstrzygnięcia sytuacji pozostanie dla mnie Klaus. Kiedy myśląc o nim, używałem samego imienia, od razu się do niego zbliżyłem, jak gdybym zobaczył w nim kolegę, a nie kogoś, kogo widziałem tylko kilka razy na przestrzeni lat. Z godzin spędzonych w jego towarzystwie nie uzbierałby się nawet cały dzień, a teraz miał zostać nowym ojcem moim i Zeppiego, a także nowym mężem mamy.

10

Uznałem więc, że na razie zostanie po prostu Klaus. Może po ślubie zażąda, żeby

nazywać go ojcem. Czułbym się z tym dziwnie i nie bardzo w porządku. Najbardziej chciałbym, żeby od początku sam zaproponował, abym mu mówił po imieniu. Ociepliby to nasze stosunki, stanowiło dobry początek. Sam nie wiem, dlaczego tak mi na tym zależało. Sprawiłby mi zawód, gdyby nalegał, żebym mówił do niego stryju, a potem ojciec.

Zobaczyłem, że obok mnie stoi Zeppi.

- Teraz śmierdzi jeszcze gorzej - rzekł, marszcząc nos. - Jak ze śmietnika, w którym leżą stare skóry karczochów.
- Przyzwyczaisz się.
- O, na pewno nie! Nie mam najmniejszego zamiaru.
- No to będziesz bardzo nieszczęśliwy. I miej pretensje tylko do siebie.
- Guzik mnie to obchodzi.
- Zamknij się, chłopczyku.

Rąbnął mnie z całej siły w rękę.

- Nie mów tak do mnie!
- No to dziewczynko. Zresztą wyglądasz jak dziewczyna, nie wiedziałeś?

Wiedział aż za dobrze. Był najładniejszym chłopcem, jakiego widziałem w życiu.

Czasem nawet zazdrościłem mu urody. Odziedziczył ją po mamie, bo ja się wdałem w tatę. W szkole wyśmiewano go, że ma usteczka jak amorek, długie rzęsy i uszy jak muszelki. Pąsował wtedy na twarzy i z trudem hamował łzy. A koledzy właśnie dlatego tak go drażnili, żeby wywołać płacz. Bo kiedy się rumienił, jeszcze bardziej przypominał dziewczynę, i to piękniejszą niż kiedykolwiek. Nie miał drygu do gier zespołowych i w ogóle unikałem go w szkole, zażenowany jego urodą i delikatnym obejściem. Ponieważ jednak był moim bratem, tak jak Klaus był bratem ojca, musiałem go kochać i otaczać opieką, zwłaszcza teraz, u progu nowego życia.

- Sam się zamknij! - odparował, a ja odwróciłem się, pragnąc zakończyć kłótnię, zanim rozgorzeje na dobre.
- Spójrz, pelikan! - powiedziałem, wskazując ptaka.
- Wcale nie pelikan, tylko żuraw.

To był z całą pewnością pelikan, ale nie prostowałem. Zeppi trochę się rozchmurzył.

- Kiedy dopłyniemy? - spytał. - Już mam dość tego głupiego statku.
- Giovanni mówił, że aby dotrzeć na miejsce, musimy płynąć w górę rzeki.

Czeka nas więc jeszcze wiele dni w podróży.

- Przecież widzieliśmy w atlasie, że Caracas, stolica Wenezueli, leży nad morzem.

- Ale my nie jedziemy do Caracas, tylko do innego miasta... chyba do Bolivar.

Rzeka jest tak szeroka, że nawet taki wielki frachtowiec może wpłynąć dwieście kilometrów w głąb lądu. Oba brzegi będą zarośnięte dżunglą.

- Z małpami?

- Z małpami, papugami i anakondami, które mogą zadusić człowieka na śmierć, a następnie połknąć w całości.

- Nie dam się!

- Akurat! Przed nimi się nie obronisz. Spadają z drzew, oplatają człowieka, a potem dotąd duszą, aż mu wylecą kiszki i oczy wyjdą na wierzch. Nie ma przed nimi ratunku, chyba że ktoś je zastrzeli, zanim mu zaczną miażdżyć żebra.

- W takim razie muszę zdobyć pistolet, ty też zdobądź i będziemy mogli ratować się nawzajem. Kiedy znajdziemy się pod drzewami, musimy trzymać się razem.

Powiedział to tak poważnie, że wcale się nie roześmiałem.

- A jaka to rzeka? — spytał. - Amazonka?

- Idiota! Nie pamiętasz atlasu? Jaka duża rzeka płynie przez Wenezuelę?

- Amazonka - obstawał przy swoim.

- Amazonka płynie przez Brazylię, mądralo. A my będziemy płynęli Orinoko.

- Orinoko - powtórzył. - Orinoko...

Patrzył przed siebie błędnym wzrokiem, jakim czasem patrzy, jak gdyby zasypiał.

Dawniej nabijałem się z niego, ale mama poprosiła, żebym przestał.

- Zostaw go — powiedziała. — On ma taki marzycielski charakter. Może wyrośnie na wielkiego myśliciela.

12

Absolutnie w to nie wierzyłem. Nie Zeppi! Jeżeli uroda mu nie przeminie, może

zostanie gwiazdorem jak Rudolf Valentino, ale on bez pomocy nie potrafił rozwiązać nawet prostej krzyżówki.

Czasem zastanawiałem się, jakie nadzieje mama pokłada we mnie. Kiedy powiedziałem jej, że zostanę dowódcą czołgu tak jak tata, wykrzyknęła:

- O nie! Nie ma mowy!

Tak bardzo przeżyła śmierć męża, że nie chciała oglądać jego Krzyża Żelaznego.

Dlatego w taki, a nie inny sposób scharakteryzowała nam Klause, kiedy zapowiedziała, że zamierza przyjąć jego oświadczenia.

- Kto umie uzdrawiać bliźnich, ma powód do chwały. Uzdrawiać, a nie unicestwiać.

Na pewno nie chciała tym powiedzeniem znieważać taty, zwłaszcza że wojna już się skończyła i Niemcy legły w gruzach, dlatego praca czołgisty straciła, przynajmniej w jej oczach, wszelki sens. Z tego względu powstrzymałem się od komentarza.

Uzdrawiać bliźnich, spodobało mi się to określenie. Klaus miał moc uzdrawiania bliźnich, w tym również kobiet, skoro mama odczuwała taką radość jak przed wojną, podczas której zawalił jej się cały świat. A może Klaus nie zechce oglądać Żelaznego Krzyża? Trudno było przewidzieć. Wyobrażałem go sobie w białym kitlu lekarskim ze stetoskopem na szyi, a nie z Żelaznym Krzyżem, który pasował do kogoś, kto unicestwia ludzi.

- Czy węże pływają? - spytał Zeppi.

- Niektóre.

- A wielkie anakondy?

- Nie wiem.

- No to wody również musimy unikać - powiedział z zaszępioną miną.

„Stromboli” płynął przez labirynt kanałów tam, gdzie Orinoko wpada do Atlantyku.

Trudno było powiedzieć, czy ciągnąca się przed nami dżungla należy do lądu, czy porasta wyspę w obrębie ujścia. Giovanni też nie wiedział. Twierdził, że drogę zna pilot rzeczny,

13

którego zabraliśmy na pokład, kiedy dobiliśmy wystarczająco blisko do brzegu. Był

śniadym mężczyzną tak jak Giovanni, miał na głowie podobną czapkę marynarską, tyle że z większą odznaką, bo pilot rzeczny wykonuje pracę ważniejszą od pracy marynarza. Przyplłynął do naszego statku małą łodzią parową, wspiał się po drabince sznurowej i poszedł wprost do sterówki.

Płynęliśmy cały ranek, a gdy kanały zostały za nami, rzeka, znacznie teraz szersza, przestała w ogóle przypominać rzekę, dżungla natomiast wyglądała dokładnie tak samo jak z oceanu, czyli rysowała się cienką zieloną linią, tyle że po obu stronach statku. Po jakimś czasie widok nas znudził, mimo to zostałem z Zeppim na pokładzie, bo przy braku oceanicznej bryzy duchota pod pokładem okazała się nie do wytrzymania. Na pokładzie została również mama, podobnie jak reszta pasażerów. Wszyscy rozsiedli się na leżakach pod brezentową markizą, który Giovanni rozłożył z kolegami, żeby zapewnić nam cień. Jeszcze nie widzieliśmy papug, może więc nie lubią latać nad wodą.

Nawet płynąc kanałami, nie zbliżyliśmy się na tyle do dżungli, żeby wypatrzeć coś naprawdę ciekawego. Brak papug nie pozwalał mi poczuć, że dotarłem na miejsce. Dopiero widok pierwszej papugi przekona mnie, że przyjechałem do Wenezueli. Najchętniej widziałbym czerwono-niebieską albo żółto-niebieską z czarnym dziobem, jak na ilustracjach z książki. Bardzo chciałem mieć taką papugę na własność. Kiedyś hodowaliśmy dwa koty, potem psa, ale wszystkie zginęły podczas wojny. Ale nie w bombardowaniach. Mama powiedziała, że ktoś je zjadł, na co Zeppi się rozplakał. Dlatego nie chciałem już mieć psa ani kota. Marzyłem natomiast o papudze. Nauczyłbym ją siadać na ramieniu i mówić różne mądre rzeczy, tak jak piraci uczą swoje ptaki.

Zapadła noc, a myśmy wciąż płynęli. Na brzegu błyszcząły światła, aczkolwiek nieliczne i niezbyt daleko. Niektórzy pasażerowie spali pokotem na pokładzie jak marynarze. Giovanni powiedział nam, że na szczęście rzeka tam jest tak szeroka, bo gdybyśmy płynęli bliżej brzegu, komary zjadłyby nas żywcem. Przez całą noc obserwowałem gwiazdy na niebie i nie zmrużyłem oka, bo pokład był tak twardy, ale trudno! Silniki statku dudniły głośniejsze niż na oceanie, może dlatego,

że nie mogłem zasnąć... ale od gwiazd, zapachu dżungli ani huku silników nie dało się uciec w sen. Wszystko wydawało mi się bardziej wyraźne niż przedtem, a poza odgłosami i zapachami nocy coś jeszcze nie pozwalało mi spać - nazajutrz po raz pierwszy od trzech lat miałem spotkać Klause.

Czy będzie wyglądał tak samo? Czy nadal pali papierosy w długich żółtych firkach z prawdziwej kości słoniowej? Tata mawiał, że to snobizm i poza, aktorski rekwizyt, żeby się od nas zdystansować, ale mama twierdziła, że długie fiki są wyrazem wyrafinowania w odróżnieniu od fajki, którą palił ojciec. Powtarzała, że Klaus z firką wygląda młodo i wytwornie, a fajka tatę jedynie postarza. Potem rodzice przez dwa dni nie rozmawiali ze sobą.

Zawinęliśmy do portu rzeczno-oceanicznego o nazwie Ciudad Bolivar. Mnóstwo się tam kręciło ciemnoskórych ludzi, Latynosów i Indian, ale nie rozumieliśmy ani słowa z ich okrzyków na widok dokerów, od których zaroilo się na pokładzie, żeby rozładować statek. Widziałem, jak Giovanni pomaga związać klapy, a po otwarciu każdego luku ładunkowego ze środka buchała fala gorąca. Pod wpływem tego wybuchu zaczynało falować chłodniejsze powietrze nad lukami. Wtedy po raz ostatni widziałem Giovanniego, chociaż wcześniej obiecywałem sobie, że się z nim pożegnam. Mama miała już wszystko spakowane i przygotowane na wiele godzin przed naszym przybiciem do portu, kiedy więc zjawił się marynarz, żeby znieść nasze manatki po trapie na nabrzeże, wszyscy troje podreptaliśmy za nim.

Wtedy zobaczyłem pierwszą papugę. Siedziała z przekrzywionym łebkiem na nabrzeżnym słupku i patrzyła na mnie. Upierzenie miała czerwono-niebieskie, skrzydła krótko przycięte, żeby nie od-frunęła, co oznaczało, że jest czyjaś własnością. Postanowiłem nigdy nie przystrzygać skrzydeł swojej papudze, kiedy już się jej doczekam. Skrzydła wyglądały okropnie, jak kikuty. Moja papuga będzie mnie tak kochała, że sama nie zechce odfruć. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że papuga wyskubała sobie dużo piór na piersi, dlatego wyzierała spod nich łysina, a skóra przypominała bladą, pomarszczoną skórę surowego kurczaka. Jeszcze przed chwilą pragnąłem dotknąć papugi, ale teraz mi się odechciało.

- Erichu, nie odchodź!

Mama, cała w nerwach, trzymała Zeppiego za rękę i rozglądała się, czy nie nadchodzi Klaus, ale nigdzie go nie było. Pot spływał ciurkiem mi po żebrach pod koszulą, a stopy w skarpetkach dosłownie mnie parzyły. Całą twarz i szyję miałem wilgotne. Najchętniej skoczyłbym z nabrzeża do wody, żeby uciec od tego straszliwego skwaru, ale powstrzymał mnie widok burej, brudnej wody, w której na dokładkę pływały najrozmaitsze śmieci.

- Erichu, chodź tutaj. Trzymajmy się razem.

Podszedłem do mamy, czekaliśmy razem. Zeppi usiadł na największym kufrze. Miał żalostną minę, włosy posklejane na czole od potu. Kilkoro pasażerów podeszło do mamy, żeby pożegnać się i życzyć jej powodzenia. Z nami też się pożegnali, następnie ruszyli nabrzeżem, a obok tragarze pchający wózki z ich bagażami. Nabrzeże ucichło, kiedy zostało nas tam tylko troje. Jakiś marynarz krzyknął, żebyśmy schowali się w hali odpraw celnych, bo tam jest cień. Zawołał też kogoś, żeby załadował nasz bagaż na wózek. Ruszyliśmy za innymi pasażerami i niebawem znaleźliśmy się w wielkim blasza-ku z długą ladą, na której wybrani pasażerowie otwierali walizki do kontroli.

Odprawę przeszliśmy ostatni. Nikt nie zaglądał do naszych bagaży, a urzędnik w brudnym mundurze podstemplował wolno i z namysłem dokumenty mamy, chuchając na pieczętkę za każdym razem, zanim przystawił ją na dokumencie. Klause wciąż ani śladu. Na twarzy mamy malowało się zmartwienie.

Minęła godzina. Zeppi zaczął narzekać na upał i głód, ale kazałem mu się zamknąć. Mnie też złościło, że musimy czekać, chociaż wszyscy już dawno się rozeszli. Żle mi to wszystko wróży. Klaus powinien tu na nas czekać. Mama też chyba łyka łyki tak jak Zeppi.

Do baraku celnego wszedł sprzedawca lemoniady, kupiliśmy od niego trzy małe butelki. Spojrzał na nasze pieniądze, dał nam wyraźnie do zrozumienia, że nie może ich przyjąć i wskazał kantor wymiany walut w kącie. Celnicy w mundurach nawet nie pokwapili się nas poinformować, że musimy wymienić marki na walutę obowiązującą w Wenezueli.

Kiedy mama zapłaciła sprzedawcy, niewiele jej zostało, czyli chyba za dużo nam policzył, wiedząc, że się nie poznamy. Zniechęciłem go. Ten cwaniak o wyglądzie Latynosa w dawno niepranym ubraniu i dziurawym słomkowym kapeluszu próbował wcisnąć nam jeszcze lemoniadę, a kiedy mama odmówiła, zaczął głośno złorzeczyć. Tak długo urągał jej po hiszpańsku, że zapragnąłem go uderzyć, skopać mu piszczele wystające spod obciętych za krótko spodni. Na nogach nie miał pełnych butów, lecz sandały. Ktoś taki nie miał prawa zachowywać się arogancko wobec mamy.

Coś takiego nie zdarzyłoby się przy Klausie. Gdzie on jest? Zacząłem myśleć o nim coraz gorzej, podobnie zresztą jak o Wenezuelczykach. Nikt nie przepędził sprzedawcy lemoniady i nie zabronił mu zameczkać mamy. Wokół stała czereda umundurowanych mężczyzn, którzy gapili się tylko i zapewne dobrze bawili, z braku czegoś lepszego do roboty.

Wybiło południe, panował nieziemski skwar. Przez okno w baraku zobaczyłem wielkie czarne ptaszyska, człapiące w tę i z powrotem na dachu budynku po drugiej stronie ulicy. Z nieba sfrunął jeszcze jeden ptak, machając skrzydłami jak zepsuty parasol, który ktoś wyrzucił w powietrze, żeby popatrzeć, jak spada. Wylądował niezdarnie i przycupnął na dachu obok innych, przestępując z nogi na nogę, przekrzywiając ohydny łeb z boku na bok. Gdybym miał przy sobie pistolet, zastrzeliłbym go i pozostałe również. Sprzedawca lemoniady zamilkł na pół minuty, a potem znów zaczął namawiać mamę na lemoniadę, tym razem przymilnie, żeby z uśmiechem wyłudzić od niej resztę pieniędzy. Wciąż nikt się nie kwapił, żeby go przepędzić. Podeszedłem więc sam i odepchnąłem go.

Pchnięty z zaskoczenia, upadł na swój rozklekotany wózek pełen butelek, aż zadzwoniły. Zaczął krzyczeć na mnie, a potem na celników, żeby interweniowali, lecz oni przyglądali się tylko milcząco w czapkach zepchniętych na tył głowy. Jedni palili papierosy, inni dłubali w zębach. Sprzedawca lemoniady rozsierdził się jeszcze bardziej, odwrócił do mnie i zaczął wygrażać pięścią. Złożyłem więc pięści do ciosu na wzór bohaterów w filmach, chociaż nigdy nie nauczyłem się porządnie walczyć.

- Erichu, przestań! Nie chcę mieć tu żadnych kłopotów.

2 - Biali bogowie

17

- On się nie odczepi, mamó. To okropny typ, a celnicy nie kiwną nawet palcem.
- Nie zwracaj na niego uwagi, sam odejdzie.
- Nie odejdzie!
- Owszem, odejdzie. Jak nie będziesz na niego patrzył, zostawi nas w spokoju.

Opuściłem pięści, bo czułem się idiotycznie. Zresztą rozjuszony sprzedawca lemoniady nie przestawał bełkotać. Nie wiedziałem, co począć. I wtedy zobaczyłem Klause. Był już w połowie sali, którą przemierzał zwawo długimi susami. Poznałem go po fifce. Bo poza tym bardzo się zmienił. Miał na sobie kremowy, luźno skrojony garnitur, szykowny, a zarazem wygodny, na głowie słomkową panamę w kolorze fifki. Maszerował tak szybko, że dym wpadał mu z powrotem do oczu, ale on ani mrugnął.

Fifka huśtała się w górę i w dół, rozsypując popiół. Klaus warknął po hiszpańsku do sprzedawcy lemoniady, który aż podskoczył na dźwięk jego głosu i się odwrócił. Warknął coś jeszcze, na co sprzedawca umknął jak pies z podkulonym ogonem, pchając swój nieszczęsny wózek z butelkami.

- Klaus... - przywitała go mama, wytrzeszczając oczy. Widziałem, że znów z trudem hamuje łzy, ale chyba teraz z powodu ulgi, że wreszcie się go doczekała.

- Przepraszam, Helgo - rzekł Klaus. - Miałem pewien szkopuł w biurze.

Musiałem podpisać pewne dokumenty, a tym idiotom zachciało się sjesty. Jak wam minęła podróż? Wszystko w porządku? Mam nadzieję, że przepłynęliście ocean bez kłopotu. Chłopcy, ale wyście urosli od naszego ostatniego spotkania.

- Och, Klaus... - powiedziała mama łamiącym się głosem. - Już zaczęliśmy się niepokoić...

- Wybacz! Powinienem był przewidzieć, że nie zdążą z papierkami na czas, zwłaszcza w takim dniu jak dzisiaj. Wszystko musi być w trzech egzemplarzach, chociaż je potem gubią. Ale spuśćmy już na to zasłonę milczenia. Na pewno jesteście głodni. W hotelu kazałem przygotować dla nas przekąskę, żebyśmy dotrwali do obiadu. Wszyscy czekają. Bagaże zostawcie na razie tutaj.

- Tutaj? - Mama spojrzała z niedowierzaniem na nasze walizy.
- Tylko na chwilę. Nic im się nie stanie.

Podszedł do celników, szepnął im słowo, wrócił do nas.

- Załatwione. Przypilnują. A teraz chodźcie.

Podał mamie rękę, która zawahała się, ale wzięła go pod pachę.

- Trzeba kupić wam wszystkim kapelusze - zapowiedział. - Nie możecie chodzić w takim słońcu z gołą głową, bo dostaniecie udaru.

Wyszliśmy z baraku celnego na oślepiające światło i skwar popołudnia. Zeppi i ja nie zdążyliśmy się jeszcze odezwać. Wskazałem ptaki siedzące niczym połamane parasole na dachu naprzeciwko.

- Co to za ptaki?

Klaus spojrzał za moim palcem.

- Sępy. Okropne, prawda? Przyzwyczajacie się. Ktoś z was chorował na statku?
- Ja nie - wyrwałem się z odpowiedzią. - Ale inni chorowali.
- Chodźmy na ocienioną stronę - zaproponował, przechodząc z nami przez ulicę.

Mimo cienia na chodniku nie było żadnych przechodniów, wszystkie sklepy miały spuszczone żaluzje. - Sjesta - oznajmił Klaus. - Na pewno słyszeliście, że z powodu upału wszystko tu się zamyka aż do wieczoru. W tych stronach to niestety konieczność. Czasami trudno cokolwiek załatwić. Wciąż nie mogę przywyknąć do tutejszego życia w zwolnionym tempie. Może będziemy przyzwyczajając się razem.

- Dokąd idziemy? - spytał Zeppi.

- Do hotelu, żeby coś przekąsić. Zarezerwowałem dla nas pokoje. Mój Boże, Zeppi, aleś ty urósł. Nadal mówią na ciebie Zeppi czy już może Freidrich?

- Mnie nie zależy - odparł Zeppi. Speszył się, kiedy Klaus spytał go o dziecinne przezwisko, chociaż wiedziałem, że nienawidzi swojego imienia Freidrich.

- Wiesz, że to ja ochrzciłem cię Zeppim? Kiedy przyszedłem zobaczyć nowego bratanka tuż po urodzeniu, przedstawiono mi cię: „Klaus, to jest nasz mały Freidrich”. A ja na to: „Ciekawe, z której strony mały, bo ja widzę, że jest wielki jak balon. Albo jeszcze lepiej... zeppelin”. I odtąd wszyscy mówili na ciebie Zeppi.

Wiedziałeś?

19

- Tak - potwierdził, chociaż wiedziałem, że zapomniał.

- Erichu, nosiłeś swojego braciszka na rękę jak ogromny arbuz i udawałeś, że to zeppelin sunący po niebie. Buczałeś przy tym, lawirując między meblami, a wszyscy się zaśmiewali. Sam byłeś wtedy bardzo mały. Mama zawsze cię przestrzegała, żebyś go nie upuścił.

- Nie pamiętam.

- Mamy dużo do nadrobienia - powiedział. - Musimy sobie opowiedzieć, co się działo w obu naszych domach.

Patrzył z góry na mamę, która widząc jego spojrzenie, podniosła oczy, następnie spuściła i chyba zarumieniła się ze wstydu, a może z gorąca.

- Widzicie tego jeźdźca na koniu? - spytał Klaus, wskazując pomnik. Weszliśmy na dziedziniec zwany tutaj plaża, pośrodku którego stał posąg dżentelmena wznoszącego szablę. Koń pod nim miał napięte mięśnie, a nieistniejący wiatr rozwiewał mu na boki gęstą grzywę. - Simon Bolivar - powiedział Klaus - ponad sto lat temu wyzwolił Wenezuelę spod hiszpańskiego jarzma. Wszędzie zobaczycie jego pomniki i zdjęcia.

- Tak jak Fiihrera? - spytał Zeppi.

- Powiedzmy - potwierdził Klaus - chociaż trudno ich doprawdy porównywać.

Plany Fiihrera były zakrojone na znacznie większą skalę. Bolivar budzi tu powszechny podziw, dlatego od cudzoziemców oczekuje się podobnej czołobitności. Musicie się jeszcze dużo nauczyć.

- Znowu chce mi się pić.

- Hotel jest tuż za rogiem.

Stał za rzędem palm o bardzo grubych pniach pokrytych, na pierwszy rzut oka, wielkimi rybimi łuskami, odwróconymi do góry nogami. Wysoko u góry, tuż pod czuprykami liści, wisały kiście pomarańczowych jagód bądź owoców. Musiały to być palmy daktylowe, bo kokosowe są wyższe i smuklejsze. W poprzek frontonu biegł napis: „Hotel Concordia”. Weszliśmy po schodach do przestronnego holu z

długim biurkiem z bardzo ciemnego drewna. Na suficie wisiały wielkie wentylatory z łopatkami mielącymi wolno powietrze. Nie czułem żadnego powiewu, ale w środku było chłodniej. W recepcji

20

nikt nie siedział. Klaus poprowadził nas kręconymi schodami, mówiąc, że to najlepszy hotel w Ciudad Bolivar i że zatrzymamy się w nim dwa dni aż do odpłynięcia statku rzecznoego.

- Dokąd jedziemy? - zapytałem.

- W głąb kraju. Pracuję w Zameksie, drugiej co do wielkości spółce naftowej w Wenezueli. Główna siedziba mieści się w Caracas. Posłałem po was, dopiero kiedy dostałem tę posadę. Żonaty mężczyzna musi mieć stałą pracę.

Spojrzałem na mamę, żeby zobaczyć, jak zareaguje na pierwszą wzmiankę Klause o małżeństwie, ale z jej twarzy nie wyczytałem żadnej reakcji.

- I właśnie w nowej filii założonej niedawno w głębi kraju - ciągnął Klaus - stworzono dobre stanowisko. Płacą lepiej niż gdzie indziej, bo warunki są tam nieco surowsze. Tak tu jest. Im dalej od wybrzeża, tym trudniejsze życie.

- A będą tam węże? - zainteresował się Zeppi.

- O na pewno... i krokodyle podobne do aligatorów. Miejscowi nazywają je kajmanami.

- A takie wielkie węże, które duszą człowieka na śmierć?

- Może. Wystarczy, że zejdziesz wężowi z drogi, Zeppi, to nie zje cię na kolację. Na razie nie wywołuj wilka z lasu! Tu akurat nie musisz się martwić węzami.

Jesteśmy na miejscu. Chyba będzie wam tu nieco wygodniej niż w kajucie na statku.

Weszliśmy do przestronnego pokoju z wentylatorem u sufitu. Klaus włączył go pstryczkiem w ścianie. Zaczął się kręcić. Pokój był bardzo wysoki. Długie okna, z zewnątrz zasłonięte żaluzjami, były zamknięte przed upałem, toteż w środku panował półmrok, ale przez to wydawało się, że jest chłodniej. Pod ścianami stały dwa wielkie łóżka zasłane pomarańczowo-żółtymi narzutami.

- Zajmujemy sąsiednie pokoje - wyjaśnił Klaus. - Mam nadzieję, że wytrzymacie jedną noc we troje w jednym pokoju. Mój jest po sąsiedzku. Jutro chłopcy dostaną

ten pokój dla siebie. Helgo, wszystko już załatwiłem. Uroczystość odbędzie się z samego rana, zanim się zacznie upał. W małym kościółku, chwilę drogi stąd.

Ceremonia będzie skromna. Tylko mi nie mów, że liczyłaś na wielką uroczystość.

21

Nie możemy zbyt szastać pieniędzmi, bo, niestety, nie wychodzisz za bogacza.

- Nie martw się, Klaus. Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy ci wdzięczni, żeś nas tu zaprosił. Prawda, chłopcy?

Przytaknąłem, Zeppi skłonił głowę, mama uśmiechnęła się nerwowo. Próbowałem sobie wyobrazić, jak się czuje, stojąc obok szwagra i wiedząc, że nazajutrz zostanie jego żoną. Klaus też chyba trochę się speszył, bo miał przylepiony do twarzy sztuczny uśmiech. Chwilę oboje milczeli, a kiedy cisza zaczęła już wszystkim ciążyć, odezwałem się:

- No to gdzie ta przekąska?

- Erichu - upomniała mnie mama. - Nie bądź niegrzeczny.

- Ależ Erich słusznie się dopomina. - Klaus ukrócił obawy mamy. - Na pewno jesteście głodni, w każdym razie ja jestem. Jedzenie czeka w drugim pokoju. Możecie już tam iść, nie zamknąłem na klucz.

Pokój Klause wyglądał niemal tak samo, tyle że kręcił się wentylator, a okna również były zamknięte przed upałem. Na środku stał nakryty stół niepasujący do otoczenia. Na nim talerz kanapek zasłonięty konstrukcją z drucianego pałaka i ściereczki, żeby muchy i inne owady nie miały dostępu do jedzenia. Obok stała miska z lodem, wystawały z niej butelki lemoniady. Zeppi podszedł do stołu i odsłonił ściereczkę, żeby wziąć sobie kanapkę.

- Zeppi, poczekaj, aż cię zaproszą! - powiedziała mama. Głos jej się łamał, widocznie zdenerwowanie nie całkiem przeszło.

- Nie musi czekać - powiedział Klaus. - My tu nie przestrzegamy ceremoniału. Jedzcie, proszę. Erichu, przynieś jeszcze jedno krzesło.

Usiedliśmy do jedzenia. Kanapki bardzo mi smakowały, z wędlinami i sałatką, a

talerze obłożono kawałkami owoców. Lemoniada była taka sama jak tamta, którą wcisnął nam sprzedawca na cie, tyle że w większych butelkach. Mama jadła powoli, starając się nie strofować Zeppiego i mnie, żebyśmy jedli jak dżentelmeni, a nie jak świnie. Przy jedzeniu rozboleła mnie głowa, ale zaraz ból zaczął ustępować, czyli brakowało mi tylko jedzenia, picia i odrobiny cienia.

22

Klaus niewiele zjadł. Chyba się zorientował, że za mało zamówił, kiedy zobaczył, jak Zeppi i ja rzuciliśmy się na kanapki, pozwolił nam więc najeść się do syta. Uznałem, że postąpił wielkodusznie. Już mu wybaczyłem spóźnienie na nabrzeżu.

- Co będziesz robił na polu naftowym, skoro jesteś lekarzem?
- Erichu - skarciła mnie mama.
- Dobre pytanie - podchwycił Klaus. - W istocie będę pracował jako lekarz, a nie nafcjarz. Przy wszystkich urządzeniach mechanicznych obsługiwanych przez człowieka dochodzi czasem do różnych wypadków.
- Przecież jesteś chirurgiem - powiedziałem.

Mama zawsze opowiadała sąsiadom, że jej szwagier nie jest zwykłym lekarzem, ale chirurgiem. Zupełnie jakby był powołany do wyższych celów niż lekarz, który opatruje rany i przyjmuje porody.

- Na pewno przydadzą mi się umiejętności chirurgiczne.
- A ja sądziłem, że chirurdzy pracują w dużych szpitalach...
- Najczęściej tak, ale kusi mnie, żeby spróbować czegoś nowego, mniej spektakularnego, że się tak wyrażę. Wielu berlińskich chirurgów mniej dbało o pacjentów niż o swoje konta bankowe. Niestety, takie podejście leży w naturze ludzkiej. Chciałbym przyczynić się do odnowy moralnej człowieka. W nowym kraju człowiek szuka całkiem nowego życia, odbiegającego jak najdalej od starego, które zostawił za sobą. Zapewne z czasem sami przeżyjecie coś podobnego. Wyjaśniłem twoje wątpliwości, Erichu?
- Tak - powiedziałem.
- Macie dużo szczęścia - ciągnął - że trafiliście tu w tak młodym wieku. Niemcy to teraz udręczony kraj.

- O niektórych sprawach najlepiej zapomnieć... — wtrąciła mama.

- Mylisz się, Helgo. Erich ma bystry umysł, jakiego ja nie miałem w jego wieku, a Zeppi też chyba pójdzie w jego ślady. Trzeba rozpraszać wszelkie wątpliwości, jakie się lęgną w żadnych wiedzy umysłach. — Uderzył w poważny ton. - W Niemczech wszystko teraz się zmieni. Z całą pewnością władzę przejmą komuniści. Amerykanie i Anglicy mają za miękkie serca, żeby im złoić skórę, dlatego słabość

23

polityczna każe im się przystosować. Nie chcę, żeby wschód rządził w żadnej części Europy. Niektórzy Rosjanie, słowiańskie dusze, nie różnią się od niegdysiejszych hord Mogołów. Lepiej trzymać się od nich z daleka. Sami zniweczą kulturę, która kwitła tam aż do teraz. A tu można rozpocząć wszystko od nowa. Chłopcy, z czasem przekonacie się, że mam rację. - Uśmiechnął się. - Pogadanka skończona. Najedliście się?

- Ja tak - powiedział Zeppi.

- To świetnie. A teraz proponuję, żebyście wzorem tubylców poszli się zdrzemnąć. Helgo, jeżeli zechcesz przejść do mojego pokoju, chłopcy będą mieli po łóżku dla siebie. Chociaż jest pora sjesty, mam coś do załatwienia na mieście.

- Kiedy wrócisz? - spytała mama.

- Pod wieczór. Rozgośćcie się, proszę. - Wstał. - W korytarzu po lewej są łazienki. Odpocznijcie i czekajcie na mnie.

Mama też wstała. Na jej twarzy malował się strach.

- Oczywiście, Klaus - powiedziała. - Zdajemy się na ciebie.

- I słusznie, bo krzywdy wam nie zrobię - zapewnił ją z uśmiechem. Kiedy się uśmiechał, wyglądał ładniej niż z poważną miną. Niektórzy ludzie od razu budzą zaufanie tylko swoim wyglądem i Klaus właśnie się do nich zaliczał. Miał nieco dłuższe włosy niż dawniej, przypominał zatem bohatera dawnej baśni, człowieka wyjątkowego, spoza cywilizacji, przed którym wszystkie tajemnicze, cudowne wrota stają otworem. Był trzy lata młodszy od taty, miał więc teraz trzydzieści sześć lat, ale wyglądał młodziej ze względu na niesforne blond włosy, tropikalną opaleniznę i białe zęby. Oczywiście miał zniewalająco niebieskie, jakie podobają się kobietom. Nie był dotąd

żonaty. Z tego, co wiedziałem, nigdy przedtem nie myślał o ożenku. Widocznie teraz uznał, że nadszedł czas, a przy okazji warto by ocalić przed komunistycznymi Mogołami Europy pozostałą przy życiu rodzinę.

Wziął kapelusz i wyszedł. Pokój bez niego dziwnie opustoszał.

Wieczorem Klaus zabrał nas do niemieckiej restauracji. Znał tam trochę osób, łącznie z właścicielem, grubym Bawarczykiem, który

24

podszedł do naszego stolika, żeby przywitać nas w Wenezueli. Podał mamie i Klausowi po kieliszku jakiegoś specjalnego sznapsa, na co Klaus spytał, czy my też moglibyśmy, z tej specjalnej okazji, coś dostać. Restaurator przysłał nam dwa małe kieliszki i butelkę kirszu. Miał smak wiśni, był słodki, a jednocześnie gorzki.

Posmakował mi, ale Zeppiemu nie, i wszyscy wybuchnęli śmiechem, kiedy się po nim skrzywił.

Nie zdenerwował się jednak, jak zwykle, bo taki jest wrażliwy, i obiad przebiegał dalej miło wśród żartów i śmiechów. Pośrodku sali znajdował się parkiet, z boku przygrywał zespół, toteż Klaus przekonał mamę, żeby z nim zatańczyła. Pięknie wyglądali razem, wirując dookoła w tańcu. Kiedy wrócili do stolika, mama wydała mi się znacznie bardziej odprężona, a Klaus perorował oraz zasypywał Zeppiego i mnie dowcipami, które wcale mnie nie śmieszyły, ale on potrafił bez trudu sprowokować nas do śmiechu.

Wracaliśmy do hotelu zatłoczonymi już o tej porze, gwarnymi ulicami. Po drodze pobawiliśmy się małpką, siedzącą obcemu mężczyźnie na ramieniu. Miała kamizelkę, kapelusz, a do tego bardzo przyjazne usposobienie. Nawet wskoczyła Zeppiemu na głowę i zaczęła śmiesznie skrzeczeć, skubiąc go za uszy. Mój brat wcale tego dobrze nie przyjął, mężczyzna więc ją zdjął i zaraz się uspokoiła. Klaus powtórzył słowa tamtego pana, że Zeppi bardzo przypadł małpce do gustu.

Z portu przywieziono już bagaże i wstawiono do naszego pokoju. Musieliśmy czekać w pokoju Klause, zanim mama się rozbierze. Następnie Klaus zostawił nas, żebyśmy przebrali się w piżamy, a sam zszedł do baru. Kiedy wróciliśmy do swojego pokoju, mama leżała już w łóżku, ale jeszcze nie spała.

- Bardzo lubicie stryja Klause? - zapytała. Usłyszawszy nasze zapewnienie, spytała jeszcze: - Tak bardzo, że gotowi jesteście zamieszkać z nim do dorosłości, do czasu, kiedy wyjdziecie z domu, żeby założyć własne rodziny?

Kiedy znów potwierdziliśmy, wyraźnie odetchnęła z ulgą.

- A ty, mamo? - spytałem. - Tak samo go lubisz?

Po dłuższym namyśle odpowiedziała:

25

- Wasz ojciec był wspaniałym człowiekiem, chyba więc rozumiecie, że Klaus nigdy mi go nie zastąpi. Życie bywa ciężkie i nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem, a wtedy trzeba zmieniać pierwotne założenia. Czasem wychodzi to zainteresowanym na dobre. Owszem, wydaje mi się, że możemy żyć razem szczęśliwie.

- Mnie się też tak wydaje - oznajmił Zeppi, na co mama uściskała nas obu i poszliśmy do łóżka. Mama zasnęła prawie natychmiast. Ja musiałem czekać, aż Zeppi zaśnie, żeby zepchnąć go na jego stronę. Bo jeśli go nie odsunąłem, lubił się wtulać. Położyłem się na wznak i słuchałem muzyki wpadającej przez okno z ulicy, pięknej i radosnej. Wydarzenia dnia nie pozwoliły mi zasnąć. Leżałem więc, zasłuchany w muzykę, i zastanawiałem się, co mnie czeka w życiu. Może zostanę lekarzem tak jak Klaus, chociaż nie lubię widoku krwi. Wiele mógłbym się od niego nauczyć. Nieźle byłoby zostać lekarzem, bo wszyscy ich szanują.

Dużo później usłyszałem, że Klaus wchodzi do swojego pokoju. Najpierw wpadł na coś po ciemku, a po chwili zobaczyłem smużkę światła pod drzwiami łączącymi nasze pokoje. Zaczął nucić pod nosem nieznaną mi melodię. Zasnąłem, dopiero kiedy pod jego drzwiami zgasło światło.

Rozdział 2

Kościół, zgodnie z zapowiedzią Klause, znajdował się rzeczywiście blisko. Mama wystroiła nas w najlepsze ubrania, za ciężkie na ten upał, ale postawiła na swoim, chociaż Zeppi bardzo się opierał. Klaus obiecał, że po uroczystości kupi nam coś lżejszego, ale na razie nie mieliśmy czasu, gdy więc maszerowaliśmy do kościoła, pot spływał z nas ciurkiem, skarpetki plaskały w butach, a kołnierzyki i krawaty piłowały

szyje.

Stojąc w kościele, przeżywałem koszmar, uciekałem więc myślą do chłodnych górskich potoków i lodów na patyku, ksiądz nie przestawał mamrotać, a jego głos niósł się echem po pustym kościele, przez co jeszcze trudniej go było zrozumieć, pomijając fakt, że mówił po hiszpańsku. Nie zrozumiałem ani słowa, ale mama, wspomagana przez Klause, udzieliła poprawnych odpowiedzi.

W kościele nie było żadnych świadków zawarcia małżeństwa, nie licząc Zeppiego, mnie i oczywiście Boga, który obserwował ceremonię z góry, a w każdym razie tak nam się wmawia. Nie przypuszczam, że mama w to wszystko wierzyła, ale udawała, bo tak trzeba, skoro wszyscy udają. Czy nie byłoby śmiesznie, gdyby się okazało, że nikt nie wierzy w Boga, ale wszyscy udają, bo każdemu się zdaje, że wszyscy inni wierzą? Skonałbym ze śmiechu. Tata i Klaus zostali wychowani w katolickiej wierze, dlatego mama już raz wysłuchała formułki o Bogu i małżeństwie, kiedy brała pierwszy ślub. W każdym razie wiedziała, jak odpowiadać księdzu, a kiedy już włożyli sobie nawzajem obrączki, ksiądz pomamrotał jeszcze chwilę i wyszliśmy. W kościele przynajmniej panował chłód.

27

- Jak spędzimy resztę dnia? - zapytał Klaus.
- Gorąco mi - pozałił się znów Zeppi płaczliwie.
- A właśnie, obiecałem wam nowe ubrania. Rzeczywiście wyglądacie jak dwa pieczone prosiaki. Helgo, chyba chłopcy mogą już zdjąć krawaty i marynarki.
- Oczywiście.
- Niedaleko stąd jest sklep z odzieżą. Najlepiej chodźmy tam od razu.

Godzinę później Zeppi i ja paradowaliśmy w wygodnych szortach i białych przewiewnych koszulkach z krótkimi rękawami. Na głowy dostaliśmy słomkowe kapelusze z szerokimi rondami, a na nogi sandały. Ręce i nogi mieliśmy blade, prawie tak białe jak ubranie. Klaus orzekł, że przypominamy teraz parę obranych bananów, na co mama się roześmiała.

W innym sklepie Klaus nakupił też różnych rzeczy mamie. Stare, ciężkie ubrania musieliśmy nieść w papierowej torbie. Po powrocie do hotelu sjesta prawie dobiegała

końca. Zjedliśmy w kafejce sąsiadującej z hotelem, wypiliśmy morze lemoniady, a potem poszliśmy na górę, tyle że mama do pokoju Klausa. Kiedy Zeppi zorientował się, że nie ma jej przy nas, podbiegł do drzwi między pokojami i szarpnął klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Zaczął się dobijać i krzyczeć:

- Mamo, mamo!

Otworzył mu Klaus. Zeppi minął go i pobiegł do mamy. Chciałem zobaczyć, czy mama leży w łóżku Klausa, do czego miała już oczywiście prawo, dlatego niby to w pogoni za bratem wpadłem do środka. Klaus nie próbował mnie powstrzymać. Mama siedziała pod zasłoniętym żaluzjami oknem, wciąż jeszcze w ubraniu, co mnie zdziwiło, bo była bardzo piękna, skoro więc wzięli ślub, nie pojmowałem, dlaczego nie są razem w łóżku. Może chcieli poczekać, aż obaj zaśniemy. Jednym słowem, wykazali cierpliwość.

Zeppi podbiegł i zarzucił mamie ręce na szyję.

- Gdzie ty zniknęłaś? - zapytał idiotycznie.

- Przecież jestem tutaj — odparła. — To jest teraz mój pokój i Klausa. Przecież wzięliśmy ślub, prawda? Czyli do wyjazdu tamten pokój będziesz dzielił tylko z Erichem. Każdy dostanie osobne łóżko. Chyba będzie wam wygodniej?

28

- Nie! - sprzeciwił się dziecinnie Zeppi. - Wróc do nas...

- Jak to, Zeppi? - wtrącił się Klaus. - Nie pragniesz szczęścia dla swojej mamy?

Dorośli są najszczęśliwsi wtedy, kiedy żyją razem jak mąż i żona, dlatego rano się pobraliśmy. Byliście przy tym, wszystko widzieliście i słyszeliście. Małżonkowie żyją ze sobą, chociaż żyją też życiem swoich dzieci. Lepiej to zrozumiesz, kiedy dorośniesz. Bo ty, Erichu, chyba rozumiesz?

- Jasne, że tak.

- Może więc wyjaśnij podstawowe fakty Zeppiemu.

- Nie - zaproponowała mama. - Sama się tym zajmę. Klausie, Erichu, zostawcie nas na chwilę samych.

Wróciłem z Klausem do drugiego pokoju. Klaus wcisnął papierosa do żółtej fifki, zapalił. Przez drzwi słyszeliśmy głos mamy. Klaus wypuścił dym i skomentował:

- Jak na swój wiek Zeppi jest bardzo dziecinny.
- Zawsze taki był. Po prostu trzeba mu czasu, żeby się z czymkolwiek oswoić.
- Oby jak najprędzej. Tu spędzimy jeszcze tylko jedną noc, bo jutro wyjeżdżamy na nowe tereny wiertnicze Zameksu. Może w nowych warunkach szybciej przyzwyczai się do zmian.
- Nic mu nie będzie.
- Świetnie. W takim razie zajmij się nim, Erichu, bo Helgę czekają teraz inne obowiązki. Zeppi musi dorosnąć. Chyba sam przyznasz, że chłopiec w jego wieku nie powinien się już tak trzymać spódnicy matki?
- Porozmawiam z nim.
- Już widzę, że się dogadamy. Obaj jesteście pragmatykami, a ludzie z takim charakterem najlepiej sobie radzą w życiu. Okoliczności zmieniają się z dnia na dzień, zatem musimy zmieniać się wraz z nimi, prawda?
- Też tak uważam.

Wszedł Zeppi, ale nawet na nas nie spojrzał. Klaus wrócił bez słowa do swojego pokoju. Później, kiedy promienie słoneczne przeświecały przez deszczułki żaluzji okiennych przypominające roztopione sztabki złota, a Zeppi spał, nasłuchiwałem, czy z pokoju obok

29

i

i nie dochodzą oznaki życia. Nic jednak do wyłowilem i w końcu sam zasnąłem.

Wieczorem poszliśmy do tej samej niemieckiej restauracji, a właściciel znów nam przysłał do stolika sznapsa i kirsza. Powiedziałem Klausowi, że dojrzałem do prawdziwego alkoholu, na co pozwolił mi się napić sznapsa. Zeppi też się przymawiał, ale mama wyjaśniła mu, że jest za mały, nadał się więc, żeby ją ukarać. Mama nie zwracała uwagi na jego fochy, co go jeszcze bardziej rozdrażniło. Skamlał, że chce wrócić do hotelu tylko dlatego, że nikt inny nie chciał. Klaus poprosił mamę do tańca, żeby tylko od niego uciec, a ja przygadałem mu, żeby przestał zachowywać się jak smarkacz.

Nie patrzył na mnie, kiedy go strofowałem. Nie pisał też słowa, nawet kiedy już mama z Klausem wrócili do stolika. Wszyscy troje zaczęliśmy więc udawać, że go tam w ogóle nie ma, żeby na jego twarzy cherubinka odmalowała się dezaprobata. Za plecami dorosłych podwędziłem jeszcze jednego sznapsa i sytuacja zaczęła bawić mnie bardziej, niż powinna. Zakusy Zeppiego, żeby zepsuć wszystkim zabawę, spełzły na niczym. Nawet zrobiło mi się go żal. Poczułem się znacznie bardziej dojrzały, skoro trzymałem stronę Klausa i mamy przeciwko bratu, chociaż nikt nie zająknął się słowem na ten temat. Zespół grał tak głośno, że rozboleła mnie głowa. Niebawem wyszliśmy i wróciliśmy piechotą do hotelu Concordia. Zeppi odzyskał mowę i zaczął dopytywać o tamtego pana z małpką. Wiedział, że głupio pyta, gdy więc nikt nie pokwapił się z odpowiedzią, zamilkł i nie odezwał się przez całą drogę do hotelu, a potem po schodach do pokoi.

Już w hotelu Klaus zwrócił się do nas:

- Chłopcy, mamy wam coś ważnego do zakomunikowania. Siadajcie i słuchajcie uważnie. Zeppi, jesteś gotów?
- Tak - powiedział.
- Po pierwsze, mam dla was niespodziankę. Nastąpiła zmiana planów. Jutro rano nie popłyniemy na pole naftowe Zameksu rzeką. Zgadnijcie, jak się tam dostaniemy. Pole znajduje się kawał drogi stąd, dlatego nie mówcie mi, że dotrzemy pieszo.

30

- Ciężarówką - powiedziałem.

Klaus pokręcił głową.

- Tam nie ma dróg.
- Statkiem? - spytał Zeppi, za co chętnie palnąłbym go w głowę.
- Przecież słyszałeś, że nie płyniemy rzeką.
- Chodziło mi o statek oceaniczny! - odparował Zeppi.
- Żadnym statkiem - uciał nasze domysły Klaus.

Zastanowiłem się chwilę.

- Na mułach? Konno?
- Zgaduj dalej.

- Samolotem! - zawołał Zeppi. - Polecimy samolotem!
- Zgadza się - potwierdził Klaus. - Wiem od Helgi, że nigdy jeszcze nie lataliście, dlatego potraktujcie to jak specjalny prezent. Polecimy do Amazonii, czyli najdalej na południe, co zabierze nam większość dnia. Zeppi natychmiast wpadł w szał radości, zeskoczył z krzesła, jego zły humor prysnął.
- Cieszę się, że pomysł wam się spodobał - powiedział Klaus. - A teraz druga sprawa...
- Zeppi, siadaj! - zażądała mama. - Nie szalej, tylko słuchaj. Wrócił na krzesło. Klaus odchrząknął.
- Może was to zdziwi, ale od dzisiaj przestajecie się nazywać Linden. Odtąd wasze nazwisko brzmi Brandt. Nazywacie się teraz Erich i Freidrich Brandtowie.
- Nienawidzę imienia Freidrich! — powiedział Zeppi.
- W takim razie Zeppi Brandt - rzekł Klaus. - Od przyjazdu do Wenezueli nazywam się Klaus Brandt. Koniecznie zapamiętajcie tę zmianę. Kiedy ktoś was zapyta o nazwisko, moje albo mamy, brzmi ono Brandt. Jasne?
- Ale dlaczego? - spytałem. - Przecież nazywałeś się Linden, tak samo jak tata. I jesteś jego bratem, to dlaczego nazwałeś się Brandt?
- Bo tak zdecydowałem.
- Wy tłumacz im dlaczego - poprosiła mama.
- Proszę bardzo. - Klaus zaczął chodzić po pokoju. - Jak wicie, przegraliśmy wojnę. Kiedy jakiś kraj przegrywa z innymi, traci wszystko.

31

Nie tylko wojsko i sprzęt, nie tylko samoloty i łodzie podwodne. Pokonany kraj traci wolność. Nasi wrogowie sprawują kontrolę nad wszystkimi dziedzinami życia w Niemczech, a jednym z ich pierwszych posunięć było obarczenie winą za wojnę pojedynczych obywateli.

- Przecież wojna skończyła się ponad rok temu - wtrąciłem.
- Chcą teraz ścigać niewinnych Niemców - ciągnął Klaus, puszczając moją uwagę mimo uszu. - Nasza krew ma okupić ich niego-dziwości. Trudno znaleźć słabszy, bardziej bezbronny naród niż ten, który niedawno pokonano. Mogą z nami

robić, co chcą, a my nie mamy jak się odegrać.

- Miałeś mówić o nazwisku — przypomniała mu mama.

Przestał chodzić, zaczerpnął tchu.

- Prawda wygląda tak, że dowiedziałem się od grona lojalnych rodaków mieszkających tutaj, w Wenezueli, iż moje nazwisko znajduje się na liście oskarżonych. Możecie chyba sobie wyobrazić, jaki to dla mnie wstrząs. Nie mam zamiaru oddawać się w ręce wroga. Chłopcy, czy na moim miejscu nie zachowalibyście się tak samo?

Zeppiemu szczeka opadła, tylko więc pokiwał głową. Ja wykrztusiłem:

- Tak.

Kręciło mi się w głowie. Jak oni śmia oskarżać mojego stryja, nowego ojca, o przestępstwo!

- Nie ma, rzecz jasna, wątpliwości - ciągnął Klaus — kto za tym wszystkim stoi. Tylko jedna nacja na świecie ma tyle siły i determinacji, a zawładnęła przy tym bez reszty opinią publiczną, że chce i może rozpowszechniać kłamstwa i nieprawdy na taką skalę. Wiesz, Erichu, o kim mowa?

- O Żydach - szepnąłem.

- Zgadza się. Będą szukali kawalera nazwiskiem Linden, a nie mężczyzny żonatego nazwiskiem Brandt. Rozumiecie, jacy jesteście dla mnie ważni? Moja rodzina będzie moją tarczą. Pomożecie mi, chłopcy?

- Tak - potwierdziłem. Zeppi mi zawtórował. Nagle Klaus ukazał mi się w bardziej heroicznym świetle niż przedtem. Nie tylko miał wygląd bohatera, lecz był bohaterem, niewinnym mężczyzną, nie-

32

słusznie oskarżonym niczym hrabia Monte Christo. Żydzi czyhali na jego życie, pragnęli zrobić z niego złoczyńcę, ale on ich przechytrył, dzięki sprytowi i odwadze bohatera. Mama, Zeppi i ja właśnie mu w tym pomagaliśmy! Rozpierała mnie duma, aczkolwiek z domieszką wstydu, bo Klaus prześcignął pod względem bohaterstwa mojego tatę. Nieżyjący bohater jest mniej interesujący niż taki, który nadal boryka się z przeciwnościami i niesprawiedliwością, zwłaszcza jeżeli staje przed kimś,

przystojny, zdeterminowany, i prosi go o pomoc.

- Dziękuję wam — powiedział Klaus, szczerząc białe zęby. — Jeśli my, Lindenowie... przepraszam, Brandtowie, będziemy trzymać się razem, osaczymy wroga. Nie mają przy nas szans, choćby trzymali w garści niezliczoną liczbę gazet czy rządów. Wojna się wprawdzie skończyła, ale bitwa jeszcze nie jest przegrana i nigdy nie będzie, dopóki tacy ludzie jak ja pozostaną na wolności, ukryci pod fałszywymi nazwiskami, w odległych zakątkach świata, dokąd Żydzi nie mają odwagi się zapuścić. Zapamiętajcie, chłopcy, że Amazonia to nie miejsce dla mięczaków. Helga zaszczyliła mnie, zostając moją żoną, w pełni świadoma, co ją tu czeka, a teraz do was zwracam się z podobną prośbą. W tej chwili nie ma dumniejszego człowieka w całej Wenezueli. Chłopcy, Helgo, doprawdy czuję się niewyciężony!

Zeppi podbiegł do Klause, objął go w pasie i zaniósł się szlochem. Nigdy przedtem nie widziałem go tak rozemocjonowanego. Dziwny to był i wzruszający widok. Klaus najwyraźniej docenił przejęcie mojego brata, bo głaskał go czule po głowie. Mamie zaszkliły się oczy, mnie też łzy cisnęły się do oczu. Nastąpiła wspaniała chwila. Oto wszyscy czworo zjednoczyliśmy się przeciwko Żydom i zmierzaliśmy ku zwycięstwu. Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw, kiedy jechałem z Niemiec do Wenezueli, myśląc przez całą drogę, że może Klaus okaże się godnym ojcem, a może nie. Teraz pojąłem, jak niesłusznie żywiłem jakiejkolwiek wątpliwości. Wszyscy bowiem mogliśmy zostać bohaterami w służbie Klause, pomagając mu wygrać nierówną walkę. A na domiar wszystkiego czekał nas lot samolotem! Wieczorem, kładąc się spać, wykonałem dziwny gest, mianowicie włożyłem Krzyż Żelazny ojca. Sam nie wiem, dlaczego nie chciałem, żeby ktoś zobaczył ten order przypięty do mojej koszuli, dlatego zdjąłem

3 — Biali bogowie 33

zieloną wstążkę zawiązaną na pudle ze sklepu odzieżowego. W pudle leżała piękna biała suknia, którą Klaus kupił mamie. Przeciągnąłem wstążkę przez oczko krzyża i zawiązałem sobie na szyi. Odznaczenie taty wisiało mi na brzuchu, a jeżeli zapiąłem

koszulę na przedostatni guzik pod szyją, zielona wstążka nie wystawała spod kołnierza.

Chyba zapragnąłem nosić ten krzyż z szacunku do taty, ponieważ mama wyszła powtórnie za mąż za innego mężczyznę. Z pewnością tata nie sprzeciwiałby się ich małżeństwu, bo Klaus był jego bratem, co dawało mu przewagę nad innymi. Mimo wszystko jednak chciałem nosić tę jedyną zachowaną część ojca przy sobie, żeby wesprzeć jego ducha. To była sprawa wyłącznie między tatą a mną.

Na niewielkim lotnisku znajdowało się jedynie kilka małych budynków i wiatrowskaz. Stał na nim tylko jeden samolot - nasz. Na kadłubie widniał wielki pomarańczowy napis „Zamex”. Piękna nazwa dla zwyczajnej spółki naftowej. Ile słów zawiera jednocześnie litery Z i X? Nazwa brzmiała jak imię indiańskiego boga. Zamex, władca dżungli i gór. Taki bóg domagałby się zapewne ofiar z ludzi, serc wrywanych z piersi żywym ludziom i unoszonych do słońca. Zamex, bóg bestia.

- Jesteśmy jedynymi pasażerami - uprzedził Klaus, kiedy wchodziliśmy po schodkach. Pod ścianami stały pudła i skrzynie ostemplowane hiszpańskimi napisami. - Sprzęt wiertniczy — wyjaśnił, kiedy przeciskaliśmy się wąskim przejściem pośrodku.

Nasze bagaże wniesiono przez drzwi za nami, a pracownik lotniska zabezpieczył je płóciennymi pasami i siatkami. Samolot miał dwa silniki, chowane podwozie, a w środku cuchnął rozlanym olejem, brudnym metalem i potem. Mama przytknęła do nosa poperfu-mowaną chusteczkę, a Zeppi zawołał:

- Ależ tu cuchnie!

- Miejsca dla nas są z przodu - oznajmił Klaus. Niósł porządny czarny sakwojaż, otwierany u góry jak ostryga, swoją torbę lekarską. - Niestety, nie ma tu luksusów - powiedział i miał rację. Były to jedynie kubelkowe siedzenia z metalu, przytwierdzone dodatkowo do ścian pasem bezpieczeństwa z przodu, bez poduszek zwiększających

34

komfort jazdy. Usiadłszy w fotelu, poczułem się jak na żelaznym siodełku traktora.

- Mój ty świecie! - zawołała mama. - Nie wygląda to wszystko najlepiej. Jak

długo potrwa lot?

- Sześć albo siedem godzin, zależnie od wiatru - odparł Klaus. - Zobaczycie, że wam szybko minie. Widywałem już pasażerów, którzy z nudów przesypiali nawet krótsze loty.

- Ja na pewno nie zasnę - obruszył się Zeppi. - Zresztą dla mnie lot nie będzie nudny.

- Oto właściwa postawa - pochwalił Klaus. - Zajmijcie miejsca, tylko dobrze zapnijcie pasy, bo zapewniam was, że trochę będzie rzucało. Helgo, siadaj obok mnie, a chłopcy może niech usiądą razem po drugiej stronie. W rejsie towarowym należy dbać o równowagę.

- W takim razie z każdej strony powinien usiąść jeden dorosły z jednym dzieckiem - wytknąłem mu. - Bo nie będzie równowagi.

- Prawie jest - stwierdził Klaus, siadając obok mamy. - Chodziło mi o to, że nie możemy wszyscy siedzieć z jednej strony.

Wstawił czarny sakwojaż pod siedzenie, gdzie nogami mógł go zaklinować pod ścianą.

Zeppi wsadził głowę za zasłonę oddzielającą nas od kokpitu. Odgradzały nas od niego nie drzwi, a jedynie brudne zasłony zadrukowane roześmianymi klaunami, niezbyt odpowiednimi do samolotu. Może uszyła je żona pilota.

- Zeppi - powstrzymał go Klaus. - Nie zaglądam tam. Nie wolno przeszkadzać pilotom. Zapnijcie pasy.

Słyszałem głosy dochodzące z kokpitu. Pilot, a może drugi pilot, wyjrzał zza zasłony i spytał o coś po hiszpańsku. Klaus odpowiedział, na co mężczyzna przeszedł obok nas na ogon samolotu, gdzie zatrzasnął z hukiem drzwi, po czym wrócił przejściem i zniknął za zasłoną. Jeszcze chwilę dolatywały stamtąd strzępy rozmowy, lecz zaraz silnik na prawym skrzydle zakasłał, zacharczał, by następnie przejść w rozdzierający, ogłuszający huk, po czym dołączył do niego silnik na lewym skrzydle, jeszcze głośniejszy, bo Zeppi i ja siedzieliśmy z lewej strony. Brat zatkał sobie uszy, co pierwotnie sam chciałem zrobić, lecz powstrzymałem się, żeby go nie papugować.

Mama

¡A

też zasłoniła sobie uszy i śmiała się, ale ja tego nie słyszałem. Klaus uśmiechał się do niej. Huk silników narastał, a fotele trzęsły się, jakby rozdygotane dreszczem.

Ruszyliśmy. Startowaliśmy z gołej ziemi, dlatego podczas kołowania telepało nas na wyboistym podłożu. Ponieważ drzwi do luku towarowego mieliśmy zamknięte, w środku zrobiło się goręcej niż przedtem, aż mnie zemdliło. Klaus coś do mnie mówił, chyba nawet krzyczał, ale nie słyszałem ani słowa, kiwnąłem więc tylko głową.

Bodajże tłumaczył, że kiedy wzniesiemy się do góry, zrobi się spokojniej, ciszej i chłodniej, przynajmniej takich zapewnień oczekiwałem. Wtem samolot wykonał ostry półobrót, czyli przypuszczalnie dotarliśmy na koniec pasa. Zatrzymaliśmy się na moment, silniki zawyły jeszcze głośniejsze i ruszyliśmy po ziemi szybciej niż przedtem. Uniosło się koło tylne, zaraz potem cały samolot, jeszcze sekunda, a schowały się również koła pod skrzydłami, i prawie całkiem ustąpiła tak mną trzęsąca wibracja.

Wyjrzałem przez małe okrągłe okno obok, ale niewiele zobaczyłem poza umykającą spod nas ziemią. Kiszki wbiły mi się głębiej w brzuch, dziwne uczucie, i zaraz samolot przechylił się, skręcając w lewo, po czym zaczął powoli wzbijać się do góry. Zobaczyłem, że podwozia i zastrzały chowają się do środka, przez co maszyna zyskuje opływowe kształty, klapy uchylone na krawędziach spływów płatów wsuwają się w głąb skrzydeł, chyba wciągnięte przez przewody ciśnieniowe. Ryk silników nieco przycichł, złapaliśmy pułap. Za oknem zobaczyłem trzy kolory - błękit nieba, biel chmur i zielenie dżungli.

Zeppi wiercił się na siedzeniu, próbując wyglądać przez okno, ale siedział dalej ode mnie, dlatego zaczął odpinać pas bezpieczeństwa. Klaus krzyknął, żeby go zostawił. Tym razem usłyszałem, czyli w samolocie było znacznie ciszej. Zeppi albo nie usłyszał Klause, albo udawał, bo nadal ciągnął pas, dlatego przechyliłem się do niego i dałem mu po łapach, żeby puścił sprzączkę.

- Zostaw pas! - wrzasnąłem, ale mnie odepchnął. Wtedy palnąłem go mocniej, a on

chciał mnie rąbnąć w pierś, za co sam oberwał. Pięść weszła mi zadziwiająco łatwo w jego ciało, dopóki kłykcie nie nadziały się na mostek. Zeppi zawył, a mama pogroziła nam obu

36

palcem, żeby nas uspokoić. Zeppi rozplakał się, po czym uderzył mnie w ramię, zanim skulił się w sobie, żeby ochłonąć. Wcale mnie nie zabolalo. Bił słabo, jak dziewczyna, dlatego jego ciosy nigdy mnie nie bolały. Powinien zaszyć się w ciemnej kryjówce i dorosnąć, żeby przestał się zachowywać jak głupi smarkacz. Bo na razie potwornie mnie drażnił, zwłaszcza że pod skrzydłami mamy zbyt dużo uchodziło mu na sucho. Dobrze, że odtąd Klaus zacznie ustanawiać zasady. Na pewno zmusi Zeppiego, żeby przestał zachowywać się jak pętał.

Zza zasłony ponownie wyszedł mężczyzna. Tym razem z uśmiechem rozdał nam poduszki i wyszedł. Moja była bardzo zatłuszczona i śmierdziała brylantyną, lecz inne też nie wyglądały lepiej. Mama, krzywiąc się, odłożyła swoją na podłogę.

- Wkrótce ją docenisz, zapamiętaj moje słowa - przygadał jej Klaus. Mama pokręciła głową. Wiedziałem, że nie pozwoli, żeby coś tak brudnego dotykało choć kilka sekund jej ciała albo ubrania. Tata zawsze podkreślał, jaka jest zadbana i w jakiej czystości utrzymuje dom. U nas zawsze wszystko było na błysk, nawet po bombardowaniu, w którym zawałiła się jedna ściana.

Zeppi wyciągnął rękę.

- Daj mnie!

Podniosła poduszkę i rzuciła w jego stronę. Wsunął ją sobie pod pupę, bo własną miał już pod krzyżem. Ja sobie podłożyłem swoją pod głowę i wtuliłem się w nią, czując i tak z tyłu czaszki wibracje kadłuba. Odprężały mnie poniekąd, zwłaszcza kiedy wyobraziłem sobie, jak dziwna, drżąca ręka sięga mi w głąb czaszki, żeby chwycić mózg. Ta myśl ululała mnie do snu. W kabinie trochę się ochłodziło, a monotonny łoskot silników brzmiał jak kołysanka.

Wskazałem czarną torbę pod siedzeniem Klausea.

- Tam trzymasz sprzęt? - krzyknąłem, żeby mnie usłyszał.

- Tak!

- Skalpele, igły i podobne rzeczy?

Potwierdził tylko skinięciem głowy, bo nie chciał się wydzierać.

Już ładnych kilka godzin płynęliśmy tak z warkotem w powietrzu. Po starcie z Ciudad Bolivar co jakiś czas góry przerywały monotony pejzaż, a potem ziemia stała się dość płaska. Wyglądając

37

przez okno, za każdym razem widziałem to samo - morze zieleni, tu i ówdzie przecięte srebrną nitką, a nad dżunglą przepływające cienie chmur niczym cienie wielorybów sunące po morskim dnie. Choćbym najdłużej czekał z następnym wyjrzeniem przez okno, widok się nie zmieniał. Często zamykałem oczy i zapadałem w sen, podobnie jak reszta rodziny. Nie było o czym rozmawiać, zresztą i tak silniki dudniły za głośno. Uwięzieni w długiej, metalowej puszcze, lecieliśmy nad bezkresnym morzem zieleni, ciągnącym się na wszystkie strony.

Kiedy otworzyłem oczy po dłuższej drzemce, zobaczyłem mamę i Klausea pograżonych we śnie, wyprostowanych, jakby kij połknęli. Siedzieli niczym król i królowa z bajki czytanej dawno temu, śpiący obok siebie na bliźniaczych tronach, zaczarowani mrocznym zaklęciem, które kazało im przespać wieki w cichym zamku. Usiłowałem sobie przypomnieć, czy król z królową mieli dwóch synów, czy tylko jednego. Właśnie ów książę lub księżęta mieli coś wspólnego z zaklęciem. Czytałem tę bajkę we wczesnym dzieciństwie, może nawet czytała mi ją mama. Zeppiego nie było chyba jeszcze wtedy na świecie.

Odwróciłem się do niego. Wyglądał jak książętko z tą swoją twarzą cherubinka.

Zauważył, że mu się przyglądam, też wlepił we mnie wzrok. Puściłem oko, chciał się odwzajemnić, ale mu nie wyszło, bo nie umiał mrugać ani gwizdać. Kiedy próbował gwizdać, wydmuchiwał tylko bezdźwięcznie powietrze, a kiedy chciał puścić oko, mrużył naraz oba, co bardziej przypominało tik nerwowy. Z mojego uśmiechu wyczytał, że znów się zbłąźnił, dlatego wywalił język, żeby mi pokazać, że sobie z tego bimba. Ziewnąłem na znak, jak bardzo nudzi mnie jego zachowanie, i odwróciłem głowę. Trudno mi było sobie wyobrazić, że Zeppi kiedykolwiek dorośnie. Kiedy skończy dwadzieścia lat, też będzie się zachowywał jak

rozkapryszony bachor i robił z siebie idiotę, chociaż na pewno wszyscy będą mu wybaczać, zwłaszcza kobiety, bo podbija ich serca urodą. Ten gówniarz na pewno będzie miał większe powodzenie u kobiet ode mnie. Jawna niesprawiedliwość, że jemu przypadła w udziale przystojność, a mnie tylko rozum! Jedyna pociecha w tym, że uroda przemija, a mądrym można zostać całe życie.

Zeppi coś do mnie mówił. Przysunąłem się, przyłożył mi usta do ucha.

38

- Nie podoba mi się ten lot.
- Fajny jest - wyraziłem swoje zdanie, ale pokręcił głową.
- Jest za głośno, a poza tym nudy na pudy.
- Prześpij się - zaproponowałem.
- Nie mogę. Nienawidzę tego samolotu. Chcę już wsiąść.
- No to pa, pa. Wiesz, gdzie są drzwi.
- Zamknij się.
- Sam się zamknij i przestań skamleć. Kiedyś podobno chciałeś zostać pilotem.
- Już mi się odechciało. Okropna praca.
- Nic ci nie poradzę, a poza tym mnie się podoba, dlatego zachowaj swoje skargi dla siebie.
- Nienawidzę cię - syknął.
- Guzik mnie to obchodzi.

Zeppi spojrział, żeby zobaczyć, czy mama słyszy, ale nie mogła słyszeć, bo spała, dlatego zaczął mnie bezkarnie wyzywać:

- Gnojek, gnojek, głupi gnojek...

Chciałem go rąbnąć, ale wstrzymałem się z obawy, żeby się nie rozdarł, bo obudziłby mamę. Mogłem mu powiedzieć tylko jedno:

- Jak dorośniesz, będziesz żałował, że mnie tak nazwałeś. Ale to cię nie czeka wcześniej niż za pięćdziesiąt lat, smarkaczu.
- Gnojek.
- Nawzajem, siuśmajtku. A teraz przestań mi przeszkadzać, bo ci wykręcę uszy.
- Nie odważyłbyś się. Mama by cię ukarała.

Miał rację, dlatego go zignorowałem. Żeby pokazać, jak dalece go lekceważę, zamknąłem oczy. Bez bodźców wzrokowych ryk silników wydał mi się głośniejszy. Wyobraziłem sobie, że gonią nas lecący po niebie ogromni, mroczni Żydzi, w czarnych płaszczach i kapeluszach, przypominający chmury burzowe, z długimi, rozwianymi brodami i pejsami. Wydymali zarośnięte policzki, żeby nas zdmuchnąć zatrutymi oddechami, a samolocik brykał na boki i wrywał naprzód, ale lecieliśmy dalej. Byliśmy zdecydowani umknąć fruwającym Żydom dzięki ryczącym silnikom, wirującymi śmigłami obciąć im wyciągane rozpaczliwie palce, aż pęd powietrza za samolotem zerwie

39

im te idiotyczne czarne kapelusze, my zaś wiecznie przed nimi, którzy rozjuszeni na nasz srebrny samolocik, zgrzytali zębami pokalany-mi krwią chrześcijańskich niewiniątek, zaciskali usta poczerniałe od kłamstw wypowiedzianych na temat Klausa. I wtedy największy z nich wysforował się naprzód, otworzył usta, przypominające wielki zielony tunel w niebie, pragnąc zapewne połknąć nas w całości, ale podskoczyłem w trwodze, wziąłem zamach, żeby uderzyć go i przepędzić. Pas bezpieczeństwa wbił mi się w brzuch, gdy coś szarpnęło mnie do przodu, po czym wcisnęło z powrotem w siedzenie, a tyłem głowy uderzyłem w metal. Gdzie moja poduszka? Gdzie słońce, którego blask wlewał się przez małe okno? Silniki wyły, kadłub drżał. Mama, blada jak kreda, nie odrywała ode mnie wzroku. Klaus trzymał ją za rękę. Odwróciłem się do Zeppiego i zobaczyłem, że wymioty bluznęły mu na kolana. Rozplakał się, a może zresztą płakał już wcześniej.

Samolot pikował w dół, podrywał się do góry, huśtał na boki. Znacznie większa groza niż podczas sztormu na statku. Deszcz siekł w szyby. Błyskawica rozdarła na chwilę ciemności kabiny. W nozdrza uderzył mnie smród wymiocin Zeppiego, aż mnie zemdliło, ale zaraz się opanowałem. Moja poduszka leżała na podłodze. Lecz kiedy grzmot, najgłośniejszy, jaki słyszałem w życiu, wstrząsnął samolotem, szurnęła w bok, zawisła w powietrzu, niczym puchaty latający dywan, poszybowała aż pod sufit, rozplaszczyła się tam na metalowych łukach, by następnie spaść na tył samolotu wraz z poduszką Zeppiego.

Poczułem w piersi coś, co niegdyś czułem podczas nalotów bombowych - strach. Zupełnie jakby ktoś ścisnął mi w garści serce. Znałem to uczucie z przeszłości. Widocznie dogonili nas latający Żydzi i teraz walili w samolot gigantycznymi pięściami, usiłując strącić nas na ziemię, przyciskając kudłate brody do okien, przesłaniając nam niebo. Zeppi powtórnie zwymiotował, tym razem na mnie, ale go nie uderzyłem. Za bardzo się bałem, żeby go obwiniać. Mama też się bała, co poznałem po jej minie, ale Klaus się nie bał. Siedział, tulił mamę, na ile pozwalały mu pasy bezpieczeństwa, a na jego twarzy malowała się troska, lecz ani krztyny strachu. Kiedy zauważył, że go podpatruję, uśmiechnął się krótko jak mężczyzna do mężczyzny, co mnie podniosło na duchu.

40

I

i -

Straszliwie głośny wybuch wstrząsnął samolotem, jak gdybyśmy rąbnęli w podniebny mur, a wielka świetlistość rozdarła na chwilę ciemności, niczym rozbłysk fleszu. Nic, tylko uderzył w nas piorun! Włosy mamy rozwiały się na wszystkie strony. Nawet Klausowi stanęły włosy na głowie niczym żelazne opiłki na magnesie, Zeppiemu i mnie również. Od stóp do głów przeszedł mnie dreszcz, chociaż przyznam, że nie wydał mi się niemiły. Zeppi, najwyraźniej poczuw-szy to samo, jęknął żałośnie, przerażony jak mały szczeniak.

I wtedy obok zasłony w klaunów ukazała się świetlista kula, jak gdyby pierwszy z brzegu klaun wykonał sztuczkę i wypuścił z uśmiechniętej buzi lśniąca niebieską bańkę mydlaną. Na kilka sekund zawisła nieruchomo w powietrzu, by następnie przepłynąć wolno na tył samolotu. Przeleciała między nami bezszelestnie, powlekając nam twarze piękną niebieską poświatą. Zeppiemu dosłownie szczeka opadła, przez co wyglądał jak idiota, ale nie zląkł się kuli, bo tak była piękna. Poświeciła i zniknęła. Czekałem na następną, ale na próżno. Widocznie był to odprysk błyskawicy, wyładowanie elektryczne, które wdarło się do kadłuba i zawisło w powietrzu jak bańka, a następnie pękło.

Pierwszy i drugi pilot krzyczeli na siebie. Aż do teraz jak dwaj profesjonaliści toczyli

w milczeniu bój z burzą, ale teraz ich głosy wznosiły się ponad łoskot burzy i silników. Wówczas uświadomiłem sobie, że zgasł jeden z silników, ten na prawym skrzydle. Spojrzałem na Klause, żeby sprawdzić, czy zauważył. Przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał, i spojrzał na mnie, żeby zobaczyć, czy też już wiem. Mama i Zeppi jeszcze się nie zorientowali, a mina Klause przekonała mnie, że nie ma sensu im mówić. Zeppi miał już dostatecznie przerażoną minę, natomiast po zaciśniętych powiekach mamy poznałem, że modli się o ocalenie do Boga, w którego tylko połowicznie wierzyła.

Sytuacja trwała przypuszczalnie dziesięć minut i wtedy zgasł drugi silnik, ale teraz burza na tyle ucichła, że nie zagłuszała złowrogiego milczenia maszyny. Teraz już wszyscy słyszeliśmy się nawzajem.

- Klaus - zwróciła się do wuja mama. — Co się stało?
 - Są przejściowe trudności - zapewnił ją. Był wytrawnym kłamcą, dlatego mama na chwilę się odprężyła, choć zaraz zafrasowała się na widok miny Zeppiego.
 - Synku, nie ma powodu do obaw. Zaraz wszystko przejdzie...
- Zeppi popatrzył na nią bez słowa, przeniósł wzrok na mnie. Liczył na to, że potwierdzę jej zapewnienie. Nie miałem innego wyjścia.
- Jeżeli zaraz się nie zapalą, poszybujemy dalej.

Moje zapewnienie podniosło go na duchu. Wiedział, na czym polega szybowanie, bo widywaliśmy, jak piloci z miejscowego klubu szybowcowego wzbijali się na swoich długoskrzydłych jednostkach w niebo, by następnie godzinami płynąć po nim i pikować. Nie znalazłem się na tyle na samolotach, aby wiedzieć, że ciężka żelazna maszyna może szybować bardzo krótko, zależnie od pułapu wysokości. Bardzo pragnąłem, żeby silniki znów się odezwały, dlatego każda sekunda ciszy, w huku dobiegającym jedynie z zewnątrz, ciągnęła się w nieskończoność. W ciszy, która zapadła, gdy ustał ryk silników, słyszeliśmy obu pilotów, lecz ci nie krzyczeli już nawet do siebie, a porozumiewali się krótkimi zdaniem. Słyszałem napięcie w ich głosach, kiedy próbowali na rozmaite sposoby uruchomić ponownie silniki. Nic jednak nie wskórali. Już kilka minut szybowaliśmy bez mocy. Ciekawe, jak daleko jest ziemia?

Człowiek, który wcześniej przyniósł nam poduszki, teraz wyszedł zza klaunowych zasłon, tym razem z poważną miną. Powiedział coś Klausowi, po czym wrócił do kokpitu.

- Będziemy lądowali - oznajmił Klaus, jak gdyby nigdy nic.
- Ale gdzie? — zapytała mama. - Już jesteśmy na miejscu?
- Pod nami rzeka, na tyle szeroka, że można zaryzykować lądowanie na brzuchu.
- Rzeka? Ależ Klaus...
- Nie możemy lądować wśród drzew. Lądowanie na wodzie będzie najbezpieczniejsze. Ryzyko jest minimalne. Chłopcy, kiedy samolot usiądzie i przestanie kołować, natychmiast rozepnijcie pasy i biegnijcie do drzwi z tyłu. Nie wahajcie się ani chwili. Samolot może bardzo szybko pójść pod wodę, rozumiano? - Zeppi i ja pokiwaliliśmy tępo głowami. - Obaj umiecie pływać? - Znow pokiwaliliśmy głowami. — Świetnie. W takim razie nie będzie problemu. Helga i ja skoczmy tuż za wami. Płyńcie do brzegu, nie oglądajcie się na nas.

42

Samolot przechylił się na jedno skrzydło, wyprostował. Dobiegł mnie chrzęst, kiedy wysunęły się klapy na skrzydłach. Ziemia była tuż-tuż. Przez okno widziałem dżunglę oświetlaną błyskami pioruna, lecz nie rzekę, która pewno znajdowała się idealnie pod nami. Czubki najwyższych drzew, targane wiatrem, wyglądały jak żywe istoty.

Na krzyk pilota Klaus zakomenderował:

- Lądujemy! Głowy na kolana, ręce na głowę! Już!

Usłyszałam, jak Zeppi pochlipuje obok, a sam zgiąłem się w pół, zasłaniając rękami głowę. Wcale nie poczułem się bezpieczniej. Przez chwilę nic się nie wydarzyło. Nawet chciałem podnieść głowę i wyrzucić przez okno, ale bałem się, żeby Klaus mnie na tym nie przyłapał.

Wtem pod nogami coś straszliwie łupnęło, impet rzucił mnie w bok, w stronę kokpitu. Zeppi upadł na mnie, zaskomlał, po czym obu nas cisnęło z powrotem. Tym razem ja upadłem na niego, ale już z mniejszą siłą. Gdybyśmy nie mieli zapiętych pasów, miotałoby nami po kabinie jak marionetkami. Kolejne łupnięcie, nieco

cichsze od pierwszego, i znów szarpnęło nas do przodu. Samolot po raz drugi uderzył w wodę, ale już się nie podniósł.

Maszyna bardzo szybko zwolniła, zdjąłem ręce z głowy. Klaus kazał nam rozpiąć pasy, czego nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Wstałem i zobaczyłem, że Zeppi siedzi beczynnie, a Klaus i mama rozpinają sobie pasy.

- Pomóż mu! - krzyknął Klaus.

Oswobodziłem brata z pasa. Piloci nadal siedzieli bez słowa w kokpicie, uznałem więc, że zatrzymują ich obowiązki, które muszą wykonać po lądowaniu na wodzie.

- Do drzwi! - zawołał Klaus. Chwyciłem Zeppiego za rękę i pociągnąłem na tył samolotu. Część ładunku rozerwała sieci i pasy, tarasując przejście między skrzyniami, ale bez większego trudu przedarliśmy się przez spiętrzone bagaże.

Dotarłem do drzwi, pociągnąłem rączkę, pchnąłem. Otworzyły się lekko. Ujrzałem wodę, szeroki nurt wody chłostanej deszczem, a za nim drzewa. Nie wydały mi się daleko, czyli nie trzeba będzie długo płynąć. Woda wlewała się już przez drzwi do środka.

- Jazda! - krzyknął Klaus. Gramolił się z mamą przez stos skrzyń, nie wypuszczając z ręki torby. - Skaczcie!

43

" 1

Złapałem za rękę Zeppiego, który dygotał ze strachu, podbiegłem do drzwi i skoczyłem.

Woda była ciepła jak w wannie. Fiknąłem koziółka, puściłem więc na chwilę Zeppiego, ale kiedy wypłynąłem na powierzchnię, zobaczyłem go tuż obok. Włosy wchodziły mu do oczu, chwycił powietrze jak ryba.

- Tutaj! - zawołałem i zaczęliśmy płynąć. Obaj zawsze dobrze radziliśmy sobie w wodzie, chociaż Zeppi często lubił odpoczywać. Pilnowałem, żeby nie został za bardzo w tyle, na wypadek gdyby zabrakło mu sił, ale nie wpadł w panikę ani nie zaczął się miotać w wodzie, czego się obawiałem. Przypominał psa, który ma jeden cel - dotrzeć na brzeg, w którym utkwiał oczy, i przebiera stosownie łapami.

Tylko raz obejrzałem się za siebie. Czubek samolotu sterczał jeszcze z wody niczym

srebrny wieloryb płynący tuż pod powierzchnią. Znad wody dzielącej nas od samolotu wystawały dwie głowy, czyli mama i Klaus się uratowali. Klaus trzymał czarną torbę nad głową, toteż płynął, machając tylko jedną ręką. Nikogo więcej nie widziałem, ale piloci mieli własne drzwi w kokpicie, może więc wyszli na drugą stronę. Na moich oczach dach samolotu poszedł pod wodę i zniknął z pola widzenia, zaraz potem ogon. Popłynąłem dalej.

Zeppi nieznacznie mnie wyprzedził. Dogoniłem go, żeby nie czuł się samotny, ale nawet na mnie nie spojrzał. Przestał wykonywać klasyczne ruchy, a machał rękami pieskiem. Z jego nazbyt szybkiego oddechu wywnioskowałem, że lada chwila gotów wpaść w panikę.

— Zwolnij! - krzyknąłem. - Dopływamy!

Ale nie zatrzymał się, lecz młócił rękami wodę jak drewnianymi wiosłami łopatkowymi w łodzi wynajętej na plaży nad morzem. Ciężko dyszał. Jeszcze kilka sekund i zacznie tonąć. Przestałem płynąć i już szykowałem się, żeby mu pomóc, kiedy wyczułem pod nogami dno. Zeppi nadal przebierał rękami i dotarł do brzegu przede mną. Widziałem, jak wychodzi na brzeg na czworakach, nie oglądając się za siebie. Brodząc po mieliźnie, zobaczyłem, że pada na bok, a pierś faluje mu w szalonym rytmie.

Sprawdziłem, czy mam na szyi Krzyż Żelazny, a potem odwróciłem się w stronę rzeki. Klaus z mamą płynęli mozolnie do brzegu

44

I

—
razem, ale nigdzie wokół nie dojrzałem pilotów. Po chwili wszyscy czworo staliśmy już na błotnistym brzegu, patrząc na wodę. Niebo nadal bombardowało nas deszczem, przesłonięte ciemnymi, iście wieczornymi chmurami, rozdieranymi raz po raz błyskami pioruna.

- Gdzie oni są? - zapytała mama. - Wydostali się z samolotu?

- Może popłynęli na drugi brzeg - odparł Klaus. - Drzwi chyba mieli z drugiej strony samolotu.

- Ale tam jest dużo dalej. Przypuszczalnie celowali, żeby wylądować jak najbliżej tego brzegu. Po co więc mieliby płynąć na drugi?

Klaus wzruszył ramionami.

- Nie wiadomo, co się stało. Siedzieli z przodu, mogli ucierpieć przy upadku znacznie bardziej od nas.

Mama odgarnęła strąki mokrych włosów z twarzy.

- Co to znaczy?

- Nie mam pojęcia, może oznaczać dwa złamane karki. Może drzwi im się zaklinowały i utonęli w samolocie albo wydostali się i porwał ich prąd. Po prostu nie wiem.

- Prąd jest tutaj tak wolny, że na pewno by ich nie porwał — wtrąciłem swoje.

Klaus nie skomentował. Otworzył torbę lekarską i zaczął sprawdzać zawartość.

- Wszystko w porządku? - spytałem.

- Oczywiście. Ani jedna kropla wody nie dostała się do środka. Wszystko jest na swoim miejscu. Dostałem ją od twojego dziadka z okazji uzyskania dyplomu akademii medycznej. Dużo kosztowała, bo była najlepsza. Ale warta, oczywiście, swojej ceny.

Mama podeszła do Zeppiego i uklękła. Wzięła go w ramiona, wtuliła głowę w jego pierś i oboje zaczęli szlochać. Chyba nie tyle za naszymi pilotami, ile w spóźnionej reakcji na katastrofę. Sam dygotałem na całym ciele, nie z powodu zimna, lecz dlatego, że otarłem się o śmierć.

Klaus położył mi rękę na ramieniu.

- Mieliśmy szczęście - powiedział. Święte słowa.

Rozdział 3

Samolot rozbił się pod wieczór. Kiedy burza przeszła, niebo znów się rozjaśniło, ale słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Rzeka była brązowa, dzungla zielona. W powietrzu unosiła się ciepła mgielka, która wlatywała z nasączonej deszczem ziemi, żeby dać się wchłonąć stojącemu powietrzu. Dopadły nas komary i zaczęły kąsać.

- Zróbcie coś, żeby przestały - wyjęczał Zeppi, klepiąc się po nagich rękach.

Mama odganiała je, lecz nadlatywały następne. Klaus zaproponował, żebyśmy natarli sobie nieosłonięte ręce i nogi błotem, ale Zeppi odmówił, twierdząc, że błoto śmierdzi.

- To niech cię gryzą - powiedział Klaus. - Ale przestań tak marudzić. Mamy teraz większe zmartwienia niż owady.

Rozprowadziłem sobie błoto po całym ciele, również po twarzy. Klaus spojrzał na mnie z aprobatą, ale sam nie skorzystał z własnej rady. Albo mu tak bardzo nie dokuczały, albo się nie przejmował. Mama nacierała sobie ręce i nogi, Zeppi stał obok nadąsany i patrzył. Wiedziałem, że wkrótce zaczniesz smarować i jego, a on jej pozwoli.

- Zostajemy czy idziemy? - zapytałem Klause. - Sądzicie, że zdążyli nadać wiadomość przez radio, zanim spadliśmy?

- Niewykluczone. Chociaż piorun mógł zniszczyć nadajnik. Chyba nie możemy liczyć na to, że do kogoś dotarł nasz SOS. Zawsze najlepiej przyjmować najgorszy wariant. Chyba nauczyliśmy się tego na wojnie.

- W takim razie co robimy?

46

- Niech pomyślę. - Odwrócił się do dżungli za plecami, kolczastej ściany mrocznej zieleni, która bynajmniej nie zapraszała do wejścia. - To nasz wróg. Jak ktoś zapaści się w głąb bez żywności, kompasu i broni, umarł w butach. A my nic nie mamy, na razie więc lepiej pozostanmy tutaj. Jeżeli mylę się co do sygnału SOS, wyślą samoloty ratunkowe na naszą trasę. Istnieje szansa, że ktoś wypatrzy nas na brzegu rzeki, lecz nie ma żadnej, jeśli schronimy się w dżungli.

- Czyli zostajemy tutaj?

- Erichu, wiem tyle, co ty. Jeżeli wymyślisz lepszy plan na najbliższe dni, chętnie usłucham. Tymczasem, owszem, chyba najlepiej będzie pozostać tutaj. - Ściszył głos. Mama stała kilka kroków od nas, smarowała błotem ręce Zeppiego. - Ale nie zdradzaj naszych wątpliwości na temat sygnału radiowego mamie ani Zeppiemu. My dwaj możemy omówić wszystkie możliwości, łącznie z tymi, które najchętniej odepchnęlibyśmy od siebie, ale ich chrońmy przed brutalną prawdą,

przynajmniej na razie, dobrze?

- Jasne.

- Zuch chłopak. Sytuacja jest zła, ale mogłaby być gorsza. Nie jesteśmy ranni, nie ponieśliśmy strat, przynajmniej w rodzinie.

- Nie mamy jedzenia - przypomniałem.

Spojrzał na mnie z taką miną, jakby się zastanawiał, czy żartuję.

- Zdrowy człowiek może się obyć bez jedzenia trzy tygodnie albo i więcej, pod warunkiem że ma dostęp do wody.

Na samą myśl o tym, że piloci nie zdążyli wysłać wiadomości drogą radiową, obleciał mnie strach. Gorsza od braku jedzenia była świadomość, że nikt nie zna naszego położenia. Jak my przeżyjemy? Nie mieliśmy strzelby, żeby polować na zwierzęta, ani żyłki z haczykiem na ryby, jedynie garść lekarstw w czarnym sakwojażu Klause na wypadek, gdyby ktoś z nas zachorował. Chciało mi się płakać, ale trzymałem się ze względu na to, co mi powiedział Klaus. Musiałem brać przykład z niego i zachowywać się jak mężczyzna. Musieliśmy chronić mamę i Zeppiego, robić dobrą minę do złej gry i podnosić ich na duchu.

Zeppi był naszym najsłabszym ogniwem. Jak taki mięczak miał się zdobyć na odwagę, zwłaszcza że naprawdę się bał? Przez całą

47

wojnę Fihrer wymagał od nas siły, ale jego apele najwyraźniej nie dotyczyły Zeppiego, który zachowywał się jak osobnik z innego świata, niezwiązany z wydarzeniami wokół niego. Zawsze uważałem, że przez niedojrzałość ignoruje potężny głos Fihrera z radia. Nawet wykonując gest Heil Hitler na apelu w szkole, wyglądał idiotycznie, jak gdyby papugował kolegów, nie rozumiejąc wymowy tego pozdrowienia. Zawsze mi przynosił wstyd. Gdyby dostał zaproszenie do Hitlera na prywatną audiencję, pewno rozglądałby się po ścianach i suficie, a w ogóle nie zauważył, że stoi przed nim wódz narodu.

Czasami po prostu uważałem Zeppiego za przygłupa. Na naszej ulicy mieszkał Otto Fruenmeyer, taki właśnie przygłup, kompletny idiota, który nie wiedział, jaki jest dzień, i zabrano go do szpitala. Później jego mama zawiadomiła nas, że po tygodniu

umarł tam na zapalenie płuc i że świadomie zagłodził się na śmierć. Chyba jednak zabiło go zapalenie płuc, a nie umarł z głodu, bo właśnie dowiedziałem się od Klause, że zdrowy człowiek przeżyje trzy tygodnie bez jedzenia.

Inna sprawa, że Otto nie umywał się do Zeppiego. Był szkaradny, miał grube, obwisłe wargi, rozbiegane oczy i krzywe zęby, których matka nigdy mu nie prostowała, bo nawet z ładnymi zębami wyglądałby jak idiota. Zeppi był natomiast piękny jak panienka, dlatego głupota zawsze ujdzie mu na sucho. W naszym mieście byli też inni opóźnieni w rozwoju ludzie. Przed wojną zabrano ich do domu wariatów, gdzie wszyscy umarli, przynajmniej tak nam powiedziała mama.

Kiedy roztrząsałem to wszystko w myślach, mama zajmowała się Zeppim, jakby był dużym niemowlakiem. Bez niej nie przeżyłby nawet tygodnia, bo Klaus i ja tak byśmy się z nim nie cackali. Trochę czułem się niezręcznie, że myślę tak bezpardonowo jak Klaus, bo w końcu Zeppi był moim bratem. Sentymenty wymyślono chyba dla ludzi pokroju Zeppiego. Bo w naszym wyzbytym sentymentów świecie Zeppi mógł się przydać tyle samo co kapelusz z kwiatami w sytuacji wymagającej czołgu lub karabinu maszynowego. Cud, że w ogóle uszedł z tej wojny z życiem niczym różowa róża, która rośnie samotnie w zbombardowanym ogrodzie, kiwa się pięknie na wietrze, niepomna tragedii dookoła.

48

Mama będzie chciała za wszelką cenę przeżyć, choćby ze względu na Zeppiego.

Może również ze względu na mnie, bo byłem jej drugim synem, chociaż nie musiała mnie doglądać, oraz ze względu na Klause, bo przecież była jego żoną, chociaż to on miał z nas największe szanse ocaleć.

Niebawem słońce zaczęło zachodzić. Wszyscy zdążyliśmy już trochę wyschnąć, ale niezupełnie, bo wciąż splywaliśmy potem na upale. Widok ogromnej żółtej kuli ginącej za wierzchołkami drzew podziałał na mnie deprymująco, lecz Klaus nie pozwolił nam się długo przyglądać.

- Trzeba poszukać schronienia - powiedział — żebyśmy nie zmokli na wypadek deszczu w nocy. Wszyscy muszą się włączyć. Ty też, Zeppi. Do roboty!

Weszliśmy do dżungli, niezbyt głęboko, byle nie słyszeć rzeki, i tam znaleźliśmy

niewielką polankę, na której było chyba mniej parno. Z połamanych gałęzi i palmowych liści zaczęliśmy budować szałas. Świeże liście prosto z palm nadałyby się bardziej, bo byłyby bardziej giętkie i tak się nie łamały, ale z braku noża lub siekiery nie mieliśmy czym ich ścinać. Do zachodu słońca udało nam się zbudować prymitywny daszek oparty o zwalony pień drzewa. Było w nim pełno dziur, nie osłoniłby nas więc w pełni przed deszczem, ale lepsze to niż leżeć pod gołym niebem. Szałas był ciasny, toteż musieliśmy się w nim bardzo gnieździć, co nie było jednak takie złe, kiedy zapadł zmrok, bo nie mieliśmy czym rozpaść ognia. Noc w dżungli wcale nie jest taka ciepła, jakby się zdawało, zwłaszcza jeżeli trzeba leżeć na gołej ziemi, która zwykle jest wilgotna. Dlatego spędziłem noc, siedząc w kucki, oparty plecami o pień drzewa, z głową na kolanach, trzymając się rękami nóg, żeby nie upaść. Burczało mi w brzuchu z głodu, a Zeppi wciąż skamlał o jedzenie, dopóki nie zasnął. Klaus i mama niewiele mówili, bo nie chcieli obudzić Zeppiego, ale zanim zasnąłem, usłyszałem jeszcze słowa Klause: - Wymarzona podróż poślubna, nie ma co! — Nawet się roześmiała. Niepomniernie ich podziwiałem za to, że jeszcze mają humor.

Kilka razy budziłem się w nocy. Raz, żeby się wysikać, a drugi, kiedy Klaus otworzył swoją torbę. Tak głośno szcęknął zamek, a może obudził mnie ruch w dżungli.

4 - Biali bogowie

49

- Co się dzieje? - zapytałam.
- Coś się rusza wśród drzew - szepnął. - Siedź cicho. Mam skalpel w ręce, wolałbym cię przypadkiem nie skaleczyć.
- Duże jest to coś? - zapytałem.
- Nie wiem. Ciii!

Nasłuchiwaliśmy razem. Po chwili dobiegł mnie jakiś dźwięk, ni to sapanie, ni to świst. Z pewnością stapało tam żywe stworzenie. Jednocześnie poczułem zapach, zwierzęcy odór, połączenie woni ziemi i sierści. W tej samej chwili i ono ucichło, chyba próbując nas wywęszyć, po czym odeszło, zapewne nie mniej wystraszone od nas.

- Ucisz się, moje serce - powiedział, a ja roześmiałem się, ale tak cicho, że ani mama, ani Zeppi się nie obudzili. - Gdybyśmy mieli ogień, sytuacja wyglądałaby zupełnie, ale to zupełnie inaczej. Pewno nasi przodkowie w jaskiniach i kryjówkach myśleli podobnie, wiedząc, że wokół krążą tygrysy szablozębe.

- I niedźwiedzie — dodałem. - Niegdyś żyły na ziemi olbrzymie niedźwiedzie, które wyginęły.

- No właśnie, a my dzisiaj drżymy ze strachu, kiedy podchodzi mrówkojad.

- Skąd wiesz, że to był on?

- Istnieje taka możliwość. Drapieżnik bardziej by się nami zainteresował.

- Jutro musimy zrobić sobie krzesiwo, no wiesz, drewnenko do pocierania w rękach i wiecheć suchej trawy pod czubkiem.

- Chyba lepiej zrobić coś w rodzaju małego łuku - poradził Klaus. — Owinąć sznurek na patyku. To dużo szybszy i łatwiejszy sposób.

- Nie mamy sznurka.

- Mamy staroświecką nić chirurgiczną z końskiego włosia.

- Tak?

- Jutro z samego rana zajmiemy się łukiem do krzesania ognia.

Zeppi jęknął przez sen, przerwaliśmy rozmowę. Zastanawiałem

się, jak zrobić taki łuk. Aż zadrzałem ze szczęścia, kiedy wyobraziłem sobie, że sucha trawa bucha ogniem i dymem. Potem zrobimy sobie

50

- Co się dzieje? - zapytałam.

- Coś się rusza wśród drzew - szepnął. - Siedź cicho. Mam skalpel w ręce, wolałbym cię przypadkiem nie skaleczyć.

- Duże jest to coś? - zapytałem.

- Nie wiem. Ciii!

Nasłuchiwaaliśmy razem. Po chwili dobiegł mnie jakiś dźwięk, ni to sapanie, ni to świst. Z pewnością stąpało tam żywe stworzenie. Jednocześnie poczułem zapach, zwierzęcy odór, połączenie woni ziemi i sierści. W tej samej chwili i ono ucichło, chyba próbując nas wywęszyć, po czym odeszło, zapewne nie mniej wystraszone od

nas.

- Ucisz się, moje serce - powiedział, a ja roześmiałem się, ale tak cicho, że ani mama, ani Zeppi się nie obudzili. - Gdybyśmy mieli ogień, sytuacja wyglądałaby zupełnie, ale to zupełnie inaczej. Pewno nasi przodkowie w jaskiniach i kryjówkach myśleli podobnie, wiedząc, że wokół krążą tygrysy szablozębe.

- I niedźwiedzie — dodałem. - Niegdyś żyły na ziemi olbrzymie niedźwiedzie, które wyginęły.

- No właśnie, a my dzisiaj drżymy ze strachu, kiedy podchodzi mrówkojad.

- Skąd wiesz, że to był on?

- Istnieje taka możliwość. Drapieżnik bardziej by się nami zainteresował.

- Jutro musimy zrobić sobie krzesiwo, no wiesz, drewno do pocierania w rękach i wiecheć suchej trawy pod czubkiem.

- Chyba lepiej zrobić coś w rodzaju małego łuku - poradził Klaus. — Owinąć sznurek na patyku. To dużo szybszy i łatwiejszy sposób.

- Nie mamy sznurka.

- Mamy staroświecką nić chirurgiczną z końskiego włosa.

- Tak?

- Jutro z samego rana zajmiemy się łukiem do krzesania ognia.

Zeppi jęknął przez sen, przerwaliśmy rozmowę. Zastanawiałem się, jak zrobić taki łuk. Aż zadrzałem ze szczęścia, kiedy wyobraziłem sobie, że sucha trawa bucha ogniem i dymem. Potem zrobimy sobie

50

mm

dzidy, prawdziwe łuki i strzały, a następnie zbudujemy prawdziwą chatę z wodoodporną strzechą. Będziemy szwajcarskimi Robinsonami, tyle że w dżungli, a nie na wyspie.

Zanim ponownie zasnąłem, dumałem, jak to możliwe, że tak szybko pogodziłem się z myślą o braku pomocy. Ze nie będzie nas szukał samolot ratunkowy. Taki pesymizm klóci się z naturą ludzką, dlaczego więc mnie ogarnął? Po zastanowieniu pojąłem, że

słowa i zachowanie Klause skłaniają mnie do takiego myślenia. Klaus nazywał siebie pragmatykiem i realistą, a taki światopogląd pociąga za sobą pewne postawy.

Wprawdzie mamę i Zeppiego pocieszał, że ratunek nadejdzie, mnie jednak nie zwodził fałszywymi obietnicami. Ufał mi, dlatego dosłownie mi powiedział, że jesteśmy zdani na siebie. Prawdziwi mężczyźni potrafią spojrzeć prawdzie w oczy, natomiast kobiety i dzieci poznają ją stopniowo, na raty, bo nie zniosłyby jej rażenia. Wobec Zeppiego miało to sens, ale mama chyba zniosłaby mężnie fakty, bo wiele w życiu przeżyła złego. Skoro jednak Klaus uznał za stosowne tak rozegrać sprawę, nie miałem nic przeciwko temu. Pochlebiało mi jego zaufanie, pomagało zapomnieć o burczącym z głodu brzuchu. Wtuliłem twarz w kolana. Zanim zamknąłem oczy, zadałem sobie jeszcze pytanie, czy mimo pragmatyzmu Klause nie zginiemy, bo przyroda za nic ma etykietki, jakie przyklejają sobie ludzie. Zaraz jednak odsunąłem od siebie tę niefortunną myśl, zepchnąłem w ciemności pod drzewami, gdzie buszowały, polowały i zabijały niewidzialne stworzenia.

Rano Zeppi płakał z powodu pragnienia, ale nie poszedł się napić do rzeki ze strachu, że z wody wyskoczy anakonda i go tam wciągnie. W końcu mama musiała zaprowadzić go za rękę na brzeg i nabrać w garściach wody, którą wychleptał z jej dłoni jak ranny pies. Kazałem mu się przestać przejmować węzami wodnymi i już miałem powiedzieć, że prawdziwym zagrożeniem są kajmany, ale poszedłem po rozum do głowy. Gdybym zająknął się na ich temat, już nigdy nie zbliżyłby się do wody, a mama musiałaby go bez przerwy poić z ręki, żeby pozostał przy życiu. Koń by się uśmieł!

51

f

Później Klaus wygłosił nam małe przemówienie. Na śniadanie zaserwował nam słowa, które, przyznam, podziałały krzepiąco. Przedstawił nam bowiem plan.

- W oczekiwaniu na samoloty ratunkowe musimy się czymś zająć. Jak zabijemy czas? Musimy przede wszystkim znaleźć coś do jedzenia. W tej dżungli zapewne rosną jadalne rośliny, lecz ja kompletnie się na nich nie znam. Istnieje ryzyko, że zjemy coś trującego, dlatego trzeba ich unikać. Musimy zapolować na drobną

zwierzyńę. Mięso to mięso. Tylko jak zapolować, skoro nie mamy broni? Musimy sobie poradzić. Sami zrobimy łuki, strzały i dzidy, które pozwolą nam zdobyć pożywienie.

- Ale jak? - spytała mama.

- Zostaw to Erichowi i mnie. My się zajmujemy bronią, a ty mogłabyś z Zeppim upleść z witek i lian więcierz, no wiesz, taką pułapkę rybacką z klatką na końcu.

- Mógłbyś mi to narysować? - poprosiła mama, która najwyraźniej nigdy o czymś takim nie słyszała. Klaus obiecał, że zaraz narysuje jej na ziemi, jak tylko skończy przedstawiać plan.

- Zdobycie pożywienia to dopiero pierwszy krok. Następny to wydostać się stąd. Zapuszczanie się w głąb dżungli mija się jednak z celem. W wielu miejscach nie sposób się przez nią przedrzeć, ponadto nie mamy kompasu, możemy więc krążyć w kółko.

- Znajdą nas samoloty - powiedział Zeppi.

- Musimy żywić taką nadzieję. Ale roztropany człowiek powinien zawsze mieć w zanadrzu zapasowy plan i właśnie teraz go omawiamy. Pytasz, jak się stąd wydostaniemy? Rzeką. Wszystkie rzeki w Amazonii, nawet najmniejszy strumień, wpływają do większych rzek, które wpływają do jeszcze większych, a w końcu wszystkie zlewają się w Orinoko. Kiedy do niej dotrzemy, znajdą nas pływające tamtędy statki.

- Przecież nie mamy łodzi, Klaus.

- To zbudujemy. Z braku odpowiednich narzędzi zbudujemy tratwę. Prosta tratwę ze zwalonych pni drzew powiązanych lianami.

Mama i Zeppi mieli niepewne miny.

52

- Do nas należy wybór — dodał. - Albo mnie posłuchacie, albo będziemy stali z założonymi rękami i czekali na śmierć z głodu. Zeppi, chcesz tak stać i powoli umierać?

- Nie...

- A ty, Helgo?

- Oczywiście, że nie.
 - W takim razie dokonaliśmy wyboru. Erichu, zgadzasz się na ten plan?
 - Wydaje mi się sensowny.
 - Ma się tę głowę na karku. Rozum podpowiada mężczyźnie, co robić, żeby przetrwać. Proponuję zacząć od razu, zanim opadniemy z sił. Poszukaj odpowiednich gałęzi albo młodych drzewek na łuk i strzały. Pamiętaj, żeby drewno było giętkie. Kiedy je znajdziesz, przyjdź do mnie. Dam ci piłę do kości, którą mam w torbie. - Kucnął, oczyścił z gałązek i liści skrawek ziemi przed sobą, zaczął rysować patykiem. - Zobacz, Helgo, tak wygląda więcierz.
- Poszedłem w las z poczuciem ważnej misji. Klaus powierzył mi wybór właściwego drzewa do wykonania broni. Bez broni nie da się polować, a więc zdobyć jedzenia, bez jedzenia zaś nie przetrwamy, żeby zbudować tratwę i dopłynąć rzeką do bezpiecznego miejsca. Czyli wszystko zależało ode mnie.
- Kiedy znalazłem się poza zasięgiem słuchu, wszystko wydało mi się inne. Powiało grozą. W gorącej duchocie niosło się bzyczenie owadów, a powietrze stało, jakby unieruchomione bliskością drzew. Zupełnie jakbym brnął przez niewidzialną wodę, żeby zbadać podmorską dżunglę.
- Z obawy przed wężami co chwila patrzyłem pod nogi. Nie bałem się jednak anakond tak jak Zeppi, lecz małych gadów ukrytych w listowiu, które widać, dopiero kiedy się na nie nastąpi. Miałem sandały na bosych nogach. Wyobraziłem sobie, że wąż wczepia mi się w białą, obnażoną stopę, zatapia kły w podeszwie, wstrzykuje truciznę, paraliżując mnie natychmiast. Obraz tak mnie poraził swoją wyrazistością, że stanąłem jak wryty. Ciężko dyszałem, nie mniej przerażony niż Zeppi, a jednocześnie pełen wstydu.

53

Stałem jak słup soli, bojąc się nawet mrugnąć okiem. Nad głową przeleciał mi zielono-czerwony ptaszek, a skrzydełkami furkotał tak szybko, że widziałem tylko rozmazaną plamę. Po chwili zawrócił i śmignął mi przed nosem. Uznałem, że to koliber. Cóż za piękne stworzenie... ale już zniknęło. Nie mogłem nawet odwrócić głowy, żeby za nim popatrzeć. Poraził mnie idiotyzm sytuacji. Klaus wysłał mnie po

właściwe drewno na łuk, a ja oszedłem nie więcej niż pięćdziesiąt metrów od rzeki. Nie mogłem nawet podnieść ręki, żeby zetrzeć pot z czoła, który kapał mi po nosie i spływał do oczu, aż zaczęły piec, a zieleń wokół mnie falowała i migotała w niespotykany dla zarośli sposób. Wokół mnie grasowały drapieżne zwierzęta, gotowe wyskoczyć z ukrycia, powalić mnie i rozerwać na strzępy. Czuję, że zaraz popuszczę ze strachu. Już chciałem wezwać na pomoc Klause, ale żaden dźwięk nie dobiegł się z moich ust. Przerazenie ścisnęło mnie za gardło. Czuję, że bestie skradają się cicho, a z pysków zwisają im strużki śliny.

Raptem zobaczyłem człowieka. W lesie stał nagi, niezbyt wysoki mężczyzna, z wielkimi kolczykami ozdobionymi kępką żółtych piór. Cerę miał jasną, kawa z mlekiem, żadnego przyodziewku na sobie, czarne włosy spadające z czubka głowy, obcięte prosto nad brwiami i nad uszami. Patrzył na mnie spokojnie ciemnymi oczami, ani mrugnął.

W przeciwieństwie do mnie nie był obrzezany. Klaus niegdyś zalecił obrzezanie Zeppiego i mnie z powodów higienicznych, nie zważając na fakt, że ten zabieg wywodzi się z tradycji żydowskiej. Jego zdaniem obrzezany członek łatwiej utrzymać w czystości. Tata twierdził, że nikt nas nie weźmie za Żydów, bo mamy blond włosy. Ciemnoskóry mężczyzna miał członek gładki jak parówkę. Trzymał przed sobą długi prosty kij dwa razy większy od niego. Widywałem takie instrumenty na ilustracjach w książkach przyrodniczych. Rozpoznałem w nim dmuchawkę. Na jego szyi dostrzegłem zawieszony mały kołczan pełen strzał, również ozdobionych piórami takimi jak w kolczykach. Dopiero teraz zobaczyłem, że kolczyki wcale nie są kółkami, lecz rurkowatymi zatyczkami wetkniętymi w wielkie dziury w płatkach usznych.

54

Patrzyliśmy na siebie, ale żaden ani drgnął. Odkąd stanąłem jak wryty i zacząłem się martwić o węże, on też się nie poruszył. Stał w zielonej gęstwinie, w której ginał między drzewami. Zupełnie jakby wtopił się w dżunglę. Zobaczyłem go dopiero, kiedy sam zastygłem w bezruchu. Poczuję, że stanąłem za jego sprawą, bo najpierw

chciał obejrzeć mnie, a dopiero potem sam dał się zobaczyć. Nie miałem pojęcia, skąd mi to przyszło do głowy. Gdy tak patrzyliśmy na siebie, uświadomiłem sobie, że strach minął. Naprzeciwko mnie stał człowiek, a nie jaguar. Nie wyrządzi mi krzywdy. W jego oczach nie czaiła się nienawiść ani strach, ani nawet ciekawość. Jego spojrzenie było kompletnie bez wyrazu.

Po chwili odwrócił się i zniknął w dżungli, jakby go nigdy nie było. Ja zaś odzyskałem władzę w nogach, jak gdyby jego zniknięcie mnie oswobodziło. Zawróciłem i ruszyłem do rodziny, a serce waliło mi z podniecenia.

Na skraju polany puściłem się biegiem. Dotarłem do naszego szałas, ale nikogo w nim nie zastałem. Wpadłem w panikę. A jeśli inni ciemnoskórzy pojmali moich bliskich, kiedy stałem w gąszczu drzew, sparaliżowany strachem? Czyżbym został sam jak palec?

- Klaus! Mamo! Gdzie jesteście?

Ich głosy doleciały mnie z lewej strony, z całkiem niedaleka. Pobiegłem w ich kierunku, nawołując. Najpierw zobaczyłem Zeppiego, potem dorosłych. Stałem jak wryty, ziejąc i dysząc, i nagle poczułem się jak idiota. Patrzyli na mnie ze zdumieniem.

- Erichu, coś się stało?

- Klaus...

- Mówże. Co się stało?

Wskazałem dżunglę. Klaus spojrzął za moim palcem.

- Znalazłeś odpowiednie drzewo? Co się z tobą dzieje?

- Zobaczyłeś węża? - spytała mama. - Mam nadzieję, że nic cię nie ugryzło?

- Tam jest człowiek — wysapałem w końcu.

- Jaki człowiek? Przecież nie było cię pięć minut.

- Człowiek - powtórzyłem. — Z dmuchawką!

- Z dmuchawką?

55

- Ciemnoskóry, nagi. Widział mnie, ale odszedł.

- Aby na pewno nie poniosła cię wyobraźnia? - spytała mama.
 - Na pewno! Stał tam, ciemnoskóry, nagi, z dmuchawką w ręku. A potem zniknął.
 - Czy to dobry znak? - spytała mama Klausa.
 - Może dobry, a może nie. Skoro był nagi, z pewnością nie jest Indianinem z misji. Czyli niestety jest dziki. Wyczułeś u niego wrogie zamiary?
 - Nie. Tylko mnie świdrował wzrokiem.
 - Są zapewne inni - powiedział Klaus. - Pójdzie po posiłki i tu z nimi wróci.
 - Co robić? - spytała mama. Podeszła do Zeppiego i położyła mu rękę na ramieniu. Mój brat najwyraźniej nie bardzo rozumiał, co się dzieje, bo tylko wodził po nas wzrokiem.
 - Musimy czekać. Nie uciekniemy stąd. Jeżeli wrócą, nie okazujemy im strachu. Trzeba ich traktować jak warczącego psa. Patrzyć im w oczy i ani drgnąć. Poczekamy przy szalasię. Jeżeli mają przyjazne zamiary, to może być bardzo dobra wiadomość.
 - A jeżeli nie? Klaus, czy oni nas zabijają?
 - Helgo, uspokój się. Indianie nie zachowują się przez cały czas jak barbarzyńcy. Podejrzewam, że wykażą ciekawość, zwłaszcza jeżeli nie widzieli dotąd białych ludzi. Podobno istnieją jeszcze takie plemiona. Tak byłoby najlepiej. Bo wówczas pewnie by się nas bali.
 - Jeżeli będą się bali, to nas zabiją - podsunąłem.
 - Niewykluczone — przyznał. - Ale nie zakładajmy od początku najgorszego. Według wszelkiego prawdopodobieństwa okażą się przyjacielscy. I nas nakarmią. Kto z was nie jest głodny?
- Ze względu na mamę i Zeppiego silił się na wesoły ton. Stanęliśmy wszyscy pod szalasiem i czekaliśmy, wpatrzeni w las. Zeppi ze strachu zaczął się trząść. Przyznam, że sam miałem pietra. Mama skupiała się na uspokajaniu Zeppiego. Klaus wykonał dziwny gest - wsadził sobie do ust firkę. Papierosów oczywiście nie miał, bo rozmokły w wodzie, mimo to włożył długą żółtą firkę w zęby, jak gdyby chciał w ten sposób wyrzeć wrażenie na Indianach. Nie miał broni, ale miał firkę. W lot pojąłem intencje Klausa bez słów, zresztą

nie miał teraz humoru do rozmów. Wbijał wzrok w gęstwiny, jakby chciał wypatrzeć to, co niewidoczne.

Sam zacząłem odnosić wrażenie, że ktoś nas obserwuje. Byli naprzeciwko, ukryci w zielonkawym mroku dżungli. Czulem ich oczy, morze oczu, którymi przewiercali nas, wystawionych na ich zatrute strzały, nieokazujących strachu, a w każdym razie trzymających fason.

- Chyba widzę jednego - powiedziała mama. - Nie, to tylko drzewo. Klaus, czy tam naprawdę ktoś jest?

- Czuję, że nas obserwują. Milcz i czekaj. Zeppi, skończ z tym idiotycznym skamleniem!

Zeppi pojękiwał z głębi gardła. Przestał.

Wyszli zza drzew. Pięciu nagich ciemnoskórych mężczyzn niewielkiego wzrostu. Dwaj nieśli dmuchawki, trzech pozostali łuki. Żaden nie miał strzał z wcięciami pasującymi do cięciw. Podeszli wolno, nie odrywając od nas oczu. Usiłowałem wytropić w nich gniew, lecz nie dopatrzyłem się go w niczym, ani w kroku, ani w niesionej przez nich broni. Prędzej nieufność, chociaż nie tyle strach, ile czujność. W duchu byłem skłonny przyznać Klausowi rację, może nie widzieli jeszcze białych ludzi. Stanowiliśmy dla nich coś nowego i dziwnego, dlatego nie wiedzieli, jak nas traktować. Może był to nawet dobry znak. W miarę jak się zbliżali, mój strach mijał. Pięć metrów, cztery, trzy, dwa, jeden... i już stali przy nas, oglądali nas z bliska, pociągając głośno nosem, jak gdyby chcieli wywęszyć, jakimi jesteśmy ludźmi. Jeden wyciągnął wolno rękę i dotknął moich włosów. Potarł delikatnie w palcach włosy opadające mi na czoło, następnie dotknął mojego policzka. Czulem zapach jego ciepłej, spoconej ręki, trochę kwaskowaty, lecz nie odrażający. Gdy podczas oględzin bardzo zbliżył do mnie szeroką twarz z lekko skośnymi oczami, przypomnieli mi się z lekcji historii Azjaci, którzy dziesiątki tysięcy lat temu przeprowadzili się z Syberii przez zamarzną Cieśninę Beringa, by zaludnić obie Ameryki z północy na południe. Na twarzy nie miał zarostu, ale wiedziałem, że jest

dorośli, chociaż Klausowi sięgał tylko do ramienia.

Pomacał materiał mojej koszuli, potem nachylił się bliżej i polizał mnie po policzku.

Kiedy przejechał mokrym językiem, omal nie

57

krzyknąłem. Chciałem odskoczyć, ale powstrzymałem się i nawet pozwoliłem mu

powtórzyć gest. Uniósł mi górną wargę, zajrzał w zęby, postukał w nie paznokciem.

Uśmiechnąłem się, ale mój uśmiech nie zrobił na nim wrażenia. Żaden z nich się nie

uśmiechał. Wszystkich po kolei, Klause, mamę i Zeppiego, poddali takim

skrupulatnym oględzinom. Dotykali, obmacywali, szturchali, co mogło nam poniekąd

uwłaczać, ale nie niosło krzywdy ani brutalności. W pewnej chwili jeden dotknął

piersi mamy i ścisnął je delikatnie, jakby z namysłem, przez sukienkę. Mama

wzdrygnęła się i zamknęła oczy, ale nie wydała żadnego dźwięku.

Inny, chyba ten, którego widziałem przedtem w dżungli, pochylił się nad Zeppim,

żeby mu się lepiej przyjrzeć. Mój brat wyraźnie dokładał starań, żeby nie okazywać

strachu, ale słyszałem, jak głośno dyszy. Nie wypuszczał ręki mamy z dłoni.

Mężczyzna przejechał mu długim, mokrym językiem po policzku, od zuchwy aż do

ucha. Zeppi jęknął. Już sądziłem, że krzyknie, czym zepsułby wszystko.

Kiedy mężczyzna liznął ponownie w tym samym miejscu, Zeppi się roześmiał. Był to

głupi, nerwowy, zażenowany chichot, jakby w obawie, żeby nie roześmiać się

głośniej. Wstrzymałem oddech. Czy śmiech Zeppiego urazi tych ludzi? Wszystkich

pięciu patrzyło na niego z napięciem, a Zeppi czuł, jak go świdrują oczami, co

poznałem po tym, że sam wodził po nich wzrokiem, zanosząc się perlistym

śmiechem jak dziewczyna. Najchętniej bym go teraz palnął, żeby się zamknął.

Przestał. A oni wciąż na niego patrzyli.

I wtedy zrobił najgłupszą rzecz pod słońcem. Wystawił język i prychnął. Zapluł się

przy tym jak mali chłopcy, którzy chcą kogoś obrazić. Zrobił to najobrzydliwiej, jak

potrafił, by po chwili zaczerpnąć tchu i powtórzyć odgłos. Słyszałem, jak głupota

Zeppiego dosłownie zaparła dech Klausowi, ale nie odezwał się ani nie ruszył. Zeppi

prychał tak długo i głośno, a potem przestał. Czekaliśmy na reakcję Indian. Znów

obleciał mnie strach. Wszystko szło gładko, kiedy wachali nas, lizali, dotykali, ale

Zeppi musiał zachować się jak głupi sztubak, narażając wszystkich.

Wtedy jeden z tubylców prychnął na Zeppiego, za nim poszli inni i zaczęli go papugować. Prychali głośno, strzykając obrzydliwie śli-

58

ną. Zeppi nie pozostawał im dłużny. Tubylcy śmiali się, zarówno do siebie, jak i z Zeppiego, który przestał prychać i też się zaśmiewał. Jego śmiech przypominał piskliwe rzenie, które w normalnych okolicznościach rozdrażniłoby mnie, lecz teraz wydało mi się nad wyraz pożądane. Zanosił się niemal histerycznym śmiechem, Indianie zaś śmiali się głośniejszym niż przedtem, wytykając go palcami, jakby w życiu nie widzieli niczego zabawniejszego. Za każdym razem, gdy któryś wskazywał Zeppiego, pozostali wybuchali śmiechem.

Widocznie Klaus uznał, że śmiech doskonale nas zbrata, bo też zaniósł się śmiechem, tyle że udawanym, zupełnie jak nakręcony. Mama podchwyciła i również wybuchła ni to śmiechem, ni zawodzeniem. Zrozumiałem, że nadeszła moja kolej, wziąłem głęboki oddech i roześmiałem się tak głupio, jak tylko umiałem. Z gardła wyrwał mi się kretyński śmiech hieny, który szczerze mnie samego rozśmieszył. Jeden z Indian już tarzał się na ziemi ze śmiechu, a jeszcze prychał. Wyraźnie rozbawił tym swoich towarzyszy.

Raptem śmiech ustał, równie nagle, jak wybuchnął. Indianie zaczęli rozmawiać między sobą, ich ciche trajkotanie przypominało szmer strumyka, po czym jeden odwrócił się do nas i wskazał drzewa. Jedni ruszyli, inni czekali, aż my ruszymy. Klaus chwycił torbę lekarską i kazał nam iść za nimi. Pozostali Indianie podążyli za nami.

- Na pewno dobrze robimy? - spytała mama Klause.

- A jakie mamy wyjście? Mnie się wydają dobrze nastawieni.

- Dokąd idziemy? - zainteresował się Zeppi.

- Dowiemy się na miejscu - powiedział mu Klaus. - Może czeka nas daleka droga, może trzeba będzie długo iść, musisz wytrwać, Zeppi. I nie wolno ci narzekać po drodze. Dasz radę?

- Tak - odparł Zeppi, ale nie miał najszcześniejszej miny.

Odkąd zjawili się Indianie, dżungla wydawała mi się mniej groźna. Szli żwawo, omijając największe ostępy. Nie zatrzymywali się ani na chwilę, żeby wybrać drogę. Zupełnie jakby znali każdą przecinkę i przerwę między drzewami, chociaż ja nie widziałem nic, co przypominałoby ścieżkę. Szli miarowym krokiem, aż Zeppi zaczął sapać i dyszeć, ale trzeba mu przyznać, że nie narzekał, a nawet odtrącił

59

rękę mamy na najtrudniejszych odcinkach. Pot lal się ze mnie strumieniami, a w brzuchu tak ścisnęło z głodu, że rozboleła mnie głowa, ale skupiłem się na marszu. Im bardziej oddalaliśmy się od rzeki, tym runo leśne stawało się rzadsze, mogliśmy więc przyspieszyć kroku wśród drzew. Niektóre sięgały pięćdziesięciu metrów. Słyszałem nad głową głośnie skrzeki, zapewne małp, ale ich nie widziałem. Parliśmy naprzód, na otwartych przestrzeniach, czasem przechodząc niemal w trucht. Czulem pośpiech w dążeniu do celu. Gonili nas jak stado owiec niczym ciche, lecz czujne psy.

Teren zaczął się nieco wznosić. Opadałem z sił, podobnie jak pozostali, zwłaszcza Zeppi, któremu malował się na twarzy grymas cierpienia. Dotrzymał jednak słowa i nie narzekał. Zrobiło mi się go żal i pocieszyłem go:

- Już niedaleko.

Przyznaję, że nie miałem pojęcia, jak długo jeszcze będziemy szli. O dziwo, okazało się, że miałem rację. Po kilku minutach stanęliśmy na niskim wzniesieniu z widokiem na otwartą przestrzeń. Około dwustu metrów przed sobą zobaczyłem coś, czego nie widziałem nigdy w życiu.

Konstrukcja przypominała olbrzymie, zielonkawobrazowe gniazdo os, tyle że zbudowane nie na drzewie, lecz na ziemi, kopułę z otworem u góry, przez który snuł się dym, co nasuwało domysł, że mieszkają tam ludzie. Przypominała eskimoskie igloo, tyle że sto razy większe, zbudowane z ogromnych liści. Dalej, u podnóża zbocza, wśród drzew migotała rzeka. Indianie przyglądali się, jak lustrujemy teren.

- Co to jest? - zapytała mama.

- Przypuszczam, że ich osada - odparł Klaus.

- Możemy wreszcie odpocząć? - spytał Zeppi.

- Jasne. Dzielnie się spisałeś.

Znowu ruszyliśmy, tym razem jednak wolno. Zaczęliśmy schodzić do wioski. Po lewej ciągnął się ogród, w którym nie rosły kwiaty, lecz drzewa przypominające bananowce. Uwijały się wśród nich nagie kobiety, zrywając wielkie wiązki małych zielonych niby to bana-

60

m_

nów. Kiedy mijaliśmy zbieraczki, patrzyłem na ich piersi, kobiety zaś przyglądały się nam. W pewnej chwili mała dziewczynka pokazała coś palcem i krzyknęła. Zeppi obejrzał się, żeby zobaczyć, co pokazuje. Nie wiedział, dlaczego tak krzyczy.

Kiedy podeszliśmy bliżej, zrozumiałem, dlaczego kopuła kojarzyła mi się z gniazdem os. Ściany i dach miała bryłowate, zlewające się w jedną całość. Panował tam nieziemski rozgardiasz, ale rozmiar siedliska robił wrażenie. Kiedy się zbliżyliśmy, dojrzałem w ścianie otwór, niezbyt duży, na tyle jednak szeroki, że schylając głowy, mogliśmy wejść do środka. Ktoś od wewnątrz odsunął zeschnięte cierniste krzewy zastawiające wejście i wpuścił nas do środka. Po naszym wejściu znów wstawiono je na miejsce.

Nasi przewodnicy zaczęli głośno wiwatować, chyba żeby zawiadomić wszystkich o ważnym wydarzeniu. Świątowali jak zwycięska drużyna piłkarska, skakali, hałasowali.

Zupełnie jakbyśmy znaleźli się w ogromnej kuli, to znaczy w górnej półkuli, w której czubku wycięto dziurę. Okrągła budowla wznosiła się na szkielecie z gałęzi i słupów, których budowa zapewne trwała wieki, pokrytym strzechą z wielkich płaskich liści, wystających na wzór okapu poza jego obręb dla ochrony przed deszczem. Przestrzeń była w większości wolna, chociaż w głębi zobaczyłem hamaki wiszące na czymś w rodzaju krokwi. Tu i ówdzie paliły się małe ogniska, a na większości wspierających słupów wisały kołczany i kiście bananopodobnych owoców, tyle że bardziej żółtych lub brązowych niż te na drzewach, a zatem bardziej dojrzałych.

Wokół kręciły się dziesiątki nagich ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci i wszyscy się nam przyglądali. Część mężczyzn chwyciło łuki, dmuchawki i podbiegło do nas,

krzycząc i potrząsając bronią. Nasi przewodnicy zajęli się naszą ochroną, powstrzymując napastników i krzycząc na nich. Kilku wzięło się nawet za bary. Zrozumiałem, że nikomu nie wolno nas dotykać, dopóki ktoś nie wyda pozwolenia. Przewodnicy odnosili się z wyższością do pozostałych i nie mieli zamiaru nikogo dopuścić do dziwnych białych ludzi znalezionych nad rzeką. Obserwowałem ich z rozbawieniem. Kobiety z dziećmi podeszły bliżej, chociaż trzymały się z dala od tego

61
zamętu, a ja oglądałem kolejno ich piersi. Większość przedstawiała żaloszny widok, bo wisiały sflaczałe, przypominając odwrócone do góry dnem butelki po piwie, ale młodsze kobiety i dziewczęta miały śliczne cycuszki, jędrne i sterczące.

Wtedy jeden z mężczyzn wystąpił naprzód. Był nagi tak samo jak pozostali, ostrzyżony jak reszta pod garnek, ale coś go wyróżniało. Przede wszystkim nie krzyczał ani nikogo nie popychał. W uszach miał takie same pierzaste zatyczki co inni, ale był nieco wyższy, dobrze zbudowany, potężny jak zapaśnik, tymczasem większość jego towarzyszy przypominała chudych, żylastych rowerzystów. Kiedy podszedł, wszyscy się rozstąpili, nawet mężczyźni, a kiedy stanął obok nas, gwar ucichł. W ożywionych słowach, wspomagając się szczerze gestami, nasi przewodnicy opowiedzieli mu, czego dokonali, przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

Oni mówili, a on w tym czasie taksował nas kolejno wzrokiem. Następnie podszedł, obmacał nas, obwąchał, polizal tak jak jego współplemieńcy. Tym razem nikt nie zaczął prychać ani się śmiać. Zeppi wytrzeszczał tylko oczy i trzymał się mamy. Mama miała na twarzy zatroskanie, Klaus obojętność. Przybrał znudzoną minę, ale chyba udawał, żeby wódz - bo ów rosły mężczyzna wyglądał mi na przywódcę - wiedział, że się go nie boi. Postanowiłem pójść w jego ślady. Nie miałem fifki, którą mógłbym wetknąć sobie w zęby, podparłem się więc jedynie pod boki i dumnie wyprężyłem pierś.

Wódz spojrzał Klausowi prosto w oczy, po czym wyjął mu powoli fifkę spomiędzy zębów. Obejrzał dokładnie, pogłaskał gładką kość słoniową, powąchał szerszy koniec, do którego wtykało się papierosy, i pokiwał głową, jak gdyby zrozumiał, do

czego służy. Wepchnął sobie szerszy koniec do lewej dziurki nosa i kilka razy wciągnął powietrze, żeby sprawdzić, czy może przez nią oddychać. Powinien wydać się nam głupi jak sztubak, który wtyka sobie ołówki do nosa, żeby udawać morsa, ale w tym mężczyźnie nie było nic głupiego. Zostawił fifkę w nosie, zapewne dlatego, że nie miał kieszeni, do której mógłby ją schować.

Spojrzałem na Klause, czy nie zdenerwowała go utrata fifki, ale widziałem, że zachował spokój, a nawet uśmiechał się, jak gdyby chciał powiedzieć wodzowi:

62

zamętu, a ja oglądałem kolejno ich piersi. Większość przedstawiała żaloszny widok, bo wisiały sflaczałe, przypominając odwrócone do góry dnem butelki po piwie, ale młodsze kobiety i dziewczęta miały śliczne cycuszki, jędrne i sterczące.

Wtedy jeden z mężczyzn wystąpił naprzód. Był nagi tak samo jak pozostali, ostrzyżony jak reszta pod garnek, ale coś go wyróżniało. Przede wszystkim nie krzychał ani nikogo nie popychał. W uszach miał takie same pierzaste zatyczki co inni, ale był nieco wyższy, dobrze zbudowany, potężny jak zapaśnik, tymczasem większość jego towarzyszy przypominała chudych, żylastych rowerzystów. Kiedy podszedł, wszyscy się rozstąpili, nawet mężczyźni, a kiedy stanął obok nas, gwar ucichł. W ożywionych słowach, wspomagając się szczodrze gestami, nasi przewodnicy opowiedzieli mu, czego dokonali, przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

Oni mówili, a on w tym czasie taksował nas kolejno wzrokiem. Następnie podszedł, obmacał nas, obwąchał, polizął tak jak jego współplemieńcy. Tym razem nikt nie zaczął prychać ani się śmiać. Zeppi wytrzeszczał tylko oczy i trzymał się mamy. Mama miała na twarzy zatroskanie, Klaus obojętność. Przybrał znudzoną minę, ale chyba udawał, żeby wódz - bo ów rosły mężczyzna wyglądał mi na przywódcę - wiedział, że się go nie boi. Postanowiłem pójść w jego ślady. Nie miałem fifki, którą mógłbym wetknąć sobie w zęby, podparłem się więc jedynie pod boki i dumnie wyprężyłem pierś.

Wódz spojrzał Klausowi prosto w oczy, po czym wyjął mu powoli fifkę spomiędzy zębów. Obejrzał dokładnie, pogłaskał gładką kość słoniową, powąchał szerszy

koniec, do którego wtykało się papierosy, i pokiwał głową, jak gdyby zrozumiał, do czego służy. Wepchnął sobie szerszy koniec do lewej dziurki nosa i kilka razy wciągnął powietrze, żeby sprawdzić, czy może przez nią oddychać. Powinien wydać się nam głupi jak sztubak, który wtyka sobie ołówki do nosa, żeby udawać morsa, ale w tym mężczyźnie nie było nic głupiego. Zostawił firkę w nosie, zapewne dlatego, że nie miał kieszeni, do której mógłby ją schować.

Spojrzałem na Klause, czy nie zdenerwowała go utrata firkki, ale widziałem, że zachował spokój, a nawet uśmiechał się, jak gdyby chciał powiedzieć wodzowi:

62

- Na zdrowie!

Następnie wódz potarł w palcach nasze blond włosy, znów ścisnął piersi mamy, chociaż wyraźnie bez obraźliwych intencji. Chciał widocznie sprawdzić, czy pod ubraniem kryje się kobieta. Podejrzewam, że gdyby była naga tak jak reszta kobiet, nie musiałby jej dotykać. Zeppi, który miał najjaśniejsze włosy z nas wszystkich, prawie białe, naraził się na ponowne oględziny z bliska. Widziałem, że strach ustępuje miejsca rozdrażnieniu.

Kiedy wódz po raz wtóry zbliżył twarz do Zeppiego i już otwierał usta, żeby polizać go po gładkim jak marmur policzku, chłopiec się cofnął.

- Nie! - krzyknął w twarz wodzowi, a następnie odwrócił się do mamy i zawołał:

- Każ mu odejść!

- Zeppi, proszę cię...

- On cuchnie!

- Opanuj się - poprosił Klaus.

- Nie podoba mi się!

- Wolisz, żeby wrzucił cię do sagana i zjadł?

- Klaus, nie waż się tak mówić!

- To niech się zachowuje jak należy.

Zeppi aż jęknął na słowa Klause i zamilkł. Wódz nie wziął sobie najwyraźniej do serca naszych reakcji. Wyprostował się, podszedł do największego ogniska, usiadł.

Następnie usiedli nasi przewodnicy, po nich my. Kiedy już wszyscy siedzieli, kobiety

zaczęły wnosić jedzenie, najpierw małe owoce podobne do bananów, potem kawałki mięsa z sierścią. Mięso było wprawdzie ugotowane, ale nieoskubane. Po krótkiej, ciemnoszarej szczecinie poznałem, że to może być mięso małpie. Nie mogłem go tknąć, chociaż pachniało dobrze. Od samego widoku skurczył mi się żołądek. Mama i Zeppi też go nie tknęli. Jedliśmy banany, ale brzuch dopominał się o coś więcej. W końcu Klaus zdecydował się skosztować mięsa.

- Smaczne - pochwalił. Odwrócił je i zaczął jeść, trzymając wzorem Indian za szczecinę. Wgryzł się w nie tak, jak wyjada się miąższ z połówki pomarańczy. Poszliśmy w jego ślady. Mięso okazało się smaczne i soczyste. Zjadłem drugi kawałek, potem trzeci. Wszyscy

63

pałaszowaliśmy, aż nam się uszy trzęsły. Indianie stali lub siedzieli w kucki i obserwowali każdy nasz ruch. Zeppi z głodu i szczęścia, że wreszcie dostał coś pożywczego, jadł, nie zamykając ust. Chociaż mama od dawna mozolnie u niego tępiła ten nawyk, teraz przymknęła oko.

Siedząc przy ognisku, mogłem zajrzeć stojącym kobietom między nogi. Nie miały tam włosów, a ich narządy płciowe wcale nie wydały mi się interesujące, bo miały tam jedynie coś w rodzaju bruzdy prowadzącej do głębszej bruzdy z tyłu, na pupie. Woląłem oglądać biusty, ale kiedy w pięć minut zobaczyłem więcej cycków niż we wszystkich świńskich książkach w szkole, o dziwo znudziło mi się patrzeć. Cycki to cycki. Podobnie było z kutasami zwisającymi mężczyznom. Po meczu futbolowym w szatni męskiej pod prysznicem wszyscy usiłują podejrzeć, czy koledzy mają większe interesy niż oni, lecz tutaj, gdzie wszystkie kutasy były na widoku, nie dostrzegłem bynajmniej nic interesującego. Zacząłem więc patrzeć po twarzach, bo raczej one mogły zdradzić, z kim mamy do czynienia.

Zauważyłem, że niektórzy mają twarze ozdobione malowidłami. Najczęściej były to proste linie, czasem zwieńczone tu i ówdzie zawijasami, tylko w dwóch kolorach, czarnym i czerwonym. Niekiedy mieli na rękach opaski z plecionej trawy z zatkniętymi piórami, inni czerwone błoto wtarte we włosy, które przypominały lepki hełm. Wszyscy śmierdzieli potem, ale poza małymi pędrakami raczkującymi po

ziemi wydali mi się dosyć czyści.

Mimo uczucia sytości nie przestawałem jeść. Mięso zniknęło, ale zostały mi jeszcze trzy małe banany. Zeppi przestał jeść i przyglądał się teraz Indianom.

- Zobaczcie, jakie mają siurki - oznajmił poważnie, na co Klaus z mamą zanieśli się śmiechem, mama histerycznym.

Wódz często mówił do naszych przewodników. Po jakimś czasie przestałem na nich zwracać uwagę. Nogi ścierpły mi od siedzenia, wstałem więc i zacząłem chodzić w kółko, nie oddalając się jednak od rodziny. Za mną ruszyła hurma małych dzieci, które gapiły się, wytykały mnie palcami i chichotały między sobą.

Zapuściłem się głębiej pod spadzisty dach. Ze wsporników i rozperek zwisały dziesiątki hamaków, a obok stał oparty o pale cały

64

arsenał broni. Ani krzyny intymności, żadnego osobnego pomieszczenia, nawet zasłony oddzielającej jeden zakątek od drugiego, właściwie nie sposób było mówić o zakątkach. Ogromna okrągła sala ze spadzistym dachem, żadnych sprzętów w środku, nie licząc hamaków. Ciekawe, gdzie nas umieszczą i czy pozwolą nam zostać razem.

Na jednym hamaku spał mężczyzna. Podeszedłem, nie wiedząc nawet, dlaczego chcę mu się przyjrzeć. Dopiero tuż przy nim zorientowałem się, co odróżnia go od innych. Miał brodę i długie włosy nieostrzyżone pod garnek. Był nagi i śniady tak jak pozostali, brodę i włosy też miał czarne, ale wiedziałem, że nie jest Indianinem.

Twarz lśniła mu od potu, rękami i nogami raz na jakiś czas wstrząsał dreszcz, który wyglądał jak wzdrygnięcie się konia, który w ten sposób ogania się od muchy.

Patrzyłem na śpiącego mężczyznę, który pocił się i wzdrygał, pomrukując przy tym w niezrozumiałym języku. Wtem otworzył oczy, zobaczył mnie. Wstrzymał oddech, po chwili jednak wrócił do normalnego rytmu, usiadł na hamaku. Nie odrywał ode mnie wzroku, wprawiając w zachwyty gapiące się dzieci. Zrozumiały, że jeszcze bardziej zdumiał go mój widok niż mnie jego.

Przemówił do mnie, ale wzruszyłem ramionami, żeby dać znać, że nie rozumiem.

Dodał coś chyba po hiszpańsku, na co odparłem grzecznie: ,

- Przepraszam, ale nie znam tego języka.

W pierwszej chwili zatkało go. Zaraz się jednak uśmiechnął.

- Czyim jesteś dzieckiem? Jak tu trafiłeś?

Mówił po niemiecku poprawnie, chociaż wolno i trochę nieporadnie, jakby go długo nie używał. Obejrzałem się na moich bliskich. Nadal siedzieli przy ognisku z wodzem i większością dorosłych. Zeppi odszedł, żeby mnie poszukać, i rozglądał się na wszystkie strony. Kiedy mnie zobaczył, podbiegł.

Na jego widok brodac zawałał:

- Mój Boże, was jest dwóch... a może więcej? Ilu was jest? Odpowiedz, proszę.

- Tak - odparłem. - Jest jeszcze mama i Klaus.

5 - Biali bogowie

65

- Klaus? Jaki Klaus? Nazwiska, chłopcze.

Uznałem, że to nie jego sprawa, ale pytał z takim przejęciem, że mu powiedziałem.

- Klaus... - omal nie powiedziałem Linden - Brandt. Nasz nowy ojciec.

- Czyli to jest twój brat.

Łypał okiem na Zeppiego, który cofnął się kilka kroków.

- Nie bój się mnie, synku. Jestem Niemcem tak samo jak wy. Nazywam się Wentzler, Gerhard Wentzler. Poproś tu do mnie ojca. Mogę wam służyć za tłumacza.

Biegnij po niego, złotowłosa.

Zwrócił się tak do Zeppiego, który z kolei zwrócił się do mnie:

- Dlaczego on tak wygląda?

- Idź po Klause - zbyłem go. - Bo to ważne.

- Sam sobie idź - odburknął Zeppi, zadzierając podbródek.

- Jak nie pójdziesz, powiem Indianom, żeby cię zjedli.

Szczęka mu opadła.

- Nie powiesz.

- Właśnie, że powiem. Rób, co ci każe.

Zeppi poczłapał do ogniska.

- Wyrośnięty chłopak jak na swój wiek - powiedział, przyglądając mu się, Herr Wentzler.
- Ma już dwanaście lat, tylko zachowuje się, jakby miał dziewięć — wyjaśniłem.
- Rozumiem. A powiesz mi, jak się tu znaleźliście?
- Nasz samolot rozbił się nad rzeką.
- Nad rzeką, no tak... Brawo!

Nie wiedziałem, co chce przez to powiedzieć, nawet zastanawiałem się, czy nie jest stuknięty. Kiedy wstał z hamaka, oczy latały mu z podniecenia, a kościste nogi dygotały. W brodzie i włosach dostrzegłem pojedyncze siwe włosy. Zrozumiałem, że jest znacznie starszy, niż mi się w pierwszej chwili zdawało. Mógł mieć dobrze po czterdzieście.

- Już idą, już idą... - zawołał.

Rzeczywiście, zbliżał się Klaus z mamą i Zeppim, a za nimi co najmniej pół tuzina Indian. Wszyscy obściskali Herr Wentzlera, który

66

wyciągnął nie mniej chude od nóg ręce, jak gdyby witał dawno zaginionych krewnych. Nikt jednak nie padł mu w objęcia.

- Moi kochani rodacy, Niemcy, witajcie! Nazywam się Gerhard Wentzler, jestem profesorem Uniwersytetu w Heidelbergu. Niepomniernie się cieszę, że was widzę! Drżał cały od stóp od głów. Aż bałem się, że zaraz upadnie.

- Dziękuję, Herr Professor - odparł Klaus. - Mnie również nad wyraz cieszy to spotkanie. Jestem Klaus Brandt z Uniwersytetu Frankfurckiego. Pan pozwoli, że przedstawię. Oto moja żona Helga i nasi synowie Erich i Freidrich.

- Nie! - wrzasnął mój brat.
- Który woli, spieszę dodać, żeby do niego mówić Zeppi. Herr Professor, ciekaw jestem, czy tutaj bądź w pobliżu znajdują się inni biali? Przeżyliśmy straszliwą katastrofę.
- Właśnie słyszałem od pańskiego syna. Owszem, dla was straszna, ale oczekiwana, przynajmniej przez Yayomich.

- Jak to?

- Tubylcy wiedzieli o niej co najmniej od dwóch dni, bo o niej wspominali.

Kiedy samolot się rozbił?

- Wczoraj. Co to za... Yayomi?

- Ci ludzie - odparł i pokazał machnięciem ręki okrągłą osadę. — Cały ten szczep to Yayomi. Dopiero drugi raz w życiu spotykają białych ludzi. Pierwszy raz, ma się rozumieć, kiedy znaleźli mnie.

- Twierdzi pan, że wiedzieli o katastrofie. To znaczy, że ją widzieli?

- Nic podobnego. Mówili o niej przynajmniej dzień wcześniej. Nie tyle o katastrofie, bo chyba w życiu nie widzieli samolotu, nie mogliby nawet pojąć, czym jest, ale o was. Wiedzieli o was.

Klaus uśmiechnął się do niego.

- Ach, rozumiem - potwierdził. Najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku co ja, mianowicie że Herr Wentzler ma nie po kolei w głowie. - Dobrze się pan czuje?

- spytał. - Coś mi się wydaje, że męczy pana gorączka, Herr Professor.

- Wystarczy Wentzler. Cóż nam tu po tytułach? Yayomi nie znają tytułów. Nawet wódz, ten wysoki mężczyzna za panem, używa

67

wyłącznie nadanego mu imienia, Manokwo. Sam też zachodzę w głowę, skąd wiedzieli. Bo wiedzieli o waszym przyjeździe. Przyśniliście się Noroniemu. Ogłosił, że za zakolem rzeki, na brzegu, zjawią się cztery delfiny.

Mama spojrzała na Klause.

- Cóż to znaczy?

Starła się za wszelką cenę nie patrzeć na przyrodzenie Wentzle-ra, nieobrzezane tak samo jak Indian.

- Chciałem przez to powiedzieć, łaskawa pani - rzekł Wentzler - że wy czworo jesteście delfinami.

- Obawiam się, że nie - zaprzeczył Klaus z uśmiechem.

- Delfinami rzeczonymi, które zwykle występują nieco dalej na południe, w Brazylii, ale czasem i tu się je spotyka. Są bardzo blade. Zatem jesteście czterema białymi delfinami. Jasno się wyraziłem?

- Jesteśmy czterema białymi delfinami, które się komuś przyśniły?
- Znalezionymi zgodnie z przepowiednią niedaleko stąd, za zakrętem rzeki na wschód, zgadza się?
- Nie mam pojęcia, za którym zakrętem rzeki spadliśmy, ale chyba pan widzi, że nie jesteśmy delfinami?

Klaus uśmiechał się do Yayomich, kiwając serdecznie głową, jak gdyby mogli zrozumieć te słowa i poczuć się urażeni jego wątpliwościami.

- Zwierzęta przybierają czasem ludzką postać, Herr Brandt. Jesteście delfinami i dlatego traktują was jak honorowych gości. No-roni, który przewidział wasze przybycie, będzie się z tego powodu cieszył wśród swojego ludu szczególną estymą. Zobaczycie, że będzie chciał się z wami zaprzyjaźnić. Inni z początku mogą się bać. O, jest Noroni.

Wskazał jednego z mężczyzn, którzy przybyli po nas nad rzekę. Właśnie jego zobaczyłem pierwszego wśród drzew. Powoli zaczynałem ich rozróżniać.

- Herr Wentzler, nie odpowiedział pan na moje pytanie - zwrócił się do niego Klaus. - Czy w pobliżu są inni biali? Może misja?

- W promieniu trzystu lub nawet czterystu kilometrów nie ma ani jednego. Dziwna sprawa... Tubylcy opowiadają najrozmaitsze

68

historie o siłach nadprzyrodzonych, ale nikt nie spodziewa się ich ucieleśnienia, nawet ja, choć mieszkam tu już tak długo. Przedziwny zbieg okoliczności, doprawdy. Pozwolą państwo, że usiądę?

Herr Wentzler osunął się na hamak, łapiąc powietrze jak ryba, spływając obficie potem. Cuchnął przy tym ohydnie jak stare pranie, które pozostawione tydzień lub dwa zawilgło. Jedną wychudłą nogę spuścił z hamaka, palcami dotykając ziemi, i machał nią, co go najwyraźniej uspokajało. Powieki miał przymknięte. Raptem z ust dobył mu się roztrzęsiony syk, a potem najwyraźniej stracił przytomność.

Klaus podszedł, zbadał mu puls. Pierwszy raz widziałem, żeby komuś udzielił pomocy lekarskiej. Otworzył torbę, z którą się nie rozstawał, odkąd opuściliśmy brzeg rzeki. Wyjął stetoskop i przyłożył okrągłą końcówkę do kościstej piersi

chorego, słuchał. Odchylił leżącemu powieki, opuścił.

- Z całą pewnością ma stan podgorączkowy. - Otworzył po raz drugi torbę i wyjął fiolkę białych pigułek. - Erichu, przynieś wody do popicia. Chciałbym wykurować naszego przyjaciela. Pomyśl, Helgo, biały człowiek, który nie dość, że zna tych ludzi, to jeszcze mówi po niemiecku! Nie wierzę własnemu szczęściu. Erichu, pośpiesz się, wody!

Poszedłem po wodę i przy ognisku, przy którym jedliśmy, znalazłem dużą glinianą misę z wodą, a obok małe miski. Przyniosłem pełną taką miskę Klausowi, a on wmusił Herr Wentzlerowi pigułkę, choć ten sporo przy tym pluł i parskał. Yayomi przyglądali się nam z wielkim zainteresowaniem, ale sprawy przybrały fatalny obrót, gdy jeden z nich za plecami Klause zanurzył rękę w jego otwartej lekarskiej torbie. Widziałem, jak to się stało. Sięgając do środka, mężczyzna patrzył Klausowi w oczy, a nie na swoją rękę, i nagle jak nie wrzaśnie! Kiedy ją stamtąd wyrwał, zobaczyłem krew ciurkającą między palcem wskazującym a środkowym. Zaczął wyć, kwiczeć i straszliwie złorzeczyć, chociaż rana wcale nie wyglądała tak groźnie, i wskazywał raz po raz na torbę.

- Masz za swoje, przyjacielu - rzekł Klaus, uśmiechnięty jak zawsze. - Nie grzeb bez potrzeby w torbie, która zawiera skalpele i piły do kości.

69

Yayomi cofnęli się z szacunkiem na stosowną odległość. Zrazu uznałem, że się nas zlekli, ale z ich spojrzeń wywnioskowałem, że raczej boją się czarnej torby. Dobra nasza, przynajmniej nie będą jej dotykali. Klaus strzegł zazdrośnie swojego skarbu. Niebawem ich zainteresowanie osłabło, zaczęli pojedynczo i parami wracać do zwykłych zajęć, chociaż nie mieli ich chyba zbyt wiele. Większość mężczyzn, łącznie z wodzem, położyła się na hamakach i zasnęła, żeby przespać najgorętszą porę dnia. Ciekawe, że Indianie Yayomi zachowywali się tak samo jak latynoscyy Wenezuelczycy. Pozostawieni sami sobie, zebraliśmy się wokół Klause, żeby posłuchać jego oceny sytuacji.

- Większy fart pozwoliłby nam tylko trafić na misję, ale wierzę Herr Wentzlerowi, że nie ma jej w pobliżu. Sam Wentzler jest dla nas jak misjonarz. Jego

znajomość Indian pomoże nam współżyć z nimi znacznie łatwiej, dopóki będziemy musieli tu pozostać. Mam jednak nadzieję, że niezbyt długo. Przy odrobinie szczęścia i znajomości ich narzecza, jaką dysponuje Herr Wentzler, na pewno uda się ich przekonać, żeby zabrali nas rzeką przynajmniej do Orinoko. Wierzcie lub nie, ale opatrzność nas nie opuszcza. Najpierw pozwoliła się nam wydostać z tonącego samolotu, dopuściła tylko jedną niewygodną noc samotnie w dżungli, zesłała Indian, którzy przynajmniej nas nakarmili, a w dodatku podrzuciła przewodnika, bo tak chyba możemy go nazywać, zdolnego przeprowadzić nas przez sytuację będącą istnym polem minowym niezrozumienia.

- Chwała Bogu - podsumowała mama.

- Bóg tu nie mieszka — zaoponował Klaus. - I nigdy tu nie mieszkał.

Podszedł Noroni i zaprosił nas gestem. Ruszyliśmy za nim w stronę kilku czekających pustych hamaków. Wyraźnie pokazał nam, że możemy z nich skorzystać.

- Chętnie się prześpię, bo noc była koszmarna - zadeklarowała mama.

Klaus rozłożył jej najbliższy hamak, żeby się położyła.

- Ułóż się wygodnie, kochanie. Tylko radzę, żebyś nie przewracała się z boku na bok, bo spadniesz na ziemię.

70

Wdrapała się do hamaka przy pomocy Klause i pochwaliła, że jest całkiem wygodny. Noroni miał zadowoloną minę, chociaż nie rozumiał jej słów. Nas zaprowadził do następnego hamaka.

- Chyba przygotowali nam tylko trzy - rzekł Klaus. - Wygląda więc na to, że będziecie musieli spać razem. Wejdz pierwszy, Erichu. Zeppi, nie wierć się, bo zrzucisz was obu. Podejrzewam, że Noroni usunął z tych hamaków swoją rodzinę. Doceńcie ten zaszczyt, chłopcy.

Zeppi wszedł z drugiej strony, położyliśmy się na waleta. Wolałbym mieć własny hamak, ale i tak nie mogłem narzekać. Klaus wszedł do trzeciego hamaka i wyciągnął się, spuszczaając nogi prawie na ziemię. Noroni z chłopcem i dziewczyną mniej więcej w moim wieku, zapewne dziećmi, kucnęli obok i przyglądali się nam w

milczeniu. Może przepełniała ich duma z tego powodu, że zaprosili delfiny do swoich hamaków, a może żalowali, że nie mogą w nich sami przespać sjęsty. Niewiele mnie to obchodziło. Najedzony do syta, ufałem Klausowi, że nas stamtąd wydostanie. Zeppi już zamknął oczy.

Poszedłem za jego przykładem.

Rozdział 4

Obudziło mnie potężne łupnięcie. Zeppi obudził się przede mną, zaczął się wiercić, i obaj upadliśmy na ziemię. Mieliśmy niecały metr do podłoża, ale przyśniło mi się, że lecę ze skraju otchłani prowadzącej przez całą kulę ziemską do piekła. Obudziłem się przerażony, z trudem łapiąc oddech.

Zeppi siedział ze zdziwioną miną obok i rozcierał sobie guza.

- Ech ty idioto! - rzuciłem w jego stronę, ale otumaniony snem, nawet mnie nie usłyszał.

Spojrzałem na mamę, która jeszcze spała, potem na hamak Klausea... pusty. Yayomi już się krzątała, a przez wielki otwór nad nami wpadały pod niższym kątem promienie słoneczne. Stąd poznałem, że zbliża się wieczór.

- Głowa mnie boli - wyjęczał Zeppi.

- Ciekawe, od czego — powiedziałem i poszedłem na poszukiwanie Klausea. W okrągłym pomieszczeniu nietrudno było wszystkich znaleźć. Zgodnie z moimi domysłami, Klaus siedział przy pacjencie. Podeszedłem.

Chude nogi Herr Wentzlera zwisały z hamaka. Profesor rozmawiał z Klausem, który ukucnął pod najbliższym słupem. Kiedy podeszedłem, odwrócił się do mnie.

- Erichu, wyobraź sobie, że profesor zwyczajny antropologii postanawia rzucić swoją synekurę, udać się do badanych przez siebie Indian, zamieszkać z nimi, zrzuciwszy odzienie, wyzbywając się naj-

72

mniejszych obiektów cywilizacji, nawet zeszytu! - Odwrócił się do Herr Wentzlera. - Czy to nie utrudnia pańskich badań? Jak pan, na miłość boską, zapamięta wszystko bez notatek?

- Mam doskonałą pamięć - przyznał nie bez dumy Herr Wentzler. - Przechowuję

w głowie wszystko, co się zdarzyło w ciągu tych jedenastu lat. - Popukał długim palcem w skroń. - Z najdrobniejszymi szczegółami. Po powrocie do domu wyleje się ze mnie wszystko, by tak rzec, gdy będę stukał na maszynie do pisania. Zapewniam pana, że niczego nie uronię.

- Jedenaście lat? - spytałem.

- Zapisywałem suche pory, nacinając karby na drzewie - wyjaśnił. - Przybyłem tu w trzydziestym piątym, a teraz mamy tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty, zgadza się?

- Zgadza - przyznał Klaus. - I przez cały ten czas, Herr Wentzler, nie miał pan kontaktu ze światem?

- Proszę mi mówić po imieniu, Gerhard. Ceremoniały w takich warunkach zakrawają na idiotyzm. Nie, z założenia nie utrzymywałem żadnych kontaktów. Pragnąłem zanurzyć się bez reszty w kulturze Yayomich, a wyprawy poza krainę, którą nazywam Yayomilan-dem, tylko by mnie rozproszyły, oderwały od kompletnego zatonięcia w ich świecie. Jako nowoczesny antropolog byłem gotów poświęcić się bez reszty, żeby ich lepiej zrozumieć. Proszę sobie wyobrazić, że gdy wyjawiałem swoje zamiary niektórym kolegom, obwołali mnie fanatykiem. Oni jednak nie ruszają się z za biurka, a wiedzę czerpią z książek napisanych przez ludzi większego formatu. Jeżeli ktoś chce badać Indian, musi, rzecz jasna, zamieszkać wśród nich.

- Nie ma pan więc pojęcia, co się przez ten czas działo w kraju ani gdziekolwiek indziej?

- Żadnego. A powinienem o czymś wiedzieć?

Roześmiałem się. Klaus zmroził mnie spojrzeniem, po czym zwrócił się do Herr Wentzlera.

- Owszem.

Następnie opowiedział profesorowi o wojnie - że rozpętali ją Żydzi z niewielką pomocą komunistów, wówczas Fiihrer usiłował raz na zawsze oczyścić Europę z tej zarazy, ale przeszkodziła mu w tym

interwencja Amerykanów. — Gdyby Japończycy ograniczyli swoje działania wojenne do Azji i zostawili Hawaje w spokoju, Amerykanie zostaliby u siebie na obu frontach, być może trochę załamując przy tym ręce, ale z pewnością nie ruszyliby na pomoc żółtej rasie z jednej strony, a z drugiej Żydom. Niestety, sprawy przybrały inny obrót, toteż z powodu nieodpowiedzialnych Japończyków wielki plan Fiihrera, żeby raz na zawsze uwolnić nas od problemu żydowskiego, spalił na panewce. Osobiście ucieszyłem się, kiedy ich głupota spotkała się z zapłata w postaci spustoszenia bronią atomową. Istnieje jednak sprawiedliwość.

- Bronią atomową?

- Mój drogi Wentzlerze... Gerhardzie, podczas twojej nieobecności świat stanął na głowie. Nic nie jest już takie samo. Zginęły miliony ludzi. Zbombardowane Niemcy legły w gruzach, a Fiihrer dokonał żywota. Naszą ojczyznę teraz okupują amerykańscy kmiecie i rosyjscy chłopci, którzy spojierają na siebie z nienawiścią. To koniec ideałów, które wydawały się osiągalne, kiedy tu jechałeś.

- Hitler nie żyje?

- Trzymał się do samego końca. Gdyby wytrwał, zachował nie tylko zdrowie fizyczne, lecz również siłę charakteru, może wygralibyśmy. Zwyciężyłby nowy porządek świata.

Herr Wentzler odwrócił wzrok, marszcząc w zamyśleniu czoło, po czym znów odwrócił się do nas i zapytał:

- Panie Brandt... mogę do pana mówić Klaus? A moje rodzinne Drezno? To takie piękne miasto. Niemożliwe, żeby ktoś śmiał rzucić na nie bombę.

- Amerykanie obrócili je w perzynę, i to bez powodu. Zupełnie jakby ktoś ciężkim walcem przejechał domek z piernika. Z ubolewaniem muszę ci donieść, że Drezno zrównano raz na zawsze z ziemią.

- Niemożliwe! Szok!

- Kiedy ty badałeś tutaj prymitywnych ludzi, tam waliła się cywilizacja, stając na krawędzi zagłady. Ostatnie dziesięciolecie, drogi panie, stanowiło punkt zwrotny, po którym ludzkość najpewniej i przez sto lat się nie otrząśnie.

Herr Wentzler przybrał dziwną minę.

- Że też ktoś poważił się zniszczyć Drezno - powiedział. - Miałem nadzieję wrócić tam, żeby napisać książkę.

Zapadło milczenie. Spojrzałem na mamę. Zeppi stał przy jej hamaku i szturchał ją, żeby się obudziła. Bez niej tracił poczucie bezpieczeństwa. Czasem zastanawiałem się, czy kiedyś z tego wyrośnie, czy już na zawsze pozostanie takim maminsynkiem. Całe szczęście, że ja jestem inny, że do nikogo się tak nie kleję. Nawet do człowieka tak godnego podziwu jak Klaus. On by tego zresztą nie pochwalał. Czuję, że szuka raczej kogoś równego sobie, przyjaciela, a może kogoś jeszcze bliższego, z którym zażyłość przewyższałaby nawet więzy małżeńskie. I właśnie wtedy, gdy tak patrzyłem na Zeppiego, który szarpał naszą śpiącą mamę, a słowa Klause sączyły mi się do ucha, zrozumiałem, że na tym polega moja rola.

- Nasz obecny problem, Gerhardzie, czyli mój i mojej rodziny, polega na tym, jak wrócić do cywilizowanego świata. Rozumiem, że chcesz zostać wśród tubylców, aby móc ich nadal obserwować, ale nas kusi gorąca woda i elektryczność. Czy widzisz szansę, żeby twoi przyjaciele odstawili nas kanu nad Orinoko lub do najbliższej placówki handlowej?

- Nikłe - przyznał Herr Wentzler. - Yayomi nie lubią oddalać się od domu. Nie mają w sobie żyłki przygody. Wierzą, że mieszkają w najpiękniejszym zakątku świata, a opuszczając go, ściągęliby tylko na siebie nieszczęście. Co kilka lat przenoszą swoje shabono, chociaż zwykle nie dalej niż dziesięć kilometrów. Po jakimś czasie ich gaj plantanów jałowuje albo też liczba mieszkańców osiąga taki pułap, że lepiej, by plemię podzieliło się na dwie grupy. Znacznie łatwiej zarządzać shabono, kiedy liczy sobie poniżej stu mieszkańców. Plemię, z którym mieszkam, wyodrębniło się sześć lat temu z większego. Poszedłem za nim, żeby zbadać skutki przesiedlenia. Zaręczam ci, że przerosły moje oczekiwania.

- Shabono?

- Wybacz, zapominam, że jesteś tu obcy. To siedlisko nazywa się shabono.

- Aplantany?

- To owoce banana rajskiego hodowane przez tubylców. Bardzo pożywne.

75

Przeszedł do innych tematów dotyczących Yayomich, które zamierzał poruszyć w książce. Znudziły mnie te opowieści, dlatego się oddaliłem. Mama już się obudziła i rozmawiała z Zeppim, poszedłem więc w drugą stronę. Kilkoro dzieci ruszyło za mną, wykonując rękami pływackie ruchy. Chyba prosili mnie, żebym zamienił się z powrotem w delfina. Kiedy powtórzyłem te ruchy, gruchnął śmiech. Jednemu chłopakowi siedziała na głowie jaskrawozielona papuga. Spytałem, czy mogę jej dotknąć. Kiedy wyciągnąłem ku niej rękę, zrozumiał, wyjął ją sobie z włosów i podał mi do góry nogami. Papudze wcale ta akrobacja nie przeszkodziła. W moich dłoniach sama się wyprostowała, po czym spojrzała mi prosto w oczy. Kilka razy głośno skrzeknęła, na co wszystkie dzieci wybuchnęły śmiechem. Pewnie sądziły, że mówię:

— Patrzcie no! Nic tylko delfin!

Obszedłem shabono z papugą usadowioną na mojej ręce. Dopiero teraz zobaczyłem, że wszędzie siedzą jakieś oswojone stworzenia, najwięcej papug różnej maści i rozmiarów, a nawet kilka małych małpek z białymi pyszczkami, skrzeczących i podkradających jedzenie szykującym je kobietom. Widziałem nawet małpkę wtuloną w pierś i ssącą mleko niewiasty, która przy drugiej piersi miała przystawione małe dziecko. Długo się przyglądałem, lecz bynajmniej się nie stropiła. Patrzyła tylko na mnie, jak gdyby miała przed sobą delfina. Wszędzie wałęsały się wychudłe psy, niezbyt mi przyjazne, może dlatego że dziwnie im pachniałem. W shabono panowały duży ruch i gwar, natłok ciekawych zapachów i widoków.

Później Klaus i Herr Wentzler wzięli mamę, Zeppiego oraz mnie i wyszliśmy górą, otworem w ścianie liści, tak jak weszliśmy. Ruszyliśmy ścieżką wzdłuż rzeki, a Herr Wentzler wygłosił nam pogadankę na temat siedlisk budowanych przez Yayomich na wzniesieniach, żeby ulewy w czasie pory deszczowej nie zatopiły im upraw. Teraz mieliśmy suchą porę. Nad rzeką zobaczyłem wyciągniętych na brzeg siedem lub osiem kanu zrobionych z wydrążonych pni drzew i zapytałam Herr Wentzlera:

— Skoro spodziewali się czterech delfinów za zakolem rzeki, dlaczego po nas nie przyплыnęli, zamiast przedzierać się przez dżungłę?

- Zakole rzeki jest daleko - odparł. - Nie mieliby siły, żeby tak długo wiosłować. Rzeka płynie na północ, następnie robi wielką pętlę, by tu wrócić, zataczając niemal koło. Miejsce na brzegu, gdzie Noroni miał nadzieję was znaleźć, dzieli od shabono niewielka odległość, pod warunkiem że idzie się piechotą. Tak jest najszybciej.

- Jak daleko trzeba płynąć stąd rzeką do Orinoko? - spytał Klaus.

- Z tego co mi wiadomo, między tą rzeką a Orinoko nie ma bezpośredniego połączenia. Musielibyście się przeprowić między systemami rzecznyymi. Nie znam nikogo, kto by czegoś podobnego dokonał. Wstąpienie na teren sąsiedniego plemienia uchodzi za coś złego, chyba że obsypie się ich darami, żeby ich udobruchać i w ten sposób uniknąć rozlewu krwi. Najbliższe plemię w kierunku rzeki Orinoko to Iriri, nieprzychylni obcym, nawet jeżeli niosą dary. Yayomi wolą zatem nie wysuwać nosa poza swój teren. Zresztą mają tutaj wszystkiego w bród.

- Proszę zrozumieć, Herr Wentzler - powiedziała mama — my się musimy stąd wydostać.

- Macie czym przekupić Yayomich? Może przepuszczą was, jeżeli obłaskawicie ich podarkami, a także podarkami dla plemienia Iriri, których ziemie będziecie musieli przemierzyć. Musielibyście zaproponować coś wyjątkowego, żeby opłacało im się ryzykować.

- Nic nie mamy - powiedziałem, na co Herr Wentzler wzruszył ramionami. W ogóle się nie przejął! Właśnie wtedy tknęło mnie, że może jest szalony. Nie mogłem tego wykluczyć. Może mieszkał tam już tak długo, że uważał się za członka plemienia, a Yayomi zapewne nie chcieliby, żeby ich chodzące delfiny zniknęły, w każdym razie jeszcze nie teraz.

Klaus wcześniej uznał to za szczęście, że mamy tłumacza w osobie Wentzlera, ale kto go tam wie, co naprawdę przekazuje? Może mówi, że w ich stronach spodobało nam się tak bardzo, iż nie chcemy się stamtąd ruszać. Może chce nas zatrzymać dla towarzystwa, ale nie wyjawia nam prawdy. Nagle wydało mi się, że nie możemy mu

wierzyć.

Spojrzałem na Klause, bo tylko z jego zdaniem naprawdę się liczyłem, ale nie brał udziału w rozmowie, lecz patrzył na dzieci

77

i dorosłych pluskających się razem w wodzie. Podejrzewam, że zainteresował go ten widok z tych samych powodów co mnie. Zabawa dorosłych z dziećmi stanowi niezwykle widok, chyba że ojciec uczy syna kopać piłkę albo czegoś podobnego. Tu było inaczej. Bawili się razem, jak gdyby nie dzieliła ich przepaść pokoleniowa.

Zrozumiałem, że Yayomi pod tym względem różnią się od nas, a może wręcz nas przewyższają, skoro dorośli umieją bawić się razem, kąpać i śmiać z dziećmi.

Klaus, widząc mnie patrzącego na niego i Indian, w lot odgadł moje myśli. Wyraźnie nawiązała się między nami nić porozumienia.

- Nie widuje się podobnych scen u nas na osiedlowym basenie, prawda?
- Co pocniemy, jeżeli Indianie nie zechcą nas stąd zabrać?
- spytała mama.
- Będziemy musieli pożyczyć od nich kanu i sami się odwieźć
- odparł beztrosko Klaus, jakby chodziło o błahostkę.
- Przecież to kradzież.
- A brak pomocy przy umożliwieniu nam wyjazdu stąd graniczy z niewolą.

Które wykroczenie wydaje ci się większe? Zawsze mogą sobie zrobić następne kanu, a my nie możemy tu tkwić wiecznie.

Mama spojrzała na Wentzlera, bo chciała poznać po jego minie, co o tym sądzi.

Musiał usłyszeć słowa Klause, bo stał tuż za nami, ale udawał, że nie słyszał.

Zachował pokerową twarz, a ja zastanawiałem się, czy nie wstydzi się za swoich zaprzyjaźnionych Yayomich, że nie zachowują się, jak należy, albo za swoich rodaków, Niemców, którzy zamierzają zrobić coś złego. Znalazłszy się między młotem a kowadłem, wołał udawać, że nic się nie dzieje.

Odwróciłem się plecami do baraszkujących w wodzie. Nadal panował upał i ubrania kleiły mi się do ciała. Najchętniej ściągnąłbym ciuchy, wskoczył do rzeki i wykąpał razem z nimi. Ale wtedy wszyscy zobaczyliby mój Krzyż Żelazny na szyi, a chciałem

zachować go w tajemnicy. Woda kusiała, chociaż miała ciemnobrązowy kolor. Może zdecydowałbym się, gdyby w pobliżu nie było mamy.

Dziwne, że wstydziłem się swojej nagości, bo wszyscy Indianie byli przecież nagusieńcy. Zresztą nie wywarłbym na nich większego

78

i

wrażenia, skoro i tak uważali mnie za delfina. Obecność mamy jednak mnie peszyła. Bo Klausem ani Zeppim się nie przejmowałem. Brata nie widziałem nago od lat, podejrzewałem jednak, że gdyby zobaczył mnie rozebranego, poszedłby w moje ślady. Był spocony i z nie mniejszą zazdrością patrzył na zabawy Yayomich w wodzie.

- Może też wskoczysz - zaproponował Klaus, ponownie czytając mi w myślach.

Pokręciłem głową. Zrozumiał. Klaus rozumiał wszystko.

Do wieczoru dzień nie przyniósł większych rewelacji. Zeppi na tyle się odprężył, że dołączył do innych dzieci oraz ich zabawy z papugami i małpkami. Jak zwykle bardzo odpowiadało mu, że znajduje się w centrum uwagi. Klaus z profesorem, jak przystało na akademickich intelektualistów, prowadzili długą dysputę, którą przez większość czasu podsłuchiwałem. Mama miała baczenie na Zeppiego. Dla nas wszystkich był to długi i dziwny dzień, a wieczorem zasiedliśmy wraz z innymi do jedzenia, jak gdybyśmy robili to już wiele razy.

Indianie przyglądali się, jak jemy. Widocznie chcieli podpatrzeć, czy mamy delfinowe nawyki. Głupio mi było ich rozczarować, nawet starałem się przypomnieć sobie, co wiem o delfinach. Niestety, wiedziałem tylko, że nie są rybami, a ssakami, które oddychają powietrzem, porozumiewają się piskami i kłaskaniem. Przypomniała mi się widziana przed wojną kronika filmowa o dwóch tresowanych delfinach przyływających na wezwanie i stających na ogonach, żeby poprosić o ryby. Przypomniały mi się ich dziwne dźwięki. Ciekawe, czy delfiny rzeczne wydają podobne trzaski. Po obejrzeniu tamtej kroniki całymi dniami zamęczałem mamę, piszcząc jak delfin. Postanowiłem teraz znów spróbować rozbawić Yayomich, chociażby w nagrodę za ich gościnność.

Otworzyłem usta, ścisnąłem gardło jak przed laty i wydałem jeden pisk, następnie drugi. Drugi zabrzmiał głośniejsze niż pierwszy. Udało się! Zapiszczałem więc jeszcze raz, a potem zacząłem klaskać, tyle że dużo głośniejsze. Uzyskałem pożądany skutek. Powtórzyłem więc dźwięki, skupiając się na zaciśnięciu krtani, żeby wydać takie same odgłosy. Dopiero kiedy przerwałem dla zaczerpnięcia oddechu,

79

a gardło rozboleło mnie, jakby ktoś je chwycił i ścisnął w środku, zorientowałem się, jaki wywołałem piorunujący efekt.

Oczy Yayomich zwróciły się na mnie. Wszyscy członkowie plemienia, starzy i młodzi, patrzyli na mnie osłupiali z zaskoczenia, a może ze strachu.

- Wybacz, Erichu - powiedziała mama - ale takiego zachowania spodziewałabym się prędzej po Zeppim niż po tobie.

Mój brat uznał jej słowa za wyzwanie i spapugował mnie, chyba nawet nieświadom, że wydawałem odgłosy delfina. Yayomi zastygli w milczeniu, tylko się na nas gapili. Zeppi uwielbiał zainteresowanie publiczności, dlatego znów zaczął piszczeć i pogwizdywać. Nawet lepiej mu wyszło niż mnie, bo miał wyższy tembr głosu, a gdy raz zaczął, nie mógł skończyć, aż spurpurowiał na twarzy i zabrakło mu tchu.

- Doprawdy, coś za przebiegłość - skomentował Wentzler. - Przejrzałem wasze zamiary. Pragniecie utwierdzić ich w błędnym przekonaniu? Ugruntować ich przeświadczenie, że jesteście delfinami. W życiu nie słyszałem delfina, ale po ich minach sądzę, że chyba się wam udało. Udajecie świadomie?

- Jak najbardziej - potwierdziłem.

- Ale po co?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Żeby ich rozbawić.

Pokręcił głową, jakbym udzielił złej odpowiedzi na podchwytliwe pytanie.

- Nigdy nie utrwalaj niesłusznych poglądów bez naglącej potrzeby. Gdybyście kiedykolwiek chcieli uchodzić w ich oczach za zwykłych ludzi, młody człowieku, już się nie nabiorą. Właśnie przekreśliłeś ich ostatnią wątpliwość, czy aby na pewno jesteście delfinami.

- I takie to straszne? - spytał Klaus.
- Nie wiadomo. Yayomi to poważni ludzie, którzy bardzo serio traktują własną mitologię. Przyjęli pod swój dach cztery delfiny, którym dają schronienie, karmią. Nawet w tej chwili zastanawiają się, co was do nich sprowadza, dlaczego podpowiedzieliście Noroniemu we śnie, żeby was szukał w tym, a nie innym miejscu. Zastanawiają,

80

czego od nich chcecie. Wkrótce zaczną mnie o to dopytywać, muszę więc mieć gotową odpowiedź w zanadrzu. Jeżeli powiem, że jesteście tylko czworgiem zwykłych ludzi, takich jak ja, nie ręcę za nich. Mogą się rozgniewać i wyrządzić wam krzywdę. Bardzo bym prosił, żebyście konsultowali ze mną takie wybryki. Przy waszej nieświadomości realiów żarty sytuacyjne mogą pociągać za sobą dalekosiężne, niekiedy zgubne konsekwencje. Błagam was, postępujcie ostrożnie w tym nieznanym sobie świecie.

- Oni są głupi - podsumował tubylców Zeppi, co rozgniewało Wentzlera.
- Sam jesteś głupi. Nie masz pojęcia, co to za ludzie. Po prostu ludzie wierzą w co innego niż ty. Gdybym im powiedział, że bóg białych zesłał swojego syna na ziemię i pozwolił ludziom go zabić, a potem nie kiwnął palcem, żeby tamtych ukarać, uznaliby go za boga słabego i głupiego. Yayomi żyją zemstą na wrogach, szukają odwetu na tych, którzy przekroczą granice ich terytorium albo pogwałcą tabu. Są pierwszorzędnymi wojownikami, nie puściliby więc żadnego zabójstwa płazem, bo musieliby tym samym wyrzec się wszystkiego, w co wierzą.
- Ależ Herr Wentzler - przerwała mu mama. — Jakie to ma znaczenie, co oni myślą?
- Zasadnicze. Świat chrześcijański uważaliby za świat, który stanął na głowie, bo dominują w nim ludzie słabi i wybaczący. Widzieliby w nim świętokradztwo. Zdjęci gniewem, z pewnością zabiliby każdego misjonarza, który byłby na tyle głupi, żeby się tu zapuścić. Yayomi nie mają idoli ani żadnych szczególnych miejsc kultu, ale żyją w świecie rządzonego przez wszechobecnego, wiecznego ducha, a jego kolor to czerwień krwi. Wyznają filozofię ustawicznego zadośćuczynienia za grzechy

popelnione w przeszłości. Krwawa wendeta stanowi trzon ich kultury. Żyją, by zabijać wrogów. Zemsta nadaje sens ich życiu. Życie wyzbyte owej międzyplemiennej rzezi miałyby się dla nich z celem. Kobiety rodzą synów, żeby wychować ich na wojowników, którzy zabiją kolejnych wrogów, a córki po to, żeby urodziły chłopców, którzy wyrosną na wojowników... i tak dalej. Takie rządzi tu odwieczne prawo.

6 - Biali bogowie

81

Urwał. Spurpurowiał na twarzy.

- Coś okropnego - szepnęła mama.

- Ani trochę — odburknął profesor. — Czyż pani mąż nie powiedział mi dzisiaj, że cywilizowany świat, wymordowawszy miliony, utknął w martwym punkcie?

Czemu to miało służyć, jeśli nie realizacji ideału Fiihrera dążącego do świata bez Żydów, w każdym razie w Europie?

Włączyłem się do rozmowy.

- Innymi słowy, pana zdaniem Yayomi pochwalaliby politykę Fiihrera. Ponieważ tak samo jak oni chciał się pozbyć wrogów swojego ludu.

Wentzler zastanowił się chwilę.

- Owszem, pochwalaliby. Oczywiście nie potrafiliby ogarnąć skali zjawiska, ale nie mylisz się co do zasady.

Zeppi, który sprowokował tę rozmowę, niewiele teraz rozumiał, a mama najwyraźniej nie aprobowała porównywania jej rodzimych, dzielnych oddziałów szturmowych do pomalowanych dzikusów. Klaus i ja jednak rozumieliśmy.

Wyobraziłem sobie Boga, katolickiego Boga mamy, wielkiego, nagiego, pomalowanego na czerwono i czarno, zstępującego z niebios i żądającego krwi tych, którzy przybili mu syna gwoździami do krzyża. Spuszcza na dół swą mocarną dłoń i zgniata zabójców jak mrówki, aby popamiętali raz na zawsze, że nie wolno tego robić jego dziecku. Niestety, tak nie postąpił. Właśnie ten szczegół zawsze odstręczał mnie od matkinej wiary w Boga. Yayomi mieli rację - taki bóg był bezużyteczny. Już lepiej, idąc w ślady tych barbarzyńców, zabijanie uczynić swoim bogiem. Jeżeli

jednak najważniejsze jest zabijanie, jaką wartość ma wszystko inne?

Yayomi nadal wytrzeszczali na nas oczy, czekając, że Zeppi i ja znów zaczniemy wydawać odgłosy delfinów.

- Chyba wszyscy stąpacie po bardzo kruchym lodzie - powiedział Wentzler.
- Wyjaśnij - poprosił Klaus.
- Widzicie, jaką mam ciemną skórę? To nie opalenizna, zawsze byłem śniady.

Włosy też miałem czarne, gdy tu przybyłem, chociaż od tamtej pory odrobinę posiwiiałem. Innymi słowy, gospodarze nie sta-

82

wiają was na równi ze mną. Uważają was za cztery ucłowieczone delfiny, tymczasem ja muszę się pogodzić z niższym statusem zwykłego człowieka. Jako obcy wkupiłem się w ich łaski, bo ich nie obrażałem. Z początku stanowiłem dla nich osobliwość, ale z czasem zostałem członkiem ich plemienia, na ile jest to możliwe. Nie pozwoliliby mi ożenić się z żadną miejscową kobietą, bo z ich punktu widzenia nie ma ze mnie pożytku. Słaby wzrok nie pozwala mi polować, bo zgubiłem okulary zaraz po przybyciu tutaj. Co gorsza, nie biorę udziału w ich obrzędach wojennych. Przedstawiam zatem nie większą wartość niż małpka do zabawy. Darzą mnie życzliwością, lecz nie szacunkiem.

Przyznawał to z wyraźnym zażenowaniem, ale nie przerywał wywodu, bo chciał, żebyśmy go dobrze zrozumieli.

- Godzę się na takie traktowanie, bo moim celem nie jest zostać Yayomim, lecz ich obserwować. Nigdy by tego nie pojęli, ponieważ sami interesują się wyłącznie sobą oraz sąsiadami. Tę sytuację akceptują zarówno Yayomi, jak i ja, bo jak powiedziałem, jestem tylko człowiekiem niższego rodzaju. Ale wy czworo to całkiem inna śpiewka! Nigdy w życiu nie widzieli jasnej cery ani blond włosów! W ich oczach jesteście delfinami i, szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, co zamierzają z wami robić. Wizja Noroniego uwiarygodniła was w ich oczach jako posłańców sił nadprzyrodzonych. Możecie to wykorzystać, chyba że przekonacie ich, iż nie jesteście bardziej niezwykli ode mnie. Jeżeli jednak sprawicie im zawód, mogą wpaść w gniew. Przestrzegam was, zachowujcie się stosownie.

- Ale co znaczy stosowność - zapytał Klaus - skoro uważają nas za delfiny? Jak się, do licha, zachowuje delfin z rękami i nogami?

Wentzler wzruszył ramionami. Mama wyraźnie była zdenerwowana.

- To niemożliwe - powiedziała z drżeniem w głosie. - Powiedział pan, że nie opuszczą swojego terytorium, żeby odstawić nas do cywilizowanego świata, a teraz pan twierdzi, że mogą nas skrzywdzić, jeśli przestaną wierzyć w to, co sobie ubzdurali na nasz temat. Jak tak można?

- Łaskawa pani, sam jestem tutaj jedynie gościem. Nie mogę machnąć czarodziejską różdżką i przenieść pani tam, dokąd by pani

83

chciała. Proszę dobrze oszacować sytuację, w jakiej się państwo znaleźli.

Mama przyglądała mu się w milczeniu. Chyba nienawidziła Wentzlera za to, że jest tam całkiem szczęśliwy, a ona nie, jak również za to, że nie stara się nawet osłaniać przed nią swojej nagości. Odbierała to jak najgorszy cios.

- Co proponujesz, Gerhardzie? - spytał Klaus. - Przyjdzie taki czas, kiedy uznasz, że nauczyłeś się wszystkiego, czego obcy człowiek może się nauczyć o Yayomich, i zechcesz wyjechać stąd, żeby napisać książkę. Nawiasem mówiąc, liczę na egzemplarz z autografem.

Wentzler się roześmiał.

- Kiedy nadejdzie ten czas, przyjacielu, będę potrzebował boskiej interwencji. Mój los wcale nie różni się tak bardzo od waszego. Nikt tu nie ma żadnych gwarancji.

Klaus wychylił się do przodu. Kilku Yayomich zrobiło to samo. Słuchali uważnie, chociaż nie rozumieli ani słowa.

- Mam pewną propozycję - rzekł. - Spędziłeś jedenaście lat wśród tych ludzi i zapewne wiesz o nich prawie wszystko. Taka kultura plemienna bynajmniej nie wymaga badań, jakie trzeba by poświęcić renesansowym Włochom w czasach Odrodzenia. Chyba w głębi serca sam przyznasz, że nadszedł czas, aby wyjechać stąd i napisać książkę. Może właśnie my, jako delfiny, pomożemy ci stąd uciec.

- Chyba za dużo wysnuwasz domysłów - powiedział Wentzler z uśmiechem. -

Nie skończyłem jeszcze badań.

- Moim zdaniem skończyłeś - obstawał przy swoim Klaus. Uśmiech również nie schodził mu z ust. - Twierdzą ponadto, że jeśli oczekujesz ode mnie pomocy medycznej... wspomnij swoją poranną gorączkę i pigułkę, którą ci podałem... może powinieneś spojrzeć łaskawszym okiem na mój plan.

- Na czym on polega?

- Obmyślimy go razem, przyjacielu.

Uśmiech zniknął z ust Wentzlera.

- Drogi Klausie, owszem, dziękuję za pigułkę. Rzeczywiście postawiła mnie na nogi. Co takiego mi podałeś, chininę? Zaiste wiązę swoje ataki gorączki z malarią. Yayomi nie zdołali mi pomóc swoimi

84

ziołami, czyli musi to być przypadłość pochodząca spoza ich świata. Na szczęście dla nich, jeśli się nie mylę, malaria nie jest zakaźna. Jeżeli znów poczuję osłabienie i dreszcze, wystarczy, że pofatyguję się do twojej pięknej torby i wezmę kolejną pigułkę. Bo chyba przysięga Hipokratesa zobowiązuje cię, jako lekarza, żeby mnie leczyć wszystkim, co masz na podorędziu.

- Może zobowiązuje, a może nie. Tylko ja decyduję, jak zadysponować swoimi środkami medycznymi. Powiedz mi, Gerhardzie, znasz portugalski w mowie albo piśmie?

- Nie - odparł, wyraźnie zaskoczony.

- Bo wszystkie moje lekarstwa pochodzą z Brazylii i mają stosowne ulotki. W torbie znajduje się mnóstwo pigułek, w tym wiele do siebie podobnych. Bez konsultacji lekarza nie odróżnisz uzdrawiających od zabijających.

Wentzler parsknął śmiechem, a potem jakby uszło z niego powietrze. Odniosłem wrażenie, że jego kościste, nagie ciało zapadło się w powłocę skórnej. Nawet członek jakby mu się zmniejszył.

- Trzeba ci wiedzieć - odezwał się po chwili milczenia, patrząc na sakwojaż, który warował niczym czarny pies u boku Klause - że Yayomi uważają twoją torbę za

żywe stworzenie.

- Żywe? Jak to?
- Powiedzieli mi, że gdy Waneeri... to ten jegomość po twojej lewej o czujnym spojrzeniu... włożył rękę do torby, coś go ugryzło. Uznał więc, że torba, która ma w środku zęby, musi być żywa.
- Widocznie skaleczył się o niezabezpieczony skalpel.
- Zapewne, ale zarówno dla niego, jak i dla pozostałych torba stanowi ucieleśnienie zła lub, jeśli wolisz, czarnego demona. Sprawujesz nad nim magiczną władzę, albowiem nawet jej nie musiałeś dotknąć, żeby ugryzła Waneeriego. Masz potężną moc, panie doktorze. Doceń, że wcale nie musiałem mówić ci o potężnej broni, którą dysponujesz, ale powiedziałem. Dlaczego? Żebyś zrozumiał, iż mimo wszelkich różnic, jakich się między nami dopatrujesz, również jestem białym człowiekiem, twoim rodakiem, Niemcem, dlatego irytują mnie wszelkie sugestie twoje i twojej żony, jakobym pozostawał w zmowie z Yayomimi.

85

- Takie sugestie bynajmniej nie padły.
- No to aluzje - uściślił Wentzler.
- Chciałem tylko zaproponować - rzekł Klaus - żebyśmy zwarli szyki, bo tak samo chcemy się stąd wydostać. Moja rodzina i ja skorzystamy z twojej znajomości zwyczajów tubylców, tobie natomiast przyda się pomoc czterech delfinów, które stropiły, a może trochę przeraziły miejscowych. Przyznasz, że łączy nas symboliczna więź.
- Może.

Wentzler nadal jednak nie miał najszcześniejszej miny.

W shabono zapadał zmrok, gdzieniegdzie zapłonęły ogniska niczym żółte kwiaty rozkwitłe w ciemnościach. Przez wielki okrągły otwór w dachu wpadało nieco światła z nieba, a także z kilku chmur maźniętych na zachodnich obrzeżach złotem, lecz niebawem wszystko zgasło, nad naszymi głowami czerń zajęła miejsce szarości i ukazały się gwiazdy. Otwór przypominał teraz aksamitny worek obsypany okruchami szkła, aż przeszły mnie ciarki.

Po jedzeniu Yayomi zaczęli odchodzić do swoich hamaków, rozmawiając między sobą. Wreszcie przestali na nas zwracać uwagę, bo ile można bez znużenia patrzeć na delfiny? Szykowali się do snu. Krzątania ustała, dziesiątki słabo widocznych osób kładło się do hamaków. Niektórzy lekko się bujali, ale większość leżała bez ruchu. Klaus z mamą zajęli te same hamaki co przedtem. Ja z Zeppim też ruszyliśmy do swojego. Najpierw ułożył się Zeppi, po nim wszedłem ja.

Zobaczyłam, jak Noroni z synem i córką kładą się niedaleko nas na ziemi, i poczułem wyrzuty sumienia, że zajęliśmy im hamaki. Chyba jednak było im dość wygodnie, Noroni nawet pochrapywał. Nigdy nie spotkałem przy nim żony, wyłącznie dzieci. Chłopca ledwo teraz widziałem, a córka jeszcze nie spała. Trudno było po ciemku ocenić jej wiek, a wcześniej nie zwróciłem na nią uwagi, tylko zauważyłem nagi biust, bo na wszystkie kobiety patrzyłem pod tym kątem. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy ma ładne piersi, bo tyle ich zobaczyłem naraz, a teraz i tak niewiele mogłem dojrzeć. Opierała się o największy słup i przysiągłbym, że mi się przygląda. Leżałem na waleta z Zeppim i czekałem, aż przestanie się wiercić. Dziewczy-

86

- Takie sugestie bynajmniej nie padły.
- No to aluzje - uściślił Wentzler.
- Chciałem tylko zaproponować — rzekł Klaus - żebyśmy zwarli szyki, bo tak samo chcemy się stąd wydostać. Moja rodzina i ja skorzystamy z twojej znajomości zwyczajów tubylców, tobie natomiast przyda się pomoc czterech delfinów, które stropiły, a może trochę przeraziły miejscowych. Przyznasz, że łączy nas symboliczna więź.
- Może.

Wentzler nadal jednak nie miał najszcześniejszej miny.

W shabono zapadał zmrok, gdzieniegdzie zapłonęły ogniska niczym żółte kwiaty rozkwitłe w ciemnościach. Przez wielki okrągły otwór w dachu wpadało nieco światła z nieba, a także z kilku chmur maźniętych na zachodnich obrzeżach złotem, lecz niebawem wszystko zgasło, nad naszymi głowami czerń zajęła miejsce szarości i ukazały się gwiazdy. Otwór przypominał teraz aksamitny worek obsypany okruchami

szkła, aż przeszły mnie ciarki.

Po jedzeniu Yayomi zaczęli odchodzić do swoich hamaków, rozmawiając między sobą. Wreszcie przestali na nas zwracać uwagę, bo ile można bez znużenia patrzeć na delfiny? Szykowali się do snu. Krzątania ustala, dziesiątki słabo widocznych osób kładło się do hamaków. Niektórzy lekko się bujali, ale większość leżała bez ruchu. Klaus z mamą zajęli te same hamaki co przedtem, (a z Zeppim też ruszyliśmy do swojego. Najpierw ułożył się Zeppi, po nim wszedłem ja.

Zobaczyłam, jak Noroni z synem i córką kładą się niedaleko nas na ziemi, i poczułem wyrzuty sumienia, że zajęliśmy im hamaki. Chyba jednak było im dość wygodnie, Noroni nawet pochrapywał. Nigdy nie spotkałem przy nim żony, wyłącznie dzieci. Chłopca ledwo teraz widziałem, a córka jeszcze nie spała. Trudno było po ciemku ocenić jej wiek, a wcześniej nie zwróciłem na nią uwagi, tylko zauważyłem nagi biust, bo na wszystkie kobiety patrzyłem pod tym kątem. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy ma ładne piersi, bo tyle ich zobaczyłem naraz, a teraz i tak niewiele mogłem dojrzeć. Opierała się o największy słup i przysiągłbym, że mi się przygląda. Leżałem na waleta z Zeppim i czekałem, aż przestanie się wiercić. Dziewczy-

86

na nie odrywała ode mnie wzroku, ale mnie już zaciążyły powieki. Gdzieś zakwiliło niemowlę, umilkło. Wyobraziłem sobie, że matka uciszyła je, przystawiając do cyca. Kiedy zamknąłem oczy, wszystko mi uleciało z głowy. Słyszałem bzyk komarów, które mi jednak nie dokuczały, i zrozumiałem, dlaczego Yayomi wieszają hamaki tak blisko ognia. Dym niczym delikatne palce muskał mnie po twarzy, wdzierał się do nosa, jakby chciał mi się wwiercić do mózgu. Te zgrabne paluszki, grzebiąc tam, wykryłyby, co myślę, może nawet zmieniły mój tok myślenia, przesuwając w palcach wybraną bryłkę szarej materii albo pocierając jedną

0 drugą, żebym nie mógł odróżnić, czy te myśli pochodzą od codziennego mnie, czy też z głębi mrocznego umysłu, którego wytwory nigdy nie widziały światła dziennego. W samym środku umysłu znajdowała się tajemna czeluść pełna mrocznych myśli, czekających na odkrycie i wypuszczenie.

Co ze mnie za idiota, pomyślałem. Widocznie tak mnie otumanił ten dym. Nareszcie

zapadłem w sen, ale przedtem jeszcze podniosłem Żelazny Krzyż i ułożyłem go sobie na piersi, ostry wprawdzie

1 kanciasty na brzegach, lecz przy tym ciepły i krzepiący.

Rozdział 5

Z początku wydawało mi się, że profesor Wentzler zazdrości nam zainteresowania w oczach Yayomich, ale dopiero Klaus wyjaśnił mi sytuację.

- My również stanowimy przedmiot jego badań - wyjawiał mi w zaufaniu. - Siedzi, co się dzieje między nami a Indianami. Albo obserwuje, jeżeli bardziej odpowiada ci takie określenie. Pragnie się przekonać, czy spotkanie ludu prymitywnego z ludźmi cywilizowanymi przyniesie wzajemny szacunek, rozlew krwi, czy też jedno i drugie.

- Nie wyrządzą nam krzywdy, bo uważają nas za delfiny.

- Erichu, z tego, co mi wiadomo, Indianie jedzą delfiny, kiedy je złapią.

Już cztery dni spędziliśmy w shabono. Chodziłem w samych sandałach i szortach, Klaus podobnie. Obaj bardzo opaliliśmy się od pasa w górę. Po wewnętrznej stronie ramienia dostrzegłem niewielki trwały tatuaż SS. Widząc na sobie mój wzrok, Klaus skomentował:

- Gdyby Żydzi zobaczyli tę moją małą pamiątkę z przeszłości, miałbym się z pyszna.

- Dlaczego?

- Bo zdradza moją przynależność do Waffen SS. Nikt nie dokuczył Żydom bardziej od nas. To myśmy zgarniali ich i przesiedlali. Nie wybaczą nam nigdy albo jeszcze przez wiele pokoleń.

Siedzieliśmy w porannym słońcu nad rzeką i patrzyliśmy na jej leniwe nurty. Czasem zdawało mi się, że przepływa kajman, lecz gdy się zbliżył, okazywało się, że to tylko pień drzewa. Wentzler powie-

88

dział nam, że w tej okolicy nie ma kajmanów, dlatego Yayomi tu się właśnie osiedlili.

- Dlaczego Żydzi tak się bronili przed przesiedleniem?

- Bo woleli sami wybierać ziemię, na których osiadą. Wszyscy chcą wrócić do

Palestyny i zamieszkać tam razem jak w Starym Testamencie. Ale to marzenie ściętej głowy. Trzeba ich więc było zaganiać siłą. Boże, jak mi brakuje papierosów.

- I fiki.

- Niech Herr Manokwo się nią nacieszy. Po co mi fika bez papierosów?

Widziałeś, co z nią zrobił? Ten prostak przewiercił sobie dziurę w przegrodzie nosowej i tam ją sobie wetknął. Wyobrażasz sobie, jaki musiał znieść ból? Twarz jest wyjątkowo obficie unerwiona. Wszystkie nerwy są bardzo wrażliwe. To ludzie rodem z epoki kamiennej.

Obserwowaliśmy płynącą wodę. Przeciwny brzeg znajdował się co najmniej sto metrów od nas i stanowił ścianę zielonej dżungli, podobnie jak po naszej stronie. Obok śmignęło stado żółto-zielonych papug. Obiecywałem sobie złapać jedną na własność, ale kiedy Zeppi powiedział, że też chce, zrezygnowałem. Papuga, co i jedna, to i druga!

- Chyba widzisz, Erichu, że twoja mama jest nieszczęśliwa.

- Zauważyłem. Od świtu do nocy tylko pilnuje Zeppiego. Inna sprawa, że ten mały samolub uwielbia wszelkie zainteresowanie.

- Przestań! W końcu to twój brat, nawet wykazuje trochę niedojrzałości.

- Trochę? Zachowuje się jak maminsynek, a mama nie pozwala mu nawet samemu zdjąć koszuli. Wiem, że by chciał, ale ona mu nie pozwala.

- Helga pozwoli Zeppiemu dorosnąć, kiedy sama poczuje się szczęśliwa, co nastąpi dopiero, kiedy uciekniemy stąd i wrócimy do naszego świata. Szuka zapomnienia w synu, żeby oderwać się od codzienności. Przyznaję, że to nie jest zdrowa sytuacja.

Prowadziliśmy dorosłą rozmowę. Klaus pokładał tak dużą wiarę w moją inteligencję, że powierzył mi nawet trudną prawdę o mamie. Bardzo nas to zbliżyło. Chciał przybliżyć mi różne tematy, począwszy od wielkich kwestii historycznych dotyczących Żydów, a skończywszy na bardziej osobistych sprawach, jak na przykład nieszczęście

89

mamy. Mimo że trwał ich miesiąc miodowy, nie mieli, przynajmniej według mojego

rozeznania, ani chwili dla siebie. Snułem domysły, czy już poszli razem do łóżka lub raczej, skoro najbliższe łóżka znajdowały się setki kilometrów od nas, czy nie wymknęli się na wzór Yayomich cichaczem do dżungli.

Nawet tego ranka widziałem pary wychodzące razem do lasu i od razu poznałem po ich minach, że zamierzają to robić, gdy tylko zej -dą ludziom z oczu. Wyobrażałem sobie, że robią to na stojąco bądź oparci o drzewo, bo na ziemi albo jest za twardo, albo w czasie suszy kłują suche gałązki i liście, albo po deszczu można utonąć w błocie. Nazajutrz miałem zamiar ich wysledzić. Chyba najchętniej robili to rano. Musiał to być miejscowy zwyczaj, bo większość ludów cywilizowanych robi to w nocy, pod osłoną ciemności.

Dużo myślałem o Awomay, córce Noroniego. Była prześliczna, miała najbielsze zęby, jakie widziałem w życiu, wielkie piwne oczy i wyjątkowe piersi, w sam raz dla mnie, nie za duże, nie za małe, no i zawsze odsłonięte. Z początku ich nie zauważyłem, bo najpierw zwróciłem uwagę na trzy rzeźbione pałeczki, wbite w trzy otwory w twarzy, dwa po obu stronach ust i jeden tuż pod dolną wargą. Kiedy zobaczyłem te pałeczki po raz pierwszy, zastanawiałem się, czy przy ich wbijaniu czuła ból. Ale kiedy przeniósłem wzrok na jej figurę, zapomniałem o ozdobach w twarzy.

Widziałem, że zauważyła mój wzrok na sobie, bo teraz częściej niż w poprzednich dniach pokazała mi w uśmiechu białe zęby. Jej najbliżsi zrobili sobie nowe hamaki z rozszczepionych włókien roślinnych, z których kobiety wyplatały różne przedmioty. Trzy nowe hamaki zawisły obok starych, w których położyli nas, toteż rodzina Noroniego nie odstępowała nas w nocy, a przez większość dnia zresztą też. Czasem mężczyźni wychodzili na polowanie z łukami i dmuchawkami, ale najczęściej objali się tylko w shabono, gawędząc ze sobą Bóg wie o czym. Nie wykluczam, że o nas, delfinowych gościach.

- Ona rzecz jasna - powiedział Klaus - wini mnie za wszystko, odkąd byłem na tyle głupi, żeby przyznać, iż mogliśmy dotrzeć do nowego pola naftowego Zameksu parostatkiem. Gdybyśmy wybrali ten środek transportu zamiast samolotu, już bylibyśmy na miejscu, ja

leczyłbym nafciarzy, a twoja mama przygotowywałaby w pawilonie firmy kolację. Muszę przyznać, że się nie myli.

- Przecież nie mogłeś wiedzieć, że samolot spadnie.
- Ale spadł, trafiliśmy tutaj i twoja matka jest teraz bardzo niezadowolona.
- Czyli musimy stąd uciec.

Klaus podniósł z ziemi kamyczek i wrzucił do wody. W miejscu, w którym wpadł z cichym pluskiem, rozeszły się kręgi, które następnie porwał i uniósł prąd. Za ledwie trzy sekundy później trudno byłoby poznać, gdzie wpadł.

- Uciec, ale jak? Wentzler jasno nam wyłożył, że nie ma wpływu na tych ludzi. Sam nie wie, kiedy będzie chciał stąd odjechać, żeby napisać swoją wymarzoną książkę.

Wtem coś mnie tknęło.

- Wentzler wcale nie chce stąd wyjeżdżać - powiedziałem. - Dlatego nie obchodzi go, że nie chcą go przeprowadzić przez terytorium Iririch aż do Orinoko.
- Dlaczego tak uważasz?
- Tak mi podpowiada intuicja - przyznałem. - Może jest przestępcą, na przykład mordercą, i trafił tutaj, uciekając przed policją, a nie dlatego, że bada zwyczaje Yayomich. Co tu jest do badania? Jedzą, polują, zdobywają pożywienie, śpią...
 - I rozmnażają się. Zgadza się, że wiodą bezcelową egzystencję, ale istnieją ludzie, których takie prymitywne kultury szczerze interesują. Wentzler, rzecz jasna, nie przyznałby mi racji. Rozmawiając z nim wczoraj, wyraziłem opinię, że ci Indianie bardzo się od nas różnią. Poderwał się... a wyobraź sobie, jak ten człowiek prostuje się i patrzy na mnie z góry... by powiedzieć: „Yayomi są tacy sami jak ty czy ja, tyle że nie mają metalu”. Wyobrażasz sobie głupsze stwierdzenie? Tacy sami! Jeszcze nie tak dawno temu wmawiał mi, jak bardzo się od nas różnią. Chodzący kłębek sprzeczności.
- Bo nie jest żadnym antropologiem, za jakiego się podaje, tylko mordercą!

Przyjechał tu, żeby ukryć się przed światem i uniknąć kary.

- Tak sądzisz?

- Idę o zakład.

91

- Nie masz o co się zakładać, co najwyżej o Krzyż Żelazny, a z nim pewno nie chciałbyś się rozstawać.

- To nie jest mój Krzyż Żelazny, lecz taty. Po prostu go dla niego przechowuję. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. Przecież tata mi go podarował, jeszcze na kilka miesięcy przed śmiercią. Na pewno więc krzyż pozostawał moją własnością, odkąd zrzuciłem koszulę, wyciągnąłem długą zieloną wstążkę, obciąłem kawałek i zawiesiłem go na szyi. Nosiłem go z dumą, a Yayomim oczy wychodziły na wierzch. Czasem zatrzymywali mnie i brali go w palce. Zamierzałem podarować dłuższy kawałek wstążki Awomay, tak jak Amerykanie w moim kraju dawali kobietom w prezencie czekoladę albo pończochy nylonowe, żeby się rozebrały i poszły z nimi do łóżka. Nosiłem zieloną wstążkę złożoną w kieszeni szortów i czekałem stosownej chwili, żeby olśnić Awomay i dać się zaciągnąć do dżungli na miłość na stojąco.

- Erichu, na twoim miejscu nie dzieliłbym się z nikim taką teorią. Na razie jesteśmy zdani na łaskę Wentzlera.

- Zgoda, ale nie zmienię zdania na jego temat.

- Nikt ci nie każe. - Wrzucił następny kamyk do wody. - Gdybym miał papierosa, nie obchodziłoby mnie, czy jest mordercą.

Nie wzięłem jego słów poważnie.

Po południu szedłem przez środek shabono nieosłonięty dachem, kiedy zawołała mnie mama:

- Erichu, chodź no tu!

Stał przy niej Zeppi, z góry wiedziałem, w czym rzecz. Podeszedłem. Mama rzadko wychodziła z shabono, chyba że chciała się załatwić, ale nie korzystała ze zbiorowej latryny. Yayomi mieli w tej dziedzinie dobry pomysł. Wszyscy wypróżniali się do rzeki nieco poniżej shabono, a rwący nurt natychmiast unosił nieczystości. Leżało tam zwalone do wody długie, proste drzewo. Wystarczyło wejść na nie kilka kroków

i kucnąć nad wodą. Sęki pozostałe po przegniłych gałęziach dobrze służyły za uchwyty, których można się było przytrzymać, żeby nie fiknąć kozła do wody. Jeżeli chodzi o oddawanie moczu, wszyscy siusiali wszędzie, byle nie na najbardziej uczęszczanych ścieżkach przecinających okolicę

92

między shabono, gajem bananów rajskich a rzeką. Załatwiano się tu na oczach innych. Po jednym dniu uznałem ten zwyczaj za naturalny. Mama jednak nie chciała się załatwiać przy innych. Chodziła za potrzebą do dżungli. Słyszałem, jak Klaus jej radził, że gdy wejdzie między wrony, musi krakać jak i one. Ale mama powiedziała, że ani myśli przyjmować tak barbarzyńskich zwyczajów, choćby dlatego, że w okolicy nie uświadczysz ani jednej wrony, same papugi. Wysunęła zatem argument z zakresu przyrody, a nie wydalania, ale trudno ją było przekonać do czegokolwiek.

- Erichu, Zeppi musi iść na stronę.

Zeppi stał obok z zawstydzoną miną i kopał czubkiem sandała w ziemi.

- To niech idzie - powiedziałem.

- Chce, żebyś go tam zaprowadził.

- Przecież wie, gdzie jest to drzewo. Prowadzałem go tam wiele razy.

- Ale on chce, żebyś mu towarzyszył. Nie sprzeczasz się ze mną. W tym nawale kłopotów mógłbyś mi oszczędzić nieposłuszeństwa. Braterstwo zobowiązuje.

- Mam wysadzać go jak niemowlaka?

Wymierzyła mi siarczasty policzek.

- Jak śmiesz z niego drwić!

- Nieprawda! Wcale nie drwię. Powinien iść sam.

Byłem bliski łez. Nie pamiętam, kiedy mama ostatnio mnie uderzyła, ale dostałem wtedy tylko klapsa w pupę za jakiś sztubacki wybryk. Tym razem zabolalo znacznie bardziej, ale nie zamierzałem dać jej poznać jak bardzo. Całą scenę widzieli również Yayomi stojący nieopodal. Nie chciałem, żeby poznali, jak mnie to wytrąciło z równowagi.

- No chodź - rzuciłem Zeppiemu i ruszyłem przed siebie.

Wyszedł ze mną z shabono, deptając mi sandałami po piętach, jakby dosłownie strugał marchewkę.

- Przestań! Idź obok mnie, ty idioto!

- Jak będziesz mnie przezywał, powiem mamie.

- Mów sobie, co chcesz. Ostatni raz biorę cię do tego drzewa, jasne? Czemu ty wiecznie zachowujesz się jak dzieciak? Masz dwanaście lat i nie możesz sam pójść się wysrać? Śmiechu warte!

93

- Mama powiedziała...

- No co powiedziała? Wyduś wreszcie z siebie.

- Powiedziała, żebym nie naśladował w niczym tych brudasów.

- Brudasów? Chodziło jej o Yayomich?

- Nie wiem.

Powiedział to tak płaczliwie, że minęła mi cała złość, wręcz zrobiło mi się go żal.

- Zrozum, że nie jesteś przywiązany do mamy niewidocznymi sznurkami. Nie musisz przez cały dzień siedzieć w jej cieniu. Powinieneś wyjść trochę na dwór, łyknąć świeżego powietrza, popływać tak jak ja. I ściągnij, na miłość boską, koszulę! Nie możesz czuć się w niej swobodnie, zresztą i tak śmierdzi, bo nigdy nie zdejmujesz jej z grzbietu. Jeśli chcesz wiedzieć, jedzie od ciebie jak Ormianinowi spod pachy... od mamy zresztą też.

Zeppiego zatkało. Za życia taty nie wolno było otwarcie krytykować mamy. Po jego śmierci z szacunku również trzymaliśmy się tej zasady.

- Mama też powinna się wykąpać - powiedziałem. - Wszyscy się kąpią i dlatego nie śmierdzą.

- Dawniej ci śmierdzieli.

- Ale zmieniłem zdanie.

Kiedy podeszliśmy do drzewa, korzystała z niego jakaś kobieta. Gdy już się załatwiła i wróciła po pniu na brzeg, wszedł na nie Zeppi. Nie sunął jednak prosto, ufnie tak

jak ona, lecz pomaleńku, centymetr po centymetrze, na czworakach. Stanowił oplakany widok. W połowie drzewa odwrócił się i zaczął zsuwać szorty do kostek, trzymając się jednocześnie sęka. Kiedy skończył, zawołał:

- Nie patrz.

Odwróciłem głowę. Patrzyłem na drzewa i zacząłem się zastanawiać, czy jestem szczęśliwy, czy przygnębiony. Codzienna kąpiel pomagała mi zachować radość, bo utrzymywałem czystość, ale nie robiłem tego na oczach Yayomich. Może mama poczułaby się lepiej, gdyby rozebrana do naga porządnie się umyła, ale wiedziałem, że się na to nie zdobędzie. Zasłaniała się strachem przed węzami wodnymi, lecz chyba jeszcze bardziej nie chciała się obnażyć przed Yayomimi. Poprzedniego dnia podsłuchiłem jej rozmowę z Klausem. Skarżyła

94

się na Wentzlera za to, że nie zasiania golizny, niepomny na bliską obecność białej kobiety. Klaus odparł, że ma prawo chodzić nago, jeśli chce wyglądać jak Indianin. Mama się nie zgodziła. Nie mogłem jej poprzeć w sprawie golizny, bo sam rozważałem, czy następnym razem po wyjściu z rzeki nie powstrzymać się od włożenia szortów.

Już zrezygnowałem z koszuli i majtek. Pewnego dnia zostawiłem je po prostu w hamaku. Po godzinie zobaczyłem swoją koszulę zawiązaną rękawami w pasie pewnej kobiety, okrywającą jej tyłek, a majtki na głowie Kwaytchy, brata Awomay. Wyglądał jak szkolny głupek, który wsadza sobie majtki na głowę, żeby rozśmieszyć kolegów, ale Yayomim najwyraźniej się podobał. Był mniej więcej w moim wieku, a co ważniejsze, był bratem Awomay, dlatego jak najbardziej pozwoliłem mu zachować majtki.

Wentzler już nas uprzedził, że wszystko, co zdejmujemy z siebie bądź wypuścimy z rąk (za wyjątkiem demonicznej, budzącej strach torby Klausa), natychmiast przejdzie na wspólną własność, i tak się stało z moimi ubraniami, lecz jak powiadam, nie przejąłem się. Zamierzałem zostawić również szorty, żeby Kwaytcha albo ktoś inny je ukradł, bo mógłbym wtedy chodzić nago i czuć się swobodniej. Nie-prane szorty obcierały mnie w pachwinach i w kroku. Nie było sensu nosić ich wśród nagusów.

Mama, oczywiście, nie przyznałaby mi racji.

Usłyszawszy plusk, odwróciłem się. Zeppi spadł z drzewa i młócił rękami wodę.

Umiał pływać, dlatego nie widziałem powodu do obaw, a był tylko kilka metrów od brzegu. Wymacał nogą dno rzeki i teraz brodził w kierunku brzegu, a brudna koszula kleiła mu się do ciała. Kiedy patrzyłem, jak przemierza mieliznę, znów przyszło mi do głowy słowo, które ostatnio bardzo zaprzętało moją uwagę — cycki. Mój brat miał cycki. Widziałem je wyraźnie pod mokrą koszulą oblepiającą mu tors niczym druga skóra. Zeppi miał cycki. Wprawdzie niewielkie, ale miał. Kiedy patrzyłem, jak ociekając wodą, zawstydzony, gramoli się w końcu na brzeg, pojąłem, dlaczego mimo upału, duchoty i brudu nie zdjął dotąd koszuli. Nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył jego cycki!

Omam nie wpadłem w popłoch. Czyżby mój brat był dziewczyną? Niemożliwe!

Przecież kiedy byliśmy mali, raz na jakiś czas widywałem jego ptaszka, trudno więc, żeby mu odpadł i zamienił się

95

w szparkę. Ale oto na własne oczy zobaczyłem, że ma cycki. Zeppi też się zorientował, że je zauważyłem, bo zasłonił się, jak ktoś, kto dygocze z zimna. Stał i patrzył na mnie, a ja na niego i nie wiedziałem, co powiedzieć. W końcu ruszył w stronę shabono. Kiedy odszedł kilka kroków, zawołałem za nim:

— Zdejmij koszulę! Szybciej wyschnie!

Puścił moją uwagę mimo uszu.

Kiedy zniknął mi z oczu, ruszyłem przed siebie wzdłuż rzeki, żeby przemyśleć różne sprawy. Jak to możliwe, że przedtem nie zauważyłem piersi Zeppiego? Czyżby wyrosły mu niedawno? Niewykluczone, zważywszy że miał dwanaście, prawie trzynaście lat. Właśnie w tym wieku dziewczynom rosną włosy łonowe i cycki. Tyle że on nie był dziewczyną! O co chodziło? Nie były to jedynie wałki tłuszczu, zresztą cały nie był gruby. Nie były to również piersi tłuściocha, lecz babskie cycki. Jak to możliwe?

Młodzi Yayomi kapali się tam, gdzie zawsze. Na mój widok zaczęli wołać:

— Eri! Eri!

Wentzler uprzedził mnie, że potrafią wymówić twardy dźwięk na początku słowa, lecz nie na końcu, a w ogóle unikają twardych dźwięków w imionach, dlatego moje imię w ich ustach brzmiało Eri, Klaus wymawiali jako Klau, Helga jako Helia, a Zeppi jako... Zeppi. Jak się lepiej zastanowić, mój brat miał doprawdy barbarzyńsko brzmiące imię. Wśród tuzina kąpiących się wypatrzyłem Kwaytchę. Wyróżniał się z daleka, bo na głowie miał zawiązane moje majtki, dopóki nie ściągnął mu ich jeden z kolegów, co dało początek zabawie w majtkowego berka. Awomay też się z nimi kąpała i wtedy powziąłem decyzję - koniec z prywatną kąpielą!

Zdjąłem szorty. Stałem nago, w samym Krzyżu Żelaznym na szyi, przed dziewczyną, której pożądałem. Ciało mam niezłe. W szkole byłem dobry z gimnastyki, członek też miałem chyba odpowiednich rozmiarów, bo podpatrywałem rówieśników w szatni pod prysznicem. Joachim Kirst wprawdzie mógłby zakasować nas wszystkich, ale kiedy próbował nam zaimponować, nabijaliśmy się: „Mógłbyś się pieprzyć tylko ze słonią”, co naszego szpanera doprowadzało do szału. Pod

96

prysznicem zawsze czuiem się fatalnie ze względu na członek obrzezany na żydowską modłę. Za każdym razem, kiedy mnie o niego pytano, musiałem tłumaczyć, że mój stryj lekarz zalecił ten zabieg ze względów higienicznych, co nie bardzo pomagało, bo zwykle padała odpowiedź: „A co niby Żydzi mogą wiedzieć o higienie?” W Yayomilandzie nie było jednak Żydów, dlatego mogłem odetchnąć z ulgą.

Wiedziałem, że Awomay na mnie zerka, ale się z tym kryje. Wszedłem na głębszą wodę, gdzie wszyscy się zebrali, wciąż rzucając sobie majtki Kwaytchy, po czym dałem nurka stylem delfino-wym. W pływackiej drużynie szkolnej zawsze niezłe sobie radziłem, a przy tym znałem ruchy, których Yayomi nie znali. Wcale, o dziwo, nie pływali dobrze, zwłaszcza jak na ludzi mieszkających nad rzeką, korzystających z wywrotnych kanu. Inna sprawa, że podobno dawni żeglarze nigdy nie nauczyli się pływać wplaw. Yayomi potrafili się utrzymać na wodzie, pływać pieskiem, ale właściwie nie mieli techniki, nie znali stylu klasycznego ani żadnego innego. Mogłem im łatwo zaimponować, prując po falach, zataczając wokół nich kręgi na

wodzie, z Krzyżem Żelaznym podskakującym mi między łopatkami.

Zszedłem pod wodę, przepłynąłem jak najdalej pod powierzchnią i wypłynąłem obok Awomay. Wypuściłem zużyte powietrze i zaczerpnąłem świeżego jak delfin. Na mój widok roześmiała się, a następnie powiedziała coś. Zrozumiałem tylko swoje imię. Jeszcze w niczych ustach imię Eri nie brzmiało tak miło. Kiedy znalazłem się tak blisko i zobaczyłem jej uśmiech, urzekające białe zęby, piersi kusząco podskakujące w wodzie, na pewno świadomie, kiedy usłyszałem swoje imię, mogłem się tylko zakochać. Mówię poważnie. Z płycizny zwykłego pożądania skoczyłem na głębokie wody miłości.

Siedziała obok mnie, śniada, śliczna, absolutnie nieodparta, a ja czułem, że nurzam się we własnej krwi, szemrzącej i pluszczącej niczym prąd elektryczny, aż z tej tęsknoty dostałem zawrotu głowy. Uczucie było tak intensywne, że mnie dosłownie obezwładniło.

I wtedy zobaczyłem, co się dzieje na brzegu. Jeden ze starszych mężczyzn oglądał moje szorty. Wiedziałem, co to znaczy. Jeżeli mu się spodobają, tak jak Kwaytchy moje majtki, to je sobie weźmie. Nie mogłem do tego dopuścić, nie dlatego, żeby zależało mi na szortach,

7 — Biali bogowie

97

lecz z powodu zielonej wstążki, która została w kieszeni. Odwróciłem się od Awomay i rzuciłem wplaw do brzegu.

Wybiegając długimi susami na brzeg, usiłowałem opanować gniew.

- Hej! - zawołałem.

Odwrócił się. Podszedłem, wyciągnąłem rękę po szorty. Z jego miny wywnioskowałem, że nie ma zamiaru ich oddać. Skoro inni wzięli moją koszulę i majtki, dlaczego on miałby nie wziąć szortów?

- Weź sobie - powiedziałem — ale najpierw muszę opróżnić kieszenie.

Zrobił posępną minę, a granatowe znamię na skroni jakby mu pociemniało.

Uśmiechnąłem się, żeby zrozumiał moje dobre intencje, ale nic to nie dało.

Najwyraźniej nie zamierzał się rozstać z szortami. To tak się traktuje chodzącego

delfina, pomyślałem z irytacją, gościa? Mężczyzna według mnie zachował się niegrzecznie, dlatego chwyciłem szorty. Nie puszczał. Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej, ale pociągnąłem mocniej. Wciąż nie puszczał. Inni zaczęli wychodzić z wody, żeby zobaczyć, czym się to skończy. Dyskutowali z ożywieniem. Chodziło o ważną sprawę, spór o szorty delfina.

Szarpnąłem jeszcze raz. Zasyczał na mnie jak wąż. Trzymał szorty mocno, aż mu zagrały mięśnie. Obstał nas tłum. Nie mogłem pozwolić mu odejść z szortami, chociaż najchętniej bym mu je oddał, bo chciałem odzyskać wstążkę. Rozgorzały zawody, który z nas ustąpi. Jeden musiał wygrać, drugi przegrać. Inne rozstrzygnięcie nie wchodziło w rachubę. Powinienem wykonać jakiś krok, żeby ustalić prawo do swojej własności, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Wiedziałem, że przeciwnik jest ode mnie silniejszy, nie mogłem więc podjąć walki wręcz, bo mógłbym przegrać. Z braku przewagi fizycznej musiałem uciec się do rozumu.

- Przepraszam - zwróciłem się do niego, jednocześnie spoglądając za niego i kiwając głową, jak gdyby ktoś tam stał. - Chyba konduktor prosi cię o bilet.

Odwrócił się za siebie. Wtedy owinałem prawą nogę na jego prawej i rąbnąłem go mocno w pierś. Osunął się, puszcżając szorty, żeby zamortyzować obiema rękami upadek do tyłu. Widząc moją przebiegłość, tłum jęknął z zachwytem. Mężczyzna kilka sekund leżał

98

#_1

na ziemi, następnie, sycząc ze złości, zerwał się jak tygrys. Wolnym ruchem magika wyciągającego królika z kapelusza, wyjąłem wstążkę z kieszeni, po czym oddałem mężczyźnie szorty.

— Weź je sobie - powiedziałem. - Bo mnie chodziło tylko o nią.

Rozjuszenie nie pozwalało mu ich przyjąć. Wcisnąłem mu je w pierś, a wtedy automatycznie otworzył ręce i wziął. Gdy tylko dotknął szortów, ja puściłem.

Znalazły się w jego rękach. Nie patrzył na nie, bo wzrok miał utkwiony we mnie.

Gdybym przeciągał sytuację, rozegralibyśmy kolejną walkę, dlatego odwróciłem się i poszukałem wzrokiem Awomay. Podeszedłem i wręczyłem jej wstążkę. Wzięła od

razu, a właściwie porwała tak szybko, że trochę mnie tym uraziła, ale złożyłem jej pośpiech na karb różnic między naszymi kulturami. Wentzler uprzedził mnie, że niektóre zachowania, naturalne dla nas, mogą obrażać Yayomich i odwrotnie. Czyli jej porwanie wstążki wcale nie wyrażało braku grzeczności, lecz radość, że dałem jej tak wspaniały prezent.

Wstążka miała metr długości. Awomay zawiązała ją sobie bez namysłu w pasie, gdzie najchętniej sam bym ją objął. Usłyszałem za sobą szelest. Odwróciłem się, pewny ataku ze strony pokonanego mężczyzny, ale on tylko rzucił szorty i odszedł. Nawet za plecami czułem, że złość mu nie minęła. Odwróciłem się z powrotem do Awomay, ale odeszła już z koleżankami. I znów musiałem sobie przypomnieć, że zwyczaje Yayomich nie przypominają zwyczajów Niemców, a zachowanie wyglądające z pozoru na niewdzięczność po prostu mieściło się w kanonie ich odmienności.

Widziałem, że wstążka jej się spodobała. Nawet byłem poniekąd wdzięczny mężczyźnie, który chciał mi podwędzić szorty, bo gdyby nie ta idiotyczna konfrontacja, przypuszczalnie nie wręczyłbym dziewczynie wstążki. Tyle że zyskałem wroga. Ponadto ów niemiły incydent odsunął ode mnie myśl, która wróciła teraz do mnie ze zdwojoną siłą - mój brat ma cycki.

Gdy po kilku godzinach wszedłem do shabono, Zeppi po powrocie z kąpieli w rzece siedział jak zwykle przy mamie. Mama spojrzała na mnie i jęknęła. Zapomniałem, o dziwo, że jestem całkiem nagi, jeśli nie liczyć krzyża na piersi. Zmierzyliśmy się wzrokiem. Mama z pewnością dojrzała we mnie białego dzikusa. Ja zobaczyłem kobietę

99

z domu wariatów, z brudnymi, rozkudłanymi włosami, w sukience szarej z brudu i potu, a na twarzy malowało jej się przerażenie i irracjonalny lęk. Trudno było powiedzieć, które z nas przeżyło większy wstrząs. Co dziwniejsze, wcale nie czułem wstydu, stojąc nago przed rodzoną matką. Jeszcze poprzedniego dnia nie zdobyłbym się na to. Widocznie coś we mnie pękło.

- Ubierz się! - warknęła.
- Nie mam w co.

- Znajdź swoje ubranie i włóż. I to zaraz!

Próbowała nad sobą panować, nie podnosiła głosu, żeby nie robić sensacji, jak to się mówi, przy ludziach. Zupełnie jakby nakryła mnie pijanego, zataczającego się na ścieżce naszego ogrodu za domem na oczach całej ulicy.

- Mamo, moje ubrania należą teraz do kogo innego.

Nie kłamałem. Zostawiłem szorty nad rzeką. Do tej pory na pewno ktoś je sobie przywłaszczył. Nie dowiem się kto, dopóki nie zobaczę, że nowy właściciel nosi je w dziwnym miejscu.

- To je odzyskaj. Odbierz tym ludziom i włóż.

Nigdy przedtem nie słyszałem jej mówiącej ostrzejszym tonem. Brzmiała śmiertelnie poważnie. Dawniej zląkłbym się tego jej tonu, ale biorąc pod uwagę przedmiot jej żądań oraz fakt, że strój przestał dla mnie cokolwiek znaczyć, poczułem, że stoję na twardym gruncie. Przed chwilą postawiłem się dorosłemu mężczyźnie i teraz nie miałem zamiaru ugiąć się przed mamą. Chodziłem nago na wzór Yayomich, którzy mieli zdrowy stosunek do klimatu i własnego ciała. Mama natomiast zachowywała się głupio. Spełnianie głupich rozkazów świadczy o własnej głupocie. Dlatego nie zareagowałem na jej żądanie.

Mamę opętał demon słuszności, który wstąpił w nią, kiedy w dzieciństwie chodziła z ojcem do kościoła. Dziadek był zagorzałym chrześcijaninem, który chyba by mnie zastrzelił, gdyby zobaczył, że bezwstydnie paradyuję nago przed matką. Tyle że ten demon, mały diabełek, który domagał się zapiętych pod szyję kołnierzyków i hymnów śpiewanych w niedzielę, tutaj nie miał racji bytu. Niech mama hoduje w sobie tego małego demona dobrych manier i przyzwoitego

100

i

wyglądu, niech dotąd karmi go swoim oburzeniem i frustracją, aż pęknie. Przestało mnie to obchodzić.

- Erichu, rób, co ci każe.

- Nie.

- Natychmiast odzyskaj ubrania, na które Klaus się wykosztował, włóż i nie zdejmuj bez mojego zezwolenia.

Ogarnął mnie smutek. Moja kochana mama, która tak dbała o Zeppiego i o mnie, przeżyła śmierć męża, wykazała się sercem i męstwem, gdzieś zniknęła, a jej miejsce zajęła wariatka, którą teraz miałem przed sobą, poważna i surowa niczym higienistka szkolna z wąsami na górnej wardze, budząca trochę strach, lecz niemająca żadnej władzy poza izolatką cuchnącą środkiem odkażającym. Nie poznawałem jej. Była całkiem inną kobietą, co właśnie nagość pozwoliła mi zobaczyć bez obsłonek. To wszystko musiało mi się malować na twarzy, co zinterpretowała z gruntu błędnie jako moją słabość, zażenowanie.

- No właśnie - powiedziała z uśmiechem. - Wstydzilibyś się! Chodzisz jak dzikus. Gdzie twoja przyzwoitość? Zapomniałeś, kim jesteś? Natychmiast się ubierz. Chciałem jej wytłumaczyć, że jej dotychczasowy, żarliwie wyznawany światopogląd tutaj nie przedstawia żadnej wartości, a przedmioty przewiezione w kufrach przez ocean z dalekiego kraju o innych obyczajach nie znajdują zastosowania. Mama nadal mieszkała myślami w tych walizkach, które teraz spoczywały na dnie rzeki w luku samolotu. Sama nurzała się w bezsensownych zwyczajach, ale w jej oczach to ja tonąłem w błocie barbarzyństwa.

Rozejrzałem się za Klausem, bo tylko on mógł przemówić jej do rozumu, ale nigdzie go nie znalazłem. Nie widziałem go od naszej porannej rozmowy na brzegu.

- Rób, co ci każę.

Zeppi stał za nią w cieniu, przerażony jej zachowaniem.

- Mamo, odkryłem dziś coś dziwnego.

- Twoje odkrycia są funta kłaków warte! Pozostań wierny sobie, swoim korzeniom... i porzuć tę straszliwą nową modę.

- Sprawa nie dotyczy mnie, ale Zeppiego.

- Zeppiego?

101

- Mamo, Zeppi ma piersi. Widziałem na własne oczy.

Odwróciła się do mojego brata.

- Zdjąłeś koszulę?

Wystraszony, pokręcił energicznie głową.

- Nie zdejmowałem.

- Zobaczyłem je, kiedy wpadł do rzeki - wyjaśniłem. - Przemokła mu koszula i wtedy zobaczyłem. Co to znaczy?

Odwróciła się do mnie, blada jak papier pod powłoką brudu i sadzy.

- Nic nie znaczy. Słyszysz?

- Przecież Zeppi jest chłopcem... Nie może mieć piersi jak dziewczyna.

- Zamilcz! Ani słowa więcej!

Zdenerwowała się, teraz już nie moją nagością, lecz tym, że widziałem cycki Zeppiego, co znaczy, że musiała wiedzieć i nad nimi ubolewać. Zresztą która matka ucieszyłaby się, że jej syn ma cycki? Nie wiedziałem, co powiedzieć. Mama rozglądała się po shabono, strzelając na wszystkie strony oczami, przez co wyglądała jeszcze bardziej jak szalona.

- Proszę cię, nie mów Klausowi. I żeby się, broń Boże, nie dowiedział Wentzler.

Zaklinam cię, dla dobra Zeppiego. Obiecuj, że nie powiesz.

- Obiecuję.

- Daj słowo honoru.

- Słowo honoru.

Zmierzyła mnie wzrokiem, odwróciła oczy.

- Dlaczego mi to robisz?

- Tak jest mi chłodniej i wygodniej. Mamo, w tym nie ma nic zdrożnego.

- Nie poznaję cię. Zmieniłeś się.

Miała rację, ale wiedziałem, że jeśli przytaknę, jeszcze ją bardziej rozgniewam, dlatego przemilczałem. Mama jakby oklapła, wróciła na swój hamak, wbiła wzrok w klepisko pod sandałami. Ja miałem na nogach swoje, których nie zdejmowałem nawet podczas kąpieli, ze strachu wszczępionego mi przez mamę od dziecka przed odłamka-

było odłamków. Następnym razem przyrzekłem sobie pływać bez sandałów, które odtąd zamierzałem zdejmować na tak długo, jak długo bez nich wytrzymam, żeby zahartować sobie stopy na wzór Yayomich. Będę tylko musiał zawiązywać je sobie na szyi, żeby nikt ich nie ukradł, dopóki podeszwy stóp mi nie stwardnieją. Daleko mi było do Indian, ale nawet ten stopień mojego upodobnienia się irytował mamę.

- Gdzie jest Klaus? — spytała. - Dlaczego go tu nie ma?

Rozejrzałem się za czarną torbą.

- Poszukać go?

- Bardzo cię proszę, bo jestem zanadto zmęczona.

Osunęła się na hamak i leżała jak nieboszczka, wpatrzona w liściastą strzechę nad głową. Zeppi wodził oczami między nią a mną. Ciekawe, od jak dawna zabraniała mu odsłaniać tors. Chyba od niedawna, bo jeszcze zeszłego lata widywałem go w samych spodniach piżamowych, podczas parnych nocy, kiedy przez otwarte okna słuchaliśmy do rana świergotu cykad. Czyli musiała to być niedawna sprawa. Pewno przyszedł do niej we łzach, pytając, co mu wyrosło. Biedny braciszek. I co teraz? Mama leżała z zamkniętymi oczami. Przywołałem gestem Zeppiego, który wyszedł ze mną z shabono, żeby poszukać Klausea. Zajrzeliśmy do gaju plantanów, ale nie znaleźliśmy go ani tam, ani nad rzeką. Policzyłem łodzie kanu, podejrzewając, że mógł ukraść jedną i nas porzucić, ale kiedy zobaczyłem wszystkie osiem, zawstydzilem się swoich niecnych posądzeń. Co nie zmienia faktu, że zniknął tajemniczo.

Po drodze spotkaliśmy Wentzlera, którego najwyraźniej zdumiała moja nagość.

- Patrzcie, państwo! I co? Pogodziłeś się z nieuchronnością, młody człowieku?

Ciekawe, czy z czasem reszta rodziny pójdzie w twoje ślady.

- Nie sądzę, Herr Wentzler. Nie widział pan Klausea? Mama go szuka.

- Właśnie odbyłem długą rozmowę z twoim ojcem. Jest tu niedaleko. Idź prosto tą ścieżką, a go znajdziesz. A ty - zwrócił się do

103

Zeppiego - nie masz ochoty ściągnąć tych lepkich ubrań i poczuć wiatr na ciele?

- Mam - przyznał Zeppi.

Ani ja, ani profesor nie spodziewaliśmy się takiej reakcji.

- No to ściągaj. Od razu lepiej się poczujesz. Możesz spytać brata, że wśród tych ludzi szybko przywykniesz do nagości. Mam rację?

- Całkowitą - potwierdziłem. Ciekawe, czy Zeppi rzeczywiście posłucha podszeptu instynktu.

- Nie mogę - powiedział.

Serce się krajało! Cierpiał dla mamy. Wydało mi się to idiotyczne, Wentzlerowi chyba również. Pokręcił tylko głową i wskazał znów ścieżkę.

- Tędy - powiedział i poszedł w swoją stronę.

- Chciałbym, ale mama mi nie pozwala - wyjaśnił Zeppi.

- Wiem. Głupie przesady. Przecież dużo wygodniej jest bez ubrań. Chyba zabrania ci z powodu... no wiesz. Dlatego nie chcesz sprzeciwić się mamie?

- Sam nie wiem. Erichu, dlaczego wyrosły mi cycki? Przecież mają je tylko kobiety.

- Zapytajmy Klause. Jako lekarz powinien się znać na sprawach z zakresu biologii.

- Mama mi zabroniła.

- Zrozum, stało ci się coś dziwnego. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale z całą pewnością mama też nie wie. Owszem, ma swoje zdanie, lecz brak jej wiedzy.

Dlatego próbuje sprawę ukryć i zachować w tajemnicy, tyle że ze szkodą dla ciebie, bo dusisz się w tych ciuchach. Zachowuje się głupio i samolubnie, dlatego proponuję, żebyśmy spytali Klause, co robić. Jako lekarz powinien wiedzieć, kapujesz?

- Jasne, że kapuję! Przecież nie jestem głupi. Tobie się zawsze zdaje, że zjadłeś wszystkie rozumy!

Wolałem przykrego Zeppiego od potulnego, na jakiego wychowała go mama.

Objąłem go jak za dawnych, dobrych czasów i uścisnąłem.

- No, chodź.

104

Zeppi skwapliwie podążył za mną. Wziął mnie nawet za rękę, czego nie robił od lat.

Trzymaliśmy się ścieżki wijącej się wśród drzew na szczyt wzniesienia, z którego po raz pierwszy zobaczyliśmy shabono. Drzewa nieco się przerzedziły i pod jednym zobaczyliśmy Klause. Siedział w samych majtkach i sandałach. Obok stała torba lekarska, czyli chyba nie do końca wierzył zapewnieniom Wentzlera, że Yayomi się jej boją. Pewnego dnia mogliby przemóc strach i ją sobie wziąć, nie bacząc na kłapiące zęby w środku.

Na nasz widok zamachał. Nie wykazał zdziwienia moją nagością.

- Widzę, że posunąłeś się o krok w kierunku praktycyzmu.
- Tak mi jest wygodniej.
- Również zbieram się na odwagę, żeby zrobić to samo - powiedział.
- Polecam - zachęciłem go. — Od razu inaczej się poczujesz.
- Wierzę, ale co na to powie twoja mama? Nie wyobrażam jej sobie w kolonii nudystów.
- Już mnie widziała. Wpadła w niesamowity gniew. Ale ja już nie wrócę do ubrań. Za późno. Wszystko się zmieniło.

Pokiwał głową, jakby rozumiał to, czego ja sam do końca nie rozumiałem.

t

- Rób, jak uważasz, Erichu. Może z czasem Helga też przywyknie do tych warunków. Zeppi, a co ty sądzisz o nagości?
- Chciałbym popływać - powiedział mój brat. - Ale mama mi zabrania.
- Ciekawe dlaczego? Co jej szkodzi, żebyś się wykapał?
- Nie chodzi o samą kąpiel - powiedziałem. Klaus spojrział na mnie, oczekując wyjaśnienia. Poprosiłem więc Zeppiego: - Pokaż mu.

Zeppi wolno, z ociąganiem zdjął brudną koszulę i pokazał piersi, które wydały mi się nawet większe niż pod mokrą koszulą. Ale piękne sutki, pomyślałem i zaczerwieniłem się. Klaus zbladł. Nie spodziewałem się po nim takiej reakcji. Na chwilę zapadło milczenie. Zeppi czekał na słowo otuchy, ale Klaus tylko patrzył na jego piękne, gładkie piersi.

- Niesamowite - wykrztusił wreszcie. Silił się na nonszalancki ton, ale nie brzmiał przekonująco. - Bardzo rzadka sprawa - dodał,

po czym przybrał inną postawę, postawę lekarza we własnym gabinecie, opanowanego, zadającego rutynowe pytania. - Podejź - poprosił. Zeppi podszedł. Klaus wyciągnął rękę i obmacał mu piersi. - O ile mogę stwierdzić, są całkiem normalne z wyglądu i wskazują na normalny rozwój. Skąd tyś wytrzasnął takie cacka?

- Nie wiem - odparł Zeppi. - Po prostu mi wyrosły, a kiedy pokazałem mamie, zabroniła mi komukolwiek mówić. Ja ich nie chcę, jeżeli ludzie mają się ze mnie śmiać!

- Nikt się nie będzie z ciebie śmiał. Jesteś zbyt atrakcyjnym chłopcem, żeby się z ciebie śmiano. Pewno się zdziwisz, ale moim zdaniem z tymi pięknymi atrybutami lepiej się będziesz miał tutaj, w dżungli, wśród Indian, niż w mieście. Yayomi w ogóle się nimi nie przejmą.

- A kiedy wyjedziemy stąd, co wtedy? - dopytywał Zeppi.

- Przyznam, że wyjazd chwilowo nastrecza problemy. Jeżeli masz ochotę, to nie wahaj się i zrzuć ubranie tak jak twój brat. Najpierw poczujesz się trochę nieswojo, ale na pewno się przyzwyczaisz.

- A mama? - zapytałem.

- Zostaw to mnie. Zeppi, zadam ci być może idiotyczne pytanie, ale chciałbym wiedzieć... czy w spodniach wszystko masz, jak należy? Pozwolisz mi tam zerknąć? Choćby do badania mógłbyś rozebrać się do naga, jeżeli taka jest twoja wola.

Widząc wahanie Zeppiego, Klaus wstał i sam zdjął majtki. Miał członek okazałych rozmiarów i jądra w mosznie obwisłe z powodu upału tak samo jak moje. Włosy miał tam jasne i kręcone, o ton ciemniejsze od włosów na głowie.

- Od razu lepiej - powiedział. - Zeppi, porzuć wstyd. Zapraszam cię do świata wygody.

Mój brat rozpiął ostrożnie szorty, które opadły na ziemię, potem zsunął majtki.

Chociaż pamiętałem jego ptaka z dawnych czasów, teraz mnie zdziwił. Nie był wcale imponujących rozmiarów, wręcz prezentował się dość bezbrinnie, niczym kutas posągu. Miał również jądra, lecz mosznę bardzo małą i w dodatku nieowłosioną. Na

całym ciele był bielusiutki jak marmur, z wyjątkiem opalonych rąk i nóg. Wyglądał zgoła nierealnie, ni to chłopak, ni dziewczyna, a przy tym

106

popatrywał nerwowo na Klause i na mnie, pragnąc usłyszeć, że nie jest wybrykiem natury.

- Ładnie wyglądasz, Zeppi - pochwaliłem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Klasyczny przypadek - stwierdził Klaus. Zeppi spojrzał na niego pytająco, Klaus dopowiedział: - Nie tobie pierwszemu się to zdarza. Jeszcze ze starożytności znamy takie udokumentowane przykłady. Zjawisko z całą pewnością należy do niezwykłych, lecz jak najbardziej znanych. Nauka określa twój stan, Zeppi, mianem hermafrodytyzmu. Nawet trudno wymówić to słowo, kiedy słyszy się je po raz pierwszy. Masz cechy płciowe zarówno mężczyzn, jak i kobiet. To się w przyrodzie zdarza i nikt nie wie dlaczego. Raz na jakiś czas rodzi się młody człowiek, który nagle, w okresie pokwitania, dowiadyuje się, że jest zarazem dziewczyną. Literatura fachowa opisuje takie przypadki.

- Ale ja nie chcę - powiedział Zeppi. - Nie można tego usunąć?

- Niestety nie - odparł po chwili milczenia Klaus. - Owszem, czyniono eksperymenty, żeby usunąć cechy typowe dla jednej płci, ale takie próby podejmuje się dopiero od niedawna. Wiem, że przed wybuchem wojny niejaki Muller w Berlinie zajmował się pewnym młodym człowiekiem, ale nie śledziłem jego dokonań. Również Amerykanie poczynili ponoć interesujące starania w tej dziedzinie. Taka interwencja chirurgiczna wymaga złożonych zabiegów, stanowi całkiem nową dziedzinę nauki. Czytałem co nieco na ten temat, ale nigdy... Niestety, Zeppi, nie mogę ci pomóc. Radzę ci, pogódź się z tym stanem i bądź szczęśliwy.

- Szczęśliwy?

Oczy Zeppiego nabiegły łzami. Położyłem mu znów rękę na ramieniu i poczułem, jak drży. Stanowczo o szczęściu w jego wypadku nie mogło być mowy.

- Jeżeli nie szczęśliwy, to pogodzony z losem — poprawił się Klaus. - Skoro nie można czemuś zaradzić, chyba nie warto się uzalać, prawda? Zeppi, czerp radość z własnej wyjątkowości. Podejrzewam, że obecnie na całej ziemi żyje nie więcej niż

kilkunastu takich osobników jak ty. Nie cieszy cię to?

- Nie. Nie chcę być...

107

Łzy płynęły mu teraz ciurkiem, spływały po policzkach cherubin-ka, a ciałem wstrząsał szloch, którego nie potrafił już powstrzymać. Ptaszek podrygiwał mu przy tym spazmatycznie, aż mnie się zebrało na płacz nad bratem uwięzionym w ciele, z którego nikt nie mógł go uwolnić, nawet taki chirurg jak Klaus. Co za koszmar! Nawet Zeppi rozumiał, jak czcze są słowa Klaususa o szczęściu. Jak mógł się czuć szczęśliwy, skoro nie był w pełni ani mężczyzną, ani kobietą? Ładne cycuszki osaczyły go w ciele osobnika, który przez całe życie nie ma szans spotkać nikogo podobnego.

Chciałem go pocieszyć, że miałby gorzej, gdyby był garbaty, ślepy lub pozbawiony nóg, ale słowa uwięzły mi w gardle, bo w głębi serca wiedziałem, że żadna to pociecha i nic go w tej chwili nie podniesie na duchu.

- Jeśli chodzi o mamę — dodał Klaus — rozumiem, że jest zdenerwowana, chociaż nie powinna. Porozmawiam z nią. Dajcie mi chwilę, spróbuję ją przekonać, że nie ma powodu do... obaw.

Chyba chciał powiedzieć „do wstydu”, ale ugryzł się w język.

- Czyli, jak mówię, nie spieszcie się z powrotem do domu. Do zobaczenia.

I ruszył ścieżką w dół, nie oglądając się za siebie. Czarną torbę wziął, a majtki zostawił. Widziałem, że na wieść o sytuacji Zeppiego przeżył nie mniejszy wstrząs niż mama, ale przynajmniej zachował się rozsądnie i wyjaśnił mojemu bratu sytuację, a nie próbował wmieść informacji pod dywan.

- On naprawdę nie może mi pomóc?

- Naprawdę, Zeppi. Przykro mi.

Mój brat wziął się bohatersko w garść i przestał płakać.

- A ty? Nie przestałeś mnie lubić?

Wzruszony, omal nie zalałem się łzami.

- Jasne, że nie! Jesteś moim bratem, bardzo cię Kocham. I to się nigdy nie zmieni, cokolwiek się zdarzy.

- Dobra, wierzę ci - powiedział, spoglądając w dół między piersiami na swojego ptaszka.

Szliśmy ścieżką. Wtem otoczyła nas chmara jaskrawoniebieskich motyli. Nadleciały tak wielkim stadem, że było słycać furkot skrzydeł. Muskały nas całymi dziesiątkami, tak lekko, jak gdyby łaskotało

108

światło. Wydaje mi się, że piły nasz pot. Zupełnie jakby zaatakowała nas chmara piór. Zastygliśmy w bezruchu.

- Prawda, że są piękne? - spytałem Zeppiego.

Zaraz potem odfrunęły, niczym błyszcząca niebieska chmura, wtopiły się w zieleń dżungli i zniknęły ze szczeniem. Wiedziałem, że ten widok na zawsze utkwi mi w pamięci. Nawet na starość nie zapomnę tych motyli.

Po powrocie do shabono ze zdziwieniem stwierdziłem, że Klaus jednak włożył szorty.

- Pewno nie zabraliście stamtąd moich majtek? - takim pytaniem nas przywitał.

- Nie.

Siedząca na hamaku mama wpatrywała się w Zeppiego i we mnie. Winiła mnie o dwie rzeczy. Po pierwsze, o nagość Zeppiego, który poszedł za moim przykładem, a po wtóre, o nieposłuszeństwo, bo wyjawilem Klausowi tajemnicę Zeppiego.

Yayomi zauważyli, że jeden biały delfin różni się od pozostałych trzech.

Wytrzeszczali oczy na Zeppiego i rozprawiali z ożywieniem, dotykając na przemian swoich piersi i kroczy, żeby pokazać, w czym rzecz.

- Jak mogę cię nazywać swoim synem? - powiedziała mama. W pierwszej chwili sądziłem, że zadaje to pytanie Zeppiemu, z oczywistych powodów, ale mówiła do mnie. - Zdradziłeś mnie. - Wypowiedziała tę kwestię jak w filmie, z tak wielkim dramatyzmem i żarliwością, że poczułem za nią wstyd. Klaus patrzył z rosnącym zażenowaniem, że Yayomi tłoczą się wokół nas. - Widzisz, coś narobił? - zapytała z wyrzutem mama. - Nie dadzą mu teraz spokoju! Jak mogłeś? Przecież to twój rodzony brat.

- Helgo, proszę cię. Co się stało, to się nie odstanie.

Klaus ukląkł przy niej, głaskał ją, próbując udobruchać, ale odtrąciła jego rękę.

- Nie! Wreszcie się zjawiasz, żeby mi powiedzieć, że nie mam powodów do obaw? Jak śmiesz! Gdzieś ty się podziewał? Jak mogłeś zostawić mnie na tyle godzin z tymi brudasami? Nie dotykaj mnie!

109

- Helgo!

- Nie!

Nigdy nie widziałem jej tak wzburzonej. Nawet kiedy dostała wiadomość o śmierci taty, długo szlochała, ale tak nie krzyczała. Obarczała winą Klause tak samo jak mnie, co wydało mi się niesprawiedliwe. Przecież nie ponosił winy za to, że wygadałem się na temat Zeppiego. Pożałowałem go, tym bardziej że jej krzyk zwabił jeszcze większy tłum. Z całego shabono ściągali Yayomi, żeby popatrzeć na matkę. Klaus nie wiedział, co robić. Może mama zachowywała się podobnie już przedtem, tyle że trochę ciszej, i dlatego uciekł. Nie powinien był jej tak zostawiać, bo przecież niedawno się pobrali. Raczej powinien trzymać ją za rękę i pocieszać, w każdym razie otoczyć mężowską opieką. Teraz zrobiło mi się dla odmiany żal mamy, a jednocześnie chciałem, żeby przestała się tak zachowywać.

Nadszedł Wentzler. Zobaczywszy nagi szkielet profesora, mama zamknęła oczy, żeby nie musieć z nim rozmawiać.

- Coś się stało? - zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi. W tej samej chwili zauważył goliznę Zeppiego. - O, rozsądne posunięcie... - Zaraz jednak dostrzegł jego odmienność. - Ale co to znaczy?

- spytał, wskazując jego pierś tak jak przed chwilą Yayomi. - Nie rozumiem.

Herr Brandt?

- Wyjaśnię później. - Klaus zbył go, skupiając uwagę na mamie.

- Czy mógłbyś ich stąd wszystkich przegonić?

- Mogę poprosić, ale niewiele to da. Są ciekawi, a nawet zafascynowani tym młodym człowiekiem. Bo zaiste przedstawia niezwykły widok. Przypadek hermafrodytyzmu, prawda? Nigdy podobnego nie widziałem, może raz czy drugi na zdjęciu w podręczniku medycznym, i to dawno temu. Żeby zobaczyć coś takiego na

żywo!

Patrząc bez cienia żenady na Zeppiego, zachowywał się w każdym calu jak profesor. Zeppi poczuł się widocznie jak eksponat w muzeum, bo pociągnął nosem i chlipnął.

- Niech się pan zamknie! - zrugąłem Wentzlera. Stropił się.
- No tak... może powinienem był zachować większą powściągliwość.

110

Przez tłum przecisnął się wódz Manokwo, słuchając, co ludzie mówią o Zeppim, wytykając go palcami. Mój brat wbił wzrok w ziemię i, biorąc przykład z mamy, nie słuchał. Manokwo ukucnął przed Zeppim i obmacał mu delikatnie cycki, potem tak samo sprawdził członek i jądra. Zeppi dygotał na całym ciele, ale się nie cofnął. Następnie wódz spojrział również na mój członek i wyraźnie zainteresował się, że obaj jesteśmy obrzezani. Podczas wspólnej kąpieli nikt przedtem nie zauważył, może dlatego, że większość czasu pozostawałem pod wodą, a potem wynikła kłótnia z mężczyzną, który chciał mi odebrać szorty, nikt więc nie miał czasu zauważyć różnicy.

Dopiero teraz okazało się, że stanowią niewiele mniejszą atrakcję niż Zeppi. Następnie Manokwo dał do zrozumienia, że chciałby obejrzeć również członek Klausa, a kiedy Wentzler przetłumaczył, Klaus zdjął posłusznie szorty. Mama otworzyła na chwilę oczy, żeby zobaczyć, co się dzieje i aż przeszedł ją dreszcz konsternacji lub obrzydzenia. Natychmiast zamknęła je ponownie ze zgrozą. Wentzler odchrząknął.

— Manokwo pyta, dlaczego obaj chłopcy mają zniekształcone członki, a zwłaszcza, dlaczego najmłodszy z was jest zarazem mężczyzną i kobietą.

- Co mam mu powiedzieć? - spytał Klaus.
- Nie wiem. Z pewnością nie zrozumie wykładu na temat chirurgii ani genetyki. Będzie sądził, że coś przed nim ukrywacie. Yayomi wykazują dużą podejrzliwość w sprawach przekraczających ich pojęcie.

Klaus zamyślił się, ale nic nie mówił. Odniosłem wrażenie, że sytuacja zaczyna go przerastać, co mnie zaskoczyło, chociaż może nie powinno, bo pominąwszy wszystko

inne, martwił się również o mamę.

W końcu przerwałem milczenie pierwszy, zwracając się do Wentzlera:

— Proszę mu powiedzieć, że to są specjalne członki delfinów, a Zeppi jest wśród nas wyjątkowy, będąc zarazem mężczyzną i kobietą, dlatego wszyscy oddajemy mu cześć. Najważniejsze, żeby nie przyszło im do głowy, iż stanowi wybryk natury. No dalej, niechże pan im powie.

Wentzler wzdrygnął się, urażony.

111

- Więcej szacunku, młody człowieku. Starsi od ciebie studenci zwracają się do mnie z należytych respektem.

Zatkało mnie, nawet chciałem go uderzyć, ale widząc jaki z niego mizerota, powiedziałem tylko:

- Przepraszam, Herr Professor. Trochę mnie poniosło.

Prychnął, a potem zwrócił się do Manokwy, który wysłuchał uważnie i pokiwał głową. Inni również słuchali, a wieść o wyjątkowości Zeppiego rozniosła się wśród nich jak brzęczenie owadów. Zaczęli jeden przez drugiego dotykać genitaliów Zeppiego. Ubłagałem go, żeby nie zwracał na nich uwagi, bo mają go za kogoś wyjątkowego. W ich oczach nie był jedynie połączeniem człowieka z delfinem, lecz również połączeniem chłopca z dziewczyną, a zatem kimś lepszym od nas, zwykłych ludzkich delfinów. Moje pociechy nie na wiele się zdały. Drżał za każdym dotknięciem, a dotykano go tak przez dłuższy czas.

Zdziwiłem się, że to nie Klaus podpowiedział wyjaśnienie Wentzlerowi. Dziwnie się poczułem, kiedy wzięłem sprawę w swoje ręce, wyręczając dorosłych. Urosłem we własnych oczach, a zarazem Klaus wydał mi się mniejszy.

Yayomi zaczęli się rozchodzić. Najwyraźniej szybko akceptowali cuda, zresztą nic dziwnego, skoro nie mieli wiedzy naukowej. Kiedy ostatni odszedł do swoich zajęć i została już tylko gromadka dzieci, spojrzałem znów na mamę. Dopiero po odejściu Indian otworzyła oczy. Wentzler czekał na rozwój wydarzeń. Chyba wszyscy czekaliśmy. Jakbyśmy nie mogli wykonać ruchu bez jej przyzwolenia.

- Natychmiast mnie stąd zabierzcie - zakomenderowała. Nie wiedziałem, do

kogo się właściwie zwraca. Nikt się nie odezwał. Mały piesek ganiał małpkę, która wskoczyła mamie na kolana, zapewne szukając u niej schronienia. Mama krzyknęła wniebogłosy, aż przeszedł ją dreszcz. Małpka pisnęła i uciekła ze szczeniakiem.

- Jak wiesz, Helgo - powiedział Klaus - na razie nie mamy jak stąd uciec.

Musimy czekać cierpliwie na rozwój wydarzeń.

- Zrób coś - zażądała mama, patrząc tępo przed siebie.

- To nie takie proste - wtrącił Wentzler. - Tutaj nie ma komisariatów policji ani sądów apelacyjnych dla tych, którzy czują się po-

112

traktowani niesprawiedliwie. Niepodobna tu zresztą mówić o złym traktowaniu, ale odnoszę wrażenie, Frau Brandt, że chce pani kogoś obarczyć winą...

- Winę pana - powiedziała mama - a także was obu.

Obwiniła wszystkich poza Zeppim, który przyjął to z wyraźną

ulgą. Na pewno przez te cycki czuł się winny. Tak jak przed chwilą otoczyło nas piękno w postaci wielkich niebieskich motyli, tak teraz opadła nas szpetota.

Jednocześnie ogarnęło mnie wielkie znużenie. Zbyt dużo się wydarzyło, w dodatku na nic nie znajdowałem odpowiedzi.

Wentzler spojrział na Klause, który wcale się nie kwapił przejąć inicjatywy, po czym ciągnął dalej:

- Droga Frau Brandt, musi się pani przystosować do nowych okoliczności. Nie znalazła się tu pani z własnego wyboru, ale niestety jeszcze jakiś czas musi pozostać. Proszę się tak nad sobą nie użalać. Macie jedzenie, schronienie, towarzystwo. Czego więcej trzeba, łaskawa pani? — Nie doczekawszy się reakcji ze strony mamy, ciągnął swój wywód, aczkolwiek mniej mentorskim, a bardziej błagalnym tonem. -

Rozumiem pani rozpacz wobec panującego tu braku przyzwoitości, ale proszę zważyć, że ci ludzie przypominają doprawdy pierwszych rodziców, Adama i Ewę, żyjących w ziemskim raju. Czy to grzech, pytam. Nie pozwoli pani swojej rodzinie i sobie na zwykły luksus nagości? Yayomi już wzięli panią na języki, widząc, że nie rozbiera się pani nawet do kąpieli.

Czekał na odpowiedź, ale się nie doczekał.

- Po prostu tego nie rozumieją - ciągnął. - Sami żyją w czystości, niekiedy kąpią się po kilka razy dziennie. Proszę mi wierzyć, Frau Brandt, jeśli ktoś śmierdzi, uchodzi za człowieka źle wychowanego. Już słyszałem na panią skargi. Jeszcze chwila, a zrobi pani z siebie pośmiewisko. Yayomi twierdzą, za pozwoleniem, że pani pachnie tak nieładnie, bo... nie pożąda pani męża i trzyma go na dystans. Wiem, że to nieprawda, ale Yayomi nie znają pruderii obowiązującej w naszej kulturze. Ten lud wierzy w skórę, a nie w odzienie. Radzę porzucić dawne nawyki, bo w przeciwnym razie ucierpi pani zdrowie, a nawet status społeczny pani i całej rodziny.

8 - Biali bogowie

113

Nie doczekawszy się reakcji mamy, z dalszymi uwagami zwrócił się do Klausa:

- Potraktujcie to poważnie. Yayomi uważają was za delfiny, a nie ludzi, jeśli więc zauważą u was agresję, możecie sobie zaszkodzić. Istoty nadprzyrodzone tylko wtedy budzą szacunek, jeżeli zachowują tajemniczość. Ten młody człowiek ze swoimi... nietypowymi cechami wzbudził dziś u Yayomich wielki respekt, ale ostrzegam, że proporcjonalnie obniżył się status pańskiej żony. Mogą przestać uważać ją za samicę delfina, a zaczną za zwykłą kobietę, na dobitkę odstręczającą. Stanie się tu, wybaczone dosadne sformułowanie, nieproszonym gościem. Owszem, są gościnni, ale oczekują czegoś w zamian. Jeżeli ktoś chce zostać wśród Yayomich, musi ich obłaskawić darami, a wasz jedyny dar to status delfinów. Jeżeli pozbawicie ich tego złudzenia, wszystko się może zdarzyć.

Klaus wyraźnie się zadumał. W końcu powiedział:

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy możemy ponieść odpowiedzialność za moją żonę?
- Niestety, to właśnie próbuję ci powiedzieć.
- A coś ty im przyniósł w darze, Gerhardzie?
- Maczety, kolorowe paciorki, wstążki, zwyczajne skarby.
- Wystarczyło, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo na jedenaście lat?
- Najwyraźniej.
- I wskutek braku kąpieli Helgi mielibyśmy stracić przychyłność Yayomich?

- Zaklinam cię, żebyś skorzystał z praw mężowskich i nakazał jej odpowiednie zachowanie, które nie będzie narażało rodziny.

Rozmawiali o mamie, jakby jej nie było. Co gorsza, ona sama zachowywała się, jakby była nieobecna. Zacięła usta, wbiła wzrok w ziemię. Nie słuchała albo udawała, że nie słucha. Gdyby ktoś powiedział mi tydzień wcześniej, że mama tak będzie wyglądała i tak się zachowa, nie uwierzyłbym. Przestała być moją mamą, a stała się kimś innym, oburzoną kobietą, która zachowywała się jak uwięziona w klatce.

Klaus ważył w myślach radę Wentzlera. Poznałem to po determinacji w jego oczach. W końcu odezwał się.

114

- Chłopcy, będziecie mi musieli pomóc. - Zwrócił się do mamy. - Helgo, chodźmy nad rzekę, wykąpiesz się. Wierz mi, od razu lepiej się poczujesz. Ale to nie jest rada, tylko rozkaz. Musisz to zrobić dla własnego, a zarazem naszego wspólnego dobra. Słyszysz?

Nawet nie mrugnęła okiem. Westchnął.

- Nie pozostawiasz mi wyboru. Helgo, robię to dla ciebie. Jeżeli będziesz stawiała opór, użyję siły. Chcesz zrobić widowisko na oczach tych ludzi, których tak nienawidzisz? Błagam cię, zachowaj się godnie. Wstań i chodź ze mną.

Ani drgnęła, tylko patrzyła przed siebie.

- No dobrze - powiedział Klaus. Jednym zgrabnym ruchem wyłuskał ją z hamaka, wziął na ręce. Zawisła bezwładnie jak wielka szmaciana lalka, nie opierając się, lecz też nie współpracując. Klaus ruszył w kierunku otworu w ścianie shabono. Pobieglem naprzód, żeby rozgarnąć krzaki, za mną Zeppi i Wentzler.

Zaniósł ją na rękach nad rzekę, za nam rzędem szła procesja Yayomich, ciekawych rozwoju wypadków. Chyba nie tyle chcieli zobaczyć mamę nago, ile podczas kąpieli. Ja zaś naprawdę byłem ciekaw, jak wygląda nago, chociaż nie miałem obsesji na tym punkcie, bo wiedziałem, że w książkach rozpisują się o takich dewiacjach. Po prostu wszystkich już widziałem rozebranych, przysłała więc kolej na mamę.

Miałem nadzieję, że kiedy rozbierze się i umyje, wróci do siebie. Nie szarpała się z

Klaudem, co uznałem za dobry znak. Widocznie w głębi duszy była gotowa zrezygnować z tej dziecinady i zdecydować się na nagość, bo w przeciwnym razie wywołałaby awanturę. Klaus zrobił, co do niego należało. Kiedy niósł mamę nad rzekę, widziałem w nim bohatera wprost z plakatu filmowego.

Wszedł po pas do wody, a następnie mamę postawił. Mama wyrzuciła ręce do góry i złapała się męża. Stała tak sztywno, trzymając go za szyję, a on zaczął rozpinać jej sukienkę z przodu. Zastępy Yayomich zastygły w milczeniu na brzegu i przyglądały się, jak stryj ściąga z żony sukienkę, którą unosi woda. Następnie zdjął mamie biustonosz, poszarżały z brudu, po czym sięgnął niżej, pod powierzchnię, i zsunął majtki.

115

Kiedy bielizna popłynęła za suknią, sam zdjął szorty, pomachał nimi nad głową niczym trofeum i cisnął je na środek rzeki. Ucieszył mnie widok odpływającego ubrania. Gdyby Yayomi je przechwycili, na pewno zrobiliby z niego głupi użytek, tak jak Kwaytcha, który nosił moje majtki na głowie. Woląłem ich w naturalnej postaci, nagich z piórami w uszach, pomalowanych na czarno i czerwono. To był ich stan przyrodzony, który teraz, skoro mama się w końcu rozebrała, mogliśmy wszyscy naśladować, dopóki będziemy musieli przebywać wśród nich.

Klaus dał nura pod wodę i wypłynął, cały ociekając. Zachęcił mamę, żeby poszła w jego ślady. Ostatnio jej piękne blond włosy wyglądały jak miotła. Musiała ją swędzieć głowa, bo tak długo nie myła jej pod kranem. Schowała się z głową, raz i drugi, powtórzyła to jeszcze cztery razy, a potem wynurzyła się, chwytając powietrze. Włosy spływały jej na twarz, jak gdyby miała maskę bez oczu. Kiedy podniosła rękę, żeby je odgarnąć, zobaczyłem jej piersi, po raz pierwszy odkąd je ssałem jako niemowlę, czego, rzecz jasna, nie pamiętałem. Miała bardzo ładne piersi z szerokimi różowymi sutkami, a nie brązowymi jak Indianki. Słyszałem, jak stojącemu za mną Wentzlerowi dosłownie dech zaparło.

Klaus poprowadził mamę w stronę brzegu. Kiedy woda sięgała jej już tylko do pasa, zawahała się, ale wyszła i po chwili wszyscy mogli zobaczyć ją w całej okazałości.

Nie przypuszczałem, że będzie w tych partiach tak bujnie owłosiona. Miała tam, podobnie jak Klaus, kędziorkowaty busz, nieco ciemniejszy od włosów na głowie. Brodząc na mieliźnie, wyglądali jak rodzeństwo. A kiedy wyszli na brzeg, rozległy się odgłosy zainteresowania i podziwu. Zrobiło mi się przyjemnie, że Yayomi doceniają urodę mojej mamy.

- Co oni mówią, Herr Wentzler? - spytałem.
- Może lepiej, żebyś nie wiedział — odparł.
- Pan torpeduje dociekliwość w zdobywaniu wiedzy, Herr Pro-fessor?
- No dobrze, skoro się upierasz. Ich zachwyty budzi owłosienie łonowe twojej matki.
- Coś podobnego!

116

Mogłem się spodziewać. Kobiety Yayomich prawie nie miały tam włosów, a mama, przeciwnie, miała bardzo gęste.

- Skoroś taki ciekaw - dodał - tubylcy uważają włosy łonowe u kobiet za dowód wielkiej namiętności. Krąży wśród nich mnóstwo pikantnych opowieści o spotkaniach ze zwierzętami z dżungli, przeistaczającymi się w ludzi, takimi samymi jak delfiny, za które biorą ciebie i twoją rodzinę. Takie kobiety zawsze mają gęste włosy łonowe. Wietrzę kłopoty.

- Dlaczego? Jeżeli mama wygląda im na fantastyczną istotę, chyba jeszcze chętniej uwierzą, że jesteśmy delfinami. Najpierw się pan martwił, że za bardzo wygląda na normalną kobietę, a teraz że przestała.

- Nie rozumiesz. Mężczyźni opowiadają te historie we własnym gronie, dla własnej podniety. Stworzenia rodem z tych opowieści, które zamieniają się w kobiety, są nienasyconymi... kopulatorkami. Będą oczekiwali, przynajmniej w marzeniach, żeby oddała się z nimi czynnościom seksualnym. Dlatego wietrzę kłopoty. Na szczęście, rozumieją, że ona ma męża. Bohaterki tych opowieści, z bujnie owłosionymi narządami rodnymi, żyją zwykle same. Krążą też czasem opowieści, w których mąż takiej samicy przeistoczony w kobietę pada ofiarą zabójstwa, aby Yayomi mogli zbiorowo kopulować z wdową. Może lepiej spuśćmy na nie zasłonę

milczenia.

- Po co mieliby powtarzać takie sprośne opowieści?
- A po co biali mężczyźni korzystają z pornografii i chodzą do burdeli? Istnieje pewien wspólny mianownik zrównujący wszystkich mężczyzn. Szkoda, że nie dotyczy wyższych potrzeb.

W drodze powrotnej do shabono Klaus kroczył z mamą przez zdjęty podziwem tłum. Lśniąc na całym ciele od wody, wyglądali jak para delfinów.

- Sprawa jest delikatnej natury, Erichu, ale widzę, że wykazujesz dojrzałość ponad wiek. Zrobisz coś dla mnie?
- Oczywiście.
- Nakłoń zatem rodziców, żeby... kochali się, i to często. Niech koniecznie zadbają, żeby widzieli ich przy tym Yayomi. Najlepiej, jeśli oddadzą się amatorom z samego rana, w dżungli, niedaleko shabono,

117

na wzór tubylców. Jeśli mężczyźni powezmą podejrzenia, że mąż zaniedbuje seksualnie swoją matkę, nie zawahają się przejąć jego obowiązków małżeńskich. Może zrobią to z duszą na ramieniu, bo nie wiedzą, czego się spodziewać po delfinie, ale zrobią, bo tak jak mężczyźni na całym świecie kierują się penisem, a nie rozumem.

- Może to pan, jako ekspert, powinien udzielić moim rodzicom takiej rady.
- Chyba zauważyłeś, że Frau Brandt mnie nie lubi. Natychmiast znienawidzi bądź zlekceważy wszelkie moje rady.
- W takim razie niech pan porozmawia po męsku z Klausem. Bardziej przekona go pan wprost niż za moim pośrednictwem. Bo niby skąd ja miałbym się znać na takich sprawach?
- Możesz mu powiedzieć, że wiesz to ode mnie.
- Skoro to takie ważne, niech pan sam mu lepiej powie.

Nie skomentował. Wszyscy poza Wentzlerem, Zeppim i mną maszerowali za Klausem i mamą ścieżką do shabono.

- Tak czy owak — powiedział Wentzler jakby w zadumie - był to dla Yayomich

dzień niezwyklej wagi. Najpierw Zeppi zdumiał ich swoją wyjątkowością, potem twoja mama, która omal nie stała się pośmiewiskiem, okazała się kobietą nad wyraz zmysłową, przynajmniej zgodnie z ich osobliwymi przekonaniem. Kiedy twoja mama wyszła nago z rzeki, Yayomi, zwłaszcza mężczyźni, poczuli się, jak gdyby nagle stanęła przed nimi ulubiona gwiazda filmowa... powiedzmy Hedy Lamarr lub sama Afrodyta... a z jej oczu bił erotyczny blask.

Mama, posłuchawszy rad nas wszystkich, naraziła się na straszliwe niebezpieczeństwo, i to tylko z powodu gęstego futerka. Sytuacja byłaby niewyobrażalnie śmieszna, gdyby jednocześnie nie była tak straszna.

Rozdział 6

Kiedy z naszych ciai spadły ostatnie ubrania, nastąpiła w nas zmiana. Ja pierwszy chodziłem całkiem nago, mama ostatnia, nic więc dziwnego, że najszybciej się przystosowałem, a mama najdłużej miała z tym problemy. Chociaż jednak moje i mamy rozebranie się do rosołu dzieliło tylko kilka godzin, przystosowanie zabrało jej dużo więcej czasu. Jeszcze po tygodniu czuła się bez europejskiego odzienia nieswojo. Wreszcie zaczęła podobnie jak wszyscy korzystać z drzewa zawieszzonego nad rzeką i codziennie się kąpać, ale tylko w towarzystwie Klausa.

Zeppi lepiej się czuł bez ubrania właśnie z powodu swojego odstępstwa od normy, a nie mimo niego. Fascynował Yayomich niepomierne, toteż doskwierało mu, że za nim chodzą, bo chcą dotknąć jego piersi. Z początku bardzo go to mierzilo, a potem przywykł, zwłaszcza że ktoś mu podarował małpkę do zabawy. Nazwał ją Mitzi.

Kiedy sprowadziłem mamę na drogę normalności, skupiłem się na własnych potrzebach. Nie traciłem czasu na myślenie o samolotach ratunkowych (żadnych zresztą nie widzieliśmy) ani ekipach poszukiwawczych. Nie zastanawiałem się też, czy i kiedy uciekniemy poza zakole tej nieznanej rzeki, którą Yayomi uważali za swoją. Kiedy pojąłem, że nie ma sensu się tym zamartwiać, pokonałem drugi etap adaptacji. Niewytracony z równowagi czekaniem na ratunek, mogłem spokojnie zająć się innymi sprawami. Takimi jak Awomay.

Zieloną wstążką, która wciąż nosiła w pasie, zawiązaną nad fantastyczną pupą, dałem do zrozumienia, że jej pożądam. Zanim ją sobie zawiązała, nie odrywałem oczu od

jej piersi, ale odkąd zielona

119

wstażka przecięła ją na dwoje, dziewczyna bardziej zainteresowała mnie od pasa w dół. Spała w hamaku metr lub dwa od mojego, zadając mi katusze. W całym shabono trudno było o odosobnienie, Yayomi znajdowali je więc w dżungli, dokąd chodzili się kochać, zwykle nad ranem, co powiedział nam Wentzler i co widziałem na własne oczy. Zastanawiałem się, czy wystarczy, że podążę za Awomay, kiedy wyjdzie z shabono o świcie, gdy tubylcy zapalają ogniska, a po ziemi płożą się jeszcze serpentyny mgły po chłodnej nocy.

Zrobiłem tak któregoś ranka, ale spóźniłem się i wpadłem na nią, kiedy wracała do shabono, załatwiwszy się już nad rzeką. Ponieważ nikogo nie było w pobliżu, czekałem przy ścieżce w nadziei, że zatrzyma się i porozmawia ze mną. Nadal nie znałem ani słowa z języka Yayomich, ale powszechnie wiadomo, że język miłości jest uniwersalny. Przećwiczyłem kilka kwestii zasłyszanych na filmach: „Kochanie, ślicznie wyglądasz. Moje serce należy do ciebie na zawsze” i podobne dyrdymały, żeby nie stać bez słowa jak idiota. Podeszła do mnie, jak zwykle kołysząc biustem, a uda ocierały się jej tam w dole o prawie niewidzialną szczelinę. Natychmiast zapragnąłem ją posiąść, i to jak najbrutalniej.

Kiedy jednak podeszła bliżej, wszystkie kwestie uleciały mi z głowy, wyparte przez wyobrażenie nas obojga na ziemi, splecionych niczym koty w rui. Stała wprawdzie, lecz nie spojrzała mi w oczy tak, jakbym chciał. Patrzyła tylko na mój członek, który podniósł się niczym semafor i sterczał dumnie. Powiedziała coś, roześmiała się i poszła dalej. Szansa przepadła. Poczuję się jak idiota, nawet jeśli dotarło do niej, co czuję.

Jak Yayomi podbijają serce drugiej osoby? Postanowiłem zapytać eksperta, czyli naszego profesora obeznanego z ich zwyczajami.

— Herr Wentzler, mogę panu zadać pytanie?

Był gorący środek dnia. Profesor leżał z półprzymkniętymi oczami na hamaku.

- Słucham.

- Jak ci ludzie... jak tutaj trzeba przystąpić do rzeczy... no, wie pan...

- Nie wiem. Bądźże precyzyjny.
- Jak mam... poderwać dziewczynę?

120

- Musisz wsiąść w samolot i polecieć do Caracas. Podobno młode panny wcale nie są tam grzeczne, w każdym razie pochodzące z niższych sfer.

- Bardzo śmieszne, panie profesorze, ale ja pytam o tutejsze plemię. Jak przekroczyć barierę językową?

Przekrzywił głowę, żeby popatrzeć mi prosto w oczy.

- Język, młody człowieku, stanowi najbliższy problem. Podobnie jak większość Europejczyków odnosisz błędne wrażenie, że nagość tych ludzi oznacza brak moralności albo przynajmniej chęć kopulacji z byle kim, bez obaw o konsekwencje. Tymczasem Yayomi nie są ani bardziej, ani mniej promiskuityczni od reszty ludzkości. Ich życie erotyczne jest dość rygorystycznie zdeterminowane statusem społecznym, który z kolei zależy od tego, czyją dana dziewczyna jest córką lub siostrą. Bo, jak rozumiem, interesują cię kobiety.

- Jasne.

- W takim razie radzę ci się często kochać z panią Ręką i jej pięcioma córkami.

- Bardzo śmieszne. Ale mnie to nie bawi.

Podejrzywałem, że po jedenastu latach spędzonych wśród Yayomich Wentzler, nie mogąc dostać na własność żadnej ich kobiety, wszedł w bardzo intymny kontakt z panią Ręką. Ja jednak byłem dwadzieścia lat młodszy i to, co zadowalało jego, niekoniecznie musiało zadowalać mnie.

- Panie profesorze, upatrzyłem sobie dziewczynę. Wiem, że i ona darzy mnie sympatią. Uśmiecha się do mnie, przyjęła ode mnie prezent, ale chyba czeka teraz na mój krok, na jakieś formalne posunięcie. Czy mógłby mi pan podpowiedzieć, o co chodzi?

- Wysłuchaj mnie uważnie, Erichu, a uchronisz się od poważnej wpadki.

Wszystkie młode dziewczęta i kobiety pozostają pod kuratelą ojców, braci i wujów. Nawet jeżeli któraś wypatruje oczy za przystojnym młodzieńcem, który jej wpadnie

w oko, jeżeli ma na względzie własną przyszłość, nie pędzi za nim w las na erotyczne igraszki.

- Dlaczego?

- Bo takie rzeczy ustala się zawczasu, czasami nawet kilka lat naprzód.

Mężczyźni układają się z innymi mężczyznami o prawo do

121

wspólnego zamieszkania lub ożenku, jak wolisz, z wymarzoną panną. Owa panna może wyrazić swoje zdanie, ale opiekunowie, że tak właśnie ich nazwę, zlekceważą jej pragnienie, jeśli znajdą dla niej dobrą partię.

- Jak można mówić o dobrej partii, skoro ona nie kocha danego mężczyzny?

- Bo jest dobra dla rodziny i plemienia, dla całego shabono, niekoniecznie dla tej panny. Czasem można uwzględnić jej gust, ale tylko wtedy, kiedy nie wchodzi w konflikt z uznanym przez jej opiekunów interesem całego plemienia. Czy wybrany delikwent nadaje się na żywiciela rodziny owej panny, bo przyniesie jej dużo ryb i małpiego mięsa? Czy jest dobrym wojownikiem, który w przypadku ataku obroni shabono i swoją rodzinę? Czy gwarantuje miłe towarzystwo? Czy opowiada śmieszne historie i znajduje wspólny język z przyszłymi teściami? Czy wszystkim przypadnie do gustu?

Musiał widzieć, że mi zrzędła mina, a mimo to ciągnął swoje.

- Ciebie na pewno odprawiono by jako zalotnika z kwitkiem, chyba że ubiegałbyś się o względy leciwej niewiasty, której mąż umarł, a rodzina z czasem wyprowadziła się, żeby założyć nowe shabono. Pozwoliliby ci smalić cholewki do przywiedłej wiedźmy, na którą już nikt nie spojrzy, bo tylko wymaga opieki. Taką by ci przeznaczono. Jesteś wstrząśnięty? Zapewniam cię, Erichu, że młodzieńcze marzenia o miłości nie odgrywają większej roli w tutejszych układach. Czasem jeśli jedna rodzina ma dług wdzięczności wobec drugiej, obiecuje odpowiedniemu mężczyźnie rękę małej dziewczynki w niemowlęcym wieku. Taka dziewczyna często kończy z mężczyzną starszym od jej ojca. Przypomina to transakcję handlową dokonywaną z zimną krwią, bez krztyny romantyzmu.

- Chyba masz na myśli małżeństwo.

- A ty co? Chodzi ci tylko o igraszki na sianie?
- Raczej o coś więcej.
- Coś więcej oznacza małżeństwo, a ty stanowisz dla tej społeczności wybitnie złą partię. Tylko nie bierz sobie tego do serca, Erichu, bo nie ma w tym nic osobistego.
- Ależ rozumiem.

122

- Nie umiesz strzelać z łuku ani z zabatany, a twoje męstwo, oględnie mówiąc, pozostaje niesprawdzone.
- Z czego nie umiem strzelać?
- Z zabatany. Dmuchawki. Byłbyś bezużyteczny dla każdej rodziny, w którą wejdiesz, wręcz byłbyś dla niej ciężarem.
- Przecież mówiłem, że nie interesuje mnie małżeństwo.
- No właśnie.

Uznałem, że kieruje nim zazdrość o mój młody wiek, a także o sympatię Awomay. Nie widziałem, żeby któraś z kobiet patrzyła na Wentzlera łaskawym okiem.

- Herr Professor?
- Tak?
- Mógłby pan poprosić jej brata, żeby nauczył mnie strzelać z łuku i z zabatany?
- Czyjego brata?
- Awomay. Jej bratem jest Kwaytcha. Ten, który wziął moje majtki.
- Czyli chodzi ci jednak o małżeństwo?
- Nie, tylko chciałbym się nauczyć. Fajnie byłoby wybrać się na polowanie, bo powinniśmy dorzucić coś do garnka.
- Ja nie polowałem przez jedenaście lat.

Mogłem zapytać dlaczego, ale ugryzłem się w język, bo nie chciałem mu zarzucać lenistwa, ale nie mogłem się powstrzymać od innej uwagi:

- Widocznie bardzo cię lubią.
- Bo opowiadam im różne historie. Uwielbiają moje gawędy bardziej niż mnie. Co najmniej kilkadziesiąt razy przeczesalem wszystkie baśnie braci Grimm i Hansa

Christiana Andersena. Nigdy nie znudzą ich bajki o Jasiu i Małgosi, Czerwonym Kapturku ani Brzydkim Kaczątku.

- Widzisz? Oblaskawiasz ich opowieściami, a my nie. Wcześniej czy później znudzi ich obecność delfinów, które pozostają u nich na garnuszku, nie dając niczego w zamian.

Zrobił głupią minę, najwyraźniej przyznał mi w duchu rację.

- Nie jestem pewien - rzekł - czy delfin powinien polować tak samo jak Yayomi. Panuje powszechne mniemanie, że jako istoty

123

królewskie i nadprzyrodzone, powinniście pozostawać na utrzymaniu innych.

- Mnie to nudzi. A jeżeli pewnego dnia przestaną w nas widzieć delfiny? Zaczną nas wówczas traktować... jak ty się wyraziłeś w odniesieniu do mamy? Jak nieproszonych gości? Powinniśmy móc wnieść swój wkład.

Pomyślał chwilę.

- Odszukaj tego młodzieńca - powiedział Wentzler.

Znalazłem Kwaytchę śpiącego w hamaku. Obudziłem go. Nie

przejął się, że przerwałem mu sjęstę. I zrozumiał, że chcę, aby mi towarzyszył.

Podeszliśmy do hamaka Wentzlera. Panowie zamienili kilka słów i Wentzler rzekł:

- Załatwione. Idź z nim, tylko uważaj na czubki strzał, bo moczą je w kurarze.

Wystarczy jedno draśnięcie, a skonasz w męczarniach.

- Dziękuję, Herr Wentzler.

- Bardzo lubię małpie mięso. Upoluj mi świeżą, soczystą małpkę.

- Dobrze.

Roześmiał się.

Pobył z Kwaytchą w dżungli wymagał ciszy. Gdy tylko wkroczyliśmy w ciemny gąszcz, brat Awomay przyłożył w całkiem europejskim geście palec do ust i syknął:

- Ciiii.

Wstąpiliśmy głębiej w mrok, Kwaytcha prowadził. Co jakiś czas odwracał się i patrzył mi na nogi, obute w sandały, które pewno czyniły więcej hałasu, niż wychwytywałem. Jeżeli chcę zostać prawdziwym myśliwym, będę musiał

zahartować sobie stopy.

Kwaytcha natomiast szedł bezszelestnie, słyszałem więc tylko brzęczenie miliona owadów i świergot ptaków. Chociaż niósł łuk ze strzałami i dmuchawkę, ani razu nie zahaczył o gałęzie. Im dalej w las, tym drzewa stawały się wyższe i prostsze, a poszycie uboższe.

Zapusciliśmy się w głąb dżungli, coraz dalej od rzeki. Powietrze pod baldachimem drzew stało się ciężkie i parne. Wtem Kwaytcha stanął, odłożył łuk ze strzałami, z małego kołczanu zawieszonoego na szyi wyjął garść strzałek. Dzielily się na dwa rodzaje, jedne unurzane w czarnej substancji, inne nie. Wyjął niezatrutą strzałkę i włożył do

124

i

0 __

trzymetrowej, idealnie prostej dmuchawki. Przy tępym końcu strzałka miała puszek, który wyglądał jakby do niej przylepiono puch pisklęcia, żeby idealnie przylegała do rury. Tę Kwaytcha przyłożył do ust i wycelował w polankę między drzewami. Nabral powietrza w płuca, dmuchnął. Strzałka śmignęła tak szybko, że nawet jej nie zauważyłem, aż musiał podejść i pokazać mi, że utkwiała w brązowawożółtym owocu pewnego drzewa. Wyciągnął strzałkę, wrócił, a następnie wręczył mi zabatane ze strzałką.

Włożyłem ją za jego przykładem do dmuchawki, wymierzyłem w ten sam owoc.

Zabatana, mimo smukłego kształtu, okazała się cięższa, niż przypuszczałem, dlatego musiałem mocno trzymać, żeby nie drgała mi na boki. W końcu wycelowałem, zaczerpnałem powietrza, dmuchnałem. Strzałka wyleciała natychmiast, lecz nie trafiła w owoc. Kwaytcha zakrył ręką usta i kilka razy zgiął się we dwoje, żebym zobaczył, jak się pokłada ze śmiechu. Zaraz jednak poszedł po strzałkę, którą prędko wypatrzył. Utkwiła w drzewie rosnącym co najmniej metr w lewo od pożądanego owocu i co najmniej metr wyżej. Oblałem się rumieńcem. Zadanie było znacznie trudniejsze, niż podejrzewałem.

Powtórzyliśmy manewr z tuzin razy, przy przedostatnim i ostatnim strzale trafiłem w

owoc, choć ledwo go musnąłem, a Kwaytcha trafił w sam środek. Najtrudniejszą sztuką było wyliczenie kąta między linią lotu od zabatany do celu oraz linią od oka myśliwego do tegoż celu. Przy odrobinie wyczucia okazało się to całkiem nietrudne. Kiedy Kwaytcha uznał z satysfakcją, że poczyniłem pewne postępy, schował strzałkę do kołczanu i ruszyliśmy dalej.

Po dwudziestu minutach marszu nakazał mi gestem absolutne milczenie, wyjął strzałkę z czarnym czubkiem i włożył do zabatany. Wolno, ostrożnie wymierzył w drzewa nad nami. Nie widziałem nawet, do czego celuje, ale zakładałem, że do dobrze ukrytego ptaka lub innego mieszkańca drzew. Usłyszałem syk dmuchawy, ale nie zauważyłem toru lotu strzałki. Kwaytcha z zadowoloną miną przeczesywał wzrokiem wierzchołki drzew, jak gdyby strzałka nadal leciała do niewidocznego celu. Uznałem, że nie trafił, bo minęła kolejna minuta, a on tylko patrzył w jedno miejsce, które niczym się dla mnie nie odznaczało w tej gęstwinie liści oraz lian.

125

I wtedy spadła małpa. Słyszając, że szura przez wąskie, nisko rosnące gałęzie, spojrzałem w porę, żeby odskoczyć, gdy z góry zleciał kłębek futra długości mojej nogi i padł mi u stóp. Jeszcze ruszała pyszczkiem, ale reszta ciała zastygła w bezruchu. Wciąż otwarte oczy zaczęły się przy mnie pomału zamykać. Strzałka utkwiała jej między łopatkami, wbita krzywo w szarawe futro tam, skąd małpa jej nie wyciągnie, chociaż ma długie, chude łapy. Ale i wyciągnięcie nie na wiele by się chyba zdało, bo kurara zdażyła już przeniknąć do krwiobiegu. Wreszcie zamknęła oczy i wyzionęła ducha. Kwaytcha wyraźnie się ucieszył, że odzyskał strzałkę. Włożył ją z powrotem do kołczana, zarzucił sobie małpę na ramię i ruszyliśmy z powrotem.

Straciłem orientację, gdzie jesteśmy. Dla mnie jeden zakątek dżungli nie różnił się od drugiego, ale Kwaytcha prowadził bez wahania. Nie sądziłem, że tak szybko trafimy nad rzekę, aczkolwiek daleko od shabono. Odłożył małpę i zabatane, z której ją zabił, wziął łuk, założył strzałę. Była identyczna jak trzy pozostałe, z zaostrzonymi czubkami. Miała jednak na czubku pół tuzina ostrych widełek. Wszedł na mieliznę, brodził, patrząc pod nogi, naciągnął cięciwę, wycelował, puścił.

Strzała zniknęła w wodzie, po czym wyskoczyła wraz z rybą nadzianą na widełki. Jeszcze drżał jej ogon, kiedy Kwaytcha ją zdjął i rzucił w moją stronę. Złapałem, położyłem obok małpy. To samo zrobiłem z trzema następnymi, które upolował podobnie. Czwarta ryba była dużo większa od pozostałych i trzepotała bardziej energicznie, kiedy ją zdjął z widełek, a potem podrygiwała jeszcze długo, kiedy rzuciłem ją do tamtych.

Kwaytcha, wyraźnie zadowolony z połowu, zaprosił mnie gestem do wody, w której stał po kolana. Założył tę samą strzałę na łuk i wręczył go mnie. Starając się trzymać tak samo jak on, czekałem, aż ryba podpłynie bliżej, żeby wycelować. Wkrótce zobaczyłem sre-brzystoszarą rybę podobną do trzech poprzednich, napiąłem cięciwę i wypuściłem strzałę. Kiedy przeszła taflę wody, ku mojemu zdziwieniu zmieniła kierunek i wcale nie trafiła w rybę. I wtedy przypomniała mi się lekcja fizyki z panem Hoche na temat refrakcji światła w wodzie. Ucząc się na błędzie, spróbowałem ponownie. Tak samo

126

jak przy zabatanie chodziło o ustawienie kąta. Dwa razy byłem bliski, ale nie trafiłem. Kwaytsze znudziło się patrzeć na niecelne próby i zabrał mi łuk ze strzałami.

Chociaż zbliżał się już wieczór, słońce nadal stało dość wysoko na niebie, rzucając nam cienie do stóp i Kwaytcha chciał się ochłodzić. Skoczył z pluskiem do rzeki, nie bojąc się teraz, czy nie spłoszy ryb. Rzuciłem się za nim. Zaczęliśmy dokazywać, przyskajac się nawzajem wodą, a potem mocując po przyjacielsku w wodzie.

Kwaytcha okazał się zadziwiająco silny jak na takiego chudzielca i wygrywał za każdym razem, dopóki nie powtórzyłem manewru, którym zaskoczyłem mężczyznę walczącego o moje szorty i go nie podciąłem. Upadł i poszedł pod wodę, a żeby pokryć zażenowanie, zaczął podskakiwać z okrzykami radości na głębszej wodzie. Kiedy zachciało mi się sikać, zacząłem lać do rzeki ze słowami:

- Dobra, skoro nie mogę ustrzelić ryb, zatruję wodę, żeby wypłynęły brzuchami na wierzch.

Na ten widok Kwaytcha skoczył ku mnie, pryskając, krzycząc i wymachując rękami. Sikałem dalej, miarowym strumieniem, który wpadał z satysfakcjonującym sykiem do wody, a jednocześnie byłem ciekaw, co go tak podnieca. Kiedy dobiegł do mnie, zaczął bić rękami w strugę moczu! Niestety, gdy raz zacząłem, nie umiałem przestać, sikałem więc, zadając sobie w duchu pytanie, czy to jakaś gra, czy może sikanie do rzeki pogwałca zasady Yayomich. Nie rozumiałbym zresztą dlaczego, skoro wypróżniali się do wody bez przeszkód.

Kiedy skończyłem, Kwaytcha przestał na mnie krzyczeć, ale nadal miał wzburzoną minę. Wszedł na brzeg, zebrał broń, pokazał mi małpę i rybę, dając do zrozumienia, żebym je wziął. Układ wydał mi się sprawiedliwy, dlatego podniosłem łupy i zawróciłem za Kwaytchą do dżungli.

Po powrocie do shabono, do którego dotarliśmy, kiedy cienie już się wydłużyły, Kwaytcha zaczął się puszyć i przechwalać. Wszedłem za nim przez otwór jak sługa, niosący połów. Złożyłem prędko rybę i małpę przy ognisku rozpalonym przez rodzinę Noroniego i poszedłem do mamy. Ucieszyłem się, że nie zastałem przy niej Zeppiego, co oznaczało, że pomału się uniezależniał.

127

- Co robiłeś cały dzień, Erichu?
- Polowałem z Kwaytchą. Przynieśliśmy jedną małpę i cztery ryby.
- Tyś je ustrzelił?
- Nie, on. Uczy mnie używać dmuchawki i łuku.
- Widziałeś Zeppiego?
- Nie.

Podczas rozmowy patrzyliśmy sobie w oczy. Mama narzuciła taki zwyczaj, który przyjąłem, wiedząc, ile to dla niej znaczy. Tylko w ten sposób mogła znieść naszą nagość, nagość matki i syna, rzecz nie do pomyślenia w domu. Godziłem się na ten idiotyzm ze względu na nią.

- Zniknął kilka godzin temu. A Klausa widziałeś? Wszyscy zostawiać mnie, a ja nie mam nic do roboty, godzinami nie mam do kogo ust otworzyć.
- Ale już jestem. Opowiem ci, jak spędziłem dzień z Kwaytchą...

Powstrzymała mnie podniesieniem ręki, tej z obrączką.

- Nie ciekawią mnie opowieści z polowania. Znajdź mi lepiej Zeppiego, znajdź Klause i powiedz mu, żeby więcej mnie tak nie zostawiał. Nie wyobrażasz sobie, jak mnie męczy tyle godzin w samotności.

- Nie wyobrażam, mammo.

- To się musi skończyć. Przynajmniej jeden z was powinien cały czas być przy mnie. Nie możecie mnie tak wszyscy trzech zostawiać. Nie zasługuję na takie zachowanie.

- Dobrze, mammo. Pójdę ich poszukać.

- Nie, Erichu. Wracaj!

Udałem, że nie słyszę, i nie zatrzymałem się. Wyszedłem przez otwór i chodziłem po okolicy, aż znalazłem Zeppiego z małpką. Karmił ją plantanami i przemawiał czule, trzymając przy piersi jak niemowlę. Bałem się, czy nie przystawi jej do piersi, ale tak daleko się nie posunął.

- Zeppi, widziałeś Klausea?

- Jest tam.

Wskazał głową gaj plantanów.

128

- Co robiłeś cały dzień, Erichu?

- Polowałem z Kwaytchą. Przynieśliśmy jedną małpę i cztery ryby.

- Tyś je ustrzelił?

- Nie, on. Uczy mnie używać dmuchawki i łuku.

- Widziałeś Zeppiego?

- Nie.

Podczas rozmowy patrzyliśmy sobie w oczy. Mama narzuciła taki zwyczaj, który przyjąłem, wiedząc, ile to dla niej znaczy. Tylko w ten sposób mogła znieść naszą nagość, nagość matki i syna, rzecz nie do pomyślenia w domu. Godziłem się na ten idiotyzm ze względu na nią.

- Zniknął kilka godzin temu. A Klausea widziałeś? Wszyscy zostawiacie mnie, a ja nie mam nic do roboty, godzinami nie mam do kogo ust otworzyć.

- Ale już jestem. Opowiem ci, jak spędziłem dzień z Kwaytchą...

Powstrzymała mnie podniesieniem ręki, tej z obrączką.

- Nie ciekawią mnie opowieści z polowania. Znajdź mi lepiej Zeppiego, znajdź Klause i powiedz mu, żeby więcej mnie tak nie zostawiał. Nie wyobrażasz sobie, jak mnie męczy tyle godzin w samotności.

- Nie wyobrażam, mammo.

- To się musi skończyć. Przynajmniej jeden z was powinien cały czas być przy mnie. Nie możecie mnie tak wszyscy trzech zostawiać. Nie zasługuję na takie zachowanie.

- Dobrze, mammo. Pójdę ich poszukać.

- Nie, Erichu. Wracaj!

Udałem, że nie słyszę, i nie zatrzymałem się. Wyszedłem przez otwór i chodziłem po okolicy, aż znalazłem Zeppiego z małpką. Karmił ją plantanami i przemawiał czule, trzymając przy piersi jak niemowlę. Bałem się, czy nie przystawi jej do piersi, ale tak daleko się nie posunął.

- Zeppi, widziałeś Klausea?

- Jest tam.

Wskazał głową gaj plantanów.

128

- Mama się denerwuje, że wszyscy ją opuścili.

- Bo tylko siedzi na hamaku - pożalił się Zeppi. - Bez przerwy mówi o domu, wspomina nasze dzieciństwo, a kiedy mówię, że niczego nie pamiętam, wmawia mi, że na pewno pamiętam, tylko udaję, żeby ją zdenerwować. Dlaczego? I dlaczego się nie ruszy, nie zajmie czymś?

Nie umiałem mu odpowiedzieć.

- Jak się sprawuje Mitzi? Nauczyłeś ją jakichś sztuczek?

- Nie, lubi tylko się bawić i jeść.

- Nie wracaj sam do shabono. Mama ma dzisiaj podły nastrój.

- Codziennie taki ma - utyskiwał. Jego włosy aż się prosiły o strzyżenie. Już bardziej przypominał dziewczynę niż chłopaka, więcej niż pół na pół. Za kilka

miesiące będzie w dwóch trzecich dziewczyną, a w jednej trzeciej chłopcem. Ale mu tego, oczywiście, nie powiedziałem.

Ruszyłem w stronę plantanów. Trzy kobiety zbierały owoce, a kiedy je mijałem, nie zwróciły na mnie uwagi. Zacząłem się zastanawiać, jak szybko wtopiliśmy się wszyscy czworo w pejzaż Yayomich. Zeppi ze swoimi cyckami nadal stanowił wielką atrakcję, ale na pozostałych już prawie nie zwracali uwagi. Ja też nie zwróciłem większej uwagi na kobiety zbierające plantany, zwłaszcza że nie było wśród nich Awomay. Nie widziałem Klausa, dlatego szedłem dalej, ubolewając, że Zeppi nie udzielił mi bardziej szczegółowych wskazówek.

Klausa znalazłem chwilę później, zajętego rozmową z profesorem. Obaj siedzieli w kucki niczym dwie nieowłosione małpy człekokształtne. Siedzieli tak blisko, że cisnęło mi się na usta pytanie, czy nie iskają sobie nawzajem głów. Klaus nie miał się czym golić, dlatego zapuścił brodę, która mogła już drapać. Byłem ciekaw, czy mamie to nie przeszkadza, kiedy się całują. I wtedy dotarło do mnie, że odkąd wsiedliśmy do samolotu, nie widziałem, żeby się całowali. Z tym szczeciniastym zarostem Klaus wyglądał jak pirat. Kiedy podszedłem, przerwali rozmowę.

- Mama cię szuka - powiedziałem.

- Wysłała cię po mnie?

- Tak.

9 - Biali bogowie

129

- A co robiłeś cały dzień?

- Ja wiem - odparł Wentzler. - Polował.

Klaus uniósł brwi.

- Doprawdy? I ustrześliłeś coś?

- Nie, ale Kwaytcha ustrześlił. Dostanie pan dziś, Herr Wentzler, zgodnie z zamówieniem, świeże, soczyste mięso małpy.

- Wspaniale.

- I złowił kilka ryb, jedną dużą, trzy małe. - Temat ryb przypominał co innego. -

Herr Wentzler, czy sikanie do rzeki jest niezgodne z prawem? Bo Kwaytcha

próbował mnie powstrzymać.

Wentzler się zafrasował.

- Sikałeś do rzeki?

- Tak. A co w tym złego? Przecież wszyscy do niej srają. Byliśmy daleko od shabono, jeżeli to ma coś do rzeczy.

- Nie, chodzi o co innego. Słyszałeś może o candiru?

- Nie, a co to takiego?

- Niewielkie rybki z rodziny sumowatych. Znane również pod nazwą ryb wykałaczkowych. Mieszkają w skrzelach lub częściej w anusach większych ryb.

- Co to jest anus?

- Odbyt ryby, którym wydalane są odchody. Kwas moczowy zwabia candiru. Jeżeli ktoś sika podczas kąpieli w rzece, a w pobliżu przepływa candiru, ryba może się wśliznąć po strumieniu do cewki moczowej. Zakotwicza się w niej, wbijając kolce grzbietowe i całkowicie blokuje ofierze pęcherz. Obecności pasożyta towarzyszy legendarny ból, a na dłuższą metę oczywiście tortury w postaci zapalenia zatkanego pęcherza. Jedynym środkiem zaradczym jest amputacja penisa.

- Auć. - Klaus aż syknął i się skrzywił. - Erichu, nie piecze cię tam w twoim rówieśniku?

- Nie - powiedziałem i aż się wzdrygnąłem. - Naprawdę istnieje takie ryzyko?

Wentzler wzruszył ramionami.

- Nie widziałem tego na własne oczy, tylko słyszałem takie opowieści.

Przyznam, że trudno mi uwierzyć, żeby candiru wpływały do góry po strumieniu, gdy ktoś oddaje moc. Przypominałyby łoso-

130

sia, który próbuje wpłynąć od dołu na wodospad Niagara. Inaczej sprawa wygląda, gdy ktoś sika pod wodą. Rozumiem, że ty stałeś w wodzie. - Pokiwałem głową. — W takim razie ciesz się, chłopcze, że Kwaytcha okazał się przyjacielem i tak się o ciebie zatroszczył.

- Gerhardzie, nie mogłeś nas wcześniej uprzedzić? - spytał Klaus. - Przy każdej kąpieli sikam. I dopiero teraz się dowiaduję, że tylko dzięki szczęściu nie zwabiłem

tego obrzydliwego pasożyta?

- Powtarzam, nie wiem, czy candiru żyją w tej okolicy. Nie wiem też nic o piraniach, dlatego nie ostrzegłem was, żebyście nie pływali, jeżeli macie ranę lub skaleczenie. Bo na pewno słyszeliście, że piranie atakują wszystko, co pachnie krwią, i w ciągu kilku minut ogryzają z kości.

- Chyba wolałbym paść ofiarą piranii niż candiru - rzekł Klaus.

- Ja też - zawtórowałem, ledwo się powstrzymując, żeby nie zasłonić sobie oburącz członka.

- Powiemy mu teraz? - spytał Wentzler.

- Nie widzę przeciwwskazań - odparł Klaus.

- O czym?

- O naszych planach ucieczki.

Klaus z radością przyjął moją minę.

- Ucieczki? Czyli powrotu do domu?

- W każdym razie ucieczki nad Orinoko, gdzie mogliby nas znaleźć.

- Sądziłem, że droga nad Orinoko prowadzi przez terytorium innego plemienia.

- Bo to prawda. Od niepamiętnych czasów Yayomi i Iriri są śmiertelnymi wrogami. Musimy przenieść kanu przez ziemie tych ludzi, dlatego zapewniam cię, że daleko nie ujdziemy. Iriri to najbardziej nieprzyjazne plemię w całej Amazonii. Natychmiast nas zamordują. Nawet Yayomi się ich boją, chociaż się nie przyznają. Ponieważ oba plemiona zamieszkują osobne dorzecza, na ogół, chwała Bogu, nie wchodzą sobie w paradę.

- Jak więc przejdziemy z jednego dorzecza do drugiego, nie narażając życia?

- Ba! Wyręczy nas w tym matka natura.

131

Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Nie rozumiem.

- W porze deszczowej - dodał Wentzler.

- Jak to?

- Pora deszczowa zaczyna się za miesiąc. Codziennie przez wiele miesięcy

szaleją ulewy, jakich nie widziałeś w życiu. Indianie znacznie bardziej wolą porę suchą. W porze deszczowej ziemia staje się błotnista, upał się nasila, owady mnożą, a węże przenoszą z ziemi na drzewa, gdzie rozjątrzone kęsają przechodniów. Zsyłając na nas porę deszczową, przyroda mówi nam, że nie dba o wygodę człowieka ni zwierzęcia.

- Nadal nie rozumiem.

Wentzler zaczął rysować patykiem na ziemi.

- Tu jest dorzecze Yayomich, a tu Iririch. Rysuję, oczywiście, szkicowo. Nie przypuszczam, nawiasem mówiąc, że sporządzono kiedykolwiek ich mapy. - Dźgnął patykiem w styk obu rysunków. - Tutaj musimy się przeprawić, inne miejsce nie wchodzi w rachubę.

- I tu nas zabiją - dodałem.

- Może tak, a może nie. Zauważyłem, że pora deszczowa ma swoją specyfikę. Co pięć do siedmiu lat ta pora przypomina straszliwy potop, trwający nieprzerwanie dzień i noc. Ziemia nasiąka do tego stopnia, że przestaje już przyjmować wilgoć, wszystkie rzeki wzbierają, tak że występują z brzegów. Kraj przypomina jedno wielkie jezioro naszpikowane wierzchołkami drzew. Shabono zostanie zalane przypuszczalnie na wiele tygodni. Wszyscy będą nieszczęśliwi, dopóki wody nie opadną, a wtedy powstanie nowe shabono, przypuszczalnie na wyższym wzniesieniu i życie potoczy się jak przedtem.

- Do rzeczy, Gerhardzie - przynaglił go Klaus.

- Właśnie, do rzeczy. Rzecz w tym, że wówczas dwa systemy rzeczne zajmujące w porze suchej, a także w normalnej porze deszczowej, osobne dorzecza zleją się w jedno. Nie będzie zatem konieczna przeprawa. Przepłyniemy kanu z jednego dorzecza do drugiego, nienękani po drodze przez Iririch, którzy na pewno będą siedzieli w kucki w domach i czekali, aż deszcze ustaną. Minąwszy dział wodny, udamy się dalej na zachód, aż dotrzemy do Orinoko.

- Ile lat trzeba czekać do następnej obfitej pory deszczowej?

132

Zabazgrai patykiem szkic.

- Jak mówiłem, to zjawisko występuje co pięć do siedmiu lat. Od ostatniego potopu minęło właśnie siedem lat. Dlatego podejrzewam, że w tym roku możemy się spodziewać pożądanych opadów. Deszcze powinny spaść już za miesiąc.

Spojrzałem na Klausa.

- Zaczynam wszystko widzieć w jaśniejszych barwach, a ty, Erichu? - Uśmiechał się.

- Ja również!

- Wieczorem przedstawię Heldze nasz plan. Mam nadzieję, że ją rozweselę. Chyba zauważyłeś, że nie pochwała żadnego aspektu życia w krainie Yayomich.

- Wiem, czasem jej nie poznaję. Zupełnie jakby coś w nią wstąpiło.

- Otóż to. Dlatego nasz plan musi się udać. Oby tylko Helga wytrzymała do powrotu do znanego sobie świata.

- Oby. Mam nadzieję, że znów będzie sobą - powiedziałem z piekącymi łzami cisnącymi mi się do oczu.

Wentzler i Klaus udawali, że nie widzą moich drżących ust i załamującego się głosu.

- A ty, Erichu, masz do odegrania w naszym planie specjalną rolę - ciągnął Klaus. - Ośmielam się twierdzić, że bez twojej współpracy plan może spalić na panewce.

- Jak to? - spytałem, opanowując emocje.

- Chodzi o kanu - wyjaśnił Wentzler. - Potrzebujemy dwóch, bo jedno wszystkich nas pięciorga nie pomieści. Pomyśl, jak zdobyć dwa kanu.

Zastanowiłem się.

- Ukradniemy?

- Kradzież to przestępstwo nawet tutaj. Yayomi robią wspaniałe kanu, wkładając wiele trudu w robotę. Ich łodzie są nad wyraz cenne. Wprawdzie mają, jak niewątpliwie zauważyłeś, znikome poczucie własności, ale trzy rzeczy uważają wyłącznie za swoją własność, mianowicie broń, żonę i kanu. Jeśli ktokolwiek tknie którąś z nich bez ich zgody, napyta sobie biedy.

133

- Jak więc zdobędziemy aż dwa?

- Odpowiedź nasuwa się sama.
- Zrobimy własnoręcznie?

Klaus i Wentzler roześmiali się, aż spłoszono na twarzy.

- Zgaduj dalej - powiedział Klaus.
- Kupimy?
- No właśnie! A teraz powiedz za co.
- Nie mam pojęcia. Nie mamy już niczego.
- Ty masz - sprostował Wentzler.
- Ja?
- Wisi na twojej szyi.

Sięgnąłem machinalnie ręką do Krzyża Żelaznego taty.

- No tak.
- W shabono jest ktoś, kto wprawdzie nie lubi ciebie, Erichu, ale ma chrapkę na twoje odznaczenie wojskowe. A jednocześnie ma kanu. Sprzeda ci je za ten krzyż.
- Kto to taki?
- Ma na imię Tagerri. Nawiasem mówiąc, to przyrzeczony Awomay. Chyba mu się nie podoba, jak ostatnio strzelacie do siebie oczami. Wyjaśniałem ci, jak tu się aranżuje małżeństwa. Zagrożasz ich systemowi, a on do tego nie dopuści, ale nie jest żądny krwi, chociaż już raz zwarliście się ze sobą.
- Tak? A jak on wygląda?
- Ma granatowe znamię na skroni.

Mężczyzna, który chciał mi odebrać szorty. Przeżyłem wstrząs!

- Przecież to stary facet. Ma co najmniej trzydziestkę na karku! Jak taki staruch miałby się z nią żenić?
- Bo wiele lat temu zapłacił za nią Noroniemu. Zgadniesz czym?
- Kanu?
- Tagerri jest wśród Yayomich najlepszym budowniczym kanu. Chciałby, żebyś odpłynął stąd jego kanu, ale nie przyzna tego wprost. A ponieważ wśród Yayomich nie ma prezentów za darmo, musi ci to kanu sprzedać. Podszedł dziś do mnie i zapytał, czy nie pośredniczyłbym w tej transakcji. Nawiasem mówiąc, właśnie wtedy

zacząłem

134

myśleć o porze deszczowej i o powodziach co siedem lat. Winniśmy zatem wdzięczność temu człowiekowi. Żąda zapłaty w postaci twojego Żelaznego Krzyża.

- A pan uważa, że powinienem mu go dać.

- Nawet za dwa kanu, nie jedno. Sprzeda nam swoje obecne i drugie, które zrobi specjalnie dla ciebie. Jaką wagę przykładasz, chłopcze, do tego odznaczenia? Klaus powiada, że sam Hitler przypiął je twojemu ojcu. Mógłbyś się z nim rozstać?

- Za cenę ucieczki stąd mógłbym. Dla mamy.

- Zuch chłopak! Widzisz, Klaus, nawet tak młody człowiek jak Erich rozumie potrzebę kompromisu. Dziękuję ci za rozsądne podejście do sprawy. Z twojego punktu widzenia cena jest wysoka, ale stawka też nie jest niska, prawda?

- Owszem.

- I twoja mama, i my wszyscy ci dziękujemy.

- Sam też sobie dziękujesz - dodał Klaus.

- Jeszcze dzisiaj powiem Tagerriemu - oznajmił Wentzler. - Trzeba czasu, żeby zbudować porządne kanu, a kiedy przyjdą deszcze, będziemy potrzebowali dwóch. Tylko pamiętaj, żebyś nie zgubił krzyża. Stanowi naszą przepustkę do wolności. Wentzler i Klaus ponownie omówili cały plan, szacując ryzyko, przekonując się nawzajem co do szans powodzenia. Pomyślałem o Awomay. Nagle okazała się niedosiężna. Tagerri, mężczyzna ze znamieniem, będzie ją obłapiał i w nią wejdzie. Nie sądziłem, że dziewczyna ma na to ochotę. Żadna młoda nie chciałaby takiego starucha. Jawna niesprawiedliwość, tak dla niej, jak i dla mnie. Na dobitkę Tagerri dostanie nie tylko upragnioną przeze mnie dziewczynę, lecz również mój Żelazny Krzyż. Na drugiej szali położyłem jednak naszą ucieczkę, zwłaszcza mamy, która niechybnie umrze tu albo zwariuje. Musiałem o nią zadbać, zabrać ją z powrotem do świata elektryczności i medycyny. Nic na to nie poradzę, że cena jest tak wysoka. Wieczorem przyszedł do mnie Wentzler z informacją, że Tagerri przyjął nasze warunki i że nazajutrz zacznie szukać odpowiedniego drzewa na drugie kanu.

135

- Mam nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem - dodał z podnieconą miną.
- Dlaczego chce pan teraz wracać, Herr Professor? - spytałem.
- Mieszka pan tu tak długo.
- Sam sobie zadaję to pytanie, ale odpowiedź jest prosta. Gdyby wasza rodzina nie trafiła do Yayomich, w ogóle nie rozważałbym wyjazdu. Ale kiedy znowu zobaczyłem białe twarze, kiedy usłyszałem ojczysty język, zatęskniłem za krajem. Zebranej wiedzy wystarczy mi do napisania książki, a w dżungli nie da się pisać. Nadszedł czas wyjazdu. Można wprowadzić opierać się przeznaczeniu, lecz nie warto. Zostawiłem profesora i podszedłem do hamaka mamy. Klaus wyłuszczał jej nasz plan, którego słuchał też uważnie Zeppi. Kiedy skończył, mój brat zapytał:
 - Będę mógł zabrać Mitzi? Bo nie chcę jej tu zostawiać. Małpka owinęła się na jego szyi. Chyba naprawdę go kochała.
 - Jasne. Helgo, i co myślisz o planie Gerharda?Mama milczała. Trudno było zobaczyć jej twarz w gasnącym świetle. Czekaliśmy, ale wreszcie się odezwała:
 - Znajdzie się miejsce dla Heinricha?Wytrzeszczyliśmy oczy. Skóra mamy przybrała kolor brudnej kredy. Nie widziałem, żeby się tego dnia kąpała, może więc stąd ta szarość.
 - Heinricha nie ma z nami, Helgo — powiedział cicho Klaus.
 - Zginął trzy lata temu w Rosji, nie pamiętasz?Mama pokręciła nerwowo głową, jakby strącała muchę z czubka nosa.
 - Mylisz się, był tutaj jeszcze przed chwilą. Rozmawiałam z nim. Powiedział, że powinnam była na niego zaczekać.
 - Zaczekać? Po co? Mój brat nie żyje. Nie mogłaś go tu widzieć ani z nim rozmawiać, chyba że w wyobraźni. O takiej rozmowie mówisz?
 - Idźcie stąd - powiedziała. W jej tonie nie było gniewu ani nawet rozdrażnienia. Po prostu nie chciała, żebyśmy ją tak obstępowali.
 - Idźcie stąd, wszyscy.
 - Już idziemy. Wybieramy się po jedzenie, prawda, chłopcy? Tylko powiedz, co

sądzisz o naszym planie?

136

Spojrzała w ciemny otwór nad nami i się uśmiechnęła.

- Heinrich obiecał po mnie przyjechać. A wy możecie jechać z tym człowiekiem. Miała na myśli Wentzlera. Klaus wyglądał jak ogłuszony. Mówił cicho, jak mówi się do dziecka, które nie rozumie.

- Helgo, jak możesz tak głupio mówić? Musimy wyjechać razem, bo w przeciwnym razie plan spali na panewce. Kiedy spadną deszcze, wsiądziemy w dwa kanu i popłyniemy w dół rzeki. Nie cieszysz się?

Spojrzała na niego.

- Heinrich powiedział, że powinnam była poczekać na jego powrót i nie wychodzić za ciebie. Nasze małżeństwo jest nieważne, bo on nie zginął, czyli ślub nic nie znaczył. Słyszysz, Klaus?

- Kościół nie przyzna ci racji, Helgo. Zwiąaliśmy się prawowitym sakramentem...

- On żyje. Pojmali go Rosjanie, ale żyje. Wywieziono go na Syberię, gdzie ciężko pracuje i słabo go żywią. Buduje tamę. Przebywa na robotach z innymi więźniami, w tym również Niemcami...

- Posłuchaj, Helgo, Rosjanie wzięli do niewoli wielu jeńców, ale wszystkich Niemców pognano na wschód, a po drodze padali z głodu lub z wyczerpania i wtedy ich rozstrzeliwano. W ten sposób Rosjanie zabili dziesiątki tysięcy ludzi. Głos, który słyszysz w głowie, a który mieni się Heinrichem, to wytwór twojej wyobraźni. Bo prawdziwy Heinrich zginął.

- Mylisz się - zarzuciła mu. - Nic nie wiesz. Nie jesteśmy małżeństwem. I nigdy nie byliśmy. Moim mężem jest Heinrich, ojciec moich dzieci. Pan Bóg nas tu przywiódł, żebym przejrzała na oczy.

Klaus zagryzł usta, ale siedział spokojnie.

- Pan Bóg nie ma nic wspólnego z naszym pobytom tutaj. Trafiliśmy tu w wyniku katastrofy. Po co Pan Bóg miałby to robić?

- Żeby nas rozdzielić.

- Rozdzielić?
- Przy tych dzikusach. Codziennie rano widzę, jak wymykają się do dżungli, nawet nie dbając o to, żeby się dobrze schować, zanim zabiorą się do tych spraw. Coś obrzydliwego.

137

- Większość z nich stanowią małżeństwa. Niczym się to nie różni od naszych zwyczajów. Po prostu nie mają sypialni, odosobnienia...
- Pan Bóg nas tu przywiódł. Ani ty, ani ja nie zrobiliśmy nic złego, bo nie chodziliśmy do lasu tak jak oni... Nie jesteśmy małżeństwem. Kościół przyzna mi rację. Trzeba unieważnić ślub... Na pewno nam unieważnią z powodu nieskonsumowania...
- Helgo, mówisz to przy swoich... naszych synach. Uważasz, że miło im się słucha takich głupot? Jestem twoim mężem. Wzięliśmy ślub w Ciudad Bolivar. Nic tego nie zmieni i nic nie powinno.
- Ślub pod fałszywym nazwiskiem! - zawołała mama, zapluwając się z oburzenia. - Brandt! Kto to jest Brandt? No ani ja, ani ty. Żadne z nas! Ożenił się ze mną Klaus Brandt, ale ty się tak nie nazywasz, no więc co to znaczy? Nic! Znaczy, że nie jesteśmy małżeństwem, ani w obliczu prawa, ani Boga.
Na jej ustach zaigral uśmiezek, w którym czaiła się złośliwość. Mama wiedziała, że rozjuszyła Klause, i zaczęła się tym napawać.
- Biedny Klaus, stracił żonę i dzieci, zostali mu tylko krewni. Jak śmiesz mi wmawiać swoje brednie? Prawda zawsze wyglądała inaczej. Nasze małżeństwo było oszustwem, bo ty cały jesteś oszustwem.
- Helgo...
- I nie sądź, że ja nie wiem, czego się dopuściłeś. Wiem, ale nie chciałam wiedzieć, dlatego udawałam.
- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Zaczekaj, spójrzmy na to racjonalnie...
- Co robiłeś tam, gdzie pracowałeś.
- Dobrze wiesz, że ani ty nie wiesz, ani nikt inny nie wie nic o mojej pracy.
- Kiedy dostałam wiadomość o zaginięciu Heinricha, pojechałam tam do ciebie.

Chciałam z tobą porozmawiać, ale ty nigdy nie dostawałeś urlopu, dlatego wybrałam się tam... do fabryki śmierci.

Klausowi stęzał głos.

- Helgo, dajesz się ponieść fantazji. Nie odwiedziłaś mnie ani razu. Przecież bym pamiętał.

- Nie widziałeś mnie podobnie jak ja ciebie. Pojechałam autobusem. Z centrum dotarłam taksówką, taksówkarz wysadził mnie pod

138

bramą. Nie weszłam do środka. W powietrzu unosił się straszliwy smród. Dym walił dosłownie z nieba, bo był ciężki, za ciężki, żeby się podnieść... poznałam ten smród. Mój wuj miał farmę...

- Helgo, co to ma do rzeczy?

- Pracował u niego pewien robotnik. Kiedy młockarnia urwała mu rękę, umarł. Nie miał rodziny, nikogo, kto by się nim zajął. Wuj musiał pokryć koszty pogrzebu, ale pies porwał rękę tego człowieka, dlatego musieli go pochować bez niej. Później wuj znalazł tę rękę i ją pogrzebał. Byłam wprawdzie mała, ale dobrze zapamiętałam ten smród... smród palonego ciała.

Klaus się roześmiał.

- Bzdury gadasz! Chodź, pójdziemy coś zjeść. Od razu lepiej się poczujemy. Zmizerniałaś ostatnio, bo za mało jesz, szkodząc sobie. Jestem lekarzem, a lekarze wiedzą, co jest najlepsze dla zdrowia.

I znów się roześmiał, ale jakoś tak dziwnie, jakby z pękniętej piłki uszło powietrze.

- Taki z ciebie lekarz jak ze mnie - zawołała matka. - Lekarze uzdrawiają ludzi.

A ty byłeś...

- Helgo!

- Kotłowym! Palaczem!

- Przestań! Nie rób z siebie idiotki.

- Piecowym lekarzem! - zawyła.

Yayomi usłyszeli ich kłótnię i zaczęli się przyglądać, żeby poznać powód kłótni Klause z mamą. Przypominali mi teraz sąsiadów w moim ojczystym kraju, którzy

wyglądają zza firanek, żeby podejrzeć, co się dzieje po drugiej stronie ulicy, z tą różnicą, że z braku firanek Yayomi nie mieli się za czym skryć, gapili się więc tylko i czekali. Zarzuty mamy brzmiały tak dziwnie, że nie wiedziałem, co o nich myśleć. Nigdy nie słyszałem historii o robotniku jej wuja ani o psie, który porwał rękę. Była ciekawa, dlaczego więc jej wcześniej nie słyszałem? Może Klaus miał rację i mama gadała bzdury, w które wierzyła tylko ona. Opowiadała koszmarny sen na jawie, który rozgrywał się wyłącznie w jej głowie. Zacisnęła usta. Wiedziałem, że nie odezwie się już ani do Klause, ani do nikogo innego.

Podszedł Wentzler. Pewno zwabiły go krzyki mamy.

139

- Wszystko w porządku?
- Jak najbardziej. A dlaczego pytasz?

Gdyby Wentzler przyjechał niedawno z Niemiec, wiedziałby, że to zwyczajna kłótnia rodzinna i zostawił nas w spokoju, ale za długo przebywał wśród Yayomich. U nich wszyscy wiedzieli o wszystkim. Nie kryli, że wiedzą dużo i chcą dowiedzieć się jeszcze więcej. Gapili się, zadawali pytania, stali obok, dopóki nie dowiedzieli się wszystkiego. Teraz tak się zachowywał Wentzler, bynajmniej niestropiony, że stoi i czeka na wyjaśnienie. Chciało mi się śmiać na widok IGausa, coraz bardziej zirytowanego, że profesor tak sterczy obok nas. Pośpieszyłem mu z pomocą.

- Klaus przedstawił mamie plan.
- I nie spodobał się jej?
- Mama chce wyjechać wcześniej.
- To niemożliwe. - Zwrócił się do mamy. - Absolutnie niemożliwe, Frau Brandt.

Powodzenie naszego planu zależy wyłącznie od poziomu wody. Musimy czekać na deszcze i mieć nadzieję, że w tym roku spadną wyjątkowo obfite.

Mama nie odezwała się do niego słowem, nawet nie spojrzała w jego stronę. Wentzler był nie w ciemię bity. Widział, że coś jest nie tak, tyle że nikt nie chce mu powiedzieć, w czym rzecz. Mimo to nie odchodził.

- Klaus, mogę zamienić z tobą słowo?
- Jasne.

Klaus bardzo chętnie zostawił mamę, która nie szczędziła mu wymówek, zwłaszcza osobliwych uwag, że nie jest prawdziwym lekarzem. Wiedziałem, że to nieprawda, bo pamiętałem, jak tata mówił, że widział dyplom Klause z Uniwersytetu Frankfurckiego. A jeszcze ta jej gadka, że tata nie żyje, a ona nie jest żoną Klause. Uznałem, że mama przechodzi załamanie nerwowe.

Znałem takie przypadki. Frau Schellenberg z następnej przecznicy też przeszła takie załamanie, kiedy odkryła, że jej mąż od dawna spotyka się z inną kobietą w innym mieście i że założył tam drugą rodzinę. Pomyślałem, że to załamanie nerwowe właśnie teraz, kiedy powstał plan ucieczki, zakrawa na egoizm ze strony mamy.

Powinna

140

ucieszyć ją wiadomością o nadciągającej powodzi, która pozwoli nam przemierzyć terytorium Iririch aż do Orinoko.

Zeppi, który nie odezwał się przez całą kłótnię ani razu, otworzył usta i spytał mnie szeptem:

- Dlaczego mama już nie lubi Klause?
- Lubi - szepnąłem. - Ale ma teraz kłopoty z głową, dlatego mówi różne nieskładne rzeczy.

Mama siedziała niedaleko, dlatego poczułem się głupio, że tak przy niej szepczemy.

- Dla nas też taka będzie?

Zeppi się zaniepokoił. Nie lubił być u mamy na cenzurowanym. W takich chwilach walił mu się cały świat.

- Niewykluczone. Ale nie zwracaj wtedy na nią uwagi.

Wiedziałem, że Awomay obserwuje mnie z niedaleka. Długo patrzyliśmy na siebie bez ruchu. Poeci mówią, że zwarli się w miłosnym spojrzeniu. Nienawidziłem siebie za to, że sprzedałem jej miłość za dwa kanu. Bo tak postrzegałem transakcję Wentzlera z Tagerrim. Krzyż Żelazny nie miał tu nic do rzeczy. I wtedy nadszedł sam budowniczy kanu, Tagerri i zaczął z nią rozmawiać. Widocznie zauważył, że patrzymy na siebie, bo stanął między nami, tyłem do mnie. Odwróciłem się.

Klaus i Wentzler zniknęli w ciemnościach. Zeppi zatonął w myślach, zapewne zmartwiony, że mama zacznie na niego krzyżeć. Gdy tak stał, ładny dziewczynochłopak z oswojoną małpką trajkoczącą mu do ucha i pociągającą za włosy, nagle pomyślałem, że w życiu nie widziałem bardziej bezbronnej istoty. W razie pogorszenia u mamy musiałbym go przed nią chronić. Klaus byłby za bardzo zajęty ochroną siebie. Nie przyszło mi do głowy, że ja też mógłbym wymagać ochrony. Tyle że nie przed mamą, a przed Tagerrim. Nie ufałem mu, chociaż dobiliśmy z nim targu.

W jednym zakątku shabono odbywało się zebranie. Pragnąc, podobnie jak inni, dowiedzieć się, w czym problem, podszedłem i znalazłem w tłumie Klause i Wentzlera. Przemawiał do nich wódz Manokwo, a pozostała ciżba tylko słuchała. Z bliska usłyszałem głos Wentzlera, który tłumaczył Klausowi.

141

- Niezależnie od tego, jakie mu przedstawię wyjaśnienie, będzie chciał zobaczyć rezultaty. Musisz ją zmusić do wypełniania małżeńskich obowiązków, bo za dużo od tego zależy.

Manokwo znów coś mówił, wskazując na mamę, która siedziała w hamaku. Stałem obok Klause. Odnosiłem wrażenie, że pod jego adresem padają jakieś zarzuty.

- Nie mając dowodów, że Helga jest twoją żoną - powtórzył Wentzler - wódz weźmie ją sobie. Twierdzi, że wszystkie delfiny się pieprzą, bo widział na własne oczy. Dlatego nawet delfiny z długimi kończynami, chodzące po ziemi, też powinny się pieprzyć. Wybaczcie, ale tłumaczę dosłownie. - Manokwo ciągnął swoje, a Wentzler tłumaczył na niemiecki. - Wie, że synowie nie pochodzą z twoich lędźwi, bo mu powiedziałem.

- Powiedziałeś?

- Chyba komuś wspomniałem. Chciałem zarekomendować twoją wielkoduszność, pochwalić cię, że wzięłaś na siebie odpowiedzialność za dzieci brata.

- Źle postąpiłeś, Gerhardzie.

- Z perspektywy czasu sam widzę, ale wtedy uważałem, że to niewinna

informacja.

- Tak nas pouczasz, żebyśmy za wszelką cenę nie denerwowali gospodarzy, każesz ich utrzymywać w błogim przekonaniu, iż jesteśmy delfinami... a teraz przyznajesz, że klapiąc jadaczką, sam wszystko zepsułeś.

- Mogę ci tylko przyznać rację. Fakt, popełniłem błąd.

Wentzler przybrał bardzo żalowaną minę, ale nie próbował się wyłgać. Nie czułem do niego złości tak jak Klaus, raczej litość.

Klaus spojrział na Manokwę, który nie przestawał gadać.

- Co on teraz mówi?

- Ze kobiecie z taką... piękną, owłosioną... szparą... za pozwoleniem, należy dwa razy dziennie wkładać twardego kutasa. W przeciwnym razie uwłacza się jej futrzastej cipie. Proszę wybaczyć, ale ci ludzie wyrażają się dosadnie.

- Mniejsza o słownictwo. Co ja mam robić?

142

#

- Czy mam mu powiedzieć, że to naprawdę twoja żona, tylko po prostu ostatnio niedomagala, a ta specjalna choroba delfinów pociąga za sobą niemożność lub niechęć do uprawiania miłości?

- Lepiej mów o niemożności. Ale on już ma żonę, prawda? Po co mu druga?

- A po co radzy haremu, królowi nałożnica? Odmiana, drogi Klausie, to przywilej mężczyzny, jeśli go tylko na nią stać, a Mano-kwę stać. Chce wziąć Frau Brandt za żonę, musisz więc być gotów mu się przeciwstawić.

- Jak?

- Po pierwsze, słownie. Musimy zablefować i podać mu wiarygodny powód, dlaczego nie wypełniacie obowiązków małżeńskich. Mam ciągnąć opowieść o chorej delfinicy?

- Możesz. Byle zabrzmiała przekonująco.

Wentzler przez jakiś czas mówił coś w języku Yayomich. Wszyscy uważnie słuchali.

Manokwo przemówił ponownie, a Wentzler powiedział:

- Jeżeli jest chora, wódz poprosi Noroniego, miejscowego szamana, żeby sporządził dla niej lekarstwo. Pyta, czy to choroba głowy, brzucha czy... cipy. Noroni ma różne lekarstwa na wszelkie choroby.

- Jaka to powinna być choroba?

- Odradzałbym dwie ostatnie. Widziałem Noroniego przy pracy. Zwykle kładzie ręce na dotkniętej chorobą części ciała, żeby rozetrzeć demony choroby.

- Dobrze. Powiedz, że to choroba głowy.

Manokwo wezwał Noroniego. Szaman wystąpił naprzód. Tuż za ojcem stała Awomay, ale nie patrzyła na mnie. Podejrzywałem, że w pobliżu stoi Tagerri i że ma na nią oko. Manokwo omawiał z Noronim delfinową kobietę, która nie może albo nie chce się pieprzyć. Trwała narada, co z nią począć. Dorzucono drew do najbliższego ogniska, żeby wszyscy mogli zobaczyć, co się dzieje. Włączyło się całe shabono, mimo że o tej porze jego mieszkańcy powinni przygotowywać kolację. Ponieważ wszystkie inne ogniska porzucono, zrozumiałem, jaka to ważna rozmowa.

143

Noroni podszedł do zakątka swojej rodziny i wrócił z małym plecionym workiem.

- Trzyma w nim cały swój arsenał - wyjaśnił Wentzler. - Prosi, żeby przyprować Frau Brandt. Z tym będzie największy kłopot. Sądysz, że się zgodzi?

- Nie mam pojęcia - przyznał Klaus. - Naprawdę teraz ma kłopoty psychiczne. Chyba to nie najlepszy moment, żeby obskakiwał ją dzikus i masował jej głowę.

- Teraz nie możesz się wycofać. Ona zresztą też nie. Wyjaśnij jej sytuację. Przekonaj, żeby dla dobra nas wszystkich poddała się rytualnemu obrzędowi. Na pewno w najmniejszym stopniu nie ucierpi, przynajmniej na ciele.

Klaus posłuchał. Poszliśmy razem do mamy, której pokrótce przedstawił fakty. Jej gniew trochę zelżał, nawet chyba bawiło ją speszenie Klausa.

- Ci barbarzyńcy kpią z twojej jurności, Klausie? Jakież to smutne! Powiedz im, że mój prawdziwy mąż chce, żebym na niego zaczekała.

- Nie rozumieją. Pozwól ich uzdrowicielowi na kilka minut szamańskich praktyk na sobie, a potem... bo ja wiem? Może padnij zemdlona, jak gdyby jego działania wywarły na tobie tak piorunujący efekt.

- A co zrobisz, jeśli się nie zgodzę?
- Co zrobię? Nic. Co ja mogę, Helgo? Przez twoje ustawiczne odmowy znaleźliśmy się w tym położeniu. Indianie nie rozumieją twojej pruderii... przepraszam, skromności. Domagają się czynu, magicznego aktu.
- Nie jesteś lekarzem, a ja nie jestem aktorką. Powiedz im, że cię nie kocham.
- Nie rozumiesz, co tu się dzieje? Ten dzikus Manokwo chce cię dostać za żonę! W dodatku drugą! Jeśli ogłosisz, że mnie przestałaś kochać, uzna to za przyzwolenie na zajęcie mojego miejsca.
- Żaden z was nie może zająć miejsca Heinricha.
- Chryste Panie, Helgo, nie rozumiesz, że to nie jest nasz świat ani nasi rodacy. Tu sprawy toczą się według reguł tubylców. Weź się,

144

na miłość boską, w garść i posłuchaj. Jeszcze nie dotarło do ciebie, że grozi ci straszliwe niebezpieczeństwo?

- Ty tak twierdzisz, a pan Bóg twierdzi co innego. Nie mam powodu nikogo się bać. Heinrich żyje i odnajdzie mnie. Do tego czasu włos z głowy mi nie spadnie. Klaus odwrócił się do mnie. Jeszcze nie widziałem go tak zagubionego i niepewnego. Prosił mnie wzrokiem, żebym przemówił jej do rozumu. Podeszedłem więc do niej i powiedziałem:

- Mamo, Klaus ma rację. Wystarczy, jak udasz, że się wyleczyłaś, a jeśli potem... spełnisz powinność małżeńską wobec Klause, wszystko wróci do normy.

Spojrzała na mnie z politowaniem tak jak przed chwilą na Klause.

- Udawaj, że jesteś chora - powiedziała. - Potem udawaj, że się wyleczyłaś, udawaj, że jesteś czyjąś żoną. Erichu, jestem żoną twojego ojca i zawsze nią będę.

- Tak, ale... nie mogłabyś trochę poudawać?

Odwróciła się ode mnie i powiedziała:

- Obaj obraziliście mnie, obrażając Heinricha. Żeby rodzony brat i syn chcieli zdradzić. Nie dopuszczę do jego zdrady.

Spojrzałem na Klause, który patrzył na mamę. Myśleliśmy to samo - że mama oszalała. To już nie były napady złości i przygnębienie spowodowane naszym

miejszem pobytu. Moja matka oszalała z kretesem. Nie rozumiała, co musi zrobić, żeby wybrnąć z opresji? Dlaczego tak się upierała?

Ona jednak obstawała przy swoim. Zapała się jak głupi pies na środku szosy, który ani drgnie, chociaż tłum ludzi na chodniku gwizdże i krzyczy, pragnąc uchronić stworzenie przed niebezpieczeństwem. Zachowywała się tak głupio, że na chwilę ją znienawidziłem, tak jak człowiek nienawidzi osy w domu, która nie chce wylecieć przez otwarte specjalnie dla niej okno i tylko bzyczy człowiekowi przed nosem, grożąc użądleniem, chociaż właśnie chciał jej pomóc się wydostać. Jeszcze bardziej znienawidziłem ją dlatego, że była moją rodzoną matką, bo w głębi duszy czułem miłość do kobiety, którą była dawniej, zanim nasz samolot się rozbił. Targały mną też wyrzuty sumienia, że nie uchroniłem jej przed obłędem.

10 — Biali bogowie

145

na miłość boską, w garść i posłuchaj. Jeszcze nie dotarło do ciebie, że grozi ci straszliwe niebezpieczeństwo?

- Ty tak twierdzisz, a pan Bóg twierdzi co innego. Nie mam powodu nikogo się bać. Heinrich żyje i odnajdzie mnie. Do tego czasu włos z głowy mi nie spadnie. Klaus odwrócił się do mnie. Jeszcze nie widziałem go tak zagubionego i niepewnego. Prosił mnie wzrokiem, żebym przemówił jej do rozumu. Podeszedłem więc do niej i powiedziałem:

- Mamo, Klaus ma rację. Wystarczy, jak udasz, że się wyleczyłaś, a jeśli potem... spełnisz powinność małżeńską wobec Klause, wszystko wróci do normy.

Spojrzała na mnie z politowaniem tak jak przed chwilą na Klause.

- Udawaj, że jesteś chora - powiedziała. - Potem udawaj, że się wyleczyłaś, udawaj, że jesteś czyjąś żoną. Erichu, jestem żoną twojego ojca i zawsze nią będę.

- Tak, ale... nie mogłabyś trochę poudawać?

Odwróciła się ode mnie i powiedziała:

- Obaj obraziliście mnie, obrażając Heinricha. Żeby rodzony brat i syn chcieli zdradzić. Nie dopuszczę do jego zdrady.

Spojrzałem na Klause, który patrzył na mamę. Myśleliśmy to samo - że mama oszalała. To już nie były napady złości i przygnębienie spowodowane naszym miejscem pobytu. Moja matka oszalała z kretesem. Nie rozumiała, co musi zrobić, żeby wybrnąć z opresji? Dlaczego tak się upierała?

Ona jednak obstawała przy swoim. Zaparła się jak głupi pies na środku szosy, który ani drgnie, chociaż tłum ludzi na chodniku gwizdże i krzyczy, pragnąc uchronić stworzenie przed niebezpieczeństwem. Zachowywała się tak głupio, że na chwilę ją znienawidziłem, tak jak człowiek nienawidzi osy w domu, która nie chce wylecieć przez otwarte specjalnie dla niej okno i tylko bzyczy człowiekowi przed nosem, grożąc użądleniem, chociaż właśnie chciał jej pomóc się wydostać. Jeszcze bardziej znienawidziłem ją dlatego, że była moją rodzoną matką, bo w głębi duszy czułem miłość do kobiety, którą była dawniej, zanim nasz samolot się rozbił. Targały mną też wyrzuty sumienia, że nie uchroniłem jej przed obłędem.

10 - Biali bogowie

145

Podczas gdy ja uczyłem się chodzić i pływać nago w rzece oraz strzelać z dmuchawki, mama tonęła w odmętach trucizny, pozwalając jej się saczyć do mózgu, aż przestała trafnie oceniać rzeczywistość.

- Mamo, błagam cię, zgódź się. Nie bądź głupia...

- Sam jesteś głupi — warknęła. — I ty, i Klaus jesteście głupi. Podobnie zresztą jak ten człowiek. Zostawcie mnie i przestańcie się wygłupiać. Nie mogę już na was patrzeć.

Klaus też zaczął ją błagać.

- Helgo, zaklinam cię po raz ostatni. Zrób to dla swojego dobra i dla dobra chłopców, jeśli już nie z innych powodów...

- Nie dla twojego? Idź precz, obłudniku!

Zamknęła oczy i położyła się na hamaku.

Czułem, jak mi się kurczy gwałtownie serce, a gdy przybrało rozmiar orzecha

włoskiego, zabrakło w nim miejsca dla mamy, która i tak nie chciała w nim być. Pragnęła być jedynie w sercu męża nieboszczyka, mojego zmarłego ojca. Chyba dlatego sama zachowywała się jak trup. Leżała w hamaku, ale chociaż żyła, oddychała i myślała o zmarłym mężu, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że sama poniekąd umarła. Wariaci nie wiedzą, że są wariatami. Chciałem ją uderzyć, żeby ocknęła się i wróciła do świata normalnych, ale nie mogłem jej tknąć, kiedy leżała tam naga, biała i szalona, z kępą blond włosów, w którą Manokwo pragnął wbić swojego wielkiego brązowego kutasa na stojąco jak jeź.

Obok stał Klaus, który też nie mógł nic u niej wskórać. Dorosły mężczyzna, lekarz, a stracił rozeznanie, co robić. Nie mógł siłą wyciągnąć mamy z jej obłądu. Mógł tylko patrzeć, jak zasypia na środku drogi. Jego też najchętniej bym uderzył, bo nie potrafił wpłynąć na rozwój wypadków, chociaż był ode mnie dwa razy starszy i o wiele mniej mądrzejszy. Obaj byliśmy bezradni i obaj się tego wstydziliśmy. W tej chwili bardziej przypominał mojego brata niż ojczyrna, aż mi się go zrobiło żal, ale chętniej palnąłbym go za bezsilność.

- No dobrze - powiedział Klaus najpierw cicho, a potem drugi raz stanowczo: —
No dobrze.

Wrócił do Wentzlera, Manokwy i tłumu. Ja za nim.

146

- Ona nic nie robi - powiedział beznamiętnie.

- Nic? - spytał Wentzler.

- Nic. Dla niej to wszystko jest nierealne.

- Musisz jej uświadomić, że szybko może nabrać realności. Wyobrażasz sobie, co się stanie, jeśli ona nie przyzna otwarcie, że jest twoją żoną?

- Ja sobie wyobrażam, Helga nie. Wierz mi, Gerhardzie, że ta kobieta postradała zmysły.

- Przecież jest twoją żoną. Nie możesz do tego dopuścić.

- Próbowałem, ale odmówiła. Ponadto nie uważa się za moją żonę.

- Czyli co mam powiedzieć Manokwie?

- Co uważasz za stosowne, przyjacielu.

Wentzler zaczął się denerwować jeszcze bardziej niż Klaus lub ja. Może po prostu bardziej okazywał irytację, ale naprawdę był niesłuchanie wzburzony.

- Brandt, ten człowiek posiadzie twoją żonę. Zaciągnie ją do dżungli, rozłoży jej nogi, rozumiesz, co do ciebie mówię? Na miłość boską, on jej pożąda, dlatego bez namysłu spełni swoją zachciankę, całkiem nieświadom, że robi coś złego, bo ty nie próbujesz go nawet powstrzymać. Nie musisz stawać z nim do walki na śmierć i życie. Wystarczyłoby go zbajerować, a ty nie kiwniesz nawet palcem, żeby oszczędzić żonie upokorzenia.

- Przecież ci mówię, że próbowałem...

- O tak, całe dwie minuty! I zaraz dałeś za wygraną.

- Bo Helga nie słucha głosu rozsądku! Jeśli mnie winisz, sam spróbuj. Erichu, powiedz mu, że obaj próbowaliśmy...

- To prawda, Herr Wentzler. Mama nie słucha. Uważa, że mój ojciec nadal żyje, chociaż to nieprawda, bo zginął w Rosji. A teraz najchętniej położyłaby się na środku drogi...

- Co ty wygadujesz? Chcesz, żeby Yayomi ją wykorzystał? Jaki syn by do tego dopuścił?

- A jak ja mogę temu zapobiec? - spytałem.

Zbierało mi się na płacz. To nie była moja wina ani wina Klause. Wina leżała po stronie mamy, a Wentzler zaczął obwiniać nas. Zeppi

147

zostawił wreszcie mamę i podszedł do nas. Łzy ciekły mu po twarzy. Nic nie rozumiał, wiedział tylko, że ktoś chce skrzywdzić mamę i że Manokwo jest za to odpowiedzialny. Położyłem mu rękę na ramieniu i poczułem, że przeszły go ciarki jak fale po stawie.

- Chcesz powiedzieć, że dałeś za wygraną? - spytał Wentzler Klause.

- Nie dałem za wygraną, raczej nie mam po co dalej przekonywać żony.

- Brandt, tak nie wolno.

- Nic nie zrobiłem. Helga dokonała wyboru.

- Przecież mówisz, że postradała zmysły. Chorzy na umyśle nie mogą wybierać.
- W takim razie sam coś zrób, Herr Wentzler, i przestań mi wytykać, że jestem tchórzem! Straciłem wpływ na bieg wypadków i doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Tchórz nigdy by się sam nie przyznał.

Wentzler osłupiał. Po chwili odwrócił się do Manokwy i odbył z nim krótką rozmowę. Potem odwrócił się do Klausa i powiedział:

- Powiedziałem mu, że twoja żona dziękuje Noroniemu za lekarstwo, ale z całym szacunkiem odmawia. Zna swoją dolegliwość, stąd wie, że w końcu przejdzie, bo zna wywołującego ją demona. A demon irytuje się najbardziej, kiedy zostawić go w spokoju, jeśli więc rozzłości go brak terapii, sam odejdzie. Musiałem podać im dokładnie, kiedy to się stanie. Yayomi nie znają liczb większych od dwóch, dlatego powiedziałem mu, że za dwa dni Frau Brandt wróci do zdrowia. Tyle czasu macie na załatwienie tego idiotycznego stanu rzeczy. Później umywam ręce.

- Dziękuję. Przecież to nie twoja wina, bo wina leży gdzie indziej. Odkąd trafiliśmy do dżungli, Heldze... odebrało rozum. Może wcześniej też już była zaburzona. Nie miałem z nią kontaktu przez wiele lat, od śmierci brata. Uważałem, że postępuję właściwie, że mój brat pochwalałby ten obrót spraw, a tu coś takiego.

Chyba tylko wariatka może wierzyć, że jej mąż nieboszczyk nadal żyje.

Tłum zaczął się rozchodzić, Yayomi wracali do przygotowywania kolacji. Wkrótce Klaus i Wentzler zostali sami. Klaus nadal coś mó-

148

wił. Nie słyszałem, żeby mówił tak dużo i tak szybko. Najwyraźniej bardzo chciał dotrzeć do rozmówcy.

- Cóż można zrobić, kiedy człowiek chce dobrze, a spotyka się z całkowitym niezrozumieniem? Cóż są warte dobre intencje? Człowiek planuje, czyni kroki, ażeby dawne błędy nie zmaciły przejrzystych wód teraźniejszości, wykonuje posunięcia, które uważa za stosowne, naraża się, biorąc pod uwagę własną przeszłość i obecną sytuację na świecie, wydaje krocie, żeby dopiąć swego. Lecz wówczas wkracza los. Człowiek planuje rozpoczęcie nowego życia z nową rodziną. Zmierza w stronę lepszego jutra i co wtedy? Ręka opatrności strąca go z nieba na ziemię. A potem?

Znów decyduje los. Jego żona wpada w obłąd, a może oszalała już wcześniej, tylko jedna kropla przepełniła czarę. Ów człowiek przysposabia też syna, dorodnego chłopca, i co się dzieje? Jego syn okazuje się być ni to chłopcem, ni dziewczyną, lecz hybrydą, dziwolągiem, budzącym podziw jedynie u barbarzyńców...

Wentzler i ja słuchaliśmy z rozdziawionymi gębami, a on ciągnął swoje:

- Uważają go za bóstwo, chłopca, dziewczynę, delfina, wszystko w jednym. Nie stało się to z dnia na dzień, ale żona ten fakt przede mną ukrywała. Podejrzywała, co jako lekarz mógłbym sobie pomyśleć, bo przecież umiem odróżnić właściwą konfigurację organizmu ludzkiego od niefortunnych przypadków i błędów genetycznych. Ukryła niedoskonałość syna i przyjęła moje oświadczenia, kiedy poprosiłem ją o rękę, chociaż nie musiałem. Mogłem przebierać do woli w młodych kobietach, ale chciałem postąpić godnie ze względu na pamięć Heinricha. Helga przyjęła moje oświadczenia z uśmiechem na ustach, ale zataiła okoliczność, która kazałaby mi zrezygnować z ożenku.

Klaus wpadł teraz w szczerzy ton.

- Wiesz, Wentzler, człowiek na moim stanowisku, na takim, jakie zajmowałem w Rzeszy, musi być ponad wszelkie podejrzenia, mieć czystą kartę, żadnej domieszki krwi żydowskiej lub bękarcej, bo takie są zasady, z całą pewnością niezbędne, zważywszy stan świata, w którym krzyżują się rasy, oraz bastardyzację szczepu aryjskiego

149

iii!

z niższymi gatunkami. Cóż moje stanowisko byłoby warte, gdyby doszło do czegoś takiego, kiedy byłem na szczycie? Natychmiast popadłbym w niełaskę, odsunięto by mnie od pełnienia obowiązków, jakże ważkich, Gerhardzie, stanowiących sedno programu dbałości Fihrera o czystość rasy, oczyszczenia całego kontynentu z wszelkich przedstawicieli gorszej krwi. Pytam cię, co by mi dało większą satysfakcję?

- Nie wiem - odparł Wentzler. Patrzył dziwnie na Klause, który perorował w obłąkańczy sposób.

— Oczekiwano ode mnie eksterminacji na szeroką skalę, wielkiego dzieła, które wyczerpywało nas Fizycznie, lecz uskrzydlało emocjonalnie, a przy tym było straszliwie wymagające ze względu na statystykę, niesłychanie wysoką. Później, kiedy przegraliśmy i musiałem uciekać, zadałem sobie pytanie, czy mógłbym się przysłużyć jakiejś większej sprawie, skoro Niemcy legły w gruzach, a wraz z nimi wszelkie nadzieje na rozpoczęcie nowej ery pod wodzą Aryjczyków... i znów doznałem iluminacji, poczucia, że tak powiem, świętego obowiązku... że należy sięgnąć do dymiącej przeszłości, wydobyć z popiołów rodzinę brata, wyciągnąć ją z mroku, wydostać na światło dzienne, by wdowa i sieroty mogły dzielić życie ze mną i przechowywać pamięć o Heinrichu... i tak właśnie zrobiłem, a teraz skutki mnie przerosły, przynosząc jakże zgubne konsekwencje mojego jakże wielkodusznego czynu. Jak to wyjaśnić, Gerhardzie? Jak zestawić intencję ze skutkiem?

Zeppi odszedł, gdy usłyszał, że ojczym nazwał go dziwolągiem, ale Wentzler i ja słuchaliśmy z kamiennymi twarzami wyводу Klause.

- Widzę, że to jest dla ciebie straszliwy wstrząs — odezwał się Wentzler.

Klaus pokiwał głową, doceniając współczucie. Wentzler jednak odszedł do ognisk.

Klaus odprowadził go wzrokiem, nieco zdziwiony, po czym zwrócił się do mnie. Nie mogłem oderwać od niego oczu, tak jak królik podobno ma oczy utkwione w węża, tyle że ja nie czułem z jego strony zagrożenia.

— Erichu, wiedz, że chociaż inni mnie zawiedli, w tobie widzę doprawdy wzór doskonałości. Moje frustracje zatem nie dotyczą cie-

150

+f 40

i

bie. Stanowisz wspaniały okaz aryjskiego chłopca. Pokładam w tobie wielkie nadzieje.

Widać było, że mówi całkiem szczerze.

- Gdybyś pomógł mi wybrnąć z tej koszmarnej sytuacji z twoją mamą... Nie chciałbym, żeby jej się pogorszyło, a tak się z całą pewnością stanie, jeśli Manokwo jej dotknie. Potrzebny nam jest jakiś plan, ale nie taki wyspany z palca, wprost z przygodowych książek. Żyjemy wśród barbarzyńców i musimy działać na ich poziomie, zwłaszcza że nie mamy dywizji pancernej, która mogłaby ich zmiażdżyć. - Roześmiał się z własnego dowcipu, po czym spoważniał. - Masz jakieś propozycje?
- Ukradnijmy wieczorem dwa kanu i popłynemy rzeką.
- Musielibyśmy przepłynąć przez terytorium Iririch. Słyszałeś, co o nich mówił Wentzler.
- Twierdził, że gdybyśmy przynosili kanu z jednego dorzecza do drugiego, to nas złapią. A ja proponuję, żebyśmy, płynąc rzeką, minęli miejsce, w którym te dorzecza się do siebie zbliżają.
- A potem?
- Potem będziemy już daleko stąd.
- I daleko od wszelkiej cywilizacji. Tyle że bez broni, bez jedzenia i bez orientacji w terenie niewiele wskóramy. Nie przedstawiasz żadnego planu, lecz reakcję na brak planu. Trzeba wymyślić coś lepszego.
- Zapytam mamę - powiedziałem i odszedłem.
- Tracisz tylko czas! - rzucił za moimi plecami. - Twoja matka nie zrozumie! Podszedłem do mamy i usiadłem przy jej hamaku. Miała otwarte oczy. W sąsiednim hamaku leżał Zeppi. Słyszałem, jak szlochał. O dziwo, mama wcale nie spieszyła go pocieszać. Sam ten fakt, bardziej niż wszelkie słowa i czyny mamy, a także ocena Klause jej psychiki, uświadomiła mi, w jakim mama jest stanie. Przedtem wystarczyło, żeby uderzył się w paluch nogi, już pędziła, żeby go pocałować i pocieszyć. Teraz odsunęła się od wszystkiego i od wszystkich, schowała w skorupie jak żółw.
- Mamo, możemy porozmawiać?

Przez chwilę milczała, ale zaraz wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz.

- Musimy ukraść kanu i uciec.
- Dlaczego?
- Bo jeśli nie uciekniemy, zrobią ci coś złego.
- Co mi się może jeszcze stać? Najgorsze już się stało.
- Skrzywdzi cię ich wódz, Manokwo.
- Nikt mnie teraz nie skrzywdzi. Kiedy byłam ślepa, można mnie było skrzywdzić, bo nie widziałam własnej ślepoty. Teraz bielmo spadło mi z oczu i nikt mnie już nie skrzywdzi. Mam oczy szeroko otwarte.
- Mamo, musimy uciec. Ty, ja i Zeppi jednym kanu.
- Nie lubię kanu. Kiedy byłam małą dziewczynką, raz płynęłam takim kanu, a może to była łódź wiosłowa? Ktoś wstał i łódka się przewróciła.
- Będziemy bardzo ostrożni.
- Nie.
- Mamo, musisz stąd uciec, bo Manokwo chce cię wziąć za żonę.
- Pan Bóg nigdy do czegoś takiego nie dopuści. Tak mi powiedział Heinrich.
- Jeżeli tata żyje w Rosji, tak jak twierdzisz, przecież nie ma jak się z tobą komunikować. Tylko ci się wydaje, że go słyszysz.

Odwróciła się, spojrzała na mnie, z uśmiechem położyła mi rękę na ramieniu.

- Erichu, niepotrzebnie się o mnie martwisz. Nic złego mnie nie spotka. To tylko sprawdzian. Jeżeli zachowamy odwagę, wszystko będzie dobrze. Nie martw się, ty, ja i Zeppi wyjdziemy z opresji cało.

Położyłem rękę na jej ręce. Przemawiała przez nią wariatka. Zaszumiało mi w głowie. Wiedziałem, że nie mogę jej ufać. Na nic jej uśmiech, ręka na moim ramieniu i uspokajający ton głosu. To były wszystko atrybuty jej obłędu, w które nie mogłem dać się uwikłać.

- Zeppi jest roztrzęsiony - powiedziałem jej. - Płacze, bo Klaus nazwał go dziwolągiem.

To był test dla mamy, tyle że nie pochodził od Boga, lecz ode mnie. Chciałem sprawdzić jej reakcję. Gdyby wezwała Zeppiego,

pogłaskała go po głowie i poprosiła, żeby nie brał sobie do serca słów Klausa, znaczyłoby, że pozostała naszą dawną mamą. Wówczas byłaby nadzieja, że wróci do siebie. Ona jednak westchnęła tylko i powiedziała:

- Musi dorosnąć. Pomóż mu, Erichu, bo ja jestem za bardzo zmęczona.

Z tymi słowy odwróciła się, zamknęła oczy i zasnęła. Naprawdę zasnęła, nie udawała. Zeppi patrzył na nas z hamaka. Słyszał naszą rozmowę. Położyłem palec na ustach, żeby jej nie budził, a następnie poszedłem do ogniska i przyniosłem mu coś do jedzenia, kilka pieczonych plantanów na dużym liściu. Zjadł szybko, a ja zmierzwiłem mu włosy.

- Teraz się prześpij - poradziłem.

- Weźmiemy kanu?

- Nie, to się nie uda. Wymyślę coś innego. Dzisiaj już nic się nie zdarzy.

Tak dalece mi ufał, że zamknął oczy i założył ręce na piersiach. Uznałem, że zasnął. Wróciłem do ogniska, wziąłem sobie coś do jedzenia i poszedłem szukać Wentzlera. Nigdzie nie widziałem Klausa.

Wentzler leżał z otwartymi oczami na hamaku.

- Herr Wentzler? Moja mama chyba oszalała. Nie wiem, co robić. Nie chce stąd wyjeżdżać.

- Nie docenia powagi sytuacji - potwierdził. - Z przykrością stwierdzam, że nie mam pojęcia, jak temu zaradzić.

Czyżbym spodziewał się pomocy z jego strony? Bo ja wiem? Chyba dlatego zwróciłem się do niego, że był dorosły. W nowych okolicznościach nauczyłem się, że dorośli nie zawsze mają gotowe odpowiedzi i że czasem sami stwarzają problemy. Gorzka to była lekcja. Na kim więc Zeppi miał teraz polegać? Tylko na mnie? Aż mi się zrobiło słabo. Przez chwilę poczułem się jak w śpiworze, jakby dusił mnie za ciasny kokon, który usztywniał mi całe ciało i pętał ruchy. Myśl żywa pozwoliła mi się jednak wyrwać z oków i przywróciła oddech. Urosłem, a jednocześnie wzmogła się moja bezradność z braku odpowiedzi, które dawałyby mi poczucie bezpieczeństwa, pozwoliły mieć nadzieję na poprawę sytuacji.

- Mam jednak dla ciebie jedną radę — powiedział Wentzler. - Zostań Yayomim. Upodobnij się do nich tak jak ja. Nigdy nie zostaniesz Indianinem, ale możesz się tak dalece zakamuflować, że przestaniesz ich kłuć w oczy. Rozumiesz?

- Czyli mam przestać być delfinem?

- Nie licz na to, że zawsze będą uważali cię za delfina. Yayomi bardzo sobie ułatwiają życie i zdumiewają wtedy, kiedy mają na to ochotę, ale nudzą obiektem zdumienia, gdy tylko stracą zainteresowanie. A wtedy dobrze ich nie kłuć w oczy. Teraz rozumiesz?

- Tak. Dziękuję, Herr Professor.

- Jeżeli przekonasz brata, żeby poszedł w twoje ślady, obaj przeżyjecie.

Twojemu stryjowi mam zamiar poradzić coś podobnego. Przykro mi, ale w sprawie twojej matki nie mam dla ciebie pocieszających wieści.

- Wiem.

- To dobrze. Zawsze lepiej wiedzieć, niż nie wiedzieć, nawet choćby ta wiedza niosła nie wiadomo ile goryczy.

I

Rozdział 7

Zmarnowaliśmy dwa dni wytargowane przez Wentzlera na dojście mamy do zdrowia. Mama godzinami modliła się na klęczkach, a Zeppi obserwował ją ze swojego hamaka. Kiedy nie mógł już wytrzymać, wybiegał pobawić się z małpką albo popływać w rzece. Widok mamy z twarzą ukrytą w dłoniach przyprawiał mnie o mdłości. Kilka razy próbowałem nawiązać z nią rozmowę, ale kazała mi się nie przejmować, tłumacząc, że Heinrich i pan Bóg o wszystko zadbają.

Wentzler powiedział mi, że Tagerri zaproponował, żebym udał się z nim do dżungli pomóc mu wybrać drzewo na drugie kanu, ale odmówiłem. Wentzler pochwalił moją roztropność. Gdyby Tagerri wrócił sam z moim Żelaznym Krzyżem na szyi i opowiedział ponurą historię o jaguarze lub anakondzie, które mnie porwały, kto spośród Yayomich zwątpiłby w jego słowa? Kiedy Tagerri usłyszał moją odmowę, mina mu zrzedła i poszedł w busz ze starą maczetą, którą Wentzler przed jedenastu laty podarował plemieniu.

Miałem dodatkowy powód, żeby nie iść, mianowicie chciałem spędzić trochę czasu z Awomay pod nieobecność jej przyrzeczonego męża. Wentzler, nie w ciemną bity, powiedział, że sam był młody, dlatego wie, co mi chodzi po głowie, i ostrzegł, żebym nie popełnił głupstwa nawet dla tak pięknej dziewczyny jak Awomay.

- Wiedz, że co najmniej pół tuzina członków rodziny Tagerriego przez cały czas ma baczenie na was oboje. Przy najmniejszym pogwałceniu zasady zaręczyn ten człowiek wyzwie cię na pojedynek. A nie miałbyś z nim szans. Dlatego trzymaj się od niej z daleka.

155

Obiecałem mu to i nawet chciałem dotrzymać słowa, ale trudno mi było odrzucić myśl, że mam prawo spędzać z nią czas, skoro i ona ma ochotę. Wybrałem się znów na polowanie z jej bratem. Zanim Kwaytcha podszedł do mnie z zabataną i strzałkami, zachęcając skinieniem głowy, które natychmiast zrozumiałem, żebym podążył za nim, widziałem, że przedtem rozmawiał z ojcem, Noronim.

Podejrzewałem, że właśnie Noroni polecił mi zabrać mnie z shabono na czas nieobecności Tagerriego, żeby mnie nie kusily figle z Awomay. Zależało mu na dobrym małżeństwie córki, dobrym, gwoli ścisłości, z punktu widzenia jego oraz Tagerriego. Według Wentzlera kobiety Yayomich nie miały wiele lub zgoła nic do powiedzenia w tych sprawach, chociaż to samo chyba dotyczy kobiet na całym świecie.

Poszedłem więc z Kwaytchą do dżungli. Wróciliśmy pod wieczór z dwoma wielkimi ptakami wodnymi i z małpą. Wszystkie ustrzelił Kwaytcha, ale pozwolił mi poćwiczyć celowanie z dmuchawki. Zdecydowanie robiłem postępy. Gadał jak najęty, chociaż nie rozumiałem ani słowa. Chyba powiedział, że wkrótce przyniosę do domu coś jadalnego. Przed powrotem do shabono wykąпалиśmy się w rzece. Tym razem uważałem, żeby nie sikać do wody.

Czas spędzony z Kwaytchą pod baldachimem drzew pozwolił mi zapomnieć o mamie i o Zeppim. Może przemawiał przeze mnie egoizm, ale Wentzler poradził mi zostać Yayomim, a tylko on znalazł się tu na rzeczy. Unikałem też myślenia o Klausie, bo nie wiedziałem, co o nim myśleć. Czy jest, czy nie jest moim nowym ojcem? Czy chcę,

żeby nim był? Straciło to dla mnie znaczenie. To Klaus pragnął zostać mężem i ojcem. Już jednak żałował swojej decyzji, kiedy wyszło na jaw, że wziął sobie wariatkę i hermafrodytę, a może mnie też odrzuci, skoro chcę zostać Indianinem. Byłem bratem Zeppiego, nie pasierbem Klause i już nawet nie synem swojej matki. Mój poprzedni świat się rozpadał, porzucony wraz ze śladami moich sandałów w poszyciu dżungli.

Po powrocie do shabono znów zastałem mamę na klęczkach. Nie zwracałem się do niej, bo mijałoby się to z celem. Manokwo również obserwował ją ze swojego hamaka naprzeciwko, a kiedy wszedłem z Kwaytchą, skinął na mnie głową.

Odniosłem wrażenie, że aprobo-

156

wał mnie jako przyszłego zięcia, zapewne dlatego, że próbowałem upodobnić się do Yayomich. Nie chciałem zostać synem Manokwy, podobnie jak nie chciałem być synem Klause, ale przypomniałem sobie słowa Wentzlera, dlatego teraz się odkłoniłem. Jeżeli wódz obdarzy mnie sympatią, prosta sprawa, jestem uratowany. Wyrwałem z ustrzelonego ptaka dwa długie pióra, jedno zaniósłem Zeppiemu i przywiązałem mu do włosów, a drugie przywiązałem sobie na karku, żeby mi nie przeszkadzało. To był mój pierwszy krok w kierunku upodobnienia nas do Yayomich. Jeszcze bardziej uwiarygodni mnie zdobycie własnej broni, a także pomalowanie ciała. Chciałem ukryć białą cerę pod warstwą czerni i czerwieni. Podpatrzyłem, skąd miejscowi biorą te pigmenty. Czerwień pochodziła z nasion pewnego krzewu, które rozgniatali i mieszały z wodą, a czerń ze zwilżonych węgli z ogniska. Sam bym się jednak nie pomalował. Yayomi malowali się nawzajem.

Zacząłem szukać Klause i znalazłem go w tym samym miejscu, w którym znalazłem go wcześniej z Zeppim. Siedział z rozmarzoną miną pod drzewem przy jednej z dalekich ścieżek, obok stała czarna torba. Wyraźnie ucieszył się na mój widok, aż musiałem sobie przypomnieć, że nic nie wie o tym, co się dzieje w mojej głowie. Zdziwił mnie jego uśmiech i przyjazny gest. Klaus sprawiał wrażenie człowieka, kto wybrał się na plażę, fala zabrała mu wszystkie ubrania, ale on jak gdyby nigdy nic pilnuje rodzinnego kosza piknikowego.

- Szukałem cię, Erichu! Gdzieś ty się podziewał?
- Byłem z Kwaytchą na polowaniu.
- Siadaj.

Usiadłem.

- Na polowaniu, co? Wybornie. Też powinienem się wybrać, żeby bodaj na chwilę oddalić się od tej rzeki i tych cholernych Yayomich. Wentzler to żadne towarzystwo. Zresztą unika mnie przez cały dzień. Można by sądzić, że dwóch dyplomowanych akademików, w dodatku Niemców, zechce się trzymać razem. Chyba stary Wentzler w końcu zrozumiał, że nie pochwalam jego przedzierzgnięcia się w dzikusa. Ma jak najbardziej prawo badać prymitywny lud, ale żeby przez jedenaście lat biegać nago? Sami teraz wyglądamy

157

\

Ł

jak nadzy barbarzyńcy, ale tylko w kwestii przystosowania się do klimatu. W głębi duszy pozostajemy cywilizowanymi Niemcami. A o Wentzlerze nie da się, dalibóg, powiedzieć tego samego.

Wokół kropki krwi na ręce, od wewnątrz, gdzie zapewne ukąsił go jakiś owad, brzęczała teraz mucha. Odgonił ją. Obok widniały ślady innych ukąszeń.

- Został już tylko miesiąc do pory deszczowej - powiedział. — Coś mi mówi, że Wentzler nie ucieknie z nami, chociaż pomysł wyszedł od niego. Chyba woli pozostać tutaj. Nie ma zamiaru pisać żadnej książki, po prostu chce się ukrywać w dżungli. Jak brzmiała twoja teoria? Ze to zbiegły morderca? Zaczynam powoli przyznawać ci rację.

- A kogo, twoim zdaniem, mógł zabić? - spytałem dla podtrzymania rozmowy.
- Kogo? Bóg raczy wiedzieć. Nie, Bóg na pewno nie wie. On nic nie wie, z tego prostego powodu, że nie istnieje. Tylko nie powtarzaj mamie moich słów. Mogłaby się zdenerwować. Nie, wróć! Uśmiechnęłaby się tylko, jak to ona, pobłażliwie i popatrzyła z politowaniem, dając do zrozumienia, że bujam w obłokach. Głupia kobieta! Przepraszam cię, Erichu. Nie powinienem tak mówić o twojej matce.

Powinniśmy jedynie współczuć Heldze w jej obecnym stanie.

Z namysłem pogładził się po niedawno wyhodowanej brodzie.

- Sytuacja ją przerosła. Umysł zawodzi, kiedy musi wytrzymać nadmiar stresu.

Jedni radzą sobie lepiej, drudzy gorzej, ale chyba też widzisz, że przebrała miarę?

Tak się skończyło ukrywanie przed światem prawdy o małej pannie Zeppi. Nie da się utrzymywać fałszywej fasady w nieskończoność. Wcześniej czy później pęknie, a zza niej musi wychynąć prawdziwy człowiek. To tylko kwestia czasu, w przypadku Helgi nie potrwało długo. Chyba mogę rozmawiać z tobą po męsku, Erichu? Jesteś mądrym i rozsądnym chłopcem, a nade wszystko podobnie jak ja masz w sobie wolę przetrwania. Bo nie wszyscy ją mają. Chociażby Zeppi lub Helga. My natomiast spadamy na cztery łapy, bo umiemy przetrwać w każdych okolicznościach. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Jak?

Znów strzepnął muchę z ręki.

158

I.

*

- Tak jak teraz. Sam zobacz.

Otworzył torbę, sięgnął, wyjął lusterko.

- Wiesz, do czego ono służy? Do sprawdzania oddechu nieboszczyka. Jeżeli nie zachodzi mgłą, to znaczy, że człowiek nie żyje. Masz.

Podsunał mi lusterko pod nos. Po raz pierwszy nie wiadomo od jak dawna się przejrzałem. Włosy sterczały mi nad czołem niczym brudna słomiana strzecha, a słońce i dym osmagały ciało. Twarz mi wychudła, mina spoważniała. Przypominałem raczej swojego brata bliźniaka, który czaił się niejako we mnie od urodzenia. I teraz ujrzałem jego twarz.

Oddałem lusterko Klausowi, który odłożył je do torby.

- Po co nosisz ją wszędzie ze sobą? - zapytałem. - Yayomi jej się boją, odkąd Waneeri ogłosił, że go ugryzła. Mógłbyś zostawiać ją w shabono i na pewno nikt by

jej nie tknął.

- Może, ale trudno wierzyć Indianom, że ulęknią się demona w torbie. Wcześniej czy później ktoś zdobyłby się na odwagę, żeby zajrzeć do środka. Mogliby mi wtedy wszystko porzucić, szukając demona, którego chcieliby zabić. Torba lepiej ma się przy mnie, a ja przy niej. - Roześmiał się. - Torba lekarska to atrybut medyka tak jak karabin jest atrybutem żołnierza albo instrument muzyka. Kim bez niej jestem? Człowiekiem zagubionym w dżungli. Erichu, po co ci to pióro we włosach? Chyba nie zamierzasz zostać dzikusem jak Wentzler?

- Możliwe, że zostanę, w każdym razie do naszego wyjazdu.

- Nie pochwalam. Im bardziej upodobnisz się z wyglądu do Yayomich, tym mniej będziesz delfinem, a wtedy biada ci, bo potraktują cię jak zwyczajnego gościa, który spożywa ich jedzenie i zajmuje przestrzeń. Lepiej zachować pewną tajemniczość. Niech te psubraty toną w domysłach, tak jest najbezpieczniej.

- Herr Wentzler nie podziela twojego zdania. Twierdzi, że i tak bajka o delfinach rychło im się znudzi, powinniśmy więc zacząć się przydawać, bo wkrótce zaświta im w głowach, że jesteśmy tylko ludźmi. Ja mam zamiar zostać myśliwym.

- Doprawdy? A kim zostanie Zeppi? I do czego niby przydaje się Wentzler?

- On ma inną pozycję. Nigdy nie był delfinem. Poza tym lubią słuchać jego opowieści.

159

- Patrzcie go! Cóż za idiotyczna rozmowa! Wiedz, że ja mam zamiar pozostać sobą i niech wszyscy Yayomi idą do diabła. Za nic w świecie nie zejdem do ich poziomu.

Mógłbym podejrzewać, że jest pijany, gdyby nie wykluczały tego okoliczności.

Chociaż nie bełkotał, zmienił mu się charakter, stał się opryskliwy i znacznie bardziej niepoohamowany w słowach.

- Klaus, ilu ludzi zabiłeś podczas wojny?

- Ilu zabiłem? Żadnego. Ani jednej kobiety i nawet ani jednego dziecka.

- Ale ilu Żydów? Twierdziłeś, że uczestniczyłeś w ogromnym dziele eksterminacji.

- Aaa, Żydów! Przecież pytałeś o ludzi. Któż to wie? Nieważne, ilu przypadło na jednego człowieka przy tak ogromnym dziele. Rozwiązanie kwestii żydowskiej wymagało maszyny o wielu rękach i jednym umyśle, zaangażowania całego narodu, że tak powiem, aby raz na zawsze położyć kres temu problemowi. Ja byłem tylko jedną z rąk, i to wcale nie najważniejszą, ale szczerę się tym, że odegrałem swoją rolę. Szkoda, że alianci nie pozwolili nam dokończyć dzieła. Wystarczyłby jeden, może nawet niecały, rok, żeby dokonała się misja dziejowa. Od Morza Północnego po Kaspijskie albo dalej nie zostałyby przy życiu ani jeden Żyd.

Wyobraziłem sobie wieloręczną maszynę Klausea. Przypominała ośmiornicę, która licznymi mackami wsadzała sobie Żydów do gęby podobnej do papuziego dzioba. Ciekawe, jak bym się czuł przegryziony na dwoje, gdybym przedtem widział, że ten okropny, zakrwawiony dziób się zbliża, przegryza innych w pół, połyka, a zaraz nadejdzie moja kolej...

- Erichu, ty drzysz? Niemożliwe, żeby ci było zimno. Masz gorączkę?

- Nie. - Przypomniało mi się powiedzonko ojca. - Tylko ktoś przeszedł po moim grobie.

- Ciekawe wyrażenie. Nikt nie wie, gdzie będzie jego grób ani czy w ogóle będzie go miał. Chociażby Żydzi, nie zasługują na kawałek ziemi, który można by wykorzystać lepiej, na przykład pod uprawę. To doprawdy marnowanie dobrej ziemi.

160

- A ustawy przesiedleńcze? Nie mogliby mieć grobów na nowych terenach?

- Ustawy? Drogi Erichu, musisz nauczyć się odróżniać eufemizmy propagandy od rzeczywistości. Owszem, Żydów przesiedlano, lecz nie na wschód, nie na polskie niziny, które im obiecywaliśmy, uchwaj Boże, gdyż oznaczałoby to konieczność przesiedlenia tysięcy Polaków, a już i tak byliśmy zajęci dziesiątkami tysięcy Żydów. Co ja mówię... setkami tysięcy.

- To gdzieście ich umieścili?

- Przesiedliliśmy ich, zgodnie z wcześniejszą obietnicą... tyle że do atmosfery. Czekałem na dalsze wyjaśnienia, ale spojrzał tylko na mnie i się roześmiał.

- Oj, Erichu, chyba nie sądzisz, że mieliśmy wyjście. Zrobiliśmy to, co

musieliśmy, dla dobra Europy, a w sumie dla dobra świata.

- Mama opowiadała, że kiedy pojechała cię odwiedzić, czuła swąd palonego ciała.

- Ubolewam, że ten zapach przywołał bolesne wspomnienie z dzieciństwa.

- Co się z nią teraz stanie?

- Z Helgą? Nie mam większej nadziei, że wyzdrowieje. Gdybyśmy mogli zawieźć ją do szpitala, może zyskałaby szansę, ale niestety taka pomoc nie wchodzi w grę.

- Pytam o Manokwę.

- Nie sędzę, że spełni swoją groźbę. Zasięgnąłem rady Wentzlera. Twierdzi, że Yayomi nie mają cierpliwości do niepracujących kobiet, a Helga z pewnością nie jest zdolna do pracy. Czyli blefował. Ci Indianie dużo obiecują i mało robią, stanowią zgraję bufonów, a największym zwykle jest wódz. Właśnie bufonada pozwoliła mu się wspiąć na szczyt, jeżeli w tym przypadku to trafne określenie. Wszystko jest względne. Kogut wdrapuje się na górę śmieci i wyobraża sobie, że jest królem.

- A jeżeli nie blefuje?

- Oj, Erichu, Erichu, za dużo się martwisz. Skup się lepiej tak jak ja na naszym planie ucieczki. Istnieje stąd wyjście i z pewnością

11 - Biali bogowie

161

we właściwym czasie z niego skorzystamy. Bo to nie dla nas - powiedział, wskazując zamasztyłym gestem krajobraz. - Nasza przyszłość leży gdzie indziej.

Zrozumiałem, że nie chce albo nie umie odpowiedzieć na moje pytanie. Z całą pewnością nie uważał się już za męża mamy, co mnie zresztą ucieszyło, bo na nią nie zasługiwał, mimo że wpadła w obłąd. Przypisywał sobie nie lada męstwo, dlatego że zabił mnóstwo Żydów, a nie chciał podjąć walki z wodzem Manokwo o los własnej żony, co więc z niego za mężczyzna? Pomyśleć, że jeszcze w Ciudad Bolivar w niego wierzyłem. Uśmiechał się teraz do mnie, a ja nie mogłem na niego patrzeć.

- Rozumiem cię - powiedział - bo przykro jest tak długo czekać, ale musimy wykazać cierpliwość.

- A reszta? Musimy zdobyć drugie kanu, żeby wszyscy mogli się zabrać.
- Oczywiście, jak najbardziej.

Roześmiał się tym swoim śmiechem syczącym jak pęknięta piłka. Miałem już dosyć. Wstałem, wróciłem na ścieżkę, zanadto wzburzony, żeby coś powiedzieć. Chociaż Klaus był lekarzem, nie mógł zapewne pomóc mamie dotkniętej obłędem, ale mógł przynajmniej wymyślić, jak powstrzymać wodza przed wzięciem jej sobie za drugą żonę. Owszem, trudno było teraz z obłąkaną mamą wytrzymać, ale to żadne usprawiedliwienie dla Klause, który był w końcu jej mężem, nawet jeżeli wzięli ślub pod fałszywym nazwiskiem. Krew gotowała się we mnie jeszcze bardziej, dlatego że sam nie wiedziałem, jak uratować mamę przed wodzem.

Jak na Indianina Manokwo był potężnej postury, ale na pewno nie bufonadzie zawdzięczał obwołanie go przywódcą. Musiał być lepszym wojownikiem, ja zaś nie miałem żadnych uzdolnień w tej dziedzinie. Nikt mnie wprawdzie nie maltretował w szkole, ale też nie szukałem guza ani nie wdawałem się w bójki za nikogo. Bicie ludzi zawsze wydawało mi się głupie. Czasami udawało mi się wymigać od konfrontacji z jednym czy drugim idiotą, przynajmniej dwa razy, kiedy wyzwany, unikałem walki, ale i tak skończyłoby się remisem, bo obaj przeciwnicy byli równie niezaprawieni w walce na pięści jak

162

ja. Wściekało mnie więc, że nie mogę podjąć z Manokwą walki na miarę bohatera z przygodowych książek.

Nie dość silny, żeby stanąć do walki, nie dość szczywany, żeby przegadać Manokwę, bo nie mówiłem w jego języku. Ale czy to ważne? Wentzler znał ich język. Gdybym wymyślił, jak przechytrzyć Manokwę, Wentzler sprzyjałby mi, pod warunkiem że nie naraziłbym go na niebezpieczeństwo. Jak więc przedstawiał się plan? Stałem, bo chciałem się skupić, i wtedy na czoło sfrunął mi wielki bzycający robal. Odbił się i odleciał. W głowie tak mi huczało, że ledwo go zauważyłem. Mój plan będzie musiał uwzględnić przede wszystkim wiarę Yayomich w przesady, dlatego można im wmówić, przynajmniej doraźnie, niemal wszystko. Muszę coś wymyślić, żeby Manokwo bał się tknąć mamę co najmniej przez miesiąc, aż do rozpoczęcia pory

deszczowej, która umożliwi nam ucieczkę.

Czego Manokwo mógłby się przestraszyć? Co obrzydziłoby mu mamę jako obiekt pożądania? Łamałem sobie głowę, ale nie wpadłem na żaden pomysł. Nawet gdyby eskadra robali zbombardowała mi głowę, nie przyczyniłaby się do powstania sensownego planu. Stałem na ścieżce, zlany potem, roztrzęsiony, bezradny, istny niedołęga. Palnąłem się w twarz, żeby wykrzesać jakiś pomysł, który by zapobiegł wykorzystaniu mamy jak dziwki, ale tylko zapiekł mnie policzek.

Wieczorem poznaliśmy ciemną stronę Yayomich. Policja nazwałaby to sprzeczką domową - Yayomi, który dowiedział się, że jego żona chodzi do dżungli kochać się z innym mężczyzną, szukał kary za jej występki.

Incydent rozwinął się przed kolacją. Wyskoczył niejaki Isiway (Wentzler od początku wszystko mi tłumaczył) i zaczął krzyczeć wszem wobec, że jego żona Taroomi za jego plecami chodzi na seks do dżungli z mężczyzną imieniem Mapeway. Isiway chciał im obojgu odpłacić za zdradę.

Oskarżony Mapeway podskoczył i zaczął wykrzykiwać, że gdyby Isiway nadawał się na męża (według Wentzlera użył określenia „jebaka”), Taroomi nigdy nie zainteresowałaby się chodzeniem

163

ja. Wściekało mnie więc, że nie mogę podjąć z Manokwą walki na miarę bohatera z przygodowych książek.

Nie dość silny, żeby stanąć do walki, nie dość szczwany, żeby przegadać Manokwę, bo nie mówiłem w jego języku. Ale czy to ważne? Wentzler znał ich język. Gdybym wymyślił, jak przechytrzyć Manokwę, Wentzler sprzyjałby mi, pod warunkiem że nie naraziłbym go na niebezpieczeństwo. Jak więc przedstawiał się plan? Stałem, bo chciałem się skupić, i wtedy na czoło sfrunął mi wielki bzycający robal. Odbił się i odleciał. W głowie tak mi huczało, że ledwo go zauważyłem. Mój plan będzie musiał uwzględnić przede wszystkim wiarę Yayomich w przesady, dlatego można im wmówić, przynajmniej doraźnie, niemal wszystko. Muszę coś wymyślić, żeby Manokwo bał się tknąć mamę co najmniej przez miesiąc, aż do rozpoczęcia pory deszczowej, która umożliwi nam ucieczkę.

Czego Manokwo mógłby się przestraszyć? Co obrzydziłoby mu mamę jako obiekt pożądania? Łamałem sobie głowę, ale nie wpadłem na żaden pomysł. Nawet gdyby eskadra robali zbombardowała mi głowę, nie przyczyniłaby się do powstania sensownego planu. Stałem na ścieżce, zlany potem, roztrzęsiony, bezradny, istny niedołęga. Palnąłem się w twarz, żeby wykrzesać jakiś pomysł, który by zapobiegł wykorzystaniu mamy jak dziwki, ale tylko zapiekł mnie policzek.

Wieczorem poznaliśmy ciemną stronę Yayomich. Policja nazwałaby to sprzeczką domową - Yayomi, który dowiedział się, że jego żona chodzi do dżungli kochać się z innym mężczyzną, szukał kary za jej występki.

Incydent rozwinął się przed kolacją. Wyskoczył niejaki Isiway (Wentzler od początku wszystko mi tłumaczył) i zaczął krzyczeć wszem wobec, że jego żona Taroomi za jego plecami chodzi na seks do dżungli z mężczyzną imieniem Mapeway. Isiway chciał im obojgu odpłacić za zdradę.

Oskarżony Mapeway podskoczył i zaczął wykrzykiwać, że gdyby Isiway nadawał się na męża (według Wentzlera użył określenia „jebaka”), Taroomi nigdy nie zainteresowałaby się chodzeniem

(„pieprzeniem”) z kim innym, czyli winę za wszystko ponosi Isiway, bo ma kutasa, który nie zaspokaja potrzeb jego żony.

Isiway rozsierdził się jeszcze bardziej i oskarżył Mapeway, że rzucił urok na jego żonę Taroomi, żeby przestała się interesować mężem. Mapeway zaprzeczył, jakoby użył magii, bo po co komu magia, skoro zawinił leniwy kutas. Wszyscy się roześmiali. Mieszkańcy shabono porzucili ogniska i obstąpili krzyczących mężczyzn, żeby nacieszyć się ich kłótnią. Wentzler nazwał to sądem opinii publicznej.

Krzyczeli tak na siebie, aż Mapeway zażądał, żeby Taroomi wstała i powiedziała przy wszystkich, dlaczego z nim to robiła, bo zarzut rzucenia uroku jest bardzo poważnym oskarżeniem. Kiedy wstała, poznałem w niej kobietę, która niegdyś karmiła jedną piersią małą małpkę, a drugą dziecko. Wcale nie miała zadowolonej miny, że znalazła się w centrum uwagi, i krzyczała jeszcze głośniejszym głosem od mężczyzn, na co rozdarło się dziecko wczepione w jej biodro, aż zatrzęsły się ściany shabono. Przekrzykując

dziecko, powiedziała, że chodziła z Mapewayem, bo jej mąż Isiway za bardzo ją bił, kiedy go nie zaspokajała, a Mapeway traktował znacznie milej, nazywał „gorącą suczką w rui” i „śliczną małą dupenią”. Isiway nigdy nie powiedział jej komplementów, lecz nazywał „leniwym, obrzydliwym małpim gównem”, co jeszcze bardziej ją irytowało i pchało w ramiona Mapewayu.

Upierała się, że Mapeway nie rzucił na nią żadnego uroku, a poza tym jest przystojniejszy i jest lepszym kochankiem od Isiwaya. Po tych jej słowach gawiedź zaczęła wiwatować, a Wentzler powiedział mi, że to krewni Mapewayu. Krewni Isiwaya podobno wysłuchali jej oświadczenia z kamiennymi twarzami.

Widziałem wyraźnie, że Isiwayowi były nie w smak wyjaśnienia żony, jeszcze raz więc powtórzył, że Taroomi opętała magia wysokiego rzędu, dlatego o niej nie wie i dlatego mówi takie niecne i nieprawdziwe rzeczy o swoim mężu, a takie miłe o Mapewayu. Tylko walka może rozstrzygnąć spór, ale Mapeway nie będzie mógł rzucać uroków, żeby osłabić Isiwaya, bo stoczą walkę tu i teraz, na oczach wszystkich.

Publiczność bardzo się podnieciła. Wentzler powiedział mi, że Yayomi lubią oglądać równą walkę między dobrze dobranymi przeciwnikami tak samo, jak biali gustują w profesjonalnych meczach

164

(„pieprzeniem”) z kim innym, czyli winę za wszystko ponosi Isiway, bo ma kutasa, który nie zaspokaja potrzeb jego żony.

Isiway rozsierdził się jeszcze bardziej i oskarżył Mapewayu, że rzucił urok na jego żonę Taroomi, żeby przestała się interesować mężem. Mapeway zaprzeczył, jakoby użył magii, bo po co komu magia, skoro zawinił leniwy kutas. Wszyscy się roześmiali. Mieszkańcy shabono porzucili ogniska i obstąpili krzyczących mężczyzn, żeby nacieszyć się ich kłótnią. Wentzler nazwał to sądem opinii publicznej.

Krzyczeli tak na siebie, aż Mapeway zażądał, żeby Taroomi wstała i powiedziała przy wszystkich, dlaczego z nim to robiła, bo zarzut rzucenia uroku jest bardzo poważnym oskarżeniem. Kiedy wstała, poznałem w niej kobietę, która niegdyś karmiła jedną piersią małą małpkę, a drugą dziecko. Wcale nie miała zadowolonej miny, że znalazła

się w centrum uwagi, i krzyczała jeszcze głośniej od mężczyzn, na co rozdarło się dziecko wczepione w jej biodro, aż zatrzęsły się ściany shabono. Przekrzykując dziecko, powiedziała, że chodziła z Mapewayem, bo jej mąż Isiway za bardzo ją bił, kiedy go nie zaspokajała, a Mapeway traktował znacznie milej, nazywał „gorącą suczką w rui” i „śliczną małą dupenią”. Isiway nigdy nie powiedział jej komplementów, lecz nazywał „leniwym, obrzydliwym małpim gównem”, co jeszcze bardziej ją irytowało i pchało w ramiona Mapeway.

Upierała się, że Mapeway nie rzucił na nią żadnego uroku, a poza tym jest przystojniejszy i jest lepszym kochankiem od Isiwaya. Po tych jej słowach gawieź zaczęła wiwatować, a Wentzler powiedział mi, że to krewni Mapeway. Krewni Isiwaya podobno wysłuchali jej oświadczenia z kamiennymi twarzami.

Widziałem wyraźnie, że Isiwayowi były nie w smak wyjaśnienia żony, jeszcze raz więc powtórzył, że Taroomi opętała magia wysokiego rzędu, dlatego o niej nie wie i dlatego mówi takie niecne i nieprawdziwe rzeczy o swoim mężu, a takie miłe o Mapewayu. Tylko walka może rozstrzygnąć spór, ale Mapeway nie będzie mógł rzucać uroków, żeby osłabić Isiwaya, bo stoczą walkę tu i teraz, na oczach wszystkich.

Publiczność bardzo się podnieciła. Wentzler powiedział mi, że Yayomi lubią oglądać równą walkę między dobrze dobranymi przeciwnikami tak samo, jak biali gustują w profesjonalnych meczach

164

■ * .

I

bokserskich. Isiway i Mapeway pobiegli do słupów wspierających dach shabono i obaj wyciągnęli po trzymetrowym drągu grubości ręki. Stanęli naprzeciwko, ciskając sobie w twarz obelgi, wspierani przez mężczyzn ze swoich rodzin. Mapeway, jako oskarżony, zwyczajowo miał prawo do pierwszego ciosu, kiedy więc wyczerpał swoje zniewagi, uderzył przeciwnika. Isiway nawet nie próbował uchylić się od ciosu, który dosięgnął! czubka jego głowy.

Usłyszałam straszliwy łoskot. Isiway zatoczył się w bok, ale nie upadł. Po chwili

wyprostował się i wziął zamach, żeby uderzyć Mapewaya, który również nie próbował uciec przed drągiem Isiwaya. Drąg też spadł na czubek głowy, wydał taki sam odgłos, a Mapeway podobnie zatoczył się do tyłu, zanim się otrząsnął. Krew spływała obu mężczyznom po włosach na twarze i szyje, obaj rozsmarowali ją sobie na torsach, zanim przygotowali się do drugiej wymiany ciosów. W życiu nie widziałem głupszych zawodów, ale Wentzler powiedział mi, że tradycja nakazuje Yayomim tak właśnie rozstrzygać wszelkie spory.

Przeciwnicy znów stanęli do pojedynku i Mapeway uderzył. Tym razem Isiway ukląkł na jedno kolano, ale zaraz się zerwał, kiedy jego poplecznicy zdarli sobie gardła od kibicowania mu. Kilka minut dochodził do siebie, a potem uniósł drąg, żeby uderzyć Mapewaya stojącego z zakrwawionym torsem i zadufaną miną. Tym razem drąg spadł jeszcze szybciej i uderzył Mapewaya w czubek głowy jeszcze głośniej niczym siekiera, która rozłupuje drewniany kłoc. Stał przez chwilę, z pogardliwie zaciśniętymi ustami, lecz zaraz osunął się na ziemię jak worek karczochów. Walka dobiegła końca.

Isiway zaczął tańczyć dookoła, śpiewając pieśń zwycięstwa, a krewni oklaskiwali go i wtórowali mu. Mapeway leżał w sromocie tam, gdzie upadł, i nikt do niego nie podchodził, bo, jak wyjaśnił Wentzler, w świetle przegranej wszystkie jego słowa uznano za kłamstwa. Uczciwy człowiek wygrałby bitwę na drągi, dlatego krewni Mapewaya, zawstydzeni jego porażką, nie podchodzili. Mieli zająć się nim później, kiedy emocje opadną.

Przedstawienie jednak się nie skończyło. Isiway, ociekając krwią, szalejąc z radości po odniesionym zwycięstwie, ogłosił, że musi

165

ukarać żonę za krzywdę wyrządzoną mężowi. Usłyszawszy te słowa, Taroomi zaczęła wyc. Podejrzewałem, że mąż spuści jej na naszych oczach łanie, tyle że nie drągiem. I miałem rację. Posłużył się nie drągiem, lecz maczetą, którą obciął jej uszy. Zona siedziała przed nim w kucki i wyła z bólu, kiedy odrzynał jej najpierw lewe, odciągając jak najdalej, żeby nie drasnąć czaszki, a potem zabrał się do prawego.

Kiedy kobieta padła zemdlona tak jak przed chwilą Mapeway, Isiway musiał przewrócić ją na drugi bok, żeby dosięgnąć drugiego ucha. Odpiłował je tak samo jak pierwsze, po czym podniósł oba do góry i wygłosił mowę. W przytoczeniu Wentzlera mowa w całości traktowała o niewierności żony i złym sąsiedzie, którzy zeszli na złą drogę, o czym najpierw zaświadczyły drągi, a ostateczny dowód przyniosły obcięte uszy. Taroomi leżała nieprzytomna w kałuży krwi, ale Mapeway się poruszył. Usiadł, a kiedy zobaczył Taroomi bez uszu, czekałem, że coś zrobi, ale nie kiwnął palcem. Sprawiedliwość, jak orzekł Wentzler, została wymierzona, i nic więcej nie można tu było zrobić ani powiedzieć.

Zrobiło mi się niedobrze. Czy Manokwo tak samo oszczędłby się z moją mamą, gdyby go zdenerwowała? Na samą myśl najchętniej podbiegłbym i strzelił mu w serce, ale nie miałem broni, zresztą nic, czym mógłbym go ukarać tak, jak to zrobił Isiway. Wiedziałem, że nie mam co stawać do walki na drągi, bo dostałbym tylko po głowie. Z powodu tej walki straciłem szacunek dla Yayomich, zwłaszcza że pięć minut później Isiway i Mapeway objęci biegali w kółko, zaśmiewali się i pokrzykiwali jak najlepsi przyjaciele, a kobieta, którą obaj jeszcze niedawno kochali i pożąдали, czy co tam Indianie odczuwają, leżała z obciętymi uszami na ziemi. W głowie mi się to nie mieściło.

- Erichu, tylko nie sądz, że są głupszy od nas - rzekł Wentzler. - Nie słyszałeś o pojedynku na pistolety, w których obaj przeciwnicy strzelają na przemian? Nasz zwyczaj jest równie nedorzeczny jak indiański. Jutro obaj będą mieli ogromne guzy na głowach, którymi będą się szczycili, nawet ostrzygą sobie włosy na czubku, żeby wszyscy podziwiali rany.

- Ale ta kobieta nie ma teraz uszu.

166

ukarać żonę za krzywdę wyrządzoną mężowi. Usłyszawszy te słowa, Taroomi zaczęła wyc. Podejrzewałem, że mąż spuści jej na naszych oczach łanie, tyle że nie drągiem. I miałem rację. Posłużył się nie drągiem, lecz maczetą, którą obciął jej uszy. Zona siedziała przed nim w kucki i wyła z bólu, kiedy odrzynał jej najpierw lewe, odciągając jak najdalej, żeby nie drasnąć czaszki, a potem zabrał się do prawego.

Kiedy kobieta padła zemdlona tak jak przed chwilą Mapeway, Isiway musiał przewrócić ją na drugi bok, żeby dosięgnąć drugiego ucha. Odpiłował je tak samo jak pierwsze, po czym podniósł oba do góry i wygłosił mowę. W przytoczeniu Wentzlera mowa w całości traktowała o niewierności żony i złym sąsiedzie, którzy zeszli na złą drogę, o czym najpierw zaświadczyły drągi, a ostateczny dowód przyniosły obcięte uszy. Taroomi leżała nieprzytomna w kałuży krwi, ale Mapeway się poruszył. Usiadł, a kiedy zobaczył Taroomi bez uszu, czekałem, że coś zrobi, ale nie kiwnął palcem. Sprawiedliwość, jak orzekł Wentzler, została wymierzona, i nic więcej nie można tu było zrobić ani powiedzieć.

Zrobiło mi się niedobrze. Czy Manokwo tak samo obszedłby się z moją mamą, gdyby go zdenerwowała? Na samą myśl najchętniej podbiegłbym i strzelił mu w serce, ale nie miałem broni, zresztą nic, czym mógłbym go ukarać tak, jak to zrobił Isiway. Wiedziałem, że nie mam co stawać do walki na drągi, bo dostałbym tylko po głowie. Z powodu tej walki straciłem szacunek dla Yayomich, zwłaszcza że pięć minut później Isiway i Mapeway objęci biegali w kółko, zaśmiewali się i pokrzykiwali jak najlepsi przyjaciele, a kobieta, którą obaj jeszcze niedawno kochali i pożąдали, czy co tam Indianie odczuwają, leżała z obciętymi uszami na ziemi. W głowie mi się to nie mieściło.

— Erichu, tylko nie sądz, że są głupszy od nas — rzekł Wentzler. - Nie słyszałeś o pojedynku na pistolety, w których obaj przeciwnicy strzelają na przemian? Nasz zwyczaj jest równie nedorzeczny jak indiański. Jutro obaj będą mieli ogromne guzy na głowach, którymi będą się szczycili, nawet ostrzygą sobie włosy na czubku, żeby wszyscy podziwiali rany.

- Ale ta kobieta nie ma teraz uszu.

166

m

* *

- Niestety nie ma, ale to tylko kobieta. Takie tu właśnie panują zwyczaje.
- Chcę stąd uciec. Uciec i nigdy nie wracać.

- I uciekniesz, kiedy tylko wody podniosą się na tyle, żeby udał się nasz plan.
- Do tego czasu mamie może się stać coś złego.
- Wiem. Przykro mi, ale nie potrafię ci pomóc.
- To obowiązek Klause. Jako mąż powinien ją ratować!
- Zapewne, ale co miałyby zrobić? O zaistniałą sytuację wini twoją mamę. Gdyby wypełniała obowiązki małżeńskie w sposób zrozumiały dla Yayomich...
- Przecież ona go nienawidzi! Dlaczego miałyby to z nim robić, skoro go nienawidzi!
- Ścisz głos. Rozumiem ją, ciebie, Klause i Manokwę. Tyle że wasze poglądy pozostają w sprzeczności. Trudno rozstrzygnąć, kto ma rację.
- Nienawidzi go, bo zabił tylu Żydów.
- Jesteś pewien? Nie wydaje mi się, żeby twoja mama była za pan brat z Żydami.
- Bo nie jest. Nikt nie jest, ale żeby tak wszystkich zabijać... Dziś mi powiedział, że wymordowali setki tysięcy Żydów! Przesiedlili do atmosfery, jak się wyraził...
- Niesamowite!
- Wiem, że Klaus nie kiwnie palcem. Nie dba o to, jaki los ją spotka ze względu na jej stan.
- A co ty byś zrobił, gdybyś mógł?
- Bo ja wiem? Usiłowałbym przechytrzyć Manokwę. Zmusić go podstępem, żeby czekał, aż będzie za późno, bo przyjdą deszcze i uciekniemy.
- Ale jakim podstępem?

Straciłem rezon. W shabono wszystko ucichło po bójce. Widziałem, jak kobiety brały Taroomi i kładły ją w hamaku. Nie sprzątnęły krwi, która ściekała jej z ramion i brzucha. Co to za ludzie, że okazują tak mało litości nawet swoim współplemieńcom? Mieli emocje dzieci, a serca z kamienia.

167

-

Widocznie Wentzler wyczytał myśli z mojej twarzy.

- Różnią się od nas jedynie ograniczeniami kamienia w porównaniu z żelazem i

stałą. Gdyby Isiway nie obciął żonie uszu maczetą, użyłby muszli rzeczno go małża, przypuszczalnie zadając jeszcze większy ból.

- Ale dlaczego? Przecież nic w ten sposób nie naprawił?

- Nie naprawił. Co raz się złamie, nigdy się do końca nie naprawi. Taroomi zawsze będzie się bała Isiwaya i go nienawidziła, a Mapeway, chociaż teraz udaje wobec Isiwaya przyjaźń, będzie szukał zemsty za swoje upokorzenie. Niczego to nie naprawi, a przyniesie jedynie dalsze krzywdy i spustoszenie. Nic tego nie zmieni. Powiedziałem dobranoc profesorowi i odszedłem do swojego hamaka. Miał rację - co raz się złamie, już nigdy nie wróci do pierwotnego stanu. Mama przeszła załamanie. Legło w gruzach jej małżeństwo z Klausem. Legła w gruzach rodzina. Wszystko zaczęło się wraz ze śmiercią taty. Gdyby nie zginął, mama nie pokusiłaby się o ponowne małżeństwo i nie znaleźlibyśmy się tutaj.

Spojrzałem przez ogromny otwór w dachu shabono, na wpół spodziewając się zobaczyć, że niebo roztrzaskuje się na milion kawałków niczym czarne lustro uderzone z tyłu pięścią Boga. Wkrótce plemię zasiądzie do kolacji, jak gdyby nigdy nic, jak gdyby nie przelano krwi ani nie zniszczono niczyjzego życia. Wiedziałem jednak, że niebo nigdy się nie zawali i nie legnie w gruzach, chociaż wszystko inne albo już się zawaliło, albo zaraz miało się zawalić. Ta myśl dodawała mi otuchy. Coś jeszcze może złamać się i zawalić, ale to nie moja wina. Tak kręci się ten świat. Ostatni dzień wolności mamy rozpoczął się tak samo jak poprzednie. Zaraz po wstaniu klękała do pacierza. Nie jadła od dwóch dni. Ani Klaus, ani ja nie mogliśmy jej przekonać do jedzenia. Do nikogo się nie odzywała, pominąwszy niema rozmowę z Bogiem. Tego dnia wszystko rozgrywało się w zwolnionym tempie, jak gdyby niewidoczny zegar odmierzał kolejne chwile.

Większość mężczyzn wybrała się na polowanie, ja jednak zostałem w shabono.

Poprzedniego dnia Tagerri przyciągnął z kolegami

168

pień drzewa z dżungli i teraz obrabiał go, rzeźbiąc kolejne kanu. W plantanowym gaju kobiety pilnowały Awomay, żeby pod żadnym pozorem nie podeszła do mnie. Prawdę powiedziawszy, guzik mnie to obchodziło. Przez cały dzień położenie mamy

zaprzątało mi bez reszty głowę. Zeppi bawił się z Mitzi, ale nawet małpie figle nie przyprawiły go o uśmiech.

Manokwo przyszedł popatrzeć na modlącą się mamę. Zdziwiony jej zachowaniem, spytał profesora, co ona robi. Wyjaśnienie Wentzlera skomentował, że lenistwo zawsze znajdzie sobie wymówkę i że jutro nie będzie miała czasu na rozmowy z bogami. Jutro zostanie jego żoną, chyba że dowiedzie mu niezbitcie, iż jest żoną Klausa. Manokwo podawał w wątpliwość słowo mojego ojczyma. Już nie mógł się doczekać, kiedy weźmie delfinicę za żonę, ale podkreślał, że ich dzieci będą musiały wyglądać jak ludzie, a nie jak delfiny.

Mówił to bardzo serdecznie, nie puszył się przy tym ani nie zacierał rąk. Mimo wszystko go nienawidziłem. Bardziej jednak nienawidziłem Klausa za to, że nic nie robi. Gdzieś się zapodział, pewno zniknął w dżungli, żałując, że w swoim czasie poprosił mamę w liście o rękę.

Pod wieczór wszystko straciło na realności. Nawet powietrze zgęstniało, wszystkie liście drzew i palm w dżungli zastygły w bezruchu. Z daleka dobiegło mnie dudnienie grzmotu, chociaż niebo jeszcze było czyste. Poszedłem się wykapać w rzecze, która płynęła niczym ciepła czekolada bez ani jednej zmarszczki na powierzchni. Papugi w dżungli milczały, tylko nieliczne wzbijały się do lotu. I wtedy na moich oczach niebo przybrało żółtawozielony kolor, chmury zgromadziły się nad wierzchołkami drzew, stalowoszare obłoki przetykane niemal czarnym granatem. Odgłos grzmotów się nasilił, a kiedy chmury przypląnęły bliżej, zobaczyłem błyskawicę migoczącą niczym żyły złota we wrzącej skale.

Rzeka zmieniła kolor z brązowej na błotnistozielony, a z góry dobiegał łomot i łoskot chmur. Musiałem znaleźć kryjówkę, ale nie chciałem wracać do shabono, dlatego schowałem się w dżungli. Zaraz potem spadły na ziemię pierwsze krople deszczu, tak duże, iż odbijały się małymi fontannami wody od większych liści. Najpierw stukały

169

cicho, potem zaczęły mocno i miarowo bębnić, a niebo zasnuł taki półmrok, jak gdybym szedł po ciemku przez salę pełną drzew. Ruszyłem znaną sobie ścieżką, która płynęła już niczym rwący potok.

Zerwał się wiatr i nagle wszystkie drzewa i cała roślinność zafalowały, zaczęły ocierać się z trzaskiem o siebie gałęziami. Liście zafurkotały i zaszeleściły z sykiem, dochodzącym zza ściany deszczu, za którym wył i gwizdał wiatr niczym dziwny stwór wijący się w boleściach. Co kilka sekund migały błyskawice, a z oddali nadciągało dalsze dudnienie, nieprzerwanym odgłosem, który przypominał mi zgrzyt trybów maszyny i łopot żagli na wietrze.

Zwolniłem kroku, ostrożnie stawiałem nogi, czułem, jak omywa je woda, wdzierając mi się ciepłym błotem między palce nóg. W nagłych rozbłyskach piorunów drzewa szalejące po obu stronach ścieżki wyglądały jak potwory miotające się w męczarniach. Deszcz siekł mi głowę i ramiona gradem piekących igieł. Żywioł mnie podniecał. Jeszcze nie przeżyłem takiej burzy. Kaskady wody wypełniały niemal bez reszty powietrze, które stało się tak ciężkie, że z trudem oddychałem. Zupełnie jakbym przemierzał podwodną dżunglę, a uszy przepelniał mi huk przybrzeżnych fal i chlupot wody o rafy koralowe. Byłem delfinem, tyle że miałem nogi zamiast płetw i brnąłem przez dżunglę wodorostów.

Kiedy ujrzałem Klause, siedział pod swoim drzewem. Opierał się plecami o pień, głowę zadarł do góry, żeby deszcz padał mu w otwarte usta. Tylko zamknął oczy przed chłuszczącymi kroplami. Z bliska zobaczyłem, że deszcz odbija mu się od białych zębów i kształtnego nosa. Nie chciałem, żeby mnie zobaczył, sam nie wiem dlaczego, schowałem się więc za pobliskim drzewem i patrzyłem z cichą nienawiścią w sercu, a jednocześnie czułem wobec niego litość, bo był sam (przynajmniej we własnym mniemaniu) w dżungli podczas szalejącej burzy.

Spuścił głowę, żeby przyjąć całą siłę deszczu na jej czubek. Krople ściekały mu z nosa i z brody na brzuch, toteż przez chwilę wyglądał, jakby zasnął, a głowa opadła mu na pierś. Po chwili ją podniósł i otworzył oczy. Pokręcił głową w lewo, w prawo, wzrok utkwiał w oddali, czoło miał oblepione włosami. Na moich oczach otworzył torbę

lekarską, zgiął się w pół, żeby zasłonić ją sobą, znalazł poszukiwany przedmiot, wyjął. Kiedy oświetlił go blask pioruna, pomyślałem, że w ręku lśni mu roziskrzona próbówka. Dopiero przy kolejnym błysku poznałem - trzymał strzykawkę.

Podniósł ją do góry, jakby chciał sprawdzić, czy wyjął to, co chciał, a drugą ręką przystawił do czubka igły fiolkę odwróconą do góry dnem i przekłuł. Odciągnął tłok, wciągając płyn z fiolki, następnie odłożył obie razem na bok.

Ponownie otworzył torbę i wyjął cienką gumową rurkę. Obwiązał sobie ramię, zaciągnął rurkę zębami, podniósł strzykawkę. Wyciągnął igłę z pustej fiolki, strzyknął płynem do góry, żeby mieć pewność, że nie dostały się tam bąbelki powietrza. Zadowolony, przytknął igłę do ręki i uważnie wbił pod skórę w zagłębienie stawu łokciowego. Kiedy robił zastrzyk, na jego twarzy odmalował się grymas, a wyszczerzonymi zębami trzymał ciasno gumową rurkę. Kiedy otworzył usta, gumka puściła. Natychmiast twarz mu się odprężyła. Skierował ją ku górze, żeby przyjąć na nią chlustający deszcz.

Zamrugnął powiekami jak motyl skrzydłami, otworzył szeroko oczy. Wyjął igłę, uśmiechnął się. Do kogo? Cóż to za dolegliwość wymagająca samoleczenia? Czyżby umierał? Nawet mnie ucieszyła ta myśl, co zresztą chciałem mu okazać, dlatego wyszedłem zza drzewa i czekałem, aż mnie zauważy.

Długo, co najmniej minutę trwało, zanim mnie dostrzegł. Wyraz twarzy mu się nie zmienił, jak gdyby od początku wiedział, że mu się przyglądam, a w każdym razie nie okazał zdziwienia. Patrzyliśmy tak na siebie jakiś czas, po czym przywołał mnie gestem. Podszedłem. Odłożył strzykawkę, fiolkę i gumkę do torby, którą zatrzaskał, a potem spojrzał na mnie. Dłuższą chwilę otwierał i zamykał usta, aż zrozumiałem, że coś mówi, tyle że nie słyszałem słowa. Gdy tak ruszał bezgłośnie ustami, przypominał rybę w akwarium. Miał za słaby głos, żeby przekrzyczeć burzę, toteż wezwał mnie w końcu gestem, żebym podszedł. Nic z tego.

Nie ruszyłem się z miejsca, tylko mierzyłem go wzrokiem. Osunął się po drzewie za plecami, jak gdyby dał za wygraną i odwrócił do mnie. Znow podniósł rękę, tym razem nie żeby mnie wezwać, lecz

\

odgonić. Machnął leniwie, jak gdyby odgarniał wodorosty bujające się na fali. Mimo że nie chciał mnie widzieć, podszedłem, ale pozostawałem poza zasięgiem jego ręki. Wróciliśmy do wymiany spojrzeń. Twarz ociekała mu deszczem, wzrok miał tępy, a ciało bezwładne jak zerwana ze sznurka marionetka. Z rozrzuconymi kończynami, z twarzą, z której deszcz zmył farbę i lakier, przypominał pajacyka, któremu przecięto bądź zerwano sznurki, pozostawionego w dżungli, żeby zgnił. Bez sznurków nie mógł wykonać ruchu. Uradowała mnie bezradność malująca mu się na twarzy, gdy leżał u moich stóp i dyszał rozchyłonymi ustami, a oczy znów przymknął. Bałem się jednak zzerającej go wyraźnie choroby, cofnąłem się więc, zanim na mnie prychnie. Wyobraziłem sobie ciemny obłok tryskający mu z buzi, rój trujących zarazków, kłęb dymu śmierci.

Teraz uśmiechał się do mnie, zapewne dlatego, że cofnąłem się, jakbym się go bał. Klause bawił mój strach, co okazał mi drwiącą miną. Najchętniej kopnąłbym go w szczękę, żeby mu wyleciały zęby, i kamieniem startł uśmiech z jego twarzy. Znów się rozdygotałem, tym razem jednak nie z zimna. Trzęsła mnie nienawiść, która minęłaby mi chyba dopiero, gdybym obrócił ją w cios i wpakował pięść w obwisłe ciało bezbronnego Klause.

Nie mogłem się jednak zdobyć. Był jak dziecko, które nie ma siły stawić oporu, dlatego nie mogłem go uderzyć. Miałem nawet odruch, żeby go wziąć na ręce i zanieść do domu. Nie chciałem jednak okazywać mu litości. Był słabym człowiekiem, tchórzem, toteż choroba dopadła go sprawiedliwie. Nie musiałem się nim przejmować. Gdybym odszedł i zostawił go tam na pastwę losu, mógłby zginąć. Naprawdę potrafiłbym go tak zostawić?

Już nie patrzył na mnie, tylko w dal, marszcząc nieznacznie czoło. Odwróciłem się i zobaczyłem Awomay. Wyglądała jak wydra, którą widziałem niegdyś w zoo, brązowa, lśniąca, ciekawska, ociekająca wodą, czujna, lecz przyjazna. Na jej widok przestałem myśleć o Klausie i jego chorobie. Stała pod drzewem, a błyskawice oświetlały jej piersi i brzuch. Ruszyłem ku niej, lecz odwróciła się i pomknęła ścieżką. Pobiegnęłam za nią, ale w chwili ciemności między błyskami

straciłem ją z oczu. Ślady stóp zginęły w płytkim strumieniu, w który zamieniła się dróżka.

Przystanąłem.

- Awomay!

Wokół nic tylko grzmoty i deszcz, chłosta drzew na wietrze. Uderzyła mnie w szyję gałązka. Dziewczyna zniknęła, ale czułem, że specjalnie. Uciekła, lecz chciała, żebym ją znalazł. W ten sposób droczyła się ze mną. Kolejna gałązka, tym razem w ramię. Dziewczyna rzucała nimi we mnie z kryjówki. Odwróciłem się, wypatrując wśród drzew i lian sylwetki Awomay.

- Wyjdź już! Nie widzę cię!

Na nic moje wezwania. Jeszcze jedna gałązka pacnęła mnie w plecy. Odwróciłem się, ale nadal dziewczyny ani widu. Wciągnęła mnie ta zabawa, choć jednocześnie pragnąłem, żeby się skończyła. Chciałem już dotknąć Awomay, zamiast wypatrywać jej umykającej, niedosiężnej wśród liści, grzmotów i ciemności.

- Kocham cię! - zawołałem, ale nie wywołałem tym wrażenia na Awomay.

Równie dobrze mógłbym jej powiedzieć, że jest wtorek. -Wychodź! - Kiedy nie usłuchała, wpadłem w gniew. Zabawa w chowanego podczas burzy wydała mi się głupia i dziecinna, straciłem wszelkie zainteresowanie. - W takim razie odwal się! - krzyknąłem w stronę drzew. - Znudziło mi się! Trzymaj się ode mnie z daleka, kretynko!

Nadal nie dawała znaku życia, wróciłem więc na ścieżkę i... zobaczyłem ją tuż za sobą.

Mruknęła coś, wzięła mnie za rękę i poprowadziła w gęstwinę. Szedłem za nią jak pies na smyczy. Ścieżka była tak wąska, że musieliśmy iść gęsiego. Nie miałem pojęcia, dokąd zmierzamy. Widziałem tylko jej zgrabną pupę kołyszącą się przede mną, a także mokre plecy i ramiona, czarne włosy, gęste jak końska grzywa i mokrą zieloną wstążkę ode mnie, przyklejoną do wąskiej kibici. Wyszliśmy na polankę, stanęliśmy. Awomay odwróciła się z uśmiechem. Czułem, że następny krok należy do mnie. Z jej miny wyczytałem, że przyprowadzając mnie tam, zdobyła się na głupi, a

zarazem odważny krok, ale zachowywała się buńczucznie.

\

173

Patrzyłem na trzy pałeczki, wbite wokół ust. Chciałem ją pocałować, ale przeszkadzały mi te ozdoby, poza tym profesor uprzedził mnie, że Yayomi się nie całują. Poklepują się, głaszczą, czasem obejmują, lecz stronią od pocałunków.

Wyciągnąłem ręce, żeby ją objąć. Kiedy wziąłem ją w ramiona, zastygła w bezruchu. Wtuliła we mnie piersi jak dwie poduszcзки, ale kark wciąż miała sztywny i napięty. Widocznie zrobiłem coś nie tak. Puściłem. Nie poruszyła się, ale uśmiech nie zszedł jej z ust. Nie wiedziałem, co robić dalej.

Wskazała mój członek, który zaczął się podnosić, i zadała mi pytanie, ale nie zrozumiałem. Wtedy złapała go i zaczęła obciągać. W pięć sekund stwardniał na amen. Wówczas schyliła się i przyjrzała mu z bliska. Robiła to wyraźnie bez erotycznych intencji. Chciała sprawdzić, czy reaguje tak samo jak nieobrzezany. Próbowwała naciągnąć skórkę na czubek, ale oczywiście w tym stanie jej się to nie udało, pogodziła się więc z jego odmiennością. Uznała, że reaguje normalnie mimo dziwnego wyglądu.

Zległa na wznak na ziemi, pociągnęła mnie za kutasa w dół, a sama rozłożyła nogi. Srom miała różowy w środku, u wlotu bezkształtne wargi, podłużne, zaskakująco długie, bynajmniej nieprzy-pominające dziury, zgodnie z wulgarną nazwą, raczej szczelinę. Nie widziałem, gdzie właściwie miałbym jej wsadzić kutasa - w górną część, środkową czy dolną? Długa mokra szpara otworzyła się przede mną jak książka. Awomay, z nogami na boki, leżała przede mną otworem i z uśmiechem na ustach coraz mocniej szarpała mi kutasa. Przestałem się opierać i spadłem na jej ciało, tak jak strudzony mężczyzna wali się na łóżko. Okazało się, że niepotrzebnie martwiłem się o wejście, bo Awomay mnie naprowadziła.

Wbiłem kutasa w jędrną, ciepłą galaretowatą matrycę między umięśnionymi ścianami ud, którymi obejmowała mnie ciasno, oplótłszy mocno nogami i skrzyżowawszy je w kostkach, omal nie miażdżąc mnie przy tym w dole krzyża. Zamknęła oczy, a ręce zarzuciła na ramiona, tylko co jakiś czas wymierzała razy.

Usta rozchyliła, ale już się nie uśmiechała, lecz zaciskała zęby jak w bólu, chociaż wiedziałem, że nic jej nie boli, bo wciąż przyciągała mnie do siebie, żebym

174

Patrzyłem na trzy pałeczki, wbite wokół ust. Chciałem ją pocałować, ale przeszkadzały mi te ozdoby, poza tym profesor uprzedził mnie, że Yayomi się nie całują. Poklepują się, głaszczą, czasem obejmują, lecz stronią od pocałunków.

Wyciągnąłem ręce, żeby ją objąć. Kiedy wziąłem ją w ramiona, zastygła w bezruchu. Wtulila we mnie piersi jak dwie poduszcзки, ale kark wciąż miała sztywny i napięty. Widocznie zrobiłem coś nie tak. Puściłem. Nie poruszyła się, ale uśmiech nie zszedł jej z ust. Nie wiedziałem, co robić dalej.

Wskazała mój członek, który zaczął się podnosić, i zadała mi pytanie, ale nie zrozumiałem. Wtedy złapała go i zaczęła obciągać. W pięć sekund stwardniał na amen. Wówczas schyliła się i przyjrzała mu z bliska. Robiła to wyraźnie bez erotycznych intencji. Chciała sprawdzić, czy reaguje tak samo jak nieobrzezany. Próbowwała naciągnąć skórę na czubek, ale oczywiście w tym stanie jej się to nie udało, pogodziła się więc z jego odmiennością. Uznała, że reaguje normalnie mimo dziwnego wyglądu.

Zległa na wznak na ziemi, pociągnęła mnie za kutasa w dół, a sama rozłożyła nogi. Srom miała różowy w środku, u wlotu bezkształtne wargi, podłużne, zaskakująco długie, bynajmniej nieprzy-pominające dziury, zgodnie z wulgarną nazwą, raczej szczelinę. Nie wiedziałem, gdzie właściwie miałbym jej wsadzić kutasa - w górną część, środkową czy dolną? Długa mokra szpara otworzyła się przede mną jak książka. Awomay, z nogami na boki, leżała przede mną otworem i z uśmiechem na ustach coraz mocniej szarpała mi kutasa. Przestałem się opierać i spadłem na jej ciało, tak jak strudzony mężczyzna wali się na łóżko. Okazało się, że niepotrzebnie martwiłem się o wejście, bo Awomay mnie naprowadziła.

Wbiłem kutasa w jędrną, ciepłą galaretowatą matrycę między umięśnionymi ścianami ud, którymi obejmowała mnie ciasno, oplótszy mocno nogami i skrzyżowawszy je w kostkach, omal nie miażdżąc mnie przy tym w dole krzyża. Zamknęła oczy, a ręce zarzuciła na ramiona, tylko co jakiś czas wymierzała razy.

Usta rozchyliła, ale już się nie uśmiechała, lecz zaciskała zęby jak w bólu, chociaż widziałem, że nic jej nie boli, bo wciąż przyciągała mnie do siebie, żebym

174

pompował coraz szybciej, aż w rytm naszych plaskających brzuchów trzęsy jej się pałeczki powbijane wokół ust.

Nie czułem deszczu ani wiatru. Nie czułem mokrej ziemi pod kolanami, tylko łono Awomay. Jeszcze kilka pchnięć i się w nią wy-prztykałem. Chyba z piersi wyrwał mi się krzyk. Awomay nie wydała dźwięku, po prostu mnie puściła, a ręce i nogi opadły jej na boki. Przyłgnałem do niej na chwilę, zziajany, lecz zaraz mnie zepchnęła.

Deszcz zmył pot z nas obojga.

Wstała, powiedziała coś i ruszyła w powrotną drogę. Zerwałem się i popędziłem za nią. Bez niej zginałbym w dżungli. Gałązki chłostały mnie w twarz, kiedy brnęliśmy przez gęstwiny, co zupełnie mi nie przeszkadzało. Tak jak poprzednio patrzyłem na plecy i ramiona Awomay z uwielbieniem. Najchętniej oskubałbym je z przylepionych mokrych grudek ziemi i liści, ale maszerowała tak szybko, że nie miałem szans.

Dotarliśmy nad rzekę. Awomay weszła do wody, ukucnęła, zanurzyła się po szyję. Zmywała dowody. Wszedłem za nią, ukucnąłem obok, czując, jak prąd zmywa brud z mojego ciała i unosi go hen, daleko.

Wyszliśmy razem z wody. Wziąłem ją za rękę, ale mnie odtrąciła. Znów szliśmy brzegiem rzeki i niebawem zobaczyliśmy zakole, gdzie Yayomi trzymali swoje kanu. Łodzie leżały rzędem, przepelnione deszczówką niczym długie koryta. W pobliżu nie było żywej duszy. Deszcz nadal lał nieprzerwanie, dudniły grzmoty, błyskawice rozdzierały niebo.

Awomay odwróciła się i pchnęła mnie w pierś, dając do zrozumienia, żebym nie szedł dalej za nią, bo jesteśmy zbyt blisko domu. Nie chciała, żeby ktokolwiek zobaczył nas razem. Roztropna decyzja, dlatego zatrzymałem się i odprowadziłem ją tylko wzrokiem. Kiedy była w połowie zbocza, ktoś zawołał ją po imieniu.

Odwróciła się. Z pobliskich drzew wyszedł Taggerri z maczetą w ręce. Aż mnie ścisnęło w dołku. Ze też właśnie on musiał nas zdybać. Widocznie pracował nad nowym kanu, bo za innymi kanu leżał surowo ociosany pień drzewa. Widocznie

kiedy rozpętała się burza, stanął pod drzewem, żeby przeczekać.

175

Twarz miał tak wykrzywioną gniewem, że zdjęła mnie trwoga. Pałał żądzą, żeby zarąbać mnie maczetą, a potem obciąć uszy Awomay, chociaż nie była jeszcze jego żoną. Nogi wrosły jej w ziemię, bała się poruszyć, gdy podszedł bliżej, kiwając ostrzem na obie strony tak jak zjeżony kot macha ogonem. Nie wiedziałem, które z nas pójdzie na pierwszy ogień, a kiedy odwrócił się do mnie, omal nie popuściłem ze strachu.

Tagerri wyszczerzył zęby w upiornym uśmiechu, nie odrywając oczu od moich. Muskuly dosłownie wylewały mu się z ciała, zwłaszcza na rękach i szyi, a uchwyt maczety ścisnął tak mocno, że widziałem, jak pod śniadą skórą bieleją mu kłykcie. Nie mogłem postąpić kroku, czy to sparaliżowany strachem, czy dlatego, że nie chciałem uciekać przed nim na oczach Awomay. Stałem więc jak wmurowany, czekając na rozstrzygnięcie sprawy. Pod czaszką aż mi się kłębiło, tak nerwowo szukałem wyjścia z sytuacji, a kiedy Tagerri znalazł się trzy metry ode mnie, odpowiedź przyszła sama.

Szarpnąłem Krzyż Żelazny, zdjąłem przez głowę i wyciągnąłem przed siebie jak ktoś, kto osłania się krucyfiksem przed wampirem. Tagerri stanął, utkwilił oczy w orderze, ale pokręcił głową i nadal szedł na mnie. Cofnąłem się, nie wypuszczając Krzyża z garści, w nadziei, że kiedy podejdzie bliżej, zmieni zdanie, lecz Tagerri przeciwnie, pokonując ostatnie kroki dzielące go ode mnie, uniósł rękę z maczetą i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Wzniósł maczetę, żeby wykonać pierwszy zamach, ale ja stałem jak wryty. Zanosilo się, o ironio, na to, że zginę niecałe pół godziny po utracie niewinności. W dodatku z własnej winy, bo duma nie pozwoliła mi dać drapak, tak bardzo zależało mi na tym, żeby dobrze wypaść w oczach Awomay. Chciałem nawet część winy zwalić na nią, ale nie mogłem. Wziąłem całą na siebie i czerpałem jedynie otuchę z faktu, że umrę bez najmniejszych złudzeń dlatego. Sam to na siebie ściągnąłem, toteż zasłużyłem na karę, która zaraz miała spaść. Tagerri uniósł maczetę najwyżej, jak mógł nad

głową, wytrzymał sekundę lub dwie, napawając się widokiem strachu i bezradności na mojej twarzy.

A kiedy ostrze już spadało, wtem oślepiło mnie białe światło, a biały żar odrzucił do tyłu, porwał do góry, a następnie cisnął, ogłupiałego, oślepionego, na plecy.

176

Widocznie maczeta rąbnęła tak szybko, że zanim się zorientowałem, rozłupała mi czaszkę na dwoje, otworzyła mózg i już nie żyłem albo umierałem. Czyli to koniec. Czulem z przodu żar, a pod łopatkami chłodne błoto, ale głowa wcale mnie nie bolała, stąd wiedziałem, że na pewno nie żyję, bo gdybym żył, bolałaby mnie rozłupana czaszka. Patrzyłem w niebo nad sobą, zdziwiony, że znów widzę, chociaż przed chwilą oślepiło mnie białe światło śmierci. Poczułem krople deszczu bębniące po twarzy. Siekły mi oczy i je omywały, oczy nieboszczyka.

Słowem, koniec, a jednocześnie kres moich zmartwień i trosk - o Zeppiego, mamę i wszystko, co poszło w Wenezueli nie tak. Kto inny będzie musiał wkroczyć i im pomóc. Z ręką na sercu, poczułem ulgę, że już nie muszę się o nic martwić.

Pochylała się nade mną Awomay, na próżno wypatrując oznak życia. Miałem nadzieję, że zapłacze. Wówczas przekonałbym się, że za mną tęskni po śmierci, a jej łzy byłyby ostatnim widokiem, zanim mój pęknięty mózg wyłączy się kompletnie i pozwoli mi odpłynąć tam, dokąd odchodzą zmarli, jeżeli w ogóle dokądś odchodzą. Chciałem jednak zobaczyć najpierw łzy dziewczyny, a tu nic. Awomay ujęła mnie za oba policzki i pokręciła. Pomyślałem, że nieładnie tak traktować nieboszczyka. Zirytowała mnie też bezmyślność i brak delikatności, ale postanowiłem jej wybaczyć, bo zwyczajnie Yayomich różniły się od moich, zapewne więc zachowywała się w sposób jak najbardziej dopuszczalny w tych okolicznościach przez jej współplemieńców.

Kiedy szturchnęła mnie w brzuch, wydałem jęk.

I znów zdziwienie. Jak trup może jęczeć? Pomyślałem, że to tylko fizyczna reakcja na szturchnięcie, ostatnie tchnienie martwych płuc.

Uderzyła mnie w twarz - raz, drugi, trzeci! To przekraczało ludzkie pojęcie! Złapałem ją za rękę w przegubie, żeby powstrzymać kolejny policzek. Musiałem chwycić lewą,

bo w prawej czułem dziwny ból, jak gdyby wbijał się w nią ostry przedmiot. I wtedy przypomniał mi się Krzyż Żelazny. Wciąż zaciskałem na nim palce. Czułem go. Czułem i widziałem wszystko. Czy to znaczy, że żyję?

12 - Biali bogowie

177

Otworzyłem usta. Powietrze wdarło mi się do płuc rzeką zimnego ognia, który buzował w głowie i w klatce piersiowej, a kiedy ze mnie buchnął, z mojej piersi wyrwał się najgłośniejszy krzyk, jaki słyszałem.

- Aaaaaaaaaaaaaauuuu!!

Krzyknąłem po raz wtóry wniebogłosy, właściwie bez powodu, rozradowany, że mogę krzyczeć i że ten krzyk oznacza życie.

Usiadłem, dźwignąłem się z ziemi jak Adam i ze zdziwieniem obejrzałem swoje ciało. Wszystko było na swoim miejscu - brzuch, nogi, ręce, stopy, dłonie, a w jednej Żelazny Krzyż. Żyłem, żyłem! A Tagerri leżał martwy.

Leżał niedaleko mnie niczym przewrócony posąg. Od razu poznałem, że nie żyje.

Wzniesiona maczeta nawet mnie nie drasnęła, nawet na mnie nie spadła. Piorun uderzył w czubek i tysiąc woltów przebiegło Tagerriemu po ręce, przez całe ciało, po nogach, do ziemi. Tagerri dokonał żywota zamieniony w żarnik. Wstałem, a w środku kipiała mi krew, która płynąc, głosiła moje życie, i spojrzałem z góry na człowieka, który chciał mnie zabić.

Wytrzeszczał na mnie oczy. Odgryziony czubek języka leżał mu na ustach. Skóra poszarzała, krew przestała krążyć w żyłach. Patrzyłem na swój Krzyż Żelazny w ręce, zdumiony, że prąd elektryczny, który poraził Tagerriego, nie pokonał niewielkiej, dzielącej nas odległości i nie przeskoczył na metal. Mój trup powinien leżeć obok niego, dwaj nieszczęśni idioci z metalowymi przedmiotami w rękach podczas burzy. Tyle że on uniósł rękę znacznie wyżej ode mnie i masa jego metalu przewyższała moją. Ale i tak miałem szczęście.

Odwróciłem się do Awomay. Nie rozumiałem troski malującej się na jej twarzy.

Przecież nie miała ochoty wyjść za Tagerriego, bo w przeciwnym razie nie poszłaby ze mną do dżungli.

- Już dobrze - pocieszyłem ją. - On nie żyje. Zabił go piorun. Prąd.

Pobiegła do shabono, nie oglądając się na mnie. Ja zostałem na miejscu, wpatrzony w Tagerriego, zachodząc w głowę, kto mi zrobi drugie kanu, skoro najlepszy ich budowniczy właśnie zginął. Ponieważ Tagerri miał mi sprzedać dwa kanu za Krzyż Żelazny, może ktoś

178

inny też zechce to zrobić. Włożyłem wstążkę przez głowę i order ponownie zawisł na mojej szyi.

Naprawdę chcę go sprzedać? Przecież uratował mi życie. Gdybym go nie zdjął i nie wyciągnął w stronę Tagerriego, mógłby się nie zawahać o ten ułamek sekundy, który wystarczył, żeby piorun spadł z nieba i go zabił. Ojciec ucieszyłby się, że jego Krzyż Żelazny mnie ocalił. Mama powiedziałaby, że to duch ojca z nieba zesłał w tym celu błyskawicę, i upatrywałaby dowodu w moim ocaleniu mimo trzymanego w ręce metalu.

Ludzie wysypywali się z shabono jak mrówki z kopniętego mrowiska. Tłumnie wylegli nad rzekę i otoczyli nas, Tagerriego i mnie. Patrzyli to na jego ciało, to na mnie. Awomay opowiadała, co się stało. Jeszcze nie widziałem jej tak podniecone. Mama nie przyszła, zjawił się natomiast Zeppi z małpką.

W tłumie dojrzałem również Wentzlera, który wysłuchawszy Awomay, podszedł do mnie stropiony.

- Erichu, oświeć mnie, z łaski swojej. Ta młoda dama twierdzi, że zabiłeś Tagerriego.

- Ja? Ale skąd! To on usiłował mnie zabić, ale kiedy wzniosł maczetę, uderzył w nią piorun! Siła podmuchu przewróciła mnie na plecy.

- Usiłował cię zabić? Dlaczego?

- Poszło o Awomay...

- Rozumiem.

- Tagerri zobaczył nas razem i wpadł w gniew. Byłby mnie zabił, Herr Wentzler.

.

- Wierzę ci, ale Awomay ubarwiła nieco całą historię. Według niej Tagerri

podszedł do ciebie z maczetą i powiedział, że musisz zginąć, bo podkradłeś mu przyrzeczoną. Zgadza się? Pytam, choć to nie moja sprawa.

- Owszem.

- Twierdzi, że nie dałeś się zastraszyć, lecz kazałeś mieć się na baczności przed twoją delfinową władzą nad śmiercią. Czyli uczciwie go ostrzegłeś. Wówczas Tagerri jakoby prychnął i zarzucił ci blef, bo nie posiadasz takich mocy. Na to podniosłeś amulet, który zawsze nosisz na szyi, i wymierzyłeś w jego stronę, a wtedy Tagerriego poraził

179

oślepiający błysk z nieba i zginął na miejscu. Awomay wspaniale broni cię moralnie, a jednocześnie podnosi twoją reputację w dziedzinie nadprzyrodzonych mocy.

Twierdzi, że musisz mieć potężnych sprzymierzeńców wśród bogów niebios, a także bogów wód. Rzeczywiście wyciągnąłeś ku niemu Żelazny Krzyż?

— Proponowałem mu go, a nie godziłem w niego. Chciałem, żeby go wziął i darował mi życie, a wtedy poraził go piorun.

— Niesamowite! Tak właśnie powstają legendy. Szczypta nieporozumienia, odrobina przesady, bezmierny podziw i domieszka interesu własnego. Erichu, stałeś się dla nich istotą nadludzką. Mam nadzieję, że jesteś gotów na natychmiastową kanonizację.

Yayomi patrzyli na mnie z wyraźnym lękiem. Bardzo mnie to bawiło, ale daleko mi było do śmiechu. Patrzyłem na nich surowo, świdrując każdego z osobna wzrokiem. A żaden z nich nie śmiał mi spojrzeć w oczy! Wentzler miał rację! Przestałem być chłopcem delfinem, do którego przywykli. W ich oczach stałem się kimś znacznie groźniejszym. Rosłem z minuty na minutę... Niesłychane! U moich stóp leżał trup, a mnie to w ogóle nie wzruszało! Co najważniejsze, mogłem coś teraz zrobić dla mamy, przedłużyć dwudniowy okres wytchnienia, który Wentzler wynegocjował z Manokwą, zanim ją weźmie za żonę. Manokwo nie zechce uchybić matce człowieka, który potrafi uśmiercić każdego, kto go rozjuszy. Wymarzona sytuacja!

- Herr Wentzler, przetłumaczy coś pan Manokwie ode mnie?

— Oczywiście.

Manokwo patrzył wraz z innymi na ciało Tagerriego. Kiedy Wentzler go zagadnął, podszedł do nas. Dostrzegłem w jego oczach całkiem nowy szacunek.

- Proszę mu powiedzieć, że moja matka nie zostanie jego żoną, tak jak planował. I nigdy nią nie zostanie.

Kiedy Wentzler powtórzył moje słowa, Manokwo nie miał najweselszej miny.

- On mówi, że każda kobieta, nawet delfinowa, musi oddawać się mężowi, bo w przeciwnym razie na ziemi zabraknie dzieci. Będą się rodzić tylko ptaki i zwierzęta, tyle że nie będzie miał kto na nie polować i ich jeść, chociaż to dla nich zaszczyt.

180

- Niech pan mu powie, że nie obchodzą mnie te jego brednie. Niech pan zapyta, skąd wie, że zwierzęta tak lubią być przez nas zjadane. Toż to banialuki!

- Proszę cię, waż słowa. Na pewno mu tego nie powtórzę. Bardzo by to obraziło zarówno jego samego, jak i całe plemię. Wymyśl coś innego, jakies inne wytłumaczenie, dlaczego twoja mama nie nadaje się do małżeństwa. Yayomi przełkną wszystko, co się wiąże z ciekawą historią. Nie możesz po prostu odmówić bez podawania przyczyn.

- Dobrze. W takim razie proszę mu powiedzieć, że moja mama nosi w łonie nowego delfina i dlatego nie chce się oddawać ani jemu, ani nikomu innemu. A Klaus nie spełnia obowiązków małżeńskich, bo jest chory. Delfinowi mężczyźni chorują jakiś czas po zapłodnieniu swoich żon delfiniątkami, bo... bo trzeba wielkiego znoju, żeby osiąść delfinową kobietę. Ten znój tak wyczerpał jej męża, że będzie niedomagał aż do narodzin dziecka, co nastąpi dopiero po nadejściu deszczy. Dopiero wtedy Klaus z mamą znów podejmą obowiązki męża i żony. Proszę powiedzieć Manokwie, że jego zainteresowanie mamą bardzo nam pochlebia, ale wcześniej nie znał wszystkich faktów. Skoro teraz je poznał, mam nadzieję, że przestanie się bez przerwy na nią gapić. Bo wpadnę w gniew.

Przez jakiś czas Manokwo rozmawiał z Wentzlerem. Nadal był wzburzony, mimo wyjaśnień profesora. Wszyscy inni przysłuchiwali się uważnie ich rozmowie. W końcu Wentzler zwrócił się do mnie:

- Zrozumiał twoje wyjaśnienia i ubolewa nad tym, że nie powiedziałaś mu

wcześniej. Chciałby jednak mieć nową żonę z żółtymi włosami, dlatego prosi, żebyś ściągnął tu rzeką siostrę albo kuzynkę Frau Brandt, która zamieszka z nim w shabono i odda mu się jako żona. Podkreślam, że jest nad wyraz zawiedziony i zły, że od początku nie powiedziałeś mu o małym delfinku w łonie.

- Co mam powiedzieć? Przecież nie mam jak sprowadzić mu innej blondynki na żonę.

- W takim razie wymyśl dobry powód albo jeszcze lepiej, obiecaj spełnić jego życzenie, tyle że siostra twojej mamy musiałaby przyплыnąć z dalekiego kraju, czyli dopiero po ustąpieniu pory deszczowej.

181

- Mam lepszy pomysł. Niech pan mu powie, że po deszczach Zeppi już całkiem przeistoczy się w dziewczynę, a wtedy będzie mógł zostać jego nową żoną.

- Jesteś pewien, że chcesz w to włączać Zeppiego?

- Jemu to nie przeszkadza. Nawet nie zrozumie.

- Może powinieneś najpierw spytać jego.

- On ma dwanaście lat i szczerze mówiąc, nie jest najbystrzej-szy. Ja mam prawie siedemnaście... i potrafię razić ludzi piorunem na śmierć! Brak wiedzy nie skrzywdzi Zeppiego.

Brat, nie bez strachu, szturchnął lekko nogą Tagerriego i nas nie słyszał. Wentzler spojrzał na mnie niepewnie.

- Najlepiej powiedz, że siostra twojej matki już płynie tu do Manokwy.

- Przecież nikt taki tu nie dotrze, a Zeppi znajduje się na wyciągnięcie ręki. Jest bardzo ładny i ma blond włosy. Manokwo nie będzie musiał wyteżać wyobraźni. Prędzej przełknij moją opowieść, zwłaszcza że Zeppi już połowicznie jest dziewczyną.

- Nie pochwalam twojej decyzji.

Zaczął mnie irytować.

- Herr Professor, ponieważ to mnie sprzyjają bogowie, chyba powinniśmy, za pozwoleniem, przyjąć mój plan. Niech pan powie Manokwie, że u nas rodzą się tylko delfiny płci męskiej, których połowa dopiero w wieku Zeppiego przeistacza się w

kobiety, i że Zeppi właśnie teraz przechodzi tę przemianę. Niech pan doda, że proces zachodzi wolno, dlatego Manokwo będzie musiał poczekać do pory deszczowej, żeby wziąć Zeppiego za żonę. Przyzna pan, że opowieść jest dostatecznie interesująca. Na pewno uwierzy. Proszę mu to powiedzieć.

Wentzler parsknął i prychnął, dając mi do zrozumienia, jaki jest nieszczęśliwy, ale znów wdał się w dłuższą rozmowę z Manokwą, któremu na końcu twarz się rozjaśniła.

- Uwierzył ci - powiedział Wentzler. - Mam nadzieję, że nie narazisz w ten sposób swojego brata.

- Nie narażę. Dzięki Tagerriemu mamy ich teraz w garści. Jakim trzeba być idiotą, żeby biegać z maczetą podczas burzy.

182

- Ty również trzymałeś metalowy przedmiot.

- Ale dużo mniejszy - powiedziałem.

Nie spodobało mi się, że mnie również zaliczył do grona idiotów. Przemilczałem jednak jego uwagę. Musiałem utrzymywać komitywę z Wentzlerem, bo tylko przez niego mogłem się porozumieć z Ya-yomimi.

- A, i jeszcze jedno. Niech pan powie Noroniemu, że po śmierci Tagerriego ja zostanę mężem jego córki. Tylko niech pan go nie pyta, a mu to oznajmi.

- Napomknę uprzejmie, że chciałbyś poprosić o rękę Awomay. Jeszcze nie znasz tych ludzi, Erichu. Bądź łaskaw zdać się na mnie w drażliwych kwestiach.

- Jak pan sobie życzy.

Nie podobała mi się jego postawa. Okazałem się nadprzyrodzonym chłopcem delfinem z błyskawicą w palcach, którego najwyraźniej Yayomi bali się i darzyli szacunkiem, tymczasem Wentzler chciał ich traktować w rękawiczkach, zamiast wyłożyć im moje zamiary kawa na ławę. Burza mijała, na niebo wychywały błękitne rozjaśnienia, deszcz ustał, a Wentzler i ja nadal mierzyliśmy się wzrokiem. Nie lubił przyjmować rozkazów ode mnie ze względu na dzielącą nas dużą różnicę wieku. Trudno! Przeżył wśród Yayomich jedenaście lat i nie zaskarbił sobie nawet tyle szacunku, żeby pozwolili mu wziąć jedną z kobiet za żonę. A ja, chociaż spędziłem tam dopiero kilka tygodni, zabiłem jednego z nich i już chciałem dyktować warunki.

To mu się też nie spodobało. Potrzebowałem go jednak, może nawet bardziej niż on mnie. Nie byłem tak zadufany w siebie, żeby obrócić się przeciwko swojemu tłumaczowi. Zamierzałem zostać sułtanem, a Wentzlera mianować wielkim wezyrem tak jak w baśniach z tysiąca i jednej nocy.

:ś

Rozdział 8

Nazajutrz Noroni po tasiemcowym przemówieniu wygłoszonym Wentzlerowi i mnie zgodził się, abym po śmierci Tagerriego zajął jego miejsce i został mężem Awomay. zaproponował mi posag za córkę, mianowicie zestaw broni wykonanej przez Kwaytchę wraz z obietnicą dalszych lekcji u mojego przyszłego szwagra. Zwykle mężczyzna płaci ojcu za dziewczynę, ale w moim przypadku odwrócono role. Odparłem, że ten układ mnie satysfakcjonuje, i natychmiast wzięliśmy ślub. Obyło się bez ceremonii, nikt oficjalnie nie ogłosił nas mężem i żoną. Awomay podeszła do mojego hamaka i usiadła przy mnie. Przyprowadził ją Kwaytcha, który zaraz odszedł, zostawiając łuk i strzały oraz zabatanę ze strzałkami oparte o najbliższy słup podtrzymujący dach. Zapytałem Wentzlera, czy to już oznacza zawarcie małżeństwa. Potwierdził i dodał:

- Moje gratulacje.

Wziąłem Awomay, żeby przedstawić ją mamie. Powinna to być ważna chwila dla matki, kiedy pierworodny przyprowadza kandydatkę na żonę po błogosławieństwo, ale mama spojrzała tylko na wskroś Awomay i rozpoczęła cichą modlitwę. Złożyła ręce i ruszała szybko ustami. Nie opuszczał jej obłęd, może nawet gorszy niż przedtem. Gdyby Manokwo przyszedł po nią, tak jak zamierzał, pewno oszalałaby do reszty, zaczęła toczyć pianę z ust i nadawała się do kaftana bezpieczeństwa.

Pozostawiona teraz sama sobie mogła żyć w skrytości ze swoim obłędem. Myśl o sytuacji mamy napawała mnie

184

Rozdział 8

Nazajutrz Noroni po tasiemcowym przemówieniu wygłoszonym Wentzlerowi i mnie

zgodził się, abym po śmierci Tageriego zajął jego miejsce i został mężem Awomay. zaproponował mi posag za córkę, mianowicie zestaw broni wykonanej przez Kwaytchę wraz z obietnicą dalszych lekcji u mojego przyszłego szwagra. Zwykle mężczyzna płaci ojcu za dziewczynę, ale w moim przypadku odwrócono role. Odparłem, że ten układ mnie satysfakcjonuje, i natychmiast wzięliśmy ślub. Obyło się bez ceremonii, nikt oficjalnie nie ogłosił nas mężem i żoną. Awomay podeszła do mojego hamaka i usiadła przy mnie. Przyprowadził ją Kwaytcha, który zaraz odszedł, zostawiając łuk i strzały oraz zabatanę ze strzałkami oparte o najbliższy słup podtrzymujący dach. Zapytałem Wentzlera, czy to już oznacza zawarcie małżeństwa. Potwierdził i dodał:

- Moje gratulacje.

Wziąłem Awomay, żeby przedstawić ją mamie. Powinna to być ważna chwila dla matki, kiedy pierwotny przyprowadza kandydatkę na żonę po błogosławieństwo, ale mama spojrzała tylko na wskroś Awomay i rozpoczęła cichą modlitwę. Złożyła ręce i ruszała szybko ustami. Nie opuszczał jej obłęd, może nawet gorszy niż przedtem. Gdyby Manokwo przyszedł po nią, tak jak zamierzał, pewno oszalałaby do reszty, zaczęła toczyć pianę z ust i nadawała się do kaftana bezpieczeństwa. Pozostawiona teraz sama sobie mogła żyć w skrytości ze swoim obłędem. Myśl o sytuacji mamy napawała mnie

184

wielkim gniewem i smutkiem, uznałem więc, że najlepiej zrobię, jeśli przestanę o niej myśleć.

Skoro zostałem już żonkosiem, najbardziej głowę zaprzętała mi myśl, jak ponownie zwabić Awomay do dżungli, żeby powtórzyć nasz akt z poprzedniego dnia. Najpierw jednak czekał nas, podobnie jak innych mieszkańców shabono, pogrzeb Tageriego. Chociaż ślub odbywał się u Yayomich nader nieformalnie, pogrzeb roił się od rytuałów i surowego przestrzegania odwiecznych zasad. Profesor Wentzler wyjaśnił mi, że brak uczestnictwa zabójcy na pogrzebie poczytano by za nie lada zniewagę wobec rodziny ofiary, dlatego musiałem odłożyć plany wobec Awomay i zostać w shabono. Muszę jednak przyznać, że zobaczyłem obrzęd tyleż interesujący, co

ohydny.

Najpierw w samym środku shabono zbudowano stos i ułożono na nim cuchnące już okropnie ciało Tagerriego, po czym rozpalono ogień. Palilo się długo, w tym czasie dorzucano jeszcze polan, żeby podsycić płomień. W nosie zakręcił mnie swąd, o którym mama wspomniała podczas kłótni z Klausem, swąd palonego ludzkiego ciała. Nie był aż tak odrażający, jak twierdziła, nie różnił się tak bardzo od zapachu pieczonego mięsa zwierzęcego. Może chciała przez to powiedzieć, że paleni Żydzi wydawali inny odór niż inni ludzie, ale trudno mi było uwierzyć. Postanowiłem spytać o to później Klausa.

Wrócił do nas poprzedniego dnia o zachodzie słońca i osłupiał na wieść o tym, że zostałem rycerzem błyskawicy i że niebawem się żenię. Nie rozmawiał ze mną na ten temat, zamienił natomiast kilka słów z Wentzlerem, po czym wrócił do swojego hamaka i zasnął. Czy był chory, czy nie, powinien ze mną porozmawiać.

Zauważyłem ponadto, że nie zbliża się do mamy.

Ciało Tagerriego syczało i skwierczało jak boczek na patelni, na którego wspomnienie aż mnie zaczęło ssać z głodu. Nawet po zakończeniu wojny trudno było o takie rarytasy jak boczek, chyba że ktoś był bardzo bogaty, miał znajomości na czarnym rynku albo był prostytutką. Stałem tam, patrząc na płonącego człowieka, i tylko myślałem

0 pysznym, chrupiącym boczku. Nagle nie wiadomo dlaczego wybuchł tors i brzuch nieboszczyka. Być może sprawiło to rozgrzane powietrze

1 gazy w środku. Wybuch wywołał liczne pomruki wśród Yayomich.

185

- Zły to znak, kiedy ciało tak strzela - skomentował Wentzler. - To znaczy, że kiedy go podpalano, jeszcze tkwiła w nim dusza. Teraz wszyscy się martwią, czy duch Tagerriego nie będzie nawiedzał shabono.

- Proszę im powiedzieć, że jeśli będzie, to go znów zabiję.

- Już ty lepiej siedź cicho. Przemilcz sprawę, zamiast wygłaszać pogrożki i przechwałki. Yayomi słyną z fanfaronady, bo tego wymaga od nich tradycja, ale szanują tych nielicznych, którzy potrafią zachować milczenie.

- Zauważyłeś, że Waneeri bez przerwy mi się przygląda?
- Waneeri jest kuzynem Tagerriego. Łączyła ich przyjaźń. Nie bój się, nie będzie szukał zemsty za śmierć kuzyna. Masz dla niego za wielką władzę. Twojej rodziny też nie ośmieli się nękać, z obawy przed demonem w torbie Klausa. Ale nie prowokuj go i nie gap się na niego. Po prostu nie zwracaj uwagi.
- Co się stanie ze szczątkami Tagerriego?
- Ich obrzędy pogrzebowe są tak fascynujące, że w swojej książce poświęcę im obszerny rozdział.
- Czyli co się stanie?
- Zobaczysz.

I zobaczyłem - kości Tagerriego wyciągnięto z ogniska, a kiedy przestygły, umieszczono w płytkim drewnianym korycie, po czym ubito dragami na szary proszek, który następnie wsypano do misy zupy plantanowej wypitej kolejno przez wszystkich członków rodziny zmarłego! Z ulgą przyjąłem zapewnienie profesora, że nie muszę pić, bo ów napój jest zarezerwowany wyłącznie dla krewnych i przyjaciół. Waneeri wypił bardzo długi łyk, nie odrywając przy tym oczu ode mnie. Zgodnie z radą Wentzlera nie zwracałem na niego uwagi. Zbliżał się zmierzch, a przez cały dzień nikt nie pracował, nie polował, nie łowił ryb ani nie zbierał plantanów. Można by powiedzieć, że na cześć Tagerriego stanął cały ich świat. Ogień jeszcze się tlił, smród ciała nadal wisiał w powietrzu.

Kiedy dopito plantanową zupę, nie pozostało już nic do roboty, wziąłem więc Awomay za rękę i poszliśmy na spacer. Zachowywała się bardzo dziwnie. Patrzyła na mnie kilka sekund i zaraz umykała wzrokiem. Nie mogłem dociec, dlaczego. Wentzler wyjaśnił mi, że

kobiety Yayomich są bardzo uległe wobec mężów i ojców, a nawet braci, i zawsze dają mężczyznom to, o co proszą. Zakrawało mi to na niewolnictwo. Mama zawsze podawała tacie to, o co prosił na obiad, ale jeśli się spóźnił, wykrzykiwała, że obiad

wystygł, przegotował się albo wysechł. Tata wysłuchiwał jej bez słowa, czasem nawet przeproszał. Mężczyzn Yayomich obowiązywały inne zasady.

Postanowiłem jednak nie brać przykładu z Yayomich. Ślub z ich kobietą nie oznaczał, że zamieniłem się w Indianina, nie miałem więc zamiaru pomiatać Awomay ani bić ją kijem, jeżeli nie sprawi się z czymś szybko, chociaż na moich oczach wielu mężów biło żony. Kochałem ją, chciałem więc okazać jej dobroć, którą zapewne doceni i pokocha mnie jeszcze bardziej.

Wentzler, zapytany, nie udzielił mi żadnych wskazówek w sprawie małżeństwa.

Puścił tylko perskie oko i powiedział, że najważniejszą lekcję odebrałem już poprzedniego dnia. Rzadko żartował, dlatego się roześmiałem. Polubiłem go trochę bardziej niż przedtem, może dlatego, że Klaus stał się niemal pustelnikiem, zaszywał się w dżungli, szprycował jakimś specyfikami, a nade wszystko unikał problemu mamy i Manokwy. Minęła mi do niego nienawiść, ale minął również szacunek. Kiedy małżeństwo Klause z mamą legło w gruzach, chyba uznałem Wentzlera poniekąd za zastępczego ojca.

Awomay i ja skryliśmy się na resztę dnia, żeby odbyć namiastkę miodowego miesiąca. Podobnie jak inne małżeństwa (za wyjątkiem mamy i Klause) dużo się kochaliśmy, chociaż przyznam, że w naszym przypadku to określenie dziwnie brzmi. Pieprzyliśmy się na polance w dżungli tak samo jak poprzedniego dnia, tyle że znacznie wolniej, następnie powtórzyliśmy cały akt, a przed powrotem do shabono o zmierzchu pokusiliśmy się jeszcze o trzeci. Podczas naszych igraszek Awomay zgubiła jedną z pałeczek wbitych pod ustami. Zorientowawszy się, wpadła w rozdrażnienie, zasłoniła dziurkę w twarzy ręką, a drugą macała wkoło, szukając pałeczki. Znalazła ją, zanim się ściemniło, wbiła sobie pod wargę i uśmiechnęła do mnie. Przypominała mi białą kobietę, która nie chce, żeby mąż oglądał ją bez makijażu. Widząc jej radość z odnalezionej pałeczki, zakochałem się w niej jeszcze bardziej.

Kiedy wróciliśmy przez otwór w ścianie, wszyscy się na nas gapili. Niektórzy Yayomi wydawali bardzo sugestywne odgłosy. Waneeri z braćmi i kuzynami, którzy wypili zupę na sproszkowanych kościach Tageriego, milczeli i nawet nie spojrzeli w naszą stronę. Za radą Wentzlera nie zwracałem na nich uwagi. Tego wieczoru Awomay i mnie dopisywał wilczy apetyt, co naraziło nas na dalsze komentarze. Wentzler powiedział tylko, że nie wymagają tłumaczenia.

Nazajutrz Noroni, który miał widzenie, że delfiny przyplývają na brzeg i dlatego pierwszego dnia poszedł nas szukać, a teraz został moim teściem, uhonorował mnie, malując całego na czerwono i czarno. Wyglądało to jak oficjalne przyjęcie mnie na członka plemienia. Podobno Wentzlera niegdyś też tak wymalowali, ale dostąpił tego zaszczytu dopiero po roku mieszkania z nimi. Przekonywał mnie, że w moim przypadku sprawy potoczyły się zgoła inaczej, w błyskawicznym tempie, a jednocześnie zaklinał, żeby mi woda sodowa nie uderzyła do głowy. Dał do zrozumienia, że jest seniorem w naszym gronie białych ludzi, ponadto świetnie zna zwyczaje Yayomich, a ja nie, dlatego nawet jeśli traktują mnie teraz jak ulubieńca, powinienem uszanować jego doświadczenie. Przyznawałem mu absolutnie rację i połączyła nas silna więź.

Noroni malował mnie wolno, a wszystkie dzieci patrzyły, jak moje białe ciało, w tym również twarz, pokrywa się plamami, kreskami i czerwono-czarnymi esami-floresami. Awomay trzymała się z daleka. Widziałem, że znosi drewno, później plantany, i siada w kręgu innych kobiet, które coś wyplatają. Wolałbym spędzić drugi dzień małżeństwa tak samo jak pierwszy, lecz najwyraźniej miesiąc miodowy u Yayomich trwa bardzo krótko.

Kiedy Noroni skończył mnie malować, poszedłem się pokazać mamie, która nawet się odezwała!

- Erichu, przynosisz mi wstyd. Zmyj to wszystko zaraz!
- Nie mogę, mamó, bo obraziłbym tych ludzi. Noroni nie szczędził trudu, żeby mnie pomalować. Dziś nawet nie będę się kąpał, żeby tego nie zmyć.
- Twój ojciec by się wstydził.
- Nie sędzę - powiedziałem.

0 ■

Byłem o tym święcie przekonany, ale nie chciałem się kłócić.

- Wstyd mi przynosisz — powtórzyła starym, zmęczonym głosem. Osłupiałem na widok siwych pasemek przeświecających gdzieś pomiędzy blond włosów. Mama starzała się dosłownie z dnia na dzień. Złożyłem to na karb jej cierpień doznanych po przybyciu do dżungli. Drugie małżeństwo spaliło na panewce, znenawidziła swojego nowego męża, na dobitkę jej młodszy syn okazał się hermafrodytą, a starszy, pomalowany jak dzikus, wziął sobie za żonę dziewczynę z pałeczkami w twarzy. Sytuacja ją przerosła. Doceniałem jednak wspólną chwilę z mamą, chociaż mnie skrytykowała. Wolałem zarzut niż kompletne lekceważenie i ucieczkę w modlitwę.

Swoją drogą, ciekawe, o co tak się modliła, zamykając oczy, ruszając tylko ustami. Cokolwiek to było, nie doczekało się spełnienia. Nadal tkwiliśmy w dżungli, a zatem życie, przynajmniej z punktu widzenia mamy, przypominało jeden wielki koszmar. Nie mogła się doczekać, kiedy Pan Bóg to naprawi, a w oczekiwaniu na cud codziennie się starzała.

- Gdzie jest Klaus? - spytała.

- Nie wiem. Ostatnio chyba trochę niedomagał.

Nie przejęła się.

- Powiedz mu, że jego zbrodnie nie przeszły niezauważone.

- Jakie zbrodnie, mamó? Przeciwno Żydom? Chyba Klaus nie widzi w swoich działaniach nic zbrodniczego.

- Zbrodnie przeciwko rodzinie. Fikcyjne małżeństwo z żoną brata. Sprowadzenie nas tutaj na pewną śmierć wśród tych dzikich ludzi. Jeżeli w ogóle na miano ludzi zasługują. Dlaczego się do nich upodabniasz?

- Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one — odparłem z uśmiechem.

- Ech, ty durniu. Dusza ci umiera, Erichu, a ty nawet o tym nie wiesz. Zniszczy

cię ta dziewczucha, to ciemnoskóre stworzenie z okaleczoną twarzą.

- Nie jest okaleczona, tylko przekłuta dla ozdoby i wcale mnie nie niszczy. Jest bardzo miła. Herr Wentzler powiedział mi, że Awomay

189

oraz inne kobiety zapraszają cię do swojego grona i wspólnego wykonywania obowiązków.

Skłamałem. W jego wersji kobiety uważały mamę za wyrzuconą na brzeg delfinicę, której nowy delfin rosnący w jej łonie odbierał stopniowo rozum. Nie chciały mieć z nią nic wspólnego, i tylko ze względu na mnie nie wywlekły jej z shabono, żeby mamrotała swoje mantry gdzie indziej. Może i była delfinicą, ale leniwą, która mitrężyła całe dni na niczym, podczas gdy kobiety, czy to delfinowe, czy człowiecze, miały tyle do roboty. Ale nie chciałem jej tego mówić.

- Nie dopuszczaj ich do mnie - powiedziała. - Nie dopuszczaj nikogo, łącznie z Klausem. Nie pozwolę mu się tknąć.

- Klaus nawet nie próbuje. Ostatnio zamknął się w sobie.

- Gdyby mnie tknął, spotkałby się z karą.

- Wiem.

- Za wszystkie swoje przewinienia.

- Jasne.

- Wszystkie!

- Muszę już iść, mamó.

Odwróciła się, jak gdyby zniknęła z pola widzenia. Czekałem chwilę w nadziei, że może jeszcze na mnie spojrzy, lecz nic z tego. Patrzyła tępo przed siebie w drugi koniec shabono. Po chwili nie czułem już tak wielkiego smutku, jakim zwykle zagryzałem się z powodu mamy. Ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że coraz mniej zależy mi na niej jako na człowieku, a co dopiero na niej jako na matce.

Zastanawiałem się, co by się stało, gdyby ją zabrać do zakładu dla umysłowo chorych, podobnie jak zabrano Otto Fruenmeyera. Czy odmówiłaby jedzenia i zagłodziła się na śmierć tak jak on? Bardzo to sobie wyobrażałem. Chyba bym nawet nie zapłakał jak Frau Fru-enmeyer, kiedy zawiadomiono ją o śmierci męża. Może

nawet wiadomość o śmierci mamy przyjąłbym z ulgą? Jak mogłem dopuszczać do siebie taką myśl? Od przyjazdu do Yayomich odkryłem, że myślę o najróżniejszych rzeczach, których do niedawna bym się wstydził. Przestałem być sobą tak jak ten chłopak, którego ujrzałem w lusterku podsunętym przez Klausa, i to nie tylko pod względem powłoki cielesnej pomalowanej na czerwono i czarno.

190

W środku też byłem kimś innym, dojrzalszym. Wcale się go nie wstydziłem, chociaż ten ktoś, patrząc na rodzoną matkę, zastanawiał się, co by czuł, gdyby zabrano ją do zakładu na pewną śmierć, i wiedziałem, że zbytnio się nie przejmie. Zgubiłem się, rozpadłem na kawałki, w dodatku nawet nie wiedziałem, czy taki rozpad przydarza się wszystkim. Wiedziałem tylko, że chociaż odpadł ostatni kawałek dawnego mnie, w głębi duszy pozostałem Erichem, tyle że nieco odmienionym. Trudno ocenić, czy na gorsze, czy na lepsze. Inna sprawa, że w ogóle mnie to nie obchodziło.

Czas mijał mi teraz szybciej. Codziennie rano zabierałem Awomay do dżungli na amory. Szczerze mówiąc, uprawialiśmy miłość częściej, niż miała ochotę, ale nie mogła grymasić, skoro byłem jej mężem. Nie wiedziałem, jak się to powinno robić ani co Awomay na ten temat sądzi. Nie uskarżałem się na brak czułości.

Yayomi wprawdzie się nie całują, lecz Awomay lubiła głaskać mnie po głowie i ciągnąć za włosy. Z początku mnie to drażniło, ale przywykłem. Najczęściej robiliśmy to raz codziennie rano, potem wracaliśmy do shabono. Widzieliśmy w dżungli inne pary uprawiające miłość, ale nikt tu nie zwracał na nikogo uwagi. Zdaniem Wentzlera, nie mając możliwości oddzielenia się ścianami, tak sobie radzili z intymnym aktem. Usuwali niejako w niebyt wszystko to, od czego odwracali wzrok.

Codziennie wychodziłem z Kwaytchą, żeby nauczyć się władać otrzymaną od niego bronią, i codziennie czyniłem postępy. Niewiele mówił, ale nawet z jego nielicznych komentarzy wywnioskowałem, że przynoszę mu mniejszy wstyd niż wtedy, gdy po raz pierwszy pożyczyłem od niego zabatane i łuk. Zacząłem zabijać zwierzęta, mały i ciemnopióre, chude, mieszkające na ziemi ptaki przypominające indyki. Były smaczne. Zacząłem też rozwidlonymi strzałami łowić ryby, czasem po kilka dziennie.

Wszystkie lupy moje, Kwaytchy lub kogokolwiek innego oddawaliśmy kobietom, które potem dzieliły je równo na wszystkich. Każdy myśliwy oddawał swoją zdobyczoną albo krewnym, a oni już dbali, by obdzielić wszystkich, nawet te rodziny, których członkowie wrócili z łowów z pustymi rękami. Taki system wydał mi się sprawiedliwy, bo nikt nie chodził głodny.

191

4

Jednakże wódz Manokwo miał pierwszeństwo wyboru jedzenia zaraz po przyrządzeniu, co nie wynikało ze strachu, lecz z szacunku. Sam był niezłym myśliwym i najczęściej wracał do domu z małpą albo z innym przysmakiem. Przed przyjazdem do Wenezueli sądziłem, że wódz plemienia siedzi sobie na tronie z kości i skór i wydaje rozkazy. Nic bardziej mylnego. Manokwo nie tylko był wytrawnym myśliwym, lecz również świetnie opowiadał dowcipy. Wentzler przetłumaczył mi kilka, ale przyznam, że niewiele z nich rozumiałem, bo zwykle chodziło o seks wśród zwierząt, a konkretnie o samice zdradzające samców.

Wcale mnie to nie śmieszyło, zwłaszcza kiedy zobaczyłem, jak Yayomi traktują kobiety, które zdradziły mężów, ale Wentzler nie widział nic zdrożnego w żartach na poważne tematy, z odwołaniem się do postaci zwierząt zamiast ludzi. Mnie się to wydało głupie, ale skomentował zwięźle:

- Bo nie jesteś Yayomim.

Miał, oczywiście, rację. Nigdy nie zostanę jednym z nich. Nawet nie próbowałem się nauczyć ich języka. Nie trzeba słów, żeby polować i pieprzyć się, a przecież wraz z nastaniem pory deszczowej i tak mieliśmy stamtąd uciec. Nasze drugie niedokończone kanu czekało tam, gdzie Tagerri zostawił je w dniu śmierci. Nikt nie przejął po nim drażenia i rzeźbienia pnia, zapewne ze strachu przed piorunem.

Zorientowałem się jednak, że straciliśmy pierwsze kanu, bo Waneeri wziął sobie kanu Tagerriego, które ten miał nam sprzedać za Żelazny Krzyż do kompletu z obiecany drugim. Czyli w stosownym czasie będziemy musieli kupić albo ukraść dwa kanu.

Problem z mamą i Manokwą sam się rozwiązał dzięki Tagerriemu i piorunowi, ale problem mamy pozostał. Prawie nic nie jadła, bardzo schudła, z dnia na dzień coraz

bardziej siwiała. Choć Klaus przekonał ją do kąpieli nago w rzece, teraz wiecznie gdzieś ginał, a ponieważ sama nie chodziła się kąpać, wkrótce skóra poszarzała jej tak jak włosy od dymu, tłuszczu i brudu. Mama przedstawiała żałosny widok, a kiedy próbowałem zaprowadzić ją nad rzekę i umyć, syczała tylko jak wąż, podobnie jak Yayomi, kiedy są źli. Prawie od tygodnia już się nie odzywała, pominawszy rozmowy z Bogiem.

192

A Klaus? Zachowywał się serdecznie, tyle że nie chciał się nauczyć polować ani łowić ryb. Uważałem, że chowa się codziennie rano ze wstydu, że nie obronił mamy, kiedy Manokwo chciał mu ją odebrać. Jeżeli nie chciał z nami przebywać, jego sprawa. Zyskiwałem tylko przez to na sile. Kiedy zależało mi na towarzystwie, miałem Wentzlera, który był gotów rozmawiać ze mną o każdej porze i na każdy temat. Miałem też pod ręką Zeppiego, tyle że z nim nie warto było gadać.

Manokwo pilnował Zeppiego jak oka w głowie. Ponieważ mój brat po przejściu pory deszczowej miał zostać jego żoną, wódz czekał na przemianę Zeppiego z chłopca w dziewczynę. Codziennie wzywał go do siebie, kuczał i oglądał jego genitalia, czy może już mu odpadają, kurczą się albo przeistaczają w srom. Jego żona też bardzo się interesowała Zeppim, karmiła go i pozwalała mu chodzić za sobą jak za panią matką. Wcale nie przejawiała zazdrości, przeciwnie, kiedy Manokwo oglądał genitalia Zeppiego, ona też zaglądała, a potem oboje rozprawiali z ożywieniem. Stanowili zabawny widok, kiedy schylali się oboje nad kutasem Zeppiego, a potem odwracali z zaskoczonymi i zawiedzionymi minami. Zeppiemu najwyraźniej ich zainteresowanie nie przeszkadzało, a nawet chyba pochlebiało.

Czas więc mijał mi dość przyjemnie. Przetoczyło się kilka bardzo głośnych burz, takich jak ta, która zabiła Tagerriego, a gdy szalały, nikt nie wysuwał nosa z shabono. Podczas grzmotów z piorunami Yayomi zawsze odwracali się ode mnie, żeby przypadkiem mnie nie znieważyc, bo mógłbym porazić ich na śmierć. Ich zachowanie również mnie bawiło, mniej natomiast klepisko w shabono, które zamieniło się w błotnistą breję. Zapytałem Wentzlera, czy to początek pory deszczowej, ale zaprzeczył, mówiąc, że to tylko zwykły deszcz. Twierdził, że kiedy

przyjdą ulewne deszcze, zobaczą różnicę i ze wzruszeniem będą wspominał obecne. Nie do końca mu wierzyłem.

Któregoś dnia Klaus przyszedł do shabono pod wieczór, ściskając czarną torbę, a deszcz spływał z niego strugami. Usiadł na hamaku i spojrzał na mnie z trwogą w oczach. Czekałem na jego kolejne posunięcie, ale on tylko leżał i patrzył na liście w górze. Dach shabono przeciekał, toteż wiele osób musiało przewieszać hamaki, żeby nie

13 - Biali bogowie

193

padało im na głowy. Hamak Klause znalazł się pod taką szczeliną, ale go nie przeniósł, tylko podkulił niewygodnie nogi, żeby krople spływały mu między kolanami.

Nie wiedziałem, czy jest zbyt leniwy, żeby przenieść hamak, czy zbyt zajęty tym, co mu akurat zaprzętało myśli, żeby zadać sobie ten trud. Leżał, dygocząc, a ja zacząłem się zastanawiać, czy aby się nie rozchorował. Mogłoby się to dla nas wszystkich źle skończyć. Jak wiadomo zwyczajne przeziębienia oraz drobne infekcje zdziesiątkowały Indian po wylądowaniu Kolumba w Nowym Świecie. Yayomi mogli do tej pory nie uodpornić się na bakterie, gdyby więc Klaus ich zaraził, mogliby zacząć umierać.

Podszedłem i stanąłem przy hamaku, który jego deszcze wprawiały w drgania niczym struny skrzypiec. Ociekał teraz potem, a nie deszczem. Spojrzał na mnie, zamknął oczy, znów otworzył, a gałki oczne zaczęły mu płasnąć jak rozbiegana żelazna kulka w grach zręcznościowych, która przemyka z jednego końca płaskiego pudełeczka w drugi, gdy ktoś próbuje wprowadzić ją do małej dziurki. Zmartwiłem się, bo wyglądał fatalnie. Gdyby Yayomi złapali coś od niego i zaczęli umierać, wina spadłaby na nas.

- Klaus, co ci jest?

Nie odezwał się, tylko leżał, dygocząc i przewracając oczami.

Pobiegłem do Wentzlera.

- Coś się dzieje z Klausem.

- Tak?
- Ma dreszcze. Chyba się przeziębził albo coś złapał.
- Niczego nie złapał, tylko sam sobie zaaplikował.
- Co sobie zaaplikował? Jak to sam?
- Ma objawy odstawienia. Przez jakiś czas nie ustąpią.
- Ale co to takiego?
- Niestety, Klaus jest uzależniony od morfiny.
- Od morfiny?
- Musiałeś o niej słyszeć. Lekarze mają łatwy dostęp do tych środków. Jest uzależniony już od pewnego czasu. Sam mi to powiedział.
- Ale dlaczego?

194

padało im na głowy. Hamak Klause znalazł się pod taką szczeliną, ale go nie przeniósł, tylko podkulił niewygodnie nogi, żeby krople spływały mu między kolanami.

Nie wiedziałem, czy jest zbyt leniwy, żeby przenieść hamak, czy zbyt zajęty tym, co mu akurat zaprzętało myśli, żeby zadać sobie ten trud. Leżał, dygocząc, a ja zacząłem się zastanawiać, czy aby się nie rozchorował. Mogłoby się to dla nas wszystkich źle skończyć. Jak wiadomo zwyczajne przeziębienia oraz drobne infekcje zdziesiątkowały Indian po wylądowaniu Kolumba w Nowym Świecie. Yayomi mogli do tej pory nie uodpornić się na bakterie, gdyby więc Klaus ich zaraził, mogliby zacząć umierać.

Podszedłem i stanąłem przy hamaku, który jego dreszcze wprawiały w drgania niczym struny skrzypiec. Ociekał teraz potem, a nie deszczem. Spojrzał na mnie, zamknął oczy, znów otworzył, a gałki oczne zaczęły mu płasnąć jak rozbiegana żelazna kulka w grach zręcznościowych, która przemyka z jednego końca płaskiego pudełeczka w drugi, gdy ktoś próbuje wprowadzić ją do małej dziurki. Zmartwiłem się, bo wyglądał fatalnie. Gdyby Yayomi złapali coś od niego i zaczęli umierać, wina spadłaby na nas.

- Klaus, co ci jest?

Nie odezwał się, tylko leżał, dygocząc i przewracając oczami.

Pobiegłem do Wentzlera.

- Coś się dzieje z Klausem.
- Tak?
- Ma dreszcze. Chyba się przeziębził albo coś złapał.
- Niczego nie złapał, tylko sam sobie zaaplikował.
- Co sobie zaaplikował? Jak to sam?
- Ma objawy odstawienia. Przez jakiś czas nie ustąpią.
- Ale co to takiego?
- Niestety, Klaus jest uzależniony od morfiny.
- Od morfiny?
- Musiałeś o niej słyszeć. Lekarze mają łatwy dostęp do tych środków. Jest uzależniony już od pewnego czasu. Sam mi to powiedział.
- Ale dlaczego?

194

- A dlaczego jedni mężczyźni zostają alkoholikami, drudzy zaś uganiają się za spódniczkami? Nie wiem. Wyczerpały mu się zapasy, dlatego teraz musi znosić skutki odstawienia narkotyku. Nie będzie to przyjemny widok.
- Czyli to jest choroba, którą można od niego podłapać?
- Ani ty się nie zarazisz, ani nikt inny.
- Rannym żołnierzom dawano morfinę, prawda?
- Owszem, chodziło o uśmierzenie bólu. Klaus korzystał z niej nierozważnie, bo nie mógł znieść własnych myśli i wspomnień. Zauważyłeś ślady po wewnętrznej stronie jego ręki?
- Coś widziałem.
- Ukłucia po robionych sobie samemu zastrzykach.
- Raz go przyłapałem. Sądziłem, że jest chory...
- Bo jest. Narkomania to poważna choroba, chociaż nie jest zaraźliwa.

Nagle Klaus zaczął się miotać w hamaku, aż wypadł na błotnistą ziemię. Chwilę leżał bez ruchu, a potem zaczął kopać, rękami młócić powietrze, piętami tłuc w ziemię.

Wyraźnie przestał nad sobą panować.

- Typowe objawy - skwitował jego zachowanie Wentzler. -Uprzedził mnie, że niebawem nadejdą. Może spróbujemy go podnieść?

Klaus wciąż się ciskał w błocie, tak wywijając kończynami, że nie mogliśmy podejść dostatecznie blisko, żeby go dźwignąć. Dopiero dziesięć minut później zmęczył się i przestał. Wtedy ułożyliśmy go na hamaku, ale znów się rozdygotał, a przy tym rękami chwycił powietrze i głowa majtała mu na boki jak głowy klaunów podczas karnawału, które kiwają się z rozdziawionymi ustami na boki, kusząc, żeby wrzucić tam piłkę.

Podszedł zaniepokojony Zeppi.

- Co się dzieje? - spytał.
- Stryj Klaus nie czuje się najlepiej. Herr Wentzler i ja się nim zajmujemy.
- Ale dlaczego tak się zachowuje?
- Nie ma na to wpływu. Idź do mamy.

195

- Mama nie chce ze mną rozmawiać.

Poczekał jeszcze chwilę, patrząc, jak Klaus podskakuje niczym marionetka na splątanych sznurkach, po czym odszedł. Ja i Wentzler podtrzymywaliśmy stryja z obu stron, żeby znów nie upadł. Zewsząd podchodzili Yayomi, zaintrygowani jego drgawkami i jękami. Noroni podszedł bliżej od innych i zamienił kilka słów z Wentzlerem.

- On pyta, czy w naszego przyjaciela wstąpił demon. Zaprzeczyłem. Gdybym potwierdził, Noroni odtańczyłby taniec uzdrowiciela, a Klausowi wcale nie trzeba okadzania dymem ani śpiewów i płaśów nad głową. Powiedziałem Noroniemu, że kiedy matka del-finica nosi w łonie dziecko, jej mąż z każdym miesiącem odczuwa coraz większy ból. Uwierzył. Przedtem mu powiedzieliśmy, że Klaus nie może uprawiać miłości, bo zapłodnienie kosztowało go tyle wysiłku, a teraz dodaliśmy, że jeszcze bardziej cierpi podczas ciąży. Noroni odparł, że już wie, dlaczego w rzece jest tak mało delfinów.

Historia była niegłupia, bo oparta na bzdurach, które wcześniej wmówiliśmy

Yayomim. Nie mogłem odmówić Wentzlerowi błyskotliwości. Obaj mieliśmy podobny dar wymyślania na poczekaniu andronów, kiedy chcieliśmy wyjaśnić Yayomim coś, czego nie mogli pojąć. Klaus chwilę milczał, obstąpił nas tłum Yayomich.

W oczekiwaniu na kolejny atak konwulsji Wentzler wyjaśnił:

- Ci ludzie nie znają chorób naturalnych. Jeżeli ktoś zachoruje, uważają, że wróg rzucił na niego klątwę. Odczynianie uroku odbywa się nadzwyczaj głośno. Trwa wiele dni, a jeżeli ofiara umrze, bo najczęściej się to kończy śmiercią, wstępują na drogę zemsty. Muszą ustalić, które z sąsiednich shabono maczało palce i dokładnie którzy jego mieszkańcy. Zawsze znajdzie się ktoś, kto mógłby źle życzyć ofierze, choćby w najbardziej błahych sprawach, kiedy zaś szaman - w naszym shabono Noroni - powie, kto to taki, należy tego kogoś zabić, a w najgorszym wypadku zabić jakiegoś mieszkańca tamtego shabono, żeby odkupił śmierć człowieka z naszego shabono. Następnie tamto shabono musi dokonać napadu na nasze, żeby wziąć odwet za zabójstwo.

- Jakie to wszystko głupie.

196

- Owszem, z naszej perspektywy wydaje się głupie, ale nie z ich.

- W takim układzie zabijanie trwa bez końca, i to właściwie bez powodu.

- A z jakiego powodu toczyła się wojna, o której opowiadałeś mi i opowiadał Klaus?

- Wszystkiemu winni byli Żydzi - powiedziałem.

- Tak? Czym mianowicie zasłużyli sobie na masowe ludobójstwo? Bo czyż Klaus nie przyznał, że spędzono Żydów jak bydło i wyrzynano dziesiątkami, a może setkami tysięcy?

- Zatruli nasz naród - odparłem. - Przynajmniej tak wszyscy twierdzili.

- Tak zapewne twierdzili Niemcy pokroju Noroniego, może nawet dawali temu wiarę, ale obaj wiemy, że tutejsi Noroni doszukują się we wszystkim winy z powodu bezbrzeżnej niewiedzy.

- W Europie wszystko wygląda inaczej.

- Tak sądzisz?
- Herr Professor, pan w ogóle nie mówi jak Niemiec.
- Wierz mi, że jestem Niemcem do szpiku kości. Może nie aż takim jak nasz przyjaciel, który tu leży w drgawkach, ale z całą pewnością na wskroś Niemcem. Nasze drzewo genealogiczne było pieczołowicie pielęgnowane, a dokumentacja jego gałęzi sięga przeszło czterystu lat. Mój ojciec i dziadek dołożyli starań, żebym poznał najdawniejsze dzieje rodu Wentzlerów. Podobnie jak ja, bardzo szczylicili się swoją germańskością. Nie myśl, Erichu, że zgrzytliwy skrzek wśród zgodnego krakania miliona kruków to głos wroga. W każdym społeczeństwie zdarzają się różne opinie, czy wierzy ono w dmuchawki, czy w artylerię. Ale wciąż nie odpowiedziałeś mi, co takiego złego zrobili Żydzi, żeby trzeba ich było wymordować w tak ogromnej liczbie?

Wyteżalem umysł, ale nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź, która zadowoliłaby człowieka tak mądrego jak Wentzler, dlatego powiedziałem:

- Kiedy Klaus wydobrzeje, to panu powie.
- Doskonale. Jeżeli ktokolwiek zna odpowiedź, to na pewno ludzie tacy jak on, którzy sami mordowali. Mam rację?

197

— Owszem - przyznałem, choć w głębi duszy nie miałem tej pewności.

Uśmiechnął się tylko dziwnie. Wydawało mi się, że Wentzler mnie lubi, ale nie zamierzał dopuścić do sytuacji, w której mógłbym pomyśleć, że dorównuję mu bystrością. Niezmiernie mnie pod tym względem denerwował.

Klaus znów ożył, musieliśmy więc przytrzymać go siłą w sieci hamaka, kiedy ciskał się podobnie jak przedtem. Niechcący uderzył mnie pięścią w nos. Chciałem mu nawet oddać, ale się powstrzymałem, bo przecież nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. W ogóle z niczego nie zdawał sobie sprawy poza tym, co zżerało go od środka jak głodny szczur. Do zachodu słońca i ustania ulewy ataki Klause powtórzyły się jeszcze kilka razy.

Patrzyłem na trzęsącego się, dygoczącego Klause. Był narkomanem. Słyszałem wcześniej o istnieniu takich ludzi, ale nie spodziewałem się takiego człowieka

spotkać, a co dopiero mieć we własnej rodzinie. Teraz cieszyłem się, że nie wziął prawdziwego ślubu z mamą. Narkomani to plugawi ludzie, przynajmniej tak mnie uczono, moralni degeneraci myślący tylko i wyłącznie o ohydnych narkotykach. Zawsze wyobrażałem ich sobie jako bladych, drobnych ludzi mieszkających w piwnicach i ciemnych klitkach, nieoglądających słońca, nie w pełni ludzi.

Tymczasem Klaus wcale tak nie wyglądał, przynajmniej dopóki nie skończyła mu się morfina. Słowem, nie zawsze to, co nam mówią, znajduje pokrycie w rzeczywistości. Klaus był wysoki, przystojny, opalony, w ogóle nie przypominał obślinionego, zaćpanego kurdupla. Ale jak po tym wszystkim można mu wierzyć? W ogóle trudno mi było utrzymać wiarę w cokolwiek.

Przez pięć dni Klaus pozostawał w swoim prywatnym piekle. Wkrótce Yayomim znudziły się jego krzyki, jęki i wymachiwanie rękami. Przestali zwracać na niego uwagę. Wentzler i ja podawaliśmy mu jedzenie małymi porcjami i wodę w nieograniczonych ilościach. Posrał się i posikał nie wiadomo ile razy. Myliśmy go wtedy i czekaliśmy na następny raz. Czasem zwlekał się z hamaka i chodził po całym shabono, ale wyglądał jak żywy trup, bo tak szezeł, a oczy tak

198

mu się zapadły, że przypominały niebieskie szklane kulki. Najczęściej bez słowa obchodził shabono kilka razy, a potem wracał na hamak. Po sześciu dniach zaczął więcej sypiać, a myśmy mogli trochę odetchnąć. Wentzler stwierdził, że najgorsze chyba minęło, ale Klaus jeszcze jakiś czas będzie dochodził do siebie. Musimy nad nim czuwać, dopóki mu się nie polepszy.

- Nieźle się na tym znasz - pochwaliłem go. - Masz jakieś doświadczenie medyczne?

- Mój kolega miał zostać lekarzem. Na studiach wciągnął się idiotycznie w nałóg morfiny. Przez rok uchodziło mu to na sucho, lecz w końcu go złapano. Szpital nie chciał zawiadamiać policji, dlatego przekazano chłopaka rodzinie z prośbą o dyskrecję. Mój kolega przeszedł to samo, co przechodzi twój stryj, ale przynajmniej miał codziennie świeżą pościel. Stąd wiem, że zawsze zakłócenie procesów chemicznych organizmu niesie takie opłakane skutki. Cieszyłem się natomiast z

jednego.

- Mianowicie?
- Kochałem się w narzeczonej tamtego kolegi, chciałem więc, żeby zobaczyła, jakim jest słabeuszem i idiotą. Zaprosiłem ją, żeby przekonała się na własne oczy, jak wygląda narkoman w fazie odstawienia. Okazało się, że popełniłem fatalny błąd.
- Dlaczego?
- Ta idiotka, zamiast poczuć obrzydzenie i zwrócić się do mnie po pociechę, ulitowała się nad chłopakiem. Gdy tylko doszedł do siebie, od razu wyszła za niego za mąż. Radzę ci, nigdy nie manipuluj uczuciami bliźnich, zwłaszcza w imię miłości.
- I żyli szczęśliwie?
- Nie mam pojęcia. Ja poświęciłem się nauce i zrobiłem wszystko, żeby zapomnieć przyjaciela i jego żonę. Ciekawe, jak przetrwali wojnę.
- A gdzie mieszkali?
- W Berlinie.
- Miasto tak zbombardowano, że mogą nie żyć.
- Pewno po powrocie dowiem się wszystkiego o nich i o rodzinie.

Siódmego dnia Klaus otworzył oczy i nareszcie przestać wyglądać jak ścigane zwierzę. Zobaczywszy mnie, przywitał się:

199

- Dzień dobry, Erichu.
- Już popołudnie.
- Doprawdy? Mój Boże, czuję się słaby jak niemowlę. I tak mnie suszy! Bądź tak dobry i przynieś mi wody.

Przyniosłem. Wypił jednym haustem, jakby umierał z pragnienia, a potem głośno czknał.

- Przepraszam. Czy ja chorowałem?
- Tak. I to bardzo.
- Jak długo?
- Tydzień. Jesteś głodny?
- Jeszcze nie. Mam ściśnięty żołądek. Czy coś się działo przez ten czas?

- Przyleciał samolot ratunkowy. Pomachałem do nich i spuścili nam wiadomość. Łodzią ma przyplłynąć ekipa ratunkowa, która nas stąd zabierze.

Poderwał się do pozycji siedzącej tak szybko, że omal nie spadł z hamaka.

- Boże święty, naprawdę? Rewelacja! Kiedy tu przyplyną? To był samolot Zameksu?

- Też tak najpierw myślałem, ale potem okazało się, że to tylko wielki ptak, bodajże czapla.

- Czapla? Czyli nie będzie żadnej ekipy ratunkowej?

- Nie.

Osunął się na hamak.

- Erichu, dlaczego się ze mną droczysz? Bardzo nieładnie stroić sobie żarty ze starszego. Po co?

- Bo miałem taki kaprys.

Spojrzał na mnie.

- Jesteś wymalowany jak dzikus.

- Już po raz drugi. Pierwszy malunek zmył mi się w rzece. Wczoraj Noroni pomalował mnie ponownie. Zaproponował, że mógłby mi wytatuować twarz.

- Nie wygłupiaj się. Kiedy stąd wyjedziemy, będziesz miał kłopoty z wyjaśnieniem swojego tatuażu. Wszędzie cię wyśmieją.

- Ale i tak chyba zrobię sobie tatuaż.

200

Chciałem go zdenerwować, żeby mieć sposobność zdenerwować się potem na niego.

- Stryju, od dawna jesteś narkomanem?

- Nie jestem już twoim stryjem, lecz ojczymem. Zresztą może i jestem, ale...

- Nie jesteś żadnym ojczymem. Ożeniłeś się z mamą pod nazwiskiem Brandt, a w rzeczywistości nazywasz się Linden. Dla mnie jesteś stryjem Klausem Lindenem.

- Dlaczego robisz taki raban o drobne formalności? Przestań mnie nazywać stryjem. Gdzie są wszyscy? Gdzie jest Helga?

- Mama wyszła kilka minut temu. Chyba poszła nad rzekę się umyć. W każdym razie mam taką nadzieję, bo dawno się nie myła. I znów zaczęła śmierdzieć. Ale

może poszła się wysrać.

- Nie waż się tak mówić o matce!
- Przecież mnie nie słyszy. Zresztą ostatnio słyszy tylko Boga. Od dawna bierzesz morfinę?
- Nie twoja sprawa. Poza tym zerwałem z nią raz na zawsze.
- Dlatego że ci się skończyła.
- Czy coś się zdarzyło podczas mojej choroby? Zmieniłeś się, Erichu. Wyjaśnij mi, co się stało.
- Nie muszę ci wszystkiego mówić.

I wyszedłem. Niech go kto inny wysłucha, bo ja nie miałem zamiaru.

Zobaczył mnie Wentzler.

- Obudził się?
- Tak, ale nie chce mi się z nim gadać.

Poszedłem nad rzekę. Nie znalazłem tam mamy. Nagle tknęło mnie, że Zeppiego też już dłuższą chwilę nie widziałem. Ruszyłem brzegiem rzeki, aczkolwiek nie bardzo przejęty ich nieobecnością. Chciałem odejść jak najdalej od Klause, skoro doszedł już trochę do siebie. Najchętniej obarczyłbym winą Klause za to, co się stało z mamą, chociaż musiałem przyznać, że obłąd mógł tak czy owak jej dosięgnąć.

Może Sigmund Freud znałby odpowiedź. Tyle że był Żydem, a zatem nie budził pełnego zaufania. Zresztą i tak nie żył. Tata przeczytał

201

nam na glos z gazety wiadomość o jego śmierci i powiedział, że krzyżyk na drogę Żydowi, który uważał, że każda córka pożąda swojego ojca, a każdy syn - matki. Twierdził, że tylko parszywy Żyd mógł coś takiego wymyślić. Nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek pożył matki, nawet kiedy zobaczyłem ją nago. Szczerze mówiąc, na samo wspomnienie jej golizny zrobiło mi się niedobrze, co jedynie dowodzi, że Freud pisał bzdury.

Minąłem rząd kanu i szedłem brzegiem. Nieco dalej zobaczyłem na ziemi kilka kropli krwi. Nie przejąłem się zbytnio, ale dwadzieścia czy trzydzieści metrów dalej zobaczyłem kolejne plamy krwi.

Maszerowałem, zastanawiając się, czy przeszedł tędy ktoś, niosąc zabita zwierzynę, która broczyła krwią. Następna plama była tak świeża, że lśniła w promieniu słonecznym. Zrozumiałem, że krwawiące stworzenie zostało wyniesione z shabono, a nie wniesione do środka. Czyli nie wiązało się z jedzeniem. Ponieważ wszystkie upolowane zwierzęta zanoszono natychmiast do domu, żeby rozdzielić je między wszystkich. Czyżby ktoś był ranny? A może to ludzka, a nie zwierzęca krew? Ale dlaczego ranny człowiek miałby oddalać się od shabono, zamiast iść tam, gdzie ktoś by go zauważył?

Znów krew. Ktokolwiek szedł przede mną, tak samo jak ja trzymał się rzeki. Czyżby jakiś intruz z drugiego shabono w głębi łądu porwał kobietę Yayomich i teraz włókł ją ze sobą do domu? Słyszałem o takich podstępnych atakach i porwaniach kobiet. Nie widziałem żadnych oznak walki, ale to jeszcze niczego nie dowodziło, bo co jakiś czas Kwaytcha pokazywał mi różne rzeczy w poszyciu dżungli, chociażby właśnie ślady, zupełnie dla mnie niewidoczne.

Przyznam, że trochę się przestraszyłem. Ilu ich może być? Słyszałem, że bandy porywaczy liczą sobie po tuzinie albo więcej silnych mężczyzn i chociaż starają się nie krzywdzić kobiet, bo po nie przyszli, dla zabawy lubią zabijać albo ranić mężczyzn. Czy powinienem iść dalej, licząc się z ryzykiem, że się na nich natknę, czy raczej wrócić do shabono i zaalarmować mieszkańców. Stałem, niezdecydowany. Wiedziałem, że odkryłem coś ważnego, zbyt ważnego, żeby zachować informację dla siebie. Miejscowi Yayomi byli teraz poniekąd moimi współplemieńcami, ponosiłem zatem odpowiedzialność

202

nam na głos z gazety wiadomość o jego śmierci i powiedział, że krzyżyk na drogę Żydowi, który uważał, że każda córka pożąda swojego ojca, a każdy syn - matki. Twierdził, że tylko parszywy Żyd mógł coś takiego wymyślić. Nie przypomniałem sobie, żebym kiedykolwiek pożył mamę, nawet kiedy zobaczyłem ją nago. Szczerze mówiąc, na samo wspomnienie jej golizny zrobiło mi się niedobrze, co jedynie dowodzi, że Freud pisał bzdury.

Minąłem rząd kanu i szedłem brzegiem. Nieco dalej zobaczyłem na ziemi kilka

kropli krwi. Nie przejąłem się zbytnio, ale dwadzieścia czy trzydzieści metrów dalej zobaczyłem kolejne plamy krwi.

Maszerowałem, zastanawiając się, czy przeszedł tędy ktoś, niosąc zabita zwierzynę, która broczyła krwią. Następna plama była tak świeża, że lśniła w promieniu słonecznym. Zrozumiałem, że krwawiące stworzenie zostało wyniesione z shabono, a nie wniesione do środka. Czyli nie wiązało się z jedzeniem. Ponieważ wszystkie upolowane zwierzęta zanoszono natychmiast do domu, żeby rozdzielić je między wszystkich. Czyżby ktoś był ranny? A może to ludzka, a nie zwierzęca krew? Ale dlaczego ranny człowiek miałby oddalać się od shabono, zamiast iść tam, gdzie ktoś by go zauważył?

Znów krew. Ktokolwiek szedł przede mną, tak samo jak ja trzymał się rzeki. Czyżby jakiś intruz z drugiego shabono w głębi łądu porwał kobietę Yayomich i teraz włókł ją ze sobą do domu? Słyszałem o takich podstępnych atakach i porwaniach kobiet. Nie widziałem żadnych oznak walki, ale to jeszcze niczego nie dowodziło, bo co jakiś czas Kwaytcha pokazywał mi różne rzeczy w poszyciu dżungli, chociażby właśnie ślady, zupełnie dla mnie niewidoczne.

Przyznam, że trochę się przestraszyłem. Ilu ich może być? Słyszałem, że bandy porywaczy liczą sobie po tuzinie albo więcej silnych mężczyzn i chociaż starają się nie krzywdzić kobiet, bo po nie przyszli, dla zabawy lubią zabijać albo ranić mężczyzn. Czy powinienem iść dalej, licząc się z ryzykiem, że się na nich natknę, czy raczej wrócić do shabono i zaalarmować mieszkańców. Stałem, niezdecydowany. Wiedziałem, że odkryłem coś ważnego, zbyt ważnego, żeby zachować informację dla siebie. Miejscowi Yayomi byli teraz poniekąd moimi współplemieńcami, ponosiłem zatem odpowiedzialność

202

za to, żeby ich chronić przed innymi Yayomimi - lub, co gorsza, Iriri-mi! - grasującymi na ich terytorium. A jeśli porwali Awomay? Jeśli to jej krew? Poczulem, jak ogarnia mnie gniew, nie na tyle jednak silny, żebym ruszył za nimi w pogoń. Po pierwsze, nie miałem przy sobie broni, a po wtóre, cóż zrobiłbym w pojedynkę wobec wielu? Ponadto nie byłem pewien, czy właściwie odczytuję znaki.

Postanowiłem pójść trochę dalej, żeby poszukać wskazówek, śladów stóp lub czegoś, co utwierdzi mnie w podejrzeniach. W shabono cieszyłem się szacunkiem, który łatwo mógłbym stracić, gdybym wpadł, krzycząc o nieistniejących napastnikach albo porywaczach. Z bijącym sercem szedłem więc dalej. I wtedy zobaczyłem mamę. Stała w rzece, tyłem do mnie. Zatrzymałem się i obserwowałem ją brodzącą na mieliźnie. Wyglądała bardzo młodo, jak dziewczynka. Nie była jednak małą dziewczynką, bo po nogach od wewnątrz ciurkała jej krew. W pierwszej chwili się nie przestraszyłem. Szedłem po śladach krwi na ziemi, a teraz upewniłem się, że nie pochodzi z rany. Widocznie mama miała okres i chociaż nie kąpała się codziennie tak jak wszyscy, przypuszczalnie nie wytrzymała tego, że świeża krew ciurka jej po nogach, dlatego wybrała się na odludzie, z dala od uczęszczanych kąpielisk, żeby doprowadzić się do porządku. Zachowała się roztropnie. Może więc nie była aż tak szalona.

Bałem się drgnąć ze strachu, że mnie zobaczy, dlatego zastygłem w bezruchu i tylko patrzyłem, jak wchodzi coraz głębiej. Dwie wielkie ważki, niebieska i srebrzystozielona, bzycały, zataczając nad nią kręgi, a ona weszła jeszcze głębiej, aż zanurzyła się po pas. Włożyła ręce do wody, żeby się podmyć, a ważki nadal kreśliły nad jej głową koła niczym samolociki z kolorowych patyczków, jak gdyby nie chciały porzucić tak pięknego obiektu.

Patrząc na mamę, zdałem sobie sprawę, że kocham ją niezależnie od wszystkiego. Nienawidziłem jej zachowań, odzywek, chociaż rzadko w ogóle się odzywała, ale wszystkie te irytujące drobiazgi nie miały znaczenia wobec faktu, że jest moją mamą, czy to całkiem obłąkaną, czy nawet połowicznie, i dlatego byłem jej winien miłość, przynajmniej w pewnej mierze. Skąd wiadomo, ile trzeba jakąś osobę kochać, skoro z dnia na dzień zmienia się z kochającej

203

matki w utyskującą wiedźmę? Znów jednak tam w rzece przypominała moją mamę, kiedy ruszała nieznacznie ramionami, myjąc się delikatnie pod wodą. Spodziewałem się, że zaraz na powierzchnię wypłynie plama krwi, ale nie wypłynęła. Włosy zwisały mamie poskręcanyimi strąkami, kark bujał się delikatnie na obie strony. Ogarnął mnie

dziwny spokój, jak gdyby ręce, którymi się dotykała, również i mnie pieściły czule. Wiedziałem, że mama dojdzie do siebie, gdy tylko ukradniemy kanu i powiosłujemy hen, daleko w strugach ulewnego deszczu, który zmyje z nas przeszłość i nas oczyści. Nagle ważki pofrunęły na brzeg.

Mamie zeszywniał kark, a po chwili z piersi dobył się krzyk. Był tak rozdzierający jak przenikliwe rżenie koni w rzeźni, kiedy młot spada im między oczy. Dobył się z trzewi i wyrwał dalej, przez wykrzywione grymasem usta, trysnął pianą, wrzący, postrzępiony, przejmujący, tak donośny, że mógłby sięgnąć stratosfery. Woda na wysokości pasa mamy zakipiała, tak że ona sama nie zdołałaby jej w ten sposób wzburzyć rękami, spieniła się, zaróżowiła, a zaraz potem zaczerwieniła. Patrzyłem z otwartymi ustami i oczami, nic nie pojmując, jak mama wynurza się z wody i podnosi. Wtem zobaczyłem koniec szczeliny na pupie i połyskującą srebrzystoszarą spódniczkę, która tam się niejako zaczynała, tutu baletnicy z plaskających ryb. Mama zaraz jednak znów poszła pod wodę, gdy lśniąca chmara młócących, podrygujących, skaczących jej do pośladków i ud ryb gryzła i szarpała, trawiona głodem, a ludożercze stworzenia, posmakowawszy krwi, oszalały. Skłębiona chmara ostrych drapieżników zwanych piraniami, przed którymi przestrzegał mnie Wentzler. Krzyk urwał się nagle, gdy mama poszła pod wodę, najpierw po ramiona, następnie po szyję. Ryby wirowały jeszcze wokół niej w różowawej mgle, dopóki jej blond włosy, różowe od piany, nie zniknęły z pola widzenia, a tafla wody się nie uspokoiła.

Rozdział 9

Spadałem w misę pełną liści. Był nią dach shabono... tyle że patrzyłem teraz na niego do góry, wcale nie spadałem. Leżałem w hamaku. Zobaczyłem nad sobą twarz Klausa przypominającą dziób statku, który zaraz we mnie wjedzie. Nozdrza przypominały dziury na łańcuch kotwiczny. Kiedy otworzył usta, wypadły z nich słowa niczym kotwica na łańcuchu, brzęcząc i szczękając o siebie, rozbijając mi się na twarzy, wciągając mnie z powrotem pod wodę.

- Erichu, gdzie jest Helga? Gdzie twoja matka?

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. Słowa dobyły mi się z trzewi, wpełzły do góry, stłoczyły się w gardle. W końcu rozchyliły mi usta i znalazły ujście na

zewnątrz.

- Zginęła... ryby...
- Jak to, zginęły jej ryby? Pomyśl, Erichu, co ty wygadujesz! Znalezione cię nad rzeką. Helga zniknęła. Indianie twierdzą, że na brzegu widzieli krew. Co się stało?
- Ryby.
- Jakie ryby?
- Piranie...
- Nie żartuj. Krew była na brzegu. Piranie nie wychodzą z wody.
- Mama... krwawiła.
- Jak to? Była ranna? Co się stało?

Raz i drugi przełknąłem ślinę. Słowa przychodziły mi teraz nieco łatwiej.

- Krwawiła... sama z siebie.

205

- Gadasz od rzeczy. Byłeś ranny? Znalezione cię nieprzytomnego, leżącego na ziemi. Co pamiętasz? Mów, bo to bardzo ważne.
- Mama nie żyje... Zjadły ją.
- Co takiego?
- Piranie. Zaatakowały ją... bo krwawiła, no wiesz, jak zawsze co miesiąc.

Patrzył na mnie jeszcze chwilę, po czym oddalił się, a jego miejsce nade mną zajął Wentzler.

- Erichu, czy to prawda? Widziałeś na własne oczy?
- Tak.
- Klaus twierdzi, że zapadłeś w śpiączkę. Nie miałeś żadnych obrażeń, tylko... straciłeś przytomność. Chcesz wody?
- Poproszę.

Przyniósł mi wody, pomógł wstać i wypić. Klaus stał w pobliżu i patrzył na mnie z wyrzutem.

- Erichu, kilku Yayomich twierdzi, że poszedłeś za matką i ją zabiłeś. Wielu słyszało jej krzyk.
- Piranie rozszarpały ją na moich oczach.

- Wierzę ci. Tyle że w tych wodach zazwyczaj nie spotyka się piranii.
- Kłębili się setkami... wszystko trwało chwilę.
- Powiem Yayomim coś, w co uwierzą.
- Powiedz im prawdę! Bo też mogą paść ofiarą ataku.
- Wierz mi, Erichu, że ich prawda obejmuje tylko to, w co chcą uwierzyć.

Odszedł, wrócił Klaus.

- Teraz ci wierzę. Mój Boże, co za śmierć! Długo cierpiała?
- Trudno powiedzieć. Niecałą minutę, może nawet dużo krócej.
- Mój Boże, a oni obwiniają ciebie.
- Przecież to głupota. Co oni sobie ubzdurali?
- Tak im powiedział Waneeri. To on cię znalazł. Twierdzi, że widział na brzegu ślady walki.
- Kłamie, bo mnie nienawidzi.
- Wentzler usiłował podważyć jego wersję, ale nie mógł nic powiedzieć, dopóki się nie obudzisz. A co ci się stało?

206

- Nie wiem. Zobaczyłem mamę... a potem ocknąłem się tutaj.
- Nic więcej nie pamiętasz?

Marzyłem o tym, żeby Klaus odszedł i przestał na mnie patrzeć. Pragnąłem, żeby odszedł na stronę i zapłakał nad mamą. Może wtedy wybaczyłbym mu niedostateczną do niej miłość. Pokręcił głową.

- Istne piekło na ziemi! Spotykają nas tu same nieszczęścia. Chcesz, żebym powiedział Zeppiemu?
- Sam mu powiem. Gdzie on jest?
- Z kolegami. Ostatnio towarzyszy mu niemała świta.

Klaus nie okazał bynajmniej wstrząsu ani większego smutku po stracie mamy. Czy on ją naprawdę kochał? Po co sprowadzałby nas zza oceanu, gdyby nie kochał? A może odkochał się, bo nie chciała z nim chodzić do dżungli i spełniać obowiązków małżeńskich? Teraz nie mogłem go o to zapytać. Osobiste pytania można zadawać tylko ludziom, których się lubi. Poza tym sam miałem to i owo na sumieniu. Zamiast

podglądać kąpiącą się mamę, powinienem był pamiętać, co Wentzler powiedział mi o wchodzeniu do rzeki z raną. Powinienem był krzyknąć, żeby wyszła, zanim ją dopadną. Nie ostrzegłem jej. Zapomniałem. I dlatego poniosła tragiczną śmierć.

Wrócił Wentzler i oznajmił:

- Powiedziałem im, że twoja mama czuła dziecko szykujące się do opuszczenia jej łona, dlatego poszła do rzeki urodzić. Stąd krew. Towarzyszyłeś jej, kiedy weszła do wody, widziałeś, jak dziecko wychodzi na świat, a potem oboje, matka z dzieckiem, odплыnęli. Na pożegnanie mama obiecała ci, że wróci po deszczach, a potem cię uśpiła, bo nie chciałaś puścić jej samej. Chciała, żebyś został tutaj z ojcem i Zeppim, żeby wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Planem nazywam twoją zapowiedź przemiany Zeppiego po przejściu pory deszczowej w dziewczynę i jego ślubu z Manokwą.

- To im powinno zamknąć usta - powiedział Klaus. - Im bardziej osobliwa historia, tym chętniej ją przyjmują. Aż żal serce ściska, jacy ci ludzie są łatwowierni. Wentzler puścił jego słowa mimo uszu.

- Erichu, błagam, tylko nie okazuj smutku, bo wszyscy będą ci się przyglądali. Syn matki, która wyjechała, powinien przeżywać

207

smutek, ale nie nadmierny, bo przecież ona wróci. Jeżeli przyłapią cię na rozpacz, zaczną podejrzewać, że coś jest nie tak. Jeżeli zwietrzą, że Frau Brandt nie żyje, będą podejrzewali, że wszyscy jesteście tylko ludźmi.

- Proszę nie zapominać, że zabiłem Tagerriego.

- Ta opowieść nabiera rumieńców w miarę, jak przechodzi z ust do ust. Kilka dni temu słyszałem, jak jedna kobieta mówiła drugiej, że Awomay urodzi dziecko z płetwami i długim nosem, czyli delfi-niętko, które jednak nie będzie mogło porazić nikogo piorunem na śmierć, ponieważ Awomay jest tylko kobietą, a nie delfinicą, dlatego jej syn (bo automatycznie założyli, że powije syna) nie odziedziczy mocy po ojcu. Będzie natomiast fenomenalnym pływakiem.

Klaus parsknął. Wentzler spojrzał na niego.

- Herr Brandt, mam nadzieję, że zdołasz ukryć żalobę po żonie?

- Żartujesz, Wentzler?

- Ani trochę. Przecież Helga ma wrócić z waszym dzieckiem na ślub Zeppiego, dlatego nie wolno ci zanadto tęsknić. Te niby to narodziny dziecka zbiegają się idealnie w czasie z końcem choroby, której nabawiłeś się podczas ciąży żony. Pamiętasz, że wcisnąłem Yayomim taką wersję na temat małżeństw delfinów i porodów?

- Wiem, co teraz myślą. Nie musimy wiecznie roztrząsać tych idiotycznych kłamstw. Dziwię się, że tak chętnie wciskasz swoim miejscowym przyjaciółom te wszystkie androny. Sądziłem, że ich podziwiasz, a ty serwujesz im niewiarygodne kłamstwa, jedno po drugim.

- To konieczne. Sądziłem, że zrozumiesz.

- W moim mniemaniu kłamstwo jednak pozostaje kłamstwem. Ale jeżeli ty możesz z tym żyć, ja też sobie poradzę.

- Cieszę się, że mam w tobie sprzymierzeńca.

Już sądziłem, że rozpęta się prawdziwa kłótnia, która zakończy się awanturą, ale zignorowali się nawzajem. Klaus odszedł.

- Gdzie jest Awomay? - spytałem. - Powinna tu być.

Denerwowałem się, że jej przy mnie nie ma.

- Nie zapominaj, że wszyscy słyszeli opowieść Waneeriego o tym, jak zabiłeś matkę. Trzyma się z daleka, dopóki Manokwo i pozostali

208

smutek, ale nie nadmierny, bo przecież ona wróci. Jeżeli przyłapią cię na rozpacz, zaczną podejrzewać, że coś jest nie tak. Jeżeli zwietrzą, że Frau Brandt nie żyje, będą podejrzewali, że wszyscy jesteście tylko ludźmi.

- Proszę nie zapominać, że zabiłem Tagerriego.

- Ta opowieść nabiera rumieńców w miarę, jak przechodzi z ust do ust. Kilka dni temu słyszałem, jak jedna kobieta mówiła drugiej, że Awomay urodzi dziecko z płetwami i długim nosem, czyli delfi-niętko, które jednak nie będzie mogło porazić nikogo piorunem na śmierć, ponieważ Awomay jest tylko kobietą, a nie delfinicą, dlatego jej syn (bo automatycznie założyli, że powije syna) nie odziedziczy mocy po

ojcu. Będzie natomiast fenomenalnym pływakiem.

Klaus parsknął. Wentzler spojrział na niego.

- Herr Brandt, mam nadzieję, że zdołasz ukryć żalobę po żonie?

- Żartujesz, Wentzler?

- Ani trochę. Przecież Helga ma wrócić z waszym dzieckiem na ślub Zeppiego, dlatego nie wolno ci zanadto tęsknić. Te niby to narodziny dziecka zbiegają się idealnie w czasie z końcem choroby, której nabawiłeś się podczas ciąży żony.

Pamiętasz, że wcisnąłem Yayomim taką wersję na temat małżeństw delfinów i porodów?

- Wiem, co teraz myślą. Nie musimy wiecznie roztrząsać tych idiotycznych kłamstw. Dziwię się, że tak chętnie wciskasz swoim miejscowym przyjacielom te wszystkie androny. Sądziłem, że ich podziwiasz, a ty serwujesz im niewiarygodne kłamstwa, jedno po drugim.

- To konieczne. Sądziłem, że zrozumiesz.

- W moim mniemaniu kłamstwo jednak pozostaje kłamstwem. Ale jeżeli ty możesz z tym żyć, ja też sobie poradzę.

- Cieszę się, że mam w tobie sprzymierzeńca.

Już sądziłem, że rozpęta się prawdziwa kłótnia, która zakończy się awanturą, ale zignorowali się nawzajem. Klaus odszedł.

- Gdzie jest Awomay? - spytałem. - Powinna tu być.

Denerwowałem się, że jej przy mnie nie ma.

- Nie zapominaj, że wszyscy słyszeli opowieść Waneeriego o tym, jak zabiłeś matkę. Trzyma się z daleka, dopóki Manokwo i pozostali

nie uwierzą w twoją niewinność. Wszyscy teraz omawiają moją wersję, moje kłamstwa, jak powiedziałaby Klaus.

- Zapomniałem o krwi. Powiniennem być do niej krzyknąć, wyciągnąć ją z wody, ale zapomniałem...

- Obwinianiem siebie nikomu nie pomożesz, a już na pewno nie mamie.

Miał chyba rację, ale i tak gryzło mnie sumienie. Nagle coś mnie tknęło.

- Mówiłeś, że znalazł mnie Waneeri?
- Tak.
- Jak on się tam znalazł? Akurat w tym miejscu?
- Może znajdował się w pobliżu i usłyszał krzyk.
- Na pewno mnie śledził. Chce mnie zabić z zemsty za śmieć Tagerriego.
- Gdyby chciał, zabiłby cię, kiedy leżałeś nieprzytomny. Inna sprawa, że Yayomi zwykle tak nie zabijają. Taki czyn świadczyłby o tchórzostwie. Nie wykluczam, że Waneeri mógł cię śledzić. Musisz teraz na niego uważać.
- Kto mnie tu przyniósł? Ty?
- Kwaytcha z Noronim. Oni też są teraz twoją rodziną.

Przyjrzał mi się badawczo.

- Erichu, mama zginęła na twoich oczach. Poradzisz sobie? To znaczy, czy dasz radę zachowywać się tak, jakby po prostu wyjechała? Chyba rozumiesz, jakie to ważne.
- Dam radę.
- Moja babka mawiała: „Teraz weź się w garść, popłaczesz później”.
- Nie muszę płakać.
- Skoro tak twierdzisz.
- I nie muszę tu leżeć jak obłożnie chory.

Wstałem z hamaka i poszedłem rozejrzeć się za Awomay. Znalazłem ją zagadaną z innymi kobietami. Domyślałem się, że plotkują o mamie i o mnie. Umilkły, kiedy podszedłem, co mijало się z celem, bo przecież i tak nie rozumiałem ich mowy. Awomay, widząc moją minę, podeszła, ale kiedy znalazła się naprzeciwko, zrozumiałem, że

14-Biali bogowie 209

nie uwierzą w twoją niewinność. Wszyscy teraz omawiają moją wersję, moje kłamstwa, jak powiedziałby Klaus.

- Zapomniałem o krwi. Powinienem być do niej krzyknąć, wyciągnąć ją z wody, ale zapomniałem...
- Obwinianiem siebie nikomu nie pomożesz, a już na pewno nie mamie.

Miał chyba rację, ale i tak gryzło mnie sumienie. Nagle coś mnie tknęło.

- Mówiłeś, że znalazł mnie Waneeri?
- Tak.
- Jak on się tam znalazł? Akurat w tym miejscu?
- Może znajdował się w pobliżu i usłyszał krzyk.
- Na pewno mnie śledził. Chce mnie zabić z zemsty za śmieć Tagerriego.
- Gdyby chciał, zabiłby cię, kiedy leżałeś nieprzytomny. Inna sprawa, że Yayomi zwykle tak nie zabijają. Taki czyn świadczyłby o tchórzostwie. Nie wykluczam, że Waneeri mógł cię śledzić. Musisz teraz na niego uważać.
- Kto mnie tu przyniósł? Ty?
- Kwaytcha z Noronim. Oni też są teraz twoją rodziną.

Przyjrzał mi się badawczo.

- Erichu, mama zginęła na twoich oczach. Poradzisz sobie? To znaczy, czy dasz radę zachowywać się tak, jakby po prostu wyjechała? Chyba rozumiesz, jakie to ważne.
- Dam radę.
- Moja babka mawiała: „Teraz weź się w garść, popłaczesz później”.
- Nie muszę płakać.
- Skoro tak twierdzisz.
- I nie muszę tu leżeć jak obłożnie chory.

Wstałem z hamaka i poszedłem rozejrzeć się za Awomay. Znalazłem ją zagadaną z innymi kobietami. Domyślałem się, że plotkują o mamie i o mnie. Umilkły, kiedy podszedłem, co mijalo się z celem, bo przecież i tak nie rozumiałem ich mowy. Awomay, widząc moją minę, podeszła, ale kiedy znalazła się naprzeciwko, zrozumiałem, że

14-Biali bogowie 209

nie chcę teraz na nią patrzeć. Odwróciłem się na pięcie, przemierzyłem shabono i wyszedłem górą.

Chciałem zostać sam, przemyśleć wydarzenia dnia i schować je gdzieś w środku, gdzie nie przeszkodzą bieżącym wydarzeniom. Bo wszystko działo się tak szybko.

Chciałem otrząsnąć się z uczuć i wspomnień, zrzucić z siebie brzemię, które obciążało mi umysł, żeby nadążyć za biegiem wydarzeń. Teraz weź się w garść, popłaczesz później.

Szedłem przed siebie bez celu. Po chwili natknąłem się na Zeppiego z kolegami. Spędzili razem cały dzień i najwyraźniej nie wiedzieli, co się stało. Wszyscy czterej wygrzewali się w słońcu nad rzeką. Kiedy podszedłem, małpka Zeppiego wydała głośny skrzek. Leżeli beczynnie, jeden trzymał głowę na brzuchu drugiego, tak jak często wylegają się dzieci Yayomich, tyle że bacznie mi się przyglądali. Może poznali coś po mojej minie.

Zeppi uniósł się na łokciu.

- Cześć - przywitał się z uśmiechem.

Stanąłem przy nim.

- Dobrze się bawisz, Zeppi?

- Poszliśmy się wykapać. Mitzi biegała na brzegu i bardzo się denerwowała.

Chciała iść z nami, ale małpy nie lubią wody. Bardzo to było śmieszne.

- Mam dla ciebie bardzo złą wiadomość.

- Jaka?

- Mama nie żyje.

Nie mogłem się powstrzymać. Nie chciałem wypalić tak prosto z mostu, ale widząc go tak beztroskiego, w gronie kolegów, wpadłem w gniew. Zeppi aż się zmarszczył, tak próbował zrozumieć, co do niego mówię.

—■ Niemożliwe. Przestań.

- Mama nie żyje - powtórzyłem, lecz zaraz zdrowy rozsądek kazał mi przestać.

Nie było sensu opowiadać mu, jak zginęła. Mogłem przypuszczać, że nabawi się tylko koszmarów, a przecież mieliśmy utrzymywać Yayomich w przekonaniu, że tylko wyjechała, a nie umarła. Jeżeli Zeppi wpadnie w histerię, nabiorą podejrzeń. - To znaczy umarła dla nas.

210

- Jak to? Przestań tak mówić.

- Postanowiła wyjechać. Widziałeś, jak ostatnio dziwnie się zachowywała.

Postanowiła więc uciec rzeką na pniu drzewa, żeby poszukać białych ludzi, którzy pomogliby nam uciec. W każdym razie jej nie ma.

- Wyjechała? I Klaus razem z nią?
- Nie, Klaus został.
- Ale dlaczego wyjechała?
- Przecież ci mówię! Trochę jej odbiło i wymyśliła, że znajdzie białych.

Odpłynęła na pniu drzewa.

- A znajdzie?

Zadawał, jak to on, bzdurne pytania, ale serce mi się ścisnęło i niemal pożałowałem swoich słów.

- Czy to wiadomo? Może szczęście jej dopisze, a może nie.

Łgałem bratu, wmawiając mu wyssane z palca historie obliczone na kpinę z jego dziecinnej mentalności. Nie poradziłby sobie ze świadomością, że mamę pożarły ryby z ostrymi jak brzytwa zębami, dlatego zaserwowałem mu kłamstwo, które mógł przełknąć, tak samo jak Wentzler musiał wymyślać bajeczki na użytek Yayomich, żeby ich zadowolić. Tak sobie mówiłem w duchu, ale może moje wyjaśnienie było jedynie kolejnym kłamstwem, którym usiłowałem oszukać siebie. Nie chciałem więcej o tym myśleć. Ruszyłem w swoją stronę.

- Kiedy mama wróci? - zawołał Zeppi za mną.
- Skąd mam wiedzieć? - rzuciłem przez ramię.
- Pożegnała się?
- A jak sądzisz? - krzyknąłem i ruszyłem dalej. Dzień miał się ku zachodowi, słońce chyliło się ku wierzchołkom drzew. Według wszelkich norm przeżyłem najgorszy dzień w życiu, a mimo wszystko jakoś się trzymałem, chociaż mógłbym położyć się w hamaku i płakać. Dawny Erich by temu nie podołał, lecz dawny umarł tak samo jak mama. Nowy maszerował ku przyszłości, krok za krokiem, nie oglądając się na nic, pełen obaw, planów i myśli, świadom, że w każdej chwili ziemia może go pochłonąć i obrócić w perzynę wszystkie jego plany oraz myśli. Nowy Erich nie przejmował się tak, jak powinien, a, co ciekawsze, wcale się temu nie dziwił.

W oddali zobaczyłem Awomay idącą ku mnie z shabono. Stała na ścieżce, czekając, aż podejść. Nie potrafiłem nic wyczytać z jej twarzy. Może chciała mnie przeprosić, że nie zajmowała się mną, kiedy leżałem nieprzytomny, a pozostawiła opiekę Klausowi i Went-zlerowi. Wcale mnie to nie obchodziło. Znalazłszy się bliżej, wziąłem ją za rękę, sprowadziłem ze ścieżki w głąb dżungli. W gęstwinie stanąłem, przygiąłem ramiona swojej żony do przodu, aż schyliła się, i tak ją posiadałem. Kiedy skończyliśmy, miała taką samą minę jak przedtem, ja zaś zrozumiałem, że ostatnie pięć minut niczego nie zmieniło. Nie wiem, dlaczego sądziłem, że pieprzenie się cokolwiek załatwi, ale i to mnie specjalnie nie obchodziło.

»

Po kolacji poszedłem do Wentzlera i Klause. Nie darzyli się sympatią, nic jednak dziwnego, że ciągnęli do siebie jako jedyni biali mężczyźni wśród ciemnoskórych. Klaus skarżył się na brak papierosów, a chociaż marzył o nikotynie, nie chciał tknąć miejscowego tytoniu. Yayomi nie palili tytoniu, lecz wkładali go sobie pod dolną wargę i trzymali przez jakiś czas w ustach. Kiedy tytoń zmieszał się ze śliną, strzykali nim na ziemię. Większość mężczyzn i starszych chłopców ssała prymki tytoniowe według życzenia. Czasem żuły je również kobiety. Cieszyłem się, że Awomay nie ciągnęło do tego nałogu tak jak jej ojca. Noroni wiecznie się ślinił i odpluwał. Brzydziło mnie to niepomieranie.

Klaus marudził, jak to po roku czterdziestym trzecim nie mógł nigdzie dostać swoich ulubionych papierosów Bałkan Sobranie. Wentzler i ja mieliśmy dosyć wysłuchiwania tych bzdur w dniu śmierci jego żony. Temat wydał się nam dalece niestosowny po tragicznej śmierci mamy, dlatego postanowiłem przerwać jego gładzenie pytaniem, które zadał mi Wentzler.

- Klaus! — krzyknąłem ostro. Zdumiał go mój ton głosu. — Powiedz wreszcie, czym tak naprawdę zawinili Żydzi?
- Jak to? Wyrządzili wiele zła.
- Ale co dokładnie? Tylko nie wyjeżdżaj z rewelacją, że zabili Chrystusa. Bo Jezus też był Żydem.

- Przyznaję, że starodawne argumenty przeciwko nim nie mają większego znaczenia. Jednakże współcześni Żydzi budzą nie mniejszą odrazę.

- Niby dlaczego? - spytał Wentzler.

- Nie wiesz? - Klaus zrobił zdziwioną minę, po czym powiedział: - Rozumiem, tyle lat żyjesz tutaj, w odosobnieniu.

- Moi znajomi Żydzi - oznajmił Wentzler - wcale nie wydawali się tak źli. Czym się różnili od innych? Obrzezanym członkiem? Ty i Erich też takie macie. Musi być coś jeszcze.

Klaus pokręcił głową na naszą ignorancję.

- Mówicie jak dzieci - powiedział. - W takim razie, kochani uczniowie, słuchajcie uważnie. Należy odciąć wszystkich Żydów grubą kreską, wybić ich do nogi. Dopiero wtedy odetchniemy świeżym powietrzem. — Urwał, stracił rezon. - Naród wybrany - prychnął. - Też coś! Przez lata wojny zewsząd płynęła rzeka, wprost lawina Żydów, których wysyłaliśmy w przestwór. Bóg mi świadkiem, że nie było łatwo ich się w ten sposób pozbyć, ubolewam też, że nigdy nie dokończono tego wielkiego dzieła, ale wielu, dalibóg, wysiedliliśmy, niezliczone zastępy, całe rodziny, dzielnice, wioski i miasteczka, cały świat Żydów, którzy maszerowali ze swoim żalonym dobytkiem, armię tobołków.

Urwał, wyraźnie napawając się tym wspomnieniem.

- Kiedy wysypywali się z wagonów kolejowych, przypominali osłupiałe bydło. Tylko mrugali tępo oczami i wykonywali rozkazy. Jedni na lewo, drudzy na prawo, tędy żywi, tamtędy umarli, a tam dalej przeznaczeni na śmierć. Na końcu szły istne strachy na wróble, żywe trupy. Całkiem bezużyteczne istoty, bardziej cienie niż ludzie. A jednak dostarczali nam pracy, bo zmuszali, byśmy wzięli ich na łopatę i cisnęli w wielką czeluść, gdzie pochłaniał ich ogień, czyszcząc ich egzystencję do ostatniego brudnego atomu. Mówiłem ci, że trzy piece pracowały u nas okrągłą dobę? Nazywaliśmy je Szadrach, Mészach i Abed-Nego, lecz wierz mi, pan Bóg nie ocalił ani jednego Izraelity z tych rozpalonych pieców ognistych.

Spojrzałem na Wentzlera, który patrzył w płomień naszego ogniska. Nie sądziłem

nawet, że słucha, dopóki nie zapytał Klause:

213

- Aż tylu? Nie przesadzasz?

- Drogi Wentzlerze, trudno o przesadę wobec tego, co się stało. Trzeba by pióra Dantego, żeby opisać piekło, jakie im zgotowaliśmy, mielące bez przerwy tryby maszyny zagłady. Zupełnie jakby ktoś chciał packą wytłuc muchy rojące się w pokoju, walił na oślep to tu, to tam, dopóki zdjęty rozpaczą nie stworzyłby planu, doskonałego planu, który pozwoli metodycznie i tanio wymordować wszystkie przy minimum kłopotu. Wystarczy podpalić pokój, prawda? Tyle że potem trzeba dokądś uprzętać popiół. Wierz mi, że nie tak łatwo dokonać tak wielkiego dzieła.

- Brałeś udział w tej rzezi?

- Jak najbardziej. Uważałem to za swój obowiązek Niemca i narodowego socjalisty.

- Chyba składana przysięga lekarska, że nikogo nie skrzywdzisz, nie pozwoliła ci wziąć udziału w tym morderczym przedsięwzięciu?

- A jakąż to krzywdą zabijać Żydów? Prawdziwa krzywdą to pozostawiać ich przy życiu. Zbyt długo stanowili uporczywą plagę na naszym globie. Führer miał odwagę pokrzyżować im plany, ukrócić machinacje giełdowe i wszelkie oszukańcze praktyki, w których się wyspecjalizowali. Ściągnął im cugle, chociaż pozostały ich jeszcze nieprzebrane tłumy. Zważcie moje słowa, jeszcze przez pokolenie albo dwa będą się z tego otrząsać, planując powrót na uprzednie wpływowe pozycje, ale, panowie, my również.

Głos brzmiał mu teraz całkiem inaczej, drżał z podniecenia.

- W Argentynie mieszkają ludzie, szlachetni ludzie, którzy z najwyższą w moim mniemaniu powagą szykują się do stworzenia Czwartej Rzeszy. Chociaż na razie żyjemy w rozproszeniu i jesteśmy ścigani, każdy zna kogoś, kto zna kogoś, i tak rozprzestrzenia się rozległa sieć kontaktów, czekając stosownej chwili. Gdy nadejdzie ten dzień, wyzwoli nas z otaczających ciemności i już nigdy nie damy się zepchnąć do cienia. Erichu, być może twoje pokolenie przywróci wielkość aryjskiemu światu. Początek był pełen chwały, lecz dzieło nie zostało dokończzone. Podejmiesz takie

wyzwanie? Ożeniłem się z twoją matką, żeby wziąć cię pod skrzydła. Jeszcze ci tego nie mó-

214

wiłem, ale wiedz, że zawsze podziwiałem twojego ducha i inteligencję, wrodzone aryjskie cechy, jakże u ciebie niewymuszone.

Twarz mu promieniała.

- Pomyśl Erichu, a na pewno dojdiesz do tego samego wniosku, że twoim przeznaczeniem jest podjąć wielką walkę przeciwko Żydom. Boisz się zbyt wzniosłych słów? Nie sądzę. Świat dojrzał do ciebie, chłopcze. Masz idealne rekomendacje. Ojca bohatera, którego Fiihrer osobiście odznaczył, matkę, która zginęła w tragicznych okolicznościach, stryja, który wniósł ogromny wkład w szczytne dzieło eksterminacji. Nosisz na szyi Krzyż Żelazny niczym amulet, świętą relikwię z wojny przeciwko Semitom. Możesz sobie wziąć cały mundur, gdybyś tylko zechciał go nosić. Będzie pasował na ciebie jak ulał!

- Klaus, czy jako człowiek powołany do leczenia ludzi - wtrącił Wentzler - kiedykolwiek udzieliłeś pomocy medycznej jakiemukolwiek Żydowi? Nie mam zamiaru cię zawstydząć, pytam jedynie z ciekawości.

- Przyjmuję to pytanie zgodnie z jego intencją. Owszem, wielu Żydom pozostającym pod moją opieką w obozie udzielałem pomocy medycznej. Pamiętam jednego kościotrupa wyróżniającego się nawet w tym towarzystwie kościotrupów. Miał raka kości ręki, który straszliwie mu ją wykrzywił. Dałem mu nową rękę. Nie przesłyszałeś się, nową rękę. Nie doczekałem się, oczywiście, słowa podzięk.

- Nową rękę? Niemożliwe! Chyba że podczas mojej nieobecności chirurgia poczyniła aż takie postępy.

- Ściśle rzecz biorąc, Gerhardzie, to ja skorzystałem z danej mi szansy i poczyniłem olbrzymie postępy. Amputowałem pacjentowi chorą rękę i od razu przyszyłem mu do kikuta zdrową. Operacja była niezwykle skomplikowana, bo wymagała przyszycia wszystkich zakończeń nerwowych i naczyń krwionośnych, ale po przeszło siedmiu godzinach zakończyła się powodzeniem. O ile mi wiadomo, nikt przedtem ani potem nie dokonał czegoś podobnego.

- Przeszczep się przyjął? - spytałem.
- Najpierw tak. Bo po jakimś czasie ręka zaczęła gnić. Przeszczep wymagał nader precyzyjnych zabiegów, których nie dało się

215

wykonać przy użyciu obecnych narzędzi i procedur, ale mam nadzieję na powodzenie tego rodzaju operacji w przyszłości. W tak nowej dziedzinie nie wolno poprzestawać na pionierskich osiągnięciach.

- Czy zdrowa ręka, którą przyszyłeś w miejsce chorej, również należała do Żyda? - spytał Wentzler.
- Jakżeby inaczej? Zajmowałem się tylko i wyłącznie Żydami.
- Należała do nieboszczyka?
- Na cóż by mi się zdała ręka zmarłego? Pochodziła od żywego Żyda, względnie zdrowego osobnika. Aby operacja się udała, musiałem dać pacjentowi wszelkie szanse i świeżą rękę, że się tak wyrażę.

Nawet w nikłym blasku ogniska widziałem entuzjazm na jego twarzy, płomień w oczach. Wyraźnie czekał na gratulacje, podziękowanie za rozpoczęcie wielkiej zagłady, zobowiązanie, że będę kontynuował jego szczytne dzieło. Oniemiałem. Wybałuszyłem tylko oczy. Tymczasem Klaus stał jak posąg, uosobienie wielkości i szlachetności, niczym piękny mężczyzna z brązu, z oczyma utkwionymi w odległy horyzont, wypatrujący przyszłych wyzwań. W środku jednak posąg jest pusty, a w jego ciemnych czeluściach czaił się straszliwy stwór, żądny krwi robak, który jej łaknie, bo bez niej by zginął. Trawił go od środka tłusty, obrzydliwy robak.

- Rozpoczęliśmy generalną czystkę modelu genetycznego Europy - ciągnął swój wywód - która wymagała pozbycia się upośledzonych umysłowo, a także kalek fizycznych. Bo jakie mogliby spłodzić dzieci? Znacznie lepiej pozbyć się takich wynaturzonych osobników, żeby uniknąć ich dalszego rozmnażania lub choćby po to, żeby poprawić własne otoczenie, nie uważasz? Czy idąc ulicą, byłoby ci miło natknąć się na tak groteskowy widok? Nie! Czułbyś się zakłopotany, tak jak zwykle reagujemy na ułomność fizyczną.

- A ludzie z odstającymi wielkimi uszami? — spytał Wentzler. - Albo po prostu

brzydcy bądź śmieszni z wyglądu?

- Odpowiedzią dla tych nieszczęśników jest chirurgia korekcyjna. Dozwolone jest wszystko, co skalpel może poprawić. Uważałem wręcz, że do obowiązków państwa należy pomoc takim ludziom w zakresie darmowych usług medycznych. Opowiedziałem wam, jak nie szczędziłem starań, żeby pomóc mężczyźnie z chorą ręką. Jeżeli

216

pacjenta można wyleczyć, niech pozostanie przy życiu. Tak brzmi najkrócej moja odpowiedź. Oczywiście pod warunkiem, że nie jest upośledzony na umyśle.

- A ludzie ze zrosniętymi palcami rąk?

- Nawet dzisiaj można to zoperować. Medycyna poczyniła ogromne postępy, korygując drobne błędy natury za pomocą skalpela. Można manipulować ludzkim ciałem, nie da się natomiast ludzką naturą, stąd konieczność pozbycia się Żydów.

- A ludzie ze szpotawymi nogami?

- Doskonała ilustracja mojego wywodu. Takie ułomności da się naprawić. Sam Reichsminister Goebbels miał taką przypadłość.

- A ludzie, którzy się rodzą z nadmierną liczbą palców rąk lub nóg?

- Wystarczy je usunąć, najlepiej zaraz po urodzeniu.

- A ludzie z dwiema głowami?

- Nie kpij sobie. Takich cudaków trzeba pozbywać się natychmiast.

- A... Zeppi?

Nastąpiło długie milczenie. Wreszcie Klaus roześmiał się, świszcząc jak pęknięta piłka futbolowa.

- No tak, nasz mały złotowłosy Zeppi. Pewno chciałbyś usłyszeć, że i jego powinno się usunąć. Nic z tych rzeczy! Uważam, oczywiście, że Zeppiemu należy pomóc, aby stał się jednym albo drugim. Mężczyzną albo kobietą. Nie jest to niemożliwe. Już podejmowano takie próby, aczkolwiek, ma się rozumieć, nieliczne. Ernst Muller w Berlinie przeprowadzał takie eksperymenty, prawdziwy geniusz, chluba Rzeszy. Niestety, o ile mi wiadomo, jego wysiłki przerwała wojna.

- Chcesz powiedzieć, że na razie nie ma dla Zeppiego ratunku?

- W tej chwili chyba nie.
- A w przyszłości, kiedy rozwój medycyny umożliwi bardziej skomplikowane zabiegi?
- Może kiedyś. Do tego czasu lepiej byłoby usuwać takich ludzi, kłaść kres ich cierpieniu. Życie niegodne życia powinno zniknąć. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

217

- Rozumiem.
- Niczego nie rozumiesz. Niewykluczone, Gerhardzie, że uniknąwszy całkowicie wojny, nie zyskałeś odpowiedniej perspektywy, żeby snuć takie rozważania. Pragnąc zmieniać świat, przyjacielu, człowiek musi się w nim pogрузić po uszy, a nie objąć się i opychać bananami jak szympan, roztrząsając odległą perspektywę, że pewnego pięknego dnia napisze się książkę o bananożercach.
- Rozumiem, że masz na myśli plantany. Bo to niezupełnie to samo. Tak ścisły umysł jak twój powinien wychwytywać różnice.
- Mój umysł zapewne odnotowuje wiele rzeczy, które najwyraźniej umykają tobie. - Klaus wstał. - Dobranoc.
- Ciekawy człowiek - powiedział Wentzler, odprowadzając wzrokiem Klause idącego przez shabono do swojego hamaka. - A ty jesteś jego bratankiem - powiedział do mnie.
- Nie prosiłem się o te więzy pokrewieństwa - wypaliłem.
- Nikt się o nic nie prosi. Po prostu jesteśmy... kim jesteśmy.

Nie bardzo zrozumiałem sens tych słów, ale uznałem, że lepiej je przemilczeć. Wentzler jeszcze chwilę patrzył w ognisko, powiedział mi dobranoc i odszedł. Podszedłem do hamaka Zeppiego. Spał już z Mitzi w objęciach, która również spała, wtuliwszy owłosioną główkę w piersi Zeppiego. Nie dopatrzyłem się w tym niczego nienaturalnego. Mnie się ten obrazek wydał całkiem normalny. Następnego dnia postanowiłem zagrać Klausowi na nosie. Chciał, żebym kiedyś został politykiem, a ja nie chciałem. Uznałem, że najlepiej zademonstruję swoją niechęć tatuażem. Czy bowiem człowiek z wytatuowaną twarzą mógłby ubiegać się o

urząd polityka? Nie ma mowy! Poszedłem więc do Noroniego, wskazałem swoją brodę, a potem tatuaże na jego policzkach. Zrozumiał.

Niedługo potem już leżałem w cieniu, a Noroni szykował niezbędne przybory, czyli miskę wody, dwa patyki, jeden z ostrym kolcem na końcu sterzącym pod kątem prostym oraz niewielki stos węgla z ogniska z poprzedniego dnia. Wziął patyk z kolcem, przystawił mi do brody i uderzył drugim. Kolec wbił mi się w ciało, aż podskoczyłem. Noroni uśmiechnął się i powiedział coś, co chyba znaczyło,

218

że jeszcze nie zaczęliśmy, żebym więc nie przesadzał z okazywaniem bólu.

Wbił patyk ponownie, a po chwili szybko wpadł w rytm podobny do gry na kastanietach - pukpukpukpukpuk — a kolec tańczył mi dosłownie po całej brodzie jak oszalały, żądliwy owad. Krew spływała mi do gardła, cała broda paliła z bólu. Od czasu do czasu Noroni przerywał i zmywał krew wodą. Po pewnym czasie ból tak się nasilił, że przestałem go czuć, co może zakrawa na paradoks, ale to prawda. Wyobraziłem sobie stwora, który wpił mi się w brodę i jej uwiesił.

Wiedziałem, że nie mogę drgnąć, bo wgryzie się głębiej.

Noroni znów mnie przemył, a potem przyłożył papkę z pyłu węglowego z wodą, rozprowadzając go powoli i ostrożnie giętkim patyczkiem, którego czubek zastrugał niczym piórko do kaligrafii. Nie znałem się na tatuażu, ale podejrzewałem, że węgiel przenika mi pod skórę dziurkami nakłutymi przez kolec. Nie wiedziałem, jaki tworzy deseń, ale wierzyłem, że się przyłoży tak samo jak wtedy, kiedy mnie pomalował.

Wszyscy Yayomi mieli wzory według swoich upodobań, ciekawe linie, zygzaki i esy-floresy, dlatego uważałem ich tatuaż za dyscyplinę sztuki. Wiedziała, że mój tatuaż zbrzydziłby mamę jeszcze bardziej niż Klause, co uświadomiło mi jeszcze dobitniej fakt jej śmierci. Chciałem przestać o niej myśleć, dlatego pozwoliłem zwierzęciu wczepionego w moją brodę wbić się jeszcze mocniej, żebym poczuł ból.

Trwało to pół dnia, wreszcie jednak Noroni skończył. Chciałem poprosić Klause o lusterko, ale nie było go w pobliżu, poszedłem więc do Wentzlera, żeby opisał mi, co widzi na mojej brodzie.

- Wielki czerwono-czarny, świeży strup — powiedział.

- A pod spodem?
- Nie widzę. Musisz poczekać, aż strup zagoi się i odpadnie.
- Przecież to potrwa ładnych kilka dni.
- Zapewne. Uważasz, że to był dobry pomysł? I nie żałujesz teraz?
- Nie. Może ty też byś się wytatuował?

219

- Muszę przyznać, że czasem mnie kusi. Yayomi nie opanowali tak tego kunsztu jak Japończycy, ale przyznaję, że proste tatuaże wykonują po mistrzowsku.
- No to zdecyduj się. Wyjeżdżając stąd, zabierzesz ze sobą część Yayomich.
- To nie dla mnie. Jestem zanadto konserwatywny.
- Zafunduj sobie tatuaż na piersiach albo na plecach. Nie musi przecież być w widocznym miejscu.
- Zastanowię się. Czy to boli?
- Przyzwyczaiłbyś się.
- Dlaczego się tak nagle zdecydowałeś?
- Sam nie wiem. Pod wpływem impulsu. Od razu inaczej się czuję.

Popatrzył na strup na mojej brodzie, potem spojrział mi w oczy.

- Czy te opowieści Klausa nie napawają cię grozą?
- Oczywiście, że nie. Nie boję się jego słów.
- A, pomijając te jego wywody, co o nim sądzisz?
- Nic.

Chyba mi nie uwierzył.

- Pamiętasz, żeby nie zbliżać się do rzeki z krwawiącą brodą?
- Nie jestem głupi.
- To dobrze. Masz plany na resztę dnia?
- Nie.
- Chciałbyś wybrać się z Isiwayem i ze mną na wyprawę?
- W jakim celu?
- Idziemy zbierać korę drzewną o wyjątkowych właściwościach.
- A dokładniej?

- Wyjaśnię ci po drodze.

Najwyraźniej chciał, żebym z nim poszedł. Zgodziłem się, chociaż najchętniej zabrałbym Awomay do dżungli i posiadał ją tyle razy, ile byłoby trzeba, żeby ustąpił ból w mojej brodzie.

Ruszyliśmy, Isiway przodem. Niósł maczetę, którą obciął uszy swojej żonie, mimo to wcale nie wyglądał groźnie. Po drodze gawędził z Wentzlerem, również o mnie.

220

- Isiway mówi, że wyglądasz, jakbyś zjadł wielką, tłustą pijawę, która pękła ci potem w ustach. Jego zdaniem wyglądasz tak okropnie, że żona nie dopuści cię do siebie.

- Podziękuj mu za te słowa. I powiedz, że jego żona wygląda okropnie bez uszu. Wentzler powtórzył to Isiwayowi, który roześmiał się w głos.

- Jego to rozbawiło? - zapytałem.

- Powtórzyłem mu, że chcesz opowiedzieć delfinowy dowcip. Dlaczego kurczak przeszedł przez jezdnię? Tylko zmieniłem wersję. Dlaczego mrówkojad przepłynął rzekę? Rozbawiła go odpowiedź: -Żeby przepawić się na drugi brzeg. Zobaczysz, teraz będzie wszystkim opowiadał.

Isiway powtarzał sobie dowcip na głos i za każdym razem się zaśmiewał. Kiedy oddaliliśmy się od rzeki, w końcu przestał. Ogarnął mnie smutek, że Wentzler musi opowiadać w moim imieniu takie kiepskie dowcipy. Kwaytcha, Noroni i Awomay powinni być mi teraz najbliżsi, ale nie mogłem się z nimi porozumieć, a nie warto mi było uczyć się ich języka, skoro planowaliśmy rychły wyjazd. Dudniły mi w głowie słowa Klause, że nie zaprzyjaźniłem się z żadnym Yayomim nie ze względu na nieznajomość języka, lecz rozdźwięk rasowy. Uważałem, że się myli, ale zacząłem zadrećcać się wyrzutami sumienia wobec Awomay.

Była moją żoną, co więc zamierzałem w związku z wyjazdem? Kiedy brałem z nią ślub, w ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu chciałem ją mieć, a teraz rozważałem wyjazd bez niej. Gryzło mnie sumienie. Wentzler, który miał wyrobioną moralność, nie skrytykował mnie, chociaż nie sądzę, że pochwalał mój krok. Może uważał, że żonę Indiankę można zostawić. Z całą pewnością tak uważał Klaus.

Maszerowaliśmy długo, aż Isiway stanął i wskazał drzewo. Nie było wysokie i dla mnie niczym nie różniło się od innych, ale on najwyraźniej wiedział, czego szuka. Zaczął rąbać maczetą smukły pień. Nie oczekiwał pomocy od Wentzlera ani ode mnie, usiedliśmy więc i patrzyliśmy, jak pracuje. Przerwał tylko na chwilę, żeby powtórzyć

221

sobie pod nosem dowcip o mrówkojadzie i się roześmiał. Dowcip był tak głupi, że Wentzler i ja też się roześmialiśmy.

- Herr Wentzler, mam pytanie.
- Może czas, żebyś zaczął mi mówić po imieniu?
- Jak sobie życzysz. Nurtuje mnie pytanie, Gerhardzie, co zrobić z Awomay.
- Erichu, gdybym był w twoim wieku i miał taką ładną żonę, nie zadawałbym tego rodzaju pytań.
- Mnie chodzi o wyjazd stąd. Mam ją poprosić, żeby pojechała ze mną?
- Po pierwsze, tutaj mężowie nie proszą żon, lecz im rozkazują. Dlatego Awomay wielce by się zdziwiła, gdybyś pozostawił jej wybór. Po wtóre, jeżeli zdradzisz swoje plany, nie powstrzyma się i wypapla. Yayomi na ogół nie mają żadnych sekretów, a już z pewnością nie mają ich kobiety. Po trzecie, ponieważ nie znasz ich języka, musiałbym tłumaczyć, a szczerze ci powiem, że odmawiam. Będziesz musiał zakończyć małżeństwo, jak gdyby go nigdy nie było. Musimy do ostatniej chwili zachować nasz plan w tajemnicy, bo się nie uda. Wyczerpująco ci odpowiedziałem?
- Aż nadto.
- Nie smuć się tak. Po twoim wyjeździe Awomay zostanie dla kogoś świetną partią, nawet gdyby zaszła wcześniej w ciążę. Zwykle mężczyźni nie interesują się wychowywaniem cudzych dzieci, ale nie zapominajmy, że to będzie półdelfinem. Bądź pewien, że Awomay zyska teraz w shabono wysoką pozycję.
- A jeżeli zaczną nas ścigać?
- Jeżeli wymkniemy się niepostrzeżenie, nie sędzę, że grozi nam pogoń. Yayomi zapewne wymyślą jakąś bajkę na temat naszego zniknięcia, na przykład że delfiny

wróciły do swojego świata, kiedy wody się podniosły, bo nie znalazły tu na tyle dużo suchego lądu, aby dobrze się czuć. Awomay posmuci się i przestanie. Tak musi być, Erichu.

Mówił przekonująco, dlatego postanowiłem nie zaprzętać sobie więcej głowy tą myślą. Isiway machnął jeszcze kilka razy maczetą i drzewo runęło. Nawet nie odetchnął, lecz od razu rozplątał pień z góry na dół i zaczął go korować.

222

- Teraz możemy mu pomóc - rzeki Gerhard. Wstaliśmy. Zdzieranie kory nie było trudne, bo pod zewnętrzną warstwą kryła się druga, która w ogóle nie przypominała kory. Żółtawa, śliska w dotyku, odchodziła bez problemu. Wkrótce pień leżał przed nami nagi jak bociana noga, a dwie warstwy kory były rozdzielone. Podnieśliśmy śliski, dwukilogramowy płat i włożyliśmy do plecionej torby niesionej przez Isiwaya. Ruszyliśmy w drogę powrotną.

Do shabono dotarliśmy w południe. Isiway zaczął przygotowywać gąbczastą korę, ubijając ją kijem na gruby klej. Do miazgi dodał jeszcze jakiś zielony składnik, według Gerharda rozgniecione nasiona z innego drzewa i ubił jeszcze bardziej, co chwila popluwając. Następnie wyłożył miazgę na płaski kamień przy największym ognisku, gdzie po ogrzaniu zaczęła intensywnie parować. Kiedy przestała, na kamieniu została gumowata masa, którą Isiway zebrał niczym ciasto na chleb i rozwałkował na tym samym gorącym kamieniu, ugniatając co jakiś czas dłonią. Zadowolił się dopiero pod wieczór, kiedy odłożył na bok małą zieloną cegłę, która wydawała się sucha i nie przypominała pierwotnej kory.

Gerhard jeszcze mi nie wyjaśnił, po co te wszystkie zabiegi.

- W stosownej chwili sam zobaczysz — mówił tylko.

Straciłem cierpliwość i poszedłem odszukać Awomay, która spędzała czas z kobietami. Na mój widok niektóre z nich zaczęły chichotać, trącać się łokciami i wytykać mnie placami przed Awomay. Kiedy moja żona odwróciła się i spojrzała na mnie, bez pomocy Gerharda zrozumiałem, że mówią coś w rodzaju: „Znów tu idzie. Nie może się powstrzymać, żeby cię nie obłapiać, co?”

Poczułem się jak idiota, dlatego minąłem je, w ogóle nie zważając na Awomay. Jeżeli

mam ją tu zostawić, muszę zacząć panować nad swoim pożądaniem, w przeciwnym razie za bardzo będę potem tęsknił. Trudno mi jednak odsunąć myśli o jej ciele i o tym, jak cudownie jest w nią wchodzić. Wyjazd bynajmniej nie zapowiadał się łatwo. Opuściłem shabono i poszedłem nad rzekę, gdzie zginęła mama. Latało tam mnóstwo różnobarwnych ważek. Zauważyłem coś, co umknęło mi wtedy, gdy przyglądałem się mamie. Woda stała tam właściwie w miejscu, prawie bez jednej zmarszczki, niczym w martwej

223

odnodze, w przeciwieństwie do głównego, głębokiego nurtu rzeki rwącego energicznie naprzód. Gdyby mama kąpała się tam, gdzie wszyscy, gdzie prąd był dość wartki, być może woda zaraz porwałaby ciekącą z niej krew i piranie nigdy by jej nie zwietrzyły, a w każdym razie nie zwąchałyby źródła. Mamy potrzeba odosobnienia ściągnęła na nią śmierć. Usiadłem na brzegu, zapatrzony w wodę i ważki śmigające tuż nad powierzchnią.

Twardy strup na brodzie nadal mnie swędział i piekł. Musiałem się powstrzymywać, żeby go nie dotykać. Godziny wlokły mi się niemiłosiernie, a ja frustrowałem się tak samotnie do zachodu słońca, bo potem wróciłem do shabono.

Kiedy wszedłem przez otwór w ścianie, dojrzałem Gerharda, który zauważył mnie w tej samej chwili i przywołał gestem. Siedział z Klausem. Obaj patrzyli, jak Isiway z drugim mężczyzną ścierają zieloną cegłę na proch. Trąc ją w palcach, uzyskiwali pył, który następnie zmielili między dwoma kamieniami na konsystencję drobniejszą od piasku. O nic nie pytałem, tylko patrzyłem wraz z innymi, bo gdybym zapytał, usłyszałbym znów od Gerharda, że zobaczę w stosownym czasie.

Zapadł już zmrok, kiedy Isiway uważnie zebrał zielony proszek co do okrucha i wysypał do mieszka, podobnego do tych, które Yayomi nosili na zatrute strzały. Wydawało mi się, że odgadłem, czemu ten proszek ma służyć, zapytałem więc Gerharda:

- To ich trucizna, prawda?

Pokręcił głową, uśmiechnął się.

- Zobaczysz. Jutro się dowiesz, po co to wszystko.

Zirytowany jego tajemniczością, poszedłem na hamak i bujałem się na nim gniewnie, odpychając nogą od ziemi. Podszedł Zeppi z małpką i spytał, jak daleko mama zdążyła odpłynąć. Powiedziałem mu, że nie wiem. Odszedł, ale zaraz zbliżyła się Awomay i położyła obok mnie w hamaku. Kiedy poczułem jej ciało na całej długości przy moim, stwardniałem, choć wcale nie miałem na to ochoty, w każdym razie nie na oczach tabunów osób, chociaż wokół ognisk było dużo cienia. Awomay, zauważywszy mojego ptaka objijającego jej się o udo, chwyciła go i ścisnęła, a ja omal nie zemdlałem z przyjemności.

224

Następnie zaczęła go ciągnąć, łagodnie i mniej łagodnie na przemian. Co jakiś czas szarpała tak mocno, że wydawałem jęk, a wtedy parskała śmiechem, bo lubiła się ze mną droczyć. Nie pociągała wystarczająco rytmicznie, żebym doszedł, zresztą honor nie pozwalał mi się zająć sobą, skoro leżałem u jej boku, dlatego spuściłem nogi z hamaka, odwróciłem się do niej plecami i czekałem, aż pal sterczący mi z brzucha opadnie. Awomay zaczęła głaskać mnie po plecach, ale tylko mnie tym zdenerwowała, uciekłem więc spod jej ręki. Syknęła w złości, uderzyła mnie między łopatkami i zeskoczyła z hamaka.

Nawet nie popatrzyłem za nią. Uzmysłowiłem sobie, że gdy niebawem odwrócę się od niej, już nigdy więcej jej nie zobaczę. Zebrało mi się na płacz. Nie płakałem od śmierci mamy, aż tu nagle zacząłem uzalać się nad sobą tylko dlatego, że piekła mnie broda, Gerhard nie chciał udzielić jasnej odpowiedzi, a moja podpuszczalska żona niedługo raz na zawsze zniknie z mojego życia. Zawstydzilem się, potem rozzłościłem, kiedy więc podszedł do mnie Zeppi, żeby mi zadać kolejne głupie pytanie, powiedziałem, żeby się odchrzaniał, bo chwycę jego małpkę i oderwę jej łeb. Zasłonił głowę swojej ukochanej Mitzi i odciął się, że wtedy on by mi urwał łeb. Roześmiałem się i od razu poczułem się lepiej, ale nie odzywałem się już do nikogo do wieczora, kiedy wszyscy poszli spać. Mało brakowało, a zacząłbym się modlić, żeby nawiązać cichą rozmowę z kimś, kto mnie zrozumie. Nie mogłem jednak, bo nie wierzyłem w Boga. Osamotniony, w końcu zasnąłem wśród dziesiątków oddechów śpiących wokół mnie.

Rozdział 10

Rano wszyscy mężczyźni zaczęli malować się na czarno i czerwono. Kwaytcha, skończywszy malować mnie, uparł się, żebym teraz ja pomalował jego. Zaczęłam go więc malować palcami, żeby nanieść szerokie pasma koloru i zastruganym patyczkiem, kiedy chciałem wykonać finezyjne szczegóły. Dokładałem starań, aby deseń na plecach Kwaytchy jak najbardziej przypominał tradycyjne desenie Yayomich w obawie, że mógłbym go nie zadowolić, ale na obrzeżach czarnych pól dodałem esy na wzór ornamentów, które podziwiałem w szkole, kiedy uczyliśmy się o starożytnej Grecji.

Kwaytcha, wielce zadowolony, biegał po shabono, chwając się wszystkim dookoła. Ja natomiast zachodziłem w głowę, czy to nie oznacza początku wojny. Struchlałem, bo chociaż czułem wdzięczność wobec Yayomich za udzielenie mi gościny, to nie chciałem zabijać w ich imieniu. Nie wiedziałem nawet, czy byłbym do tego zdolny. Poszedłem do Gerharda i spytałem:

- Wyjaśnij mi, co się dzieje. Dlaczego wszyscy jesteśmy pomalowani?
- Ja nie jestem - powiedział z miną wyższości. - Klaus też nie jest.
- A reszta? Chyba nie planujemy napaści na inne shabono, co?
- Gdyby planowali atak, głaskaliby broń i do niej przemawiali, a także podskakiwali z podniecenia. Szykuje się całkiem inny obrzęd.
- Wiąże się jakoś z zielonym proszkiem?
- Zgadłeś. Zaraz się sam przekonasz.

226

Niektórzy mężczyźni nie poprzestawali na malunkach na ciele, lecz zatykali sobie jeszcze pióra papug oraz tukanów za opaski na rękach, całymi pękami, które wyglądały, jakby wyrosły im kolorowe skrzydła. Inni wkładali piękne pióropusze, w których wyglądali

0 metr wyżsi. Denerwowało mnie, że wciąż nie mogę się dowiedzieć, jaka nam się szykuje uroczystość. I wtedy Manokwo wyszedł na środek shabono, podniósł mieszek, do którego poprzedniego dnia wieczorem Isiway wsypał zielony proszek.

Zewsząd rozległy się krzyki, a następnie mężczyźni usiedli kołem po turecku.

Mapeway, który niegdyś odbył walkę z Isiwajem na drągi, teraz wystąpił naprzód z długą rurą przypominającą zabatanę, tyle że trzy razy krótszą. Rura z jednej strony była otwarta, z drugiej miała nasadzony strąk zwężający się w szpic, obcięty na końcu, tworzący coś w rodzaju dzióbka. Gerhard puścił do mnie oko.

Manokwozanurzyłczubekpalcawzielonymproszku,nabrałszczyp-tę, położył na otwartym końcu rury. Mapeway siedział naprzeciwko

1 patrzył wyczekująco. Manokwo podniósł rurę i podsunął Mapeway-owi koniec z dzióbkiem. Mapeway wsadził go sobie do lewej dziurki nosa. Manokwo wciągnął głęboko powietrze i dmuchnął z całej siły w rurę, aż Mapewayowi odskoczyła głowa. Wdmuchnął mu tym samym zielony proszek wprost do nosa. Wydało mi się to tyleż śmieszne, co bolesne. Następnie Mapeway wsadził sobie dzióbek do drugiej dziurki, a Manokwo, który już załadował kolejną porcję proszku, wdmuchnął mu ją ponownie do nosa.

Wówczas Mapeway upuścił rurkę i zaczął się tarzać po ziemi. Zielony śluz kapał mu z nosa na górną wargę, a tarzając się i brudząc swój nowy malunek, Mapeway jęczał i skamlał jak człowiek zwijający się z bólu.

Jego miejsce zajął inny mężczyzna, który powtórzył cały rytuał. Również na koniec upuścił rurkę, kapał zielonym śluzem, jęczał. Zapytałem Gerharda, co to za zielony proszek i dlaczego wdmuchują go sobie do nosa, skoro tak ich boli.

- Ból mija - wyjaśnił. - A warto go znieść dla przyjemności, która następuje później.

- Dla przyjemności? - Pierwsi dwaj mężczyźni, którzy szprycowali się zielonym proszkiem, pozostawali dawno poza kręgiem.

227

Ostatni jeszcze się tarzał na plecach, a pierwszy chodził na czworakach, wyraźnie bez celu. - Dla jakiej przyjemności?

- Erichu, to jest narkotyk. Nie daj się zwieść pozorom, ci ludzie świetnie się bawią, mają wizję, których ani ty, ani ja nie dostąpimy, zapewne też słyszą różne głosy.

- Czy to morfina?
- Przypomina ją tylko pod tym względem, że również jest produktem roślinnym. Nazywa się yoppo. Nie wiem na pewno, czy uzależnia, ale biorą go zawsze, gdy tylko komuś zechce się go wyprodukować.

- Spójrz na Mapewayaya!
Mapeway wspinał się na niewidoczne drzewo. Ktoś inny obok nie mógł się zdecydować, czy patrzeć w przestrzeń, czy wbić wzrok w brud między palcami nóg.

- Dlaczego oni go biorą?
- Czy to wiadomo? Może kiedy narkotyki przestanie działać, zapominają, że go brali.
- Chyba pytałeś ich ze względu na swoje badania.
- Owszem, ale nie byli zbyt wylewni. Kilku twierdziło, że odbyło rozmowy z uduchowionymi osobami, ale ich relacje były nad wyraz mgliste. Zupełnie jakby prosić pijaka, żeby przypomnieli sobie, o czym dokładnie myślał podczas ostatniej biby. Przeżycie jest nader subiektywne.

- Próbowaleś tego specyfiku osobiście?
- Raz. Ale nie przypadł mi do gustu.
- A jak na ciebie zadziałał?
- Trudno powiedzieć.

Kolejni mężczyźni pozwalali sobie wdmuchnąć yoppo do nosa, a następnie tarzali się, jak gdyby ktoś im wbił gwóźdź w czoło. Przedstawiali tak komiczny widok, że Gerhard musiał położyć mi rękę na ramieniu, żebym przestał się śmiać. Całkiem jednak nie było mi do śmiechu, kiedy Noroni wzięwszy dmuchawkę od Manokwy, wdmuchnął proszek do nosa wodzowi, bo gdy ten odszedł z zielonym śluzem ściekającym mu do buzi, Noroni wykonał gest, który mógł oznaczać tylko jedno... że nadeszła moja kolej.

- Co robić?

228

Gerhard wzruszył ramionami.

- Możesz odmówić, ale odmowa jakiegokolwiek daru uchodzi wśród Yayomich

za śmiertelną zniewagę. Yoppo zbytnio ci nie zaszkodzi, chociaż pierwsze wrażenie nie będzie miłe. Poczujesz ból pozbawiony źródła, tak bym to określił.

Wcale nie miałem ochoty brać narkotyku, ale za nic w świecie nie chciałam urazić Yayomich, dlatego kucnąłem przed Noronim i podniosłem koniec dmuchawki pokryty zielonymi gilami. Mężczyznom, którzy zażywali yoppo przede mną, zielony śluz teraz ściekał aż do pępeków. Nie mogłem uwierzyć, żeby tyle wydzieliny wypłynęło z nosa, a jednak wszędzie dookoła widziałem niezbite tego dowody. Włożyłem sobie rurkę do nosa, Noroni wziął głęboki oddech... i poczułem takie łupnięcie, jak gdyby ktoś uderzył mnie młotem między oczy. Przewróciłem się na plecy, a nad sobą zobaczyłem niebo. Ktoś podłożył mi ręce pod ramiona i podciągnął do pozycji siedzącej, po czym wsadził rurkę do drugiej dziurki. Jakiś głos wewnętrzny błagał usilnie Noroniego, żeby tego nie robił, ale on i tak wdmuchnął mi yoppo. Zatkanie mnie. Płuca mi się zapadły. Z grzbietu nosa rozpełzły się długie macki ognia, które rozlały się po zewnętrznej błonie mózgu i próbowały wtargnąć do środka. Zdołały się przebić w okolicy uszu i przeniknęły do moich najgłębszych czeluści niczym armia najeźdźców, która pragnie złupić substancję szarą i przetrząsnąć wszystkie wspomnienia nagromadzone tam od chwili narodzin.

Oto mały Erich, czyli ja, w krótkich spodenkach, z posadzoną mi na kolanie małą braciszkiem, który drze się wniebogłosy, a tata robi nam zdjęcie i zabrania się ruszać. Zresztą nawet bym nie drgnął, tak mnie zatkało. Woląłem więc zastygnąć w bezruchu, żeby nie popsuć zdjęcia. Kiedy tata odłożył aparat, podarował mi Krzyż Żelazny, który już przedtem zawiesił mi na szyi, ale wtedy nie przypisałem temu żadnego znaczenia. Wręczając mi go powiedział:

- Sam Führer trzymał go w ręce. Nigdy się z nim nie rozstawaj.

Przyrzekłem, że go zachowam. Zresztą i tak już od wielu tygodni nosiłem go na szyi.

- To dobrze - powiedział i spuścił głowę. - Wiedz, że to nie ja wysadziłem tamte rosyjskie czołgi, lecz Haeckel. Jego czołg jechał na

czele, miał więc na celowniku najlepszą zdobycz. Ja też wielu zabiłem, ale na każdego mojego zabitego Haeckel uśmierci! dwóch, może nawet trzech. To by! doprawdy dzień jego chwały. Jechaliśmy na samym przodzie i chyba chronił nas Bóg, bo ani jeden Rosjanin w nas nie trafił, a myśmy zabili blisko dwudziestu, jak gdybyśmy przewracali zabawki na dywanie w salonie, tyle że Haeckel zabił większość, zanim w końcu zginął od kuli. Poległa cała jego załoga. Potem dostałem i ja. Zginęli wszyscy oprócz mnie. Dlatego przyznałem się do lwiej większości ofiar. Nie było to kłamstwo, bo rzeczywiście zabiłem wielu, choć nie tak wielu jak Haeckel. Prowadziliśmy przyjacielską rywalizację o liczbę zabitych. Na pewno nie miałby nic przeciwko temu. Bo co nieboszczykowi po Żelaznym Krzyżu? Skłamałem dla odznaczenia, którego Fiihrer dotykał osobiście, a które teraz należy do ciebie. Zasłuż sobie na niego.

Obiecałem, że zasłużę, ale on już zniknął.

Ktoś trzymał mnie w ramionach, ale to nie był ojciec, bo on zniknął. Trzymał mnie Gerhard, który położył mnie w hamaku. Głowa, żyjąca niejako własnym życiem, opadała mi na boki. Widziałem Klause z rurką yoppo w nosie. Upadł na wznak. Chciało mi się śmiać, bo widok był tak zabawny, ale nie mogłem. Czułem, że mam mokrą brodę. Czyżby pękł mi strup po tatuażu, że znów krwawiłem? Krew ciurkała mi na pierś, ale nie pochodziła z brody. Wyciekała z nosa. Miałem koszmary krwotok z nosa, tyle że krew była zielona. I płynęła nieprzerwanie.

Tata wytarłby mi nos tak jak dawniej, kiedy byłem mały, ale zanadto był zajęty strzelaniem z panzerfausta do rosyjskich czołgów, a potem kłamanem na ten temat. Po co mi się przyznał? Wcale nie chciałem tego wszystkiego wiedzieć. Przebaczyłem mu. Będę jednak musiał zasłużyć na swój Krzyż Żelazny, żeby odpokutować jego kłamstwa. Teraz sobie przypomniałem, kiedy opowiedział mi o swojej hańbie. Spałem już kamiennym snem wieczorem po dniu, w którym dał mi na przechowanie order, a on usiadł przy moim łóżku i zwierzał mi się pod nosem. Tak byłem pogrążony we śnie, że rano też niczego nie pamiętałem. Aż do teraz. Dziwne,

pomyślałem.

Klaus odszedł na czworakach od rury yoppo. Kręcił się w kółko, a wyglądał jak nieowłosiona małpa, która szuka swojego nieistnieją-

230

cego ogona. Mężczyźni wstawali i upadali jak tancerze z baletu, których kosi z karabinu maszynowego niezadowolona publiczność. Bardzo usiłowali tańczyć, ale nie mogli, zataczali się więc tylko, opierali o drągi, a z piersi ściekał im zielony śluz, zanim dostawszy kulę, ponownie upadali. Pragnąłem powrotu taty, lecz nie wracał, wezwałem zatem mamę. Stała nade mną wielka jak ogromna różowa chmura, toteż uniosłem głowę, żeby sięgnąć do jej wielkiej różowej piersi, ale usta miałem zapchane gilami, nie mogłem więc ssać.

Mama pokręciła głową, ale uśmiechała się, czyli miałem rację. Chciałem ją spytać, czy bardzo bolało, kiedy rozszarpywały ją piranie, ale słowa nie chciały przejść mi przez gardło, zatkałe przez zielone gile. Powiedziała tylko do mnie:

- A gdzie to moje kochane maleństwo?

Pragnąłem wykrzyknąć, że tu, tu, tu, ale nie mogłem. Zamknąłem oczy i mleko strzyknęło mi do buzi, ciepłe jak krew, napęlniając mnie powoli jak balon, który rósł, rósł, aż przebrał miarę, tak że nie mogłem złapać tchu, myślałem, że pękne, i wtedy mleko strzyknęło ze mnie ciepłą strugą, a ja poczułem się lepiej i znów mogłem oddychać. Zielone mleko z drobinami zmieszanego jedzenia pociekło mi na ramię. Dlaczego miałem tak dziwnie przekrzywioną głowę? Chciałem ją naprostować, ale nie było mowy.

Nic nie mogło przywrócić jej do właściwej pozycji, bo kłębiły się w niej tysiące wspomnień, a wszystkie wyskakiwały z przeszłości jednocześnie, blokując się nawzajem niczym dwóch grubasów, którzy usiłują precyzyjnie się razem przez drzwi, potem trzech się tłoczy, potem czterech, aż wypada futryna i wszyscy wpadają do pokoju razem niczym jeden niewyobrażalnie tłusty, czterogłowy grubas z ośmioma rękami, którymi rozrywa się na kawałki, najpierw na czterech grubasów, potem na ośmiu chudzielców, a wszyscy stają się ministrem Rzeszy Goebbelsem, tym ze szpotawą nogą.

Przykuśtykał do mnie i krzyknął mi w twarz, że mój ojciec był bohaterem Rzeszy i że powinienem pójść w jego ślady, bo on już będzie wiedział, dlaczego się migam. Odparowałem, że mój ojciec był kłamcą i hańbą dla Rzeszy, bo przyjął order, na który nie zasłużył, ale minister Goebbels tylko się rozgniewał. Powiedział, że w takim razie

231

go zabiera, i zdjął mi z szyi, wykrzykując bez przerwy tym swoim skrzeczącym radiowym głosem, że nie jestem lepszy od Żydów, skoro noszę order, na który nie zasłużyłem, wręczany jedynie prawdziwym Niemcom, a on już dawno zauważył, że nie jestem prawdziwym Niemcem, lecz parszywym Żydkiem, gudłajem, obrzydliwym kłamcą tak jak mój załgany ojciec, który powinien był trafić do pociągu z innymi gudłajami oraz ich parchatymi bachorami i doczekać wywózki na inną planetę, zieloną planetę Yayomich do Amazonii, gdzie jest nasze miejsce, gdzie świat nie będzie już nas musiał oglądać, bo wszyscy parszywi, załgani Żydzi znajdują się w jednym miejscu, przynależnym im po wieki wieków.

Zamknąłem oczy. Zatkąłem uszy, a on odszedł, powłócząc trochę nogą, zadowolony z siebie, że mnie zawstydził, nazywając parszywym Żydem, chociaż nim nie byłem. Dla Goebbelsa nie miało to żadnego znaczenia, byleby wywołać we mnie strach. Ale ja nie chciałem się bać, ani jego, ani nikogo innego, rozejrzałem się więc za przyjacielem, prawdziwym druhem, który przyjdzie mi z pomocą, jeżeli ten mały człowieczek z wielkim głosem znów przykuśtyka, żeby na mnie nakrzyczeć.

Gdzie był Gerhard? Nigdzie go nie widziałem, ale nie miało to znaczenia, bo oto nadchodził ktoś, kogo uważałem za przyjaciela, chociaż nie pamiętałem jego imienia, mój dawny kolega, towarzysz zabaw z tak odległych czasów, że jego imię przysypały niejako dni, miesiące, lata, jakie upłynęły od tamtego okresu... Noah! Noah Ep-stein! Mój przyjaciel, z którym roztrząsałem znaczenie Atlantydy i możliwość życia na Marsie, dopóki nie uzyskaliśmy jednomyślności we wszystkim, absolutnie wszystkim pod słońcem, które świeciło nam przez całe lato, gdy tak gadaliśmy, gadaliśmy bez końca, uznając się w końcu za mędrców nad mędrkami, z pewnością inteligentniejszych od reszty miasta, zamieszkanego przez tępych debili o nudnych

zainteresowaniach i ciasnych horyzontach.

Noah Epstein, chudy, mądry i zabawny, który rozśmieszał mnie, gdy parodiował przemówienia Fihrera ryczącego, jakby mu rozjuszony lew uwiązał w gardle.

Żałowałem, że wszystkich Żydów wydalono ze szkoły, bo siedzielibyśmy w jednej ławce jak dwóch przy-

232

I

jaciół. Po raz pierwszy spotkałem go w parku, kiedy przyglądał się dwóm gołębiom w rui. Kiedy zobaczył, że też patrzę, skomentował:

- Zobacz, ile tu się marnuje energii na tę fanfaronadę i straszenie piórek. Czy nie byłoby prościej, gdyby samiec na nią wskoczył i szybko się z tym uporał?

Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Ponieważ nie uchodziło przyjaźnić się z Żydami, nie odwiedzaliśmy się w domach, tylko spotykaliśmy w parku. Unikaliśmy ludzi, którzy patrzyliby na nas nieprzychylnie, a mijając przechodniów, machinalnie odsuwaliśmy się nieco od siebie i przerywaliśmy rozmowę, żeby nie wpakować się w tarapaty.

Pewnego dnia zobaczył nas razem kolega mamy, który doniósł na mnie, co położyło kres naszym spotkaniom. Powiedziano mi, że jeśli kiedykolwiek zobaczę go na mieście, powinienem przejść na drugą stronę ulicy i odwrócić się, bo to tylko parszywy Żyd.

W końcu przyszedł dzień, w którym spotkałem cię, Noahu Epsteinie. Kroczyłeś po mieście niczym zbłąkany jeleń, który wyszedł niechcący z lasu i nie wie, czy jego następny krok nie będzie ostatni. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i nie odwracałem głowy, żeby nie widzieć, czy mnie poznałeś, a dopiero później, kiedy twoja rodzina wyprzedzała się i przeprowadziła do Polski, kiedy zaczął mnie palić wstyd, zrozumiałem, jak duża część mnie ujechała wraz z tobą, właściwie najlepsza, bo potrafiła odróżniać dobro od zła, mimo to odwróciłem się wtedy od tego, co dobre i przeszedłem na niewłaściwą stronę ulicy.

Noah podszedł do mojego hamaka.

- Okropnie wyglądasz — powiedział.

Wyglądał tak samo jak dawniej, jakby się ani o dzień nie postarzał, co zakrawało na

cud, ale przysięgam, że to był on. Miał okulary w złotych oprawkach, gęste falujące włosy, ciemne oczy i usta, zawsze gotowe skrzywić się w grymasie, kiedy mówił o kimś coś śmiesznego albo uszczypliwego.

- Witaj, Noah. Co słyhać?
- Nie żyję - odparł, na co obaj parsknęliśmy śmiechem jak za dawnych lat.
- Niemożliwe - zawołałem. - Skoro tu jesteś!

233

- A jestem? - spytał, rozglądając się, jakby zdziwiony, że znalazł się w innym mieście niż nasze rodzinne. - Widzę, Erichu, że podróżujesz po świecie. Zwłaszcza podoba mi się twoje podwórko. Powiedziałbym, że jest bardzo śródziemnomorskie. Znowu się roześmiałem. Z jego twarzy była inteligencja. Był bystrzejszy ode mnie, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało, bo mnie lubił i ze mną rozmawiał.

- Jak ci poszło w Polsce? - zapytałem.
- Czysta strata, jakby to ujął mój ojciec.
- Zapomniałem, dokąd pojechałeś.
- Do Łodzi, ale stamtąd nas potem wywieźli. Chyba zaciąłeś się przy goleniu.
- Nie, mam tatuaż!
- Ja też mam - pochwalił się Noah, który uwielbiał rywalizację. Rzeczywiście, miał na ręku wytatuowany numer. Uznałem, że jest brzydki i bez sensu, ale powstrzymałem się od komentarza.

- Jak tu przyjechałeś? - spytałem. Rozpierała mnie radość z tego, że znów go widzę, chociaż czułem, że mi się wymyka.

- Na skrzydłach gołębiczy - powiedział z uśmiechem. Tak się teraz pochylał, aż dziw, że nie spadły mu okulary z nosa.

- Dlaczego to robisz? - spytałem.
- Bo mogę - powiedział. - Pewno też byś tak chciał.
- To mnie naucz!
- Dobra. Najpierw zostań Żydem...

Roześmiał się, ja za nim.

- Oj przestań, lepiej powiedz, jak to robisz.

- Tajemnica zawodowa - powiedział i mrugnął do mnie. Po czym zaczął nikać w oczach.
- Wracaj! - zawołałem, a przynajmniej tak mi się zdawało.
- Nigdy nie odszedłem - powiedział z głupią miną. Był już niemal niewidoczny, przypominał kłęb dymu.
- Noah, nie odchódź! Zostań!
- Nie mogę, stary. Mogliby mnie złapać, bo jestem po niewłaściwej stronie ulicy.
- Noah...

234

- A jestem? - spytał, rozglądając się, jakby zdziwiony, że znalazł się w innym mieście niż nasze rodzinne. - Widzę, Erichu, że podróżujesz po świecie. Zwłaszcza podoba mi się twoje podwórko. Powiedziałbym, że jest bardzo śródziemnomorskie. Znowu się roześmiałem. Z jego twarzy była inteligencja. Był bystrzejszy ode mnie, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało, bo mnie lubił i ze mną rozmawiał.
- Jak ci poszło w Polsce? - zapytałem.
- Czysta strata, jakby to ujął mój ojciec.
- Zapomniałem, dokąd pojechałeś.
- Do Łodzi, ale stamtąd nas potem wywieźli. Chyba zaciąłeś się przy goleniu.
- Nie, mam tatuaż!
- Ja też mam - pochwalił się Noah, który uwielbiał rywalizację. Rzeczywiście, miał na ręku wytatuowany numer. Uznałem, że jest brzydki i bez sensu, ale powstrzymałem się od komentarza.
- Jak tu przyjechałeś? - spytałem. Rozpierała mnie radość z tego, że znów go widzę, chociaż czułem, że mi się wymyka.
- Na skrzydłach gołębic - powiedział z uśmiechem. Tak się teraz pochylał, aż dziw, że nie spadły mu okulary z nosa.
- Dlaczego to robisz? - spytałem.
- Bo mogę - powiedział. - Pewno też byś tak chciał.
- To mnie naucz!
- Dobra. Najpierw zostań Żydem...

Roześmiał się, ja za nim.

- Oj przestań, lepiej powiedz, jak to robisz.
- Tajemnica zawodowa - powiedział i mrugnął do mnie. Po czym zaczął nikać w oczach.
- Wracaj! — zawołałem, a przynajmniej tak mi się zdawało.
- Nigdy nie odszedłem - powiedział z głupią miną. Był już niemal niewidoczny, przypominał kłęb dymu.
- Noah, nie odchódź! Zostań!
- Nie mogę, stary. Mogliby mnie złapać, bo jestem po niewłaściwej stronie ulicy.
- Noah...

234

- A jestem? - spytał, rozglądając się, jakby zdziwiony, że znalazł się w innym mieście niż nasze rodzinne. - Widzę, Erichu, że podróżujesz po świecie. Zwłaszcza podoba mi się twoje podwórko. Powiedziałbym, że jest bardzo śródziemnomorskie. Znowu się roześmiałem. Z jego twarzy była inteligencja. Był bystrzejszy ode mnie, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało, bo mnie lubił i ze mną rozmawiał.
- Jak ci poszło w Polsce? - zapytałem.
- Czysta strata, jakby to ujął mój ojciec.
- Zapomniałem, dokąd pojechałeś.
- Do Łodzi, ale stamtąd nas potem wywieźli. Chyba zaciąłeś się przy goleniu.
- Nie, mam tatuaż!
- Ja też mam — pochwalił się Noah, który uwielbiał rywalizację. Rzeczywiście, miał na ręku wytatuowany numer. Uznałem, że jest brzydki i bez sensu, ale powstrzymałem się od komentarza.
- Jak tu przyjechałeś? - spytałem. Rozpierała mnie radość z tego, że znów go widzę, chociaż czułem, że mi się wymyka.
- Na skrzydłach gołębiczy - powiedział z uśmiechem. Tak się teraz pochylał, aż dziw, że nie spadły mu okulary z nosa.
- Dlaczego to robisz? - spytałem.
- Bo mogę - powiedział. - Pewno też byś tak chciał.

- To mnie naucz!
- Dobra. Najpierw zostań Żydem...

Roześmiał się, ja za nim.

- Oj przestań, lepiej powiedz, jak to robisz.
- Tajemnica zawodowa - powiedział i mrugnął do mnie. Po czym zaczął nikać w oczach.
- Wracaj! - zawołałem, a przynajmniej tak mi się zdawało.
- Nigdy nie odszedłem - powiedział z głupią miną. Był już niemal niewidoczny, przypominał kłęb dymu.
- Noah, nie odchódź! Zostań!
- Nie mogę, stary. Mogliby mnie złapać, bo jestem po niewłaściwej stronie ulicy.
- Noah...

234

Tyle go widziałem.

Uciekł przed moimi głupimi pytaniami. Nie powinienem był przerywać, lecz pozwolić mu się wygadać, tak jak lubił.

- Ustalmy gryplan - mawiał dawniej. Właśnie zatem próbowałem ustalić gryplan, ale mi nie wyszło, aczkolwiek nie z mojej winy, lecz owego zielonego proszku. Przewody nosowe miałem zatkane zielonym śluzem, usta oblepione. Aż dziw, że w ogóle mogłem rozmawiać, jeżeli rzeczywiście rozmawiałem. Ale przecież odbyłem rozmowę z Noahem, moim jedynym prawdziwym przyjacielem... dopóki nie odwróciłem się od niego plecami.

Chciało mi się płakać, ale nie mogłem. Nie wystarczyłoby mi chyba łez. Noah zresztą nie prosił mnie o wyjaśnienie zdrady, po prostu wszedł w dawną zażyłość jak gdyby nigdy nic. Może nie zauważył mnie wtedy, kiedy przeszedłem na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć spotkania... Ale wiedziałem, że widział. Przepelniał mnie wstyd. Za późno, powiedziałem sobie w duchu. Tak właśnie mawiał Noah:

- Za późno, jak rzekł pewien jegomość, patrząc na swoją odrąbaną nogę.

Zawsze mnie to śmieszyło. Kiedyś powtórzyłem to mamie, która wlepiała we mnie wzrok, jak gdybym powiedział coś zupełnie od rzeczy.

Otworzyłem oczy, zdziwiony, że są zamknięte. Spod hamaka doleciał mnie smród wymiocin. Marzyłem o tym, żeby się stamtąd wyrwać, ale nie mogłem nawet drgnąć. Zamknąłem oczy, żeby uciec od wszystkiego. W ostatniej chwili zobaczyłem Klause, który stał nieopodal, wpatrzony w pustkę, a z jego miny można było wyczytać, że widzi rzeczy, od których nie może oderwać oczu. Spuściłem długą rurę do głębokiego jeziora pełnego ślicznych ryb, które pozdrowiały mnie ludzkim głosem. Mówiły do mnie w języku Yayomi, a ja je rozumiałem.

Znów nadszedł wieczór. Dzień miał się ku końcowi, a ja od południa w ogóle go nie zarejestrowałem. Dziwnie było zamknąć oczy w słońcu, a otworzyć przy świetle ogniska. Gerhard stał nad hamakiem Klause i z nim rozmawiał. Kiedy zobaczył, że nie śpię, podszedł

235

do mnie. Opuściłem nogi na ziemię, bo nie chciałem wyglądać tak słabo i bezradnie, jak się czułem. Miał zatroskaną minę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.
- Oczywiście. A dlaczego miałbym się źle czuć?
- Bo czasem nie jest to najmiłsze przeżycie nawet dla Yayomich.
- Nic mi nie jest. A co z Klausem?
- Ocknął się i obmył na ciebie, ale jego dusza nadal błądzi.
- Co ja robiłem?
- Niewiele. Kiedy ułożono cię w hamaku, tylko leżałeś. Wydawało mi się, że zasnąłeś, dlatego cię nie ruszałem. Miałeś ciekawe doznania? Co widziałeś?
- Nic. Po prostu nie najlepiej się czułem.

Nie chciałem o tym mówić.

- Nic? Nie do wiary.
- Może nie podziałało na mnie tak, jak powinno.
- Dziwne. Sam widziałem, że Noroni wdmuchnął ci w obie dziurki solidną porcję proszku.
- Najważniejsze, że nie uraziłem ich odmową.

Pokiwał głową, ale patrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Jesteś głodny?
- Nie. Tylko boli mnie głowa.
- Napij się wody. Nie żałuj sobie.

Posłuchałem jego rady i od razu poczułem się lepiej. Kiedy podszedłem do Klause, złopał jak koń. Niewiele mówił. Byłem ciekaw, co widział pod wpływem yoppo, ale nie zapytałem.

Rozpadało się i Gerhard powiedział, że w tym roku pora deszczowa nadciągnie chyba szybciej niż zwykle. Dobrze to wróżyło naszym planom ucieczki. Szczerze mówiąc, zabijaliśmy tylko czas i liczyliśmy dni. Chodziłem w las z Awomay tak często, jak tylko miałem ochotę, czyli trochę rzadziej niż na początku. Chyba dlatego, że nie mogliśmy ze sobą rozmawiać. Nawet jeżeli mężczyźni Yayomich bywali obcesowi wobec kobiet, rozmawiali z nimi, zwłaszcza przy dzieciach. Zupełnie jakby siedzieli razem w salonie bądź

236

w kuchni, mężczyzna zapalał fajkę, kobieta gotowała obiad, a dzieci bawiły się kolejką.

Awomay i ja nie mieliśmy takiej szansy. Zona próbowała nauczyć mnie kilku słów, ale zawsze ją powstrzymywałem, na co się dąsała. Pragnęła ze mną rozmawiać, a ja nie chciałem się nauczyć ani słowa, bo gdybym potrafił się z nią dogadać, nie mógłbym wyjechać albo musiałbym ją zabrać ze sobą, co nie wchodziło w grę.

Pozbawieni wspólnego języka, pozostawaliśmy dla siebie poniekąd obcy, mimo że łączyły nas teraz rzeczy, o jakich przedtem tylko słyszałem od szkolnych kolegów, których bracia mieli świńskie książki.

Wreszcie strup na brodzie mi odpadł, prawie cały od razu, wystarczyło, że delikatnie się podrapałem. Skóra pod spodem wydała mi się dziwna, bo nie dotykałem jej od tygodnia, miękka, świeża i bardzo wrażliwa. Poszedłem rozejrzeć się za Klausem, który nie rozstawał się z torbą i wyglądał jak nagi lekarz spieszący z wizytą domową, który nie może znaleźć danego domu. Kiedy poprosiłem go o lusterko, wyjął je z torby i mi podał.

- Głupio postąpiłeś, Erichu - powiedział - i będziesz musiał za swoją głupotę

zapłacić. Teraz już nie będę mógł przedstawić cię grubym rybom w Argentynie. Przekreśliłeś tym samym karierę polityczną, którą mógłbyś wśród nich zrobić. Nie wiedziałem, co ma na myśli, dopóki nie przejrzałem się w lusterku. Noroni wytatuował mi na brodzie trzy zygzaki przypominające bliźniacze błyskawice SS, tyle że było ich trzy, a nie dwa, ale miały takie ostre kąty, te same proporcje między liniami co symbol SS. Oddałem mu lusterko ze słowami:

- Nic mnie to nie obchodzi.

Bo rzeczywiście nie obchodziło. Klaus zmierzył mnie spojrzeniem pełnym ogromnego rozczarowania i odszedł.

Poszedłem do Gerharda, żeby pokazać mu tatuaż.

- No wiesz co! - zawołał. - Ciekawe, jak cię przyjmą z takim cudem po powrocie do kraju.

- Noroni wytatuował mi nie to, co chciałem.

- Trzeba mu było dać rysunek. A ten tatuaż został ci na zawsze, chyba że zapuścisz sobie brodę. Widzę, że już puszcza ci się zarost.

237

Ta futrzasta gąsienica nad górną wargą wskazuje na to, że zaraz sypnie ci się broda.

— Nie kpij sobie! Co ja teraz pocznę? Mógłbyś poprosić Noro-niego, żeby coś dodał i zmienił tatuaż?

- Odradzam. Noroni jest bardzo dumny ze swojej pracy, mógłbyś go urazić.

Zmienisz sobie ten wzór, kiedy dotrzemy do Caracas. Na nabrzeżu roi się od salonów tatuażu. Możesz go sobie zmienić w tancerkę hula.

Kiedy Awomay mnie znalazła, pogłaskała po brodzie, omal się nie rozplakałem.

Wyczuła, że coś jest nie tak, dlatego wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do dżungli, gdzie kochaliśmy się bardzo wolno, przy czym ona przejęła prawie cały wysiłek na siebie. Był to nasz najlepszy seks, ale rozdrażniła mnie tym, że inicjatywa należała do niej.

Raz na jakiś czas wracałem nad ten zakątek nad brzegiem rzeki, gdzie widziałem, jak zginęła mama. Patrzyłem na wodę i na ważki, które najwyraźniej zawsze tam fruwały. Dopiero za drugim lub za trzecim razem nagle dotarło do mnie, że zostałem

sierotą. Najpierw odumarł mnie ojciec, teraz matka. Określenie „sierota” do tej pory nie przyszło mi do głowy. Czy to dlatego, że Klaus miał niby być moim ojcem? Przestałem uważać go za ojca, odkąd się dowiedziałem, że jest mordercą. Czy to z powodu Gerharda Wentzlera nie czułem się sierotą?

Roztaczał nade mną na poły ojcowską opiekę, chyba jednak zbyt niefrasobliwą, żebym mógł go uznać za rodzica. Był wprawdzie dorosły, ale Zeppiego i mnie traktował dość nonszalancko. Nie chciałem, żeby mi zastąpił ojca, ani on, ani zresztą ktokolwiek inny. Jeżeli tylko człowiek pogodzi się z tym, że został sierotą, całe życie się upraszcza. Na przykład nikt już nie mógł mi mówić, co mam robić. Gdyby Klaus kazał mi zrobić coś, na co nie miałbym ochoty, kazałbym mu się utopić w jeziorze. Byłem wolny! Podobnie jak Zeppi, tyle że on chyba tak tego nie odczuwał. Chciał żeby ktoś mu podpowiadał, co ma robić, czyli nie był wolny.

Kiedy przyglądałem się ważkom i myślałem o wolności, pytałem sam siebie, dlaczego ważki tak upodobały sobie ten odcinek rzeki.

238

Czyżby dlatego, że woda tam była tak spokojna i nie rwała tak wartko jak gdzie indziej? A może łatwiej im tam było polować? Nie miałem pojęcia, czym się żywią ważki. Wpojono mi wiedzę na temat Goethego i Schillera, ale nie nauczono mnie, co jedzą ważki. Nigdy dobrowolnie nie sięgnąłem po wiersz, ale zawsze chciałem poznać dietę ważek. Widocznie przyciąga je stojąca woda. Taka, w której piranie zaatakowały i ogryzły mamę do kości.

Stojąca woda. To znaczy, że mama lub raczej jej szczątki, mogą nadal tam spoczywać. Przynajmniej kości mogły leżeć na dnie, jeżeli nie uniósł ich prąd, bo prąd nie dochodził do tej stojącej wody, nad którą krążyły bzyczące ważki.

Wiedziałem, że mama wciąż tam spoczywa.

Czy zdobędę się na to, żeby wejść po pas do wody i wymacać nogami kości mamy?

Czy miało to sens? Wiedziałem, że jedynie tchórzostwo hamuje moją ciekawość poznania prawdy. Nie musiałem jej zgłębiać, ale skoro takie pytanie przyszło mi do głowy, domagało się odpowiedzi. Jeżeli szkielet mamy leżał na dnie rzeki, na pewno chciałaby, żeby go stamtąd wyjąć i pogrzebać, jak należy, z krzyżem na grobie.

Pozostawienie jej w rzece świadczyłoby o braku szacunku. Gryzło mnie sumienie, a jednocześnie plułem sobie w brodę, że wpadłem na taką myśl, ale refleksja przyszła poniewczasie.

Będę musiał sprawdzić, czy mama tam leży. Wiedziałem, że muszę to zrobić właśnie dla niej, chociaż już nie żyła. Dziwne, że nieboszczyk może zmusić żywą osobą do zrobienia czegoś wbrew sobie. Nie ruszałem się jednak z miejsca. Nie chciałem szukać palcami nóg jej kości. Mama leżała zaledwie kilka metrów ode mnie, a ja bałem się ją znaleźć. Nędzny tchórz! Nie szczeniłem sobie obelg - cykor, maminsynek, niedojda — ale nie potrafiłem się zmusić, żeby wejść do wody.

I wtedy zadałem sobie pytanie, jak zareagowaliby na moją postawę Awomay lub Gerhard. Gdybym trzymał język za zębami, nigdy nie dowiedzieliby się o moim tchórzostwie. Wystarczyło mi jednak, że ja wiem, i dlatego gryzło mnie sumienie. Postawiłem, acz niechętnie, nogę w rzece, następnie drugą, potem znów pierwszą i wszedłem trochę głębiej. Sunałem tak pomału,

239

krok po kroku, do miejsca, w którym, jak pamiętałem, mama poszła na dno. Palcami nóg przypominającymi małe pełzające krety wyma-cywałem sobie drogę, zapadając się z każdym krokiem w muliste dno, by zaraz oswobodzić nogi i przeć naprzód, licząc się w każdej chwili z tym, że w mętnych ciemnościach trafię na coś potwornego. Oddalałem się od brzegu, woda sięgała mi już po kolana, po uda, po pas. Mama stała po pas w wodzie, kiedy zaatakowały ją piranie, a ponieważ ja byłem nieco wyższy, musiałem wejść głębiej niż ona.

Chyba za daleko skręciłem w bok i minąłem miejsce tragedii. Ruszyłem więc bokiem, gdy wtem potrafiłem o coś prawą nogą. Potknąłem się, ale złapałem równowagę, po czym znów wysunąłem nogę. Dotknąłem czegoś twardego, wąskiego, zakrzywionego... czyżby to było żebro? Zacząłem macać dno, dopiero teraz świadom, że cicho przy tym pojękuję. Wokół leżało więcej podobnych twardych obiektów, z całą pewnością kości. Przesunąłem się jeszcze bardziej w bok i dotknąłem stopą czegoś znacznie większego. Musiała to być jej czaszka albo może miednica.

Jeszcze raz wysunąłem nogę. Czułem pod palcami okrągły kształt przypominający wazę albo miskę. Czyli głowa. Po chwili poczułem włosy łaskoczące w palce, czyli nie została, jak przypuszczałem, ogryziona do kości.

Kiedy ją znalazłem, nie mogłem sobie powiedzieć, że się omyliłem. Będę musiał wyjąć ją na brzeg i pochować, sięgnąć w ciemną otchłań i wyciągnąć rękami jej kości, z resztkami ciała i włosów. Zobaczę jej nadgryzioną twarz, wystające zęby, puste oczodoły, a wszystko będzie cuchnęło zgnilizną i rzeczonym błotem, będzie obrzydliwie oślizgłe. Kto zresztą wie, czy tamte piranie były bardzo głodne? Może zostawiły jeszcze coś oprócz czaszki. Może gdzieś leżą porzucone kawałki ciała. Sięgnę i dotknę jakiegoś kawałka, który na przykład okaże się piersią.

Nie mogłem się przemóc. Wiedziałem, że nie mogę.

Zawstydzony, zawróciłem do brzegu. Sytuacja mnie przerosła, nie mogłem zdobyć się na to, żeby wyciągać kawałek po kawałku szczątki mamy. Co innego, gdybym znalazł szkielet na pustyni, elegancki, suchy, widoczny z daleka. Wiedziałbym, co biorę do ręki.

240

Natomiast szkieletu w rzece brzydziłem się dotknąć. Odstępowało mnie już dotykanie mamy palcami nóg, ale nie było mowy, żebym, wzięwszy głęboki oddech, zszedł pod wodę i wymacał jak ślepiec jej zewłok. Czyli byłem jednak tchórzem. Musiałem to teraz przyznać i się z tym pogodzić. Postaram się w innych dziedzinach życia mniej tchórzyc, żeby nadrobić ten brak odwagi wobec ciała mamy.

Wyszedłem na brzeg, dygocząc, bynajmniej nie z zimna. Nie mogłem się nawet obejrzeć za siebie, wyciągałem nogi, żeby jak najszybciej stamtąd umknąć.

W pobliżu shabono zobaczyłem Gerharda i nagle poczułem skruchę. Musiałem mu się zwierzyć.

- Po południu się rozpada - oznajmił, kiedy podszedłem. - Zobacz, jakie powietrze jest ciężkie i nieruchome, chociaż na niebie nie widać jeszcze chmur.
- Znalazłem mamę.
- Co ty pleciesz?
- Znalazłem jej kości na miejscu zdarzenia.

- Jej kości?
- Wymacałem nogą. Nie chciałem dotykać rękami.
- Rozumiem.

Spojrzał na mnie, potem na rzekę.

- I co teraz?
- Nie wiem. Zmusiłem się do tego, żeby wejść do wody i ją odnaleźć, ale nie mam siły jej stamtąd wyciągnąć. Nie chcę jej dotykać. Ty byś potrafił?

Nie chciałem pytać go wprost. Tak wyszło.

- Zastanówmy się, czym by się skończyło, gdybyśmy ją wyciągnęli? - zapytał przekonująco głosem inteligentnego dyrektora szkoły. Miałem nadzieję, że w całej swej mądrości wymyśli, jak zostawić mamę tam, na miejscu. Byłbym mu dozgonnie wdzięczny. - Powiedzieliśmy Yayomim, że Frau Brandt odpłynęła z nowo narodzonym delfiniątkiem. Jeżeli teraz wyniesiemy na brzeg kości twojej mamy, żeby je pogrzebać, ktoś może podpatrzeć, zanim je zakopujemy albo tak się zainteresuje świeżo wzruszoną ziemią, że wykopie kości, pragnąc sprawdzić, co tam jest. W obu sytuacjach przyłapani przez

16 - Biali bogowie

241

Yayomich na kłamstwie, napytalibyśmy sobie biedy. Zawsze możemy powiedzieć, że to szkielet kogoś innego, obcej osoby.

- Yayomi ją poznają, bo chyba wciąż ma włosy na głowie.
- W takim razie, doradzałbym, żebyś ją tam, aczkolwiek z ciężkim sercem, zostawił. Nawet dla twojej matki nie możemy ryzykować, że nakryją nas na gorącym uczynku. Była wierząca?
- Niespecjalnie, w każdym razie, dopóki tu nie przyjechaliśmy.
- Bo chciałem zaproponować, żebyś upamiętnił to miejsce jakimś symbolem, chociażby krzyżem, na brzegu, byle nie budził podejrzeń Yayomich. Bo ci ludzie nie ufają niczemu, czego nie rozumieją. - Aha, na twoim miejscu nie mówiłbym nic Zeppiemu ani Klausowi. Obu, z różnych zresztą powodów, niepodobna ufać.

Spojrzał w niebo, które zaczynało się zielenić.

- Skąd ten kolor? - spytałem.
- Nie wiem. To może być odbicie dżungli, może inwersja atmosferyczna. Nie znam się na meteorologii.

Patrzyliśmy, jak niebo nad nami przybiera zielony kolor. Niedokładnie ten sam, co dżungla, dlatego nie kupowałem jego teorii. Przypominało raczej seledynowe kafelki ścienne w sklepie mięsnym Herr Bleichrodera. Większość kafelków była biała, ale metr nad podłogą przebiegał pas seledynowych. Po nich poznawałem, że urosłem, bo podczas jednej wizyty z mamą u rzeźnika sięgały mi po brodę, a podczas którejś kolejnej po pierś. Powietrze było ciężkie, parne i bardziej wilgotne niż zwykle. Przysiągłbym, że zjeżyły mi się włosy na karku.

- Dlaczego zostałeś antropologiem? - zapytałem.

Chwilę się zastanowił.

- Chyba dlatego, że to niezwykła dziedzina dla Żyda. Już nawet jako mały chłopiec z natury byłem przekorny. Rodzice twierdzili, że nie jestem dobrym Żydem, w czym musiałem im przyznać rację. Mój ojciec był człowiekiem interesu. Powszechnie wiadomo, że Żydzi celują w interesach, zresztą oni sami też to przyznają. Ja jednak nie zamierzałem obierać tej drogi, która według mnie zbytnio człowieka ogranicza. Warta uwagi wydała mi się antropologia. „Studium badawcze początków fizycznego, społecznego oraz kulturalnego rozwoju i zachowania człowieka”. Definicja wprost stworzona po to, żeby mnie porwać. Ro-

242

dzice nie pochwalali mojego wyboru, ale i tak opłacali chesne. Pewno teraz nie żyją, podobnie jak reszta mojej rodziny.

W miarę jak mówił, powietrze stawało się bardziej parne, a słowa Gerharda wwierały mi się powoli w mózg. Dopiero kiedy skończył, dotarło wreszcie do mnie to, co powiedział na początku.

- Jesteś... Żydem?
- Niezbyt dobrym. Nie praktykuję. Jestem zatem laikiem, podobnie jak reszta mojej rodziny. Ale jestem z dziada pradziada Żydem. Zdziwiłeś się?
- Tak.

- Czekałem na stosowną chwilę, żeby ci to powiedzieć. Jeszcze dziś rano mówiłem sobie, że zbyt wiele ryzykuję, bo taki porządny niemiecki chłopiec jak ty nie zawaha się powtórzyć Klausowi. Ale powiedz mu, jeśli chcesz. Chyba poradzę sobie z Klausem. Zawsze Żyd umiał sobie poradzić z hitlerowcem, tyle że na ostatku ich liczba niebezpiecznie wzrosła. Erichu, jesteś nazistą?

- Raczej nie.

- I nie byłeś w Hitlerjugend?

- Byłem, ale tylko maszerowałem, rozbijałem namioty, wysłuchiwałem przemówień i śpiewałem pieśni. Bardzo się nudziłem. Nawet pod koniec wojny, kiedy nas zmobilizowano, nie widzieliśmy żadnych działań.

- I nigdy nie uważałeś Fiihrera za wspaniałego człowieka?

Nie chciałem się przyznać, że uważałem i poniekąd nadal uważam. Nie chciałem też jednak kłamać, dlatego przemilczałem sprawę.

- Kiedy stąd wyjedziemy, Erichu, nie będzie łatwo. Czekają nas niebezpieczna przeprawa przez terytorium Iririch i utrzymanie się na fali powodziowej. Ty i ja musimy na sobie polegać, co wymaga wzajemnego zaufania. Chyba obaj wiemy, że Zeppi ani Klaus nie przesądzą o powodzeniu naszego planu. Dlatego nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic. Czuję się jak tchórz, dlatego że wcześniej ci tego nie wyznałem, ale wzdrgałem się przed poruszeniem tego tematu, podobnie jak ty nie chciałeś dotykać kości matki. Czysty idiotyzm, nie uważasz? Nie możesz przestać być Niemcem, podobnie jak ja nie mogę przestać być Żydem. Musimy sobie pomagać albo

243

się pozabijamy. Po tej rzezi, która się przetoczyła przez nasz kraj, a która mnie ominęła, nie ma nic pośrodku. Czy twoim zdaniem Klaus zechce skorzystać z okazji i zabić ostatniego Żyda?

- Nie mam pojęcia.

- Jeżeli spróbuje, będę go musiał zabić. Żydzi, tak samo jak wszyscy inni, nie lubią umierać. Jak na ironię, chociaż wyjechałem z Europy przed rozpoczęciem prawdziwej masakry, los mnie zetknął z bodaj najgorszym przedstawicielem tamtej

zgrai. Kiedy patrzę na Klause, zawsze się zastanawiam, dlaczego nie chwycę za łuk i nie strzelę mu w serce. Chyba dlatego, że mnie fascynuje. Ten człowiek jest uosobieniem zła, chociaż nie sprawia takiego wrażenia. Gdyby sam nie pochwalił się swoimi wyczynami w zakresie żydobójstwa, nigdy bym go nie podejrzewał.

- Zamierzasz go zabić?

- Klaus zasługuje na śmierć. Pamiętaj, co nam powiedział. Powinno się go zabić dziesięć tysięcy razy, ale jeśli się już zdecyduję, będę mógł to zrobić tylko raz.

Wszystko teraz zależy od Klause. Postąpię fair i najpierw powiem mu, że jestem Żydem.

- Jak to możliwe? Nawet nie jesteś obrzezany.

Roześmiał się.

- Urodziłem się w Laponii, nie do wiary, co? Mój ojciec pojechał tam w interesach, a mama uparła się mu towarzyszyć, żeby zobaczyć Lapończyków pędzących jelenie. Urodziłem się na dalekim pustkowiu jako wcześniak, przyjęty przez miejscowe kobiety podczas szalejącej zamieci śnieżnej, choć podejrzewam, że ubarwiono trochę tę opowieść. Może właśnie dlatego zostałem antropologiem, że urodziłem się w egzotycznej krainie wśród obcych ludzi. Kiedy w końcu dotarliśmy do Niemiec, odłożono obrzezanie, bo mój ojciec przeszedł załamanie nerwowe z powodu przepracowania. Chyba zresztą moja mama nigdy nie paliła się do tego zabiegu. Jak wspominałem, nigdy nie byliśmy ortodoksami. Moja mądra mama chciała mi dać czysto niemieckie imię. Chyba chciała zapewnić mi osłonę, kamuflaż. Ostatecznie nigdy nie wykonano mi tego zabiegu. Bo wszyscy Żydzi wcale nie są tacy sami, podobnie jak wszyscy Niemcy. Spójrz, ty z kolei masz żydowskiego kutasa. Chyba przyznasz, że życie roi się od niespodzianek.

244

Popatrzyłem na drugi brzeg. Odwracałem wzrok od Gerharda. Był Żydem. Z początku go nie lubiłem, a potem zacząłem z wolna doceniać jego inteligencję, udzielane rady. Poza tym nigdy się nie denerwował ani nie świrował tak jak inni dorośli, w każdym razie biali. Zacząłem traktować go jak przyjaciela, omal nie uznałem za swojego przybranego ojca, z której to roli szybko zrezygnował Klaus... a

on przez cały czas był Żydem.

Powszechnie wiadomo, że Żydzi są jak węże, które czają się cichaczem w trawie i tylko czekają, kiedy można się rzucić na człowieka. Tak właśnie Gerhard czyhał w wysokiej trawie, chowając się przede mną, choć jednocześnie rozmawiał ze mną i zadzierzgał więzy przyjaźni. Ale czy istotnie wyrządził mi krzywdę? Nie. Ponadto przyznał się do bycia Żydem. Zwierzył mi się. Powiedział mi w zaufaniu, kim jest, a nie mogłem go winić, że nie wyznał tego wcześniej, kiedy dowiedział się od Klausa o wojnie, w której śródkiem toczyła się inna wojna, przy czym jedna strona dysponowała bronią, druga zaś nie, czyli wojna była wyraźnie jednostronna. Wyobraziłem sobie Gerharda z Noahem Epsteinem w obozie przesiedleńczym. Zapewne przypadliby sobie do gustu, bo obaj tak mądrze komentowali rzeczywistość. I wtedy wkroczyłby Klaus, poobcinałby im ręce i nogi, pozamieniał kończyny Noaha z Gerhardem. Na co Noah powiedziałby Gerhardowi: „Jeżeli zamienimy się ubraniami, może będą pasowały” i obaj zanieśliby się śmiechem. Klaus tak by się zdenerwował, że chwyciłby broń i ich zastrzelił, lecz oni nie zginęliby, a jedynie wymieniali sarkastyczne uwagi na temat jego niecelności. Wówczas spurpurowiałby na twarzy, oszalał i wybuchł jak raca, a jego krew i trzewia obryzgałyby Noaha i Gerharda, którzy spojrzeliby po sobie i powiedzieli: „Skaranie boskie z tymi hitlerowcami. Oni to potrafią nabałaganić”.

- Z czego się śmiejesz, Erichu?

Przestałem. Śmiałem się bezwiednie. Odwróciłem się do niego.

- Nie powiem nikomu o tobie ani o Noahu - obiecałem.

- A kim jest Noah?

- Nikim. Nic nie powiem Klausowi ani Zeppiemu.

- Miałem taką nadzieję. Czyli sztama?

245

- Tak.

- Żyd i Niemiec. Parch i Szkop. Dobrana para, nie ma co!

Gerhard wskazał niebo. Raptem nie wiadomo skąd napłynęły ciemne chmury, pozszywane nićmi błyskawic.

- Widzisz? Zbiera się na burzę.
- Ale niebo pociemniało bardziej niż zwykle.
- Bo zbliża się pora deszczowa.
- To świetnie.

Patrzyliśmy na nadciągającą nawałnicę. W powietrzu czuło się coś dziwnego, zapach czegoś w załączku. Chmury wzbijały się coraz wyżej, tworząc fantastyczne, nabierające życia kształty. Zasłoniły słońce i nadal rosły niczym kipiące wieże ciemności, wznoszone i burzone w ciągu kilku minut, następnie wznoszone od nowa, napowietrzne miasto, bezkształtne, a zarazem przerażające. I wtedy owe gigantyczne kształty, pomrukujące i gromadzące się nade mną, na chwilę przybrały postać kolosalnej, przechylonej świątyni z kręconymi kolumnami oraz dachem uginającym się pod swym ciężarem, przebijanym przez ostatni promień słońca przypominający znak od Boga. Następnie w kilka sekund świątynia zniknęła, obrócona wni-wecz, zabazgrana błyskawicami, zmieciona raz na zawsze.

- Widziałeś, Gerhardzie?
- Co takiego?
- Te chmury przypominające ogromną świątynię.
- Widziałem muszlę - powiedział - a potem wieloryba.
- Widocznie patrzyliśmy w różne strony nieba.

Ciemności wisiały nad nami niczym całun naciągnięty na twarz nieboszczyka. Owionął mnie chłód, a jednocześnie ogarnęła dziwna radość. Gerhard odchylił głowę i patrzył, jak zwał dudniących chmur rozlewa się plamą po niebie. Widziałem, jak pierwsza kropla deszczu rozprysła mu się na policzku niczym wielka, eksplodująca Iza, następna pacnęła go w czoło, a później moją twarz i ramiona ostrzelał grad zaskakująco zimnych, nieledwie śrutowych, kropli.

Puściliśmy się obaj pędem do shabono, ścigani deszczem siekącym z siłą gradu.

- Tak.
- Żyd i Niemiec. Parch i Szkop. Dobrana para, nie ma co!

Gerhard wskazał niebo. Raptem nie wiadomo skąd napłynęły ciemne chmury, pozszywane nićmi błyskawic.

- Widzisz? Zbiera się na burzę.
- Ale niebo pociemniało bardziej niż zwykle.
- Bo zbliża się pora deszczowa.
- To świetnie.

Patrzyliśmy na nadciągającą nawałnicę. W powietrzu czuło się coś dziwnego, zapach czegoś w załączku. Chmury wzbijały się coraz wyżej, tworząc fantastyczne, nabierające życia kształty. Zasłoniły słońce i nadal rosły niczym kipiące wieże ciemności, wznoszone i burzone w ciągu kilku minut, następnie wznoszone od nowa, napowietrzne miasto, bezkształtne, a zarazem przerażające. I wtedy owe gigantyczne kształty, pomrukujące i gromadzące się nade mną, na chwilę przybrały postać kolosalnej, przechylonej świątyni z kręconymi kolumnami oraz dachem uginającym się pod swym ciężarem, przebijanym przez ostatni promień słońca przypominający znak od Boga. Następnie w kilka sekund świątynia zniknęła, obrócona wni-wecz, zabazgrana błyskawicami, zmieciona raz na zawsze.

- Widziałeś, Gerhardzie?
- Co takiego?
- Te chmury przypominające ogromną świątynię.
- Widziałem muszlę — powiedział — a potem wieloryba.
- Widocznie patrzyliśmy w różne strony nieba.

Ciemności wisiały nad nami niczym całun naciągnięty na twarz nieboszczyka. Owionął mnie chłód, a jednocześnie ogarnęła dziwna radość. Gerhard odchylił głowę i patrzył, jak zwał dudniących chmur rozlewa się plamą po niebie. Widziałem, jak pierwsza kropla deszczu rozprysła mu się na policzku niczym wielka, eksplodująca łąza, następna pacnęła go w czoło, a później moją twarz i ramiona ostrzelał grad zaskakująco zimnych, nieledwie śrutowych, kropli.

Puściliśmy się obaj pędem do shabono, ściгани deszczem siekącym z siłą gradu.

- Tak.
- Żyd i Niemiec. Parch i Szkop. Dobrana para, nie ma co!

Gerhard wskazał niebo. Raptem nie wiadomo skąd napłynęły ciemne chmury, pozszywane nićmi błyskawic.

- Widzisz? Zbiera się na burzę.
- Ale niebo pociemniało bardziej niż zwykle.
- Bo zbliża się pora deszczowa.
- To świetnie.

Patrzyliśmy na nadciągającą nawałnicę. W powietrzu czuło się coś dziwnego, zapach czegoś w załączku. Chmury wzbijały się coraz wyżej, tworząc fantastyczne, nabierające życia kształty. Zasłoniły słońce i nadal rosły niczym kipiące wieże ciemności, wznoszone i burzone w ciągu kilku minut, następnie wznoszone od nowa, napowietrzne miasto, bezkształtne, a zarazem przerażające. I wtedy owe gigantyczne kształty, pomrukujące i gromadzące się nade mną, na chwilę przybrały postać kolosalnej, przechylonej świątyni z kręconymi kolumnami oraz dachem uginającym się pod swym ciężarem, przebijanym przez ostatni promień słońca przypominający znak od Boga. Następnie w kilka sekund świątynia zniknęła, obrócona wni-wecz, zabazgrana błyskawicami, zmieciona raz na zawsze.

- Widziałeś, Gerhardzie?
- Co takiego?
- Te chmury przypominające ogromną świątynię.
- Widziałem muszlę - powiedział - a potem wieloryba.
- Widocznie patrzyliśmy w różne strony nieba.

Ciemności wisiały nad nami niczym całun naciągnięty na twarz nieboszczyka. Owionął mnie chłód, a jednocześnie ogarnęła dziwna radość. Gerhard odchylił głowę i patrzył, jak zwał dudniących chmur rozlewa się plamą po niebie. Widziałem, jak pierwsza kropla deszczu rozprysła mu się na policzku niczym wielka, eksplodująca łąza, następna pacnęła go w czoło, a później moją twarz i ramiona ostrzelał grad zaskakująco zimnych, nieledwie śrutowych, kropli.

Puściliśmy się obaj pędem do shabono, ścigani deszczem siekącym z siłą gradu.

w

p

Rozdział 11

Codziennie teraz padało, czasem godzinami, a kiedy niebo otwierało się i wylewało na ziemię, Yayomi prawie nie ruszali się z hamaków. Nikt nie polował, dlatego do jedzenia była tylko zupa plantanowa albo plantany pieczone nad ogniskiem.

Codziennie rano chodziłem nad rzekę, żeby sprawdzić, czy wody już wezbrały, ale nie odnotowałem jeszcze wyraźnej zmiany.

Poranki nadal były pogodne, niebo klarowne. Wtedy zbierano plantany, czasem też łowiono ryby, chociaż ryby przeniosły się chyba na głębsze wody, trzeba więc było wypływać kanu w ich poszukiwaniu. Nawet Kwaytcha, zapewne mistrz łowienia ryb z łuku w całym shabono, wracał z połowów z pustymi rękami. Noroni uważał to za zły znak, że ryby przeniosły się na środek rzeki tak wcześnie, a Manokwo przyznał mu rację.

Manokwo coraz bardziej niecierpliwił się, kiedy Zeppi zamieni się w dziewczynę, chociaż mówiliśmy mu, że nie nastąpi to przed zakończeniem pory deszczowej, a zatem musiał jeszcze długo czekać. Dał nam do zrozumienia, że nie pojmuje, jak taka ważna zmiana z mężczyzny w kobietę miałyby się dokonać w jednej chwili, wraz z ustaniem deszczy. Zapowiedzi takiej zmiany, przynajmniej jej wczesne etapy, powinny być widoczne wcześniej, bo nic w świecie zwierząt oraz ludzi nie zdarza się nagle, pominąwszy śmierć w wypadku albo na wojnie. Wszystko inne przeobraża się stopniowo, toteż można zaobserwować różne fazy, których mimo wielokrotnych oględzin członka Zeppiego Manokwo wciąż nie dostrzegał.

247

Zapyta! o powód Gerharda i usłyszał, że delfiny mają inne zwyczaje niż ludzie.

Widocznie specjalne delfiny, które potrafią zamieniać się w ludzi, mogą też na własne życzenie zmieniać pleć, gdy czas nadejdzie. Manokwo wysłuchał tych zapewnień z nieszczęśliwą miną, bo koniec pory deszczowej i tak wydawał mu się daleki, a on chciałby już jutro poślubić żółtowołosego Zeppiego.

Klaus zdecydowanie się zmienił. Unikał Gerharda i mnie, jak gdyby zwietrzył spisek i wiedział, skąd go wiatr przywiewa. Nierzadko milczał, czasem całymi dniami, a ja nie próbowałem nawiązywać z nim kontaktu. Gdy tylko Yayomi brali yoppo,

zwłaszcza że teraz rzadziej mogli polować, Klaus też brał. Zniesmaczony pierwszym doświadczeniem z tym paskudztwem, nie chciałem go znać, za co Gerhard mnie pochwalił. Klaus natomiast brał bez umiaru, ile tylko Yayomi zechcieli mu wdmuchnąć rurą do nosa, toteż wkrótce zacząłem go coraz częściej widywać tarzającego się w błocie, chłostanego deszczem, z wytrzeszczonymi oczami, wpatzonego w rzeczy, które jedynie on widział.

Podejrzewałem, że pewnego dnia Klaus umrze Gerhardowi na rękach i bez zdziwienia przyjąłem własną na taki obrót spraw obojętność. Uważałem, iż zasługuje na śmierć, mimo że był moim rodzonym stryjem. Sam nie mógłbym go zabić, nawet jeśli na to zasługiwał, ze względu na więzy krwi, gdyby jednak Gerhard uznał, że nadszedł dla Klause czas zapłaty za popełnione zbrodnie, wcale bym go nie powstrzymywał.

Skoro Gerhard potrafił tak dalece panować nad sobą, postanowiłem pójść w jego ślady. Pierwszej okazałem to Awomay. Po prostu przestałem myśleć o tym, co się stanie, kiedy stamtąd wyjedziemy, i zacząłem odnosić się do żony uprzejmie nie tylko wtedy, kiedy chciałem ją zabrać do dżungli.

Przynosiłem jej kwiaty, z którymi nie wiedziała, co począć, dopóki nie zacząłem ich wplatać jej we włosy. Inne kobiety chichotały przy tym, zasłaniając sobie usta, lecz Awomay przyjmowała mój gest z godnością. Wyczytałem z jej oczu, że zastanawia się, dlaczego traktuję ją teraz inaczej. Nawet prosiła Gerharda, żeby zapytał mnie o powód zmiany i jak długo ona potrwa. Zapytała też przez niego w imieniu innych kobiet, co trzeba zrobić, żeby ich mężowie zaczęli się zachowywać tak samo.

Wówczas Gerhard, o dziwo, przestrzegł mnie z całą po-

248

wagą, abym przestał traktować tak Awomay, bo moje stawianie jej na piedestale, jak to ujął, tak dalece odbiega od codziennego postępowania tubylców, że inni mężowie mnie znienawidzą, gdy kobiety zaczną im suszyć głowy, żeby traktowali je tak samo, jak ja traktuję Awomay.

Wziąłem sobie jego radę do serca i ponownie zacząłem odnosić się do żony oziębło. Widziałem jej rozczarowanie, ale szybko pogodziła się z powrotem do normalnego

stanu rzeczy. Gerhard zapewnił mnie, że istotą życia Yayomich jest przede wszystkim jego niezmiennosc. Tym ludziom odpowiadały zwyczaje, które obowiązywały tu od niepamiętnych czasów. W zmianach nie upatrywali niczego dobrego, wręcz każda nowosc mogła niesć zagrozenie. Dopuszcili nową sytuację polegającą na przyjęciu pod swój dach delfinów tylko dlatego, że w grę wchodziły siły nadprzyrodzone. Prawdziwe zmiany odrzucali z grymasem obrzydzenia.

Coraz bardziej się rozpadało, wreszcie poziom wody na rzece zaczął się podnosić. Niebawem woda zaleje te tereny i będziemy mogli wdroyć swój plan. I nie pomoga tu żadne grymasy.

Pewnego ranka do shabono wparował Waneeri i podszedł wprost do Manokwy. Ich głośna rozmowa zwabiła innych, toteż niebawem klębili się tam wszyscy, poza małymi dziećmi, wysłuchując krzyków Waneeriego i patrząc, jak skacze w rosnącym podnieceniu. Następnie wszyscy wyszli przez otwór w ścianie i ruszyli nad rzekę, a ja z Gerhardem za nimi.

- Czym oni się tak podniecają? — zapytałem.
- Chyba Waneeri znalazł coś ciekawego.

Wszystkie kanu, w tym niedokończony pień Tagerriego, wyciągnięto na brzeg, żeby nie porwała ich podnosząca się woda. Waneeri poprowadził wszystkich prawym brzegiem rzeki, nie przestając wykrzykiwać i wygrażać pięściami. Zebrali się w na wysokości miejsca, w którym spoczywały kości mamy. Przecisnąłem się z Gerhardem przez tłum. Waneeri opowiadał wszystkim jeszcze raz o swoim znalezisku. Tym razem Gerhard usłyszał i przetłumaczył.

- Mówi, że kiedy wczoraj wieczorem zasnął, a brane za dnia yoppo jeszcze do niego przemawiało, zasnuwając mu sny zielenią

249

i przepełniając je poczuciem zdrady... właśnie owe sny przestrzegły go przed kłamstwami wysokiego delfinowego chłopca... czyli twoimi, Erichu... jakobyś był podszyty zdradą, chociaż zaznałeś gościnności Yayomich... okłamał ich po zaginięciu swojej matki, delfinicy... potem również sny kazały Waneeriemu wrócić tam, gdzie znalazł delfinowego chłopca leżącego z zamkniętymi oczami na ziemi... i poszukać w

rzece... zanim podnosząca się woda uniesie niegodziwy, ukryty tam sekret... dziś więc Waneeri posłuchał snów i udał się tam... wszedł do wody, wymacał palcami nóg... ciało delfinowej kobiety... wyciągnął na brzeg, póki jeszcze było można, bo już wtedy woda podnosiła się i tamowała mu ruchy... i teraz wszyscy Yayomi mogą obejrzeć ciało delfinicy... co dowodzi tego, w co Waneeri zawsze wierzył... że delfinowy chłopiec zamordował własną matkę... po czym utopił jej ciało w rzece, żeby nikt nie odkrył jego straszliwej zbrodni...

Waneeri w kilku susach znalazł się przy stosie gałęzi oraz wielkich tropikalnych liści i je rozgarnął. Lodowaty dreszcz przeszedł mi po krzyżu. Leżała tam mama, kilka ubłoconych kości przymocowanych do kręgosłupa i żeber, a na czaszce nadal blond włosy. Nie miała twarzy i tylko jedną rękę oraz jedną nogę. Wszyscy jęknęli, a mnie aż zemdlilo ze strachu. Właśnie przed takim zdarzeniem przestrzegał mnie Gerhard. A teraz Waneeri, który nienawidził mnie za to, że zabiłem jego kuzyna, wrócił tu zwabiony podejrzeniami. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że przyprowadził go tu głos narkotyku. Musiał mnie szpiegować.

- Cokolwiek zrobisz - ostrzegł mnie Gerhard - nie ulegaj panice, niczego nie daj po sobie poznać.

- Co teraz możemy zrobić?

- Myślę.

Manokwo podszedł do kości, trącił je nogą, po czym ukucnął i podniósł kilka pasemek włosów. Potarł je w palcach, wypuścił, wstał. Wymierzył we mnie palec, powiedział kilka słów. Wszyscy się odwrócili i gapili na mnie, a ja ani drgnąłem, chociaż najchętniej wziąłbym nogi za pas. Od ucieczki powstrzymał mnie tylko szept Gerharda:

- Nic nie mów, nic nie rób.

Wtedy przemówił Gerhard, najpierw do Manokwy, potem do Waneeriego, a potem do pozostałych. Mówił dość długo. Kiedy prze-

250

stał, Manokwo, Waneeri oraz wszyscy, którzy mieli swoje zdanie, zaczęli się kłócić.

- Co im powiedziałaś?

- Powiedziałem, że nie zabiłeś matki, bo widziałeś, jak odpływa z twoim nowym braciszkiem, delfiniątkiem, rzeką. Potem nic już nie widziałeś, bo rzuciła na ciebie zaklęcie, żebyś spał, dlatego zostałeś tutaj i nie popłynąłeś za nimi. Ktoś musiał zabić twoją matkę w chwili, gdy zapadłeś w sen, bo zginęła nieopodal. Żywisz silne podejrzenia, kim jest zabójca i im to powiesz, jeżeli wycofają oskarżenie pod twoim adresem o zabójstwo. Proponujesz również, że poddasz się sprawdzianowi, który zaświadczy, iż nie zabiłeś matki, a przejdiesz go jeszcze dziś po południu na oczach całego shabono. Jeżeli ten dowód nie zamknie ust twoim oskarżycielom, wyjawisz tożsamość prawdziwego zabójcy... mam nadzieję, Erichu, że ten sprawdzian trafi im do przekonania i raz na zawsze zamknie usta Waneeriemu oraz pozostałym, zamiast narażać ich na oskarżenie kogoś przez ciebie. Nie zapomnieli, co spotkało Tagerriego, kiedy podniósł rękę przeciwko tobie, dlatego mamy tu pewne pole manewru. Wszystko sprowadza się do sprytnego blefu.

- A co to za sprawdzian?

- Niestety, będziesz musiał spożyć szczątki matki.

- Co?

- Żaden morderca nie odważy się spożyć szczątków ofiary. Naraziłby się na późniejsze nawiedzanie przez ducha ofiary, a trudno sobie wyobrazić coś gorszego. Nawet tutaj matkobójstwo uchodzi za najgorszą zbrodnię, jeżeli więc posłuchasz mojej rady, powinieneś udowodnić im ponad wszelką wątpliwość, że mówisz prawdę. Żaden Yayomi nie chciałby widzieć na oczy matkobójcy nawiedzonego przez ducha matki. Trzeba by wtedy ewakuować całe shabono, a to ogromny trud zwłaszcza na początku pory deszczowej. Poddaj się temu sprawdzianowi. Oni chcą wierzyć w twoją niewinność, pominąwszy oczywiście Waneeriego, a ja wymownymi spojrzeniami w jego stronę dałem im do zrozumienia, że to jego ewentualnie oskarżysz o zabójstwo. Waneeri już trzęsie się trochę ze strachu, ale nie przypuszczam, że się wycofa, chyba że pod wpływem Manokwy i reszty współplemieńców.

- Nie dam rady...

- Owszem, dasz. Nie masz innego wyjścia, jeżeli chcesz pozostać przy życiu. Klaus będzie musiał zgładzić cię w odwecie za zabójstwo jego żony, a jeśli nie zechce, to zaczną jego podejrzewać o współudział. Musisz przejść ten sprawdzian, Erichu, a wszystko rozejdzie się, jak to mówią, po kościach.

Wiedziałem, że ma rację. Zawsze miał.

Sprawdzian przygotowano pod bacznym okiem całego plemienia. Najpierw kości mamy, które Gerhard przyniósł do shabono, spalono, żeby usunąć resztki skóry, włosów i ciała. Następnie szerniały kości pozostawiono do ostygnięcia, a Gerhard i ja zmiażdżyliśmy je długimi drągami na proch.

Zeppi, który obserwował nas z kolegami, zapytał, co się dzieje. Powiedziałem mu, że szykuje się kolejna ceremonia pogrzebowa i żeby sobie poszedł. Odetchnąłem z ulgą, kiedy mnie usłyszał. Klaus poniewczasie dowiedział się od Gerharda, co się stało.

Przeżył wstrząs na wieść o tym, co mam zrobić, żeby udowodnić swoją niewinność.

- Mój Boże, Erichu, stać cię na to?

- Muszę.

W głębi duszy jednak roztrząsałem, czy naprawdę mnie stać na tak wstrętny gest.

Brzydziłem się spożyć nie tyle sproszkowane kości mamy, ile w ogóle kości.

Awomay już gotowała plantanową zupę, do której mieli wsypać sproszkowane kości, jak pani domu, która szykuje mężowi na drugie śniadanie kanapkę z kiełbasą. Klaus odsunął się ode mnie. Nawet go nie winiłem. W tej sytuacji nie mógł zrobić nic innego, jak tylko czekać i mieć nadzieję, że dopisze mi apetyt.

W końcu sproszkowano wszystkie kości, pozostawało je zatem wsypać do zupy. Nie było go nawet tak dużo, jak się obawiałem, dwie garści drobno zmielonego szarego proszku. Nabrałem go na szeroki liść i zaniósłem do sagana z plantanową zupą.

Gerhard uprzedził mnie, żebym przed wsypaniem prochów wygłosił przemówienie, aby wzmóc efekt, dodać dramaturgii, jak się wyraził. Podniosłem więc liść na wysokość twarzy i wygłosiłem mowę adresowaną do mamy.

- Pewnego razu żył sobie mężczyzna, który miał dwóch synów. Pojechał na wojnę i zginął, zostawiając żonę z synami, których mu-

I

siała wychowywać samotnie. Po jakimś czasie brat owego mężczyzny zaproponował wdowie ożenek. Chciał też pomóc jej wychować synów na takich mężczyzn jak on sam i ich ojciec. Wyjechała zatem z synami hen daleko, za ocean do szwagra, który udał, że ją poślubił. Tam wszyscy czworo utknęli w gigantycznej dżungli, ciągnącej się w nieskończoność, bez nadziei na powrót do domu. W dżungli jednak znaleźli ich miejscowi ludzie i zaprosili do swojego shabono. Matka oszalała i zjadły ją ryby, młodszy brat zamienił się w siostrę, a starszy musiał zjeść kości rodzonej matki. Morał tej historii brzmi następująco: nie wyjeżdżaj z domu, to nie przytrafi ci się nic złego. Amen.

Opuściłem liść i wsypałem mamę do zupy. Awomay z przejęciem zamieszła. Chciałem zobaczyć, czy Noroni i Kwaytcha również są tak przejęci, ale nie mogłem ich odszukać w tłumie. Dostrzegłem Waneeriego, który wyraźnie był wściekły, że za chwilę się wyłgam ze sprawy, pozbawiając go z dawna oczekiwanej satysfakcji. Puściłem do niego oko, nie po to, żeby go bardziej rozzłościć, lecz żeby dodać sobie odwagi. Kucnąłem przy ognisku, nabrałem miskę zupy, poczekałem chwilę, aż wystygnie, po czym podniosłem do ust. Zamknąłem oczy, a kiedy przełknąłem pierwszy haust, usłyszałem westchnienie Yayomich.

Nie wiem, ile misek zupy plantanowej zjadłem, odkąd zamieszkałem w shabono, ale szczerze mówiąc, ta wcale nie smakowała inaczej, może tylko skrzypiała odrobinę w zębach. Większe grudki zmielonych kości nie roztopiły się do końca w zupie, dlatego czułem je między zębami i na języku. Przechyliłem miskę ponownie i znów upiłem, tym razem z mniejszym wahaniem, choć wolniej, żeby widzom nie umknął dramatyzm chwili. Przypominało to spektakl, dramat rozgrywający się w sali sądowej, w którym jako oskarżony dowodziłem swojej niewinności śmiałym posunięciem mającym mi zapewnić zwycięstwo.

Wypiłem tyle, ile wypiłoby pięciuset spragnionych chłopca, że nie mogłem już ani kropli więcej. Czułem, że zaraz pękne. Wietrząc kłopot, Gerhard syknął na Klause: — Wyręcz go trochę, zbolały mężu.

Trzeba przyznać, że Klaus również wychylił dwie miski, kończąc zupę. Wstałem,

czując jeszcze większe mdłości niż przed jedzeniem.

253

- Tylko nie zwymiotuj - przestrzegł mnie Gerhard - bo uznają, że matka usiłuje z ciebie uciec. Musisz za wszelką cenę utrzymać zupę w żołądku.

Okręciłem się dookoła, trzymając miskę przed sobą, odwróconą do góry dnem.

Gerhard wygłosił mowę, którą przetłumaczył potem mnie.

— Dałeś tym samym świadectwo, że nie zabiłeś własnej matki, bo takie haniebne oskarżenie Yayomi wysunęli pod twoim adresem. Wybaczasz jednak wszystkim, łącznie z pewnym osobnikiem, który zasiał w innych ziarno podejrzliwości. Czasem popełnia się błędy, gdy zatem prawda wyjdzie wreszcie na jaw, należy przebaczać, żeby zapobiec rozlewowi krwi, o co powinni zabiegać wszyscy mieszkańcy shabono. Krwawy odwet można brać tylko i wyłącznie na wrogach z zewnątrz, którzy napadają czasem nasze shabono, powodowani złem, okrucieństwem bądź zazdrością. Odkąd Yayomi przyjęli do siebie delfinowych ludzi, nie notuje się tu żadnych napaści, które uprzykrzały wam życie i doprowadzały kobiety do łez, ponieważ delfinowi ludzie sprowadzili szczęście na shabono i wzbudzili strach wrogów. Teraz, z nastaniem deszczy, możecie się już nie obawiać żadnych napaści aż do powrotu suchej pory, a wszystko dzięki delfinowym ludziom, którzy chętnie korzystają z gościny swoich przyjaciół Yayomich i wybaczyli im straszliwą historię, w jaką gospodarze wierzyli przez pół dnia. Gdyby dłużej trwali w tym przeświadczeniu, delfinowy Erich mógłby sprowadzić z nieba błyskawicę, żeby uderzyła w shabono, które stanęłoby w ogniu i obróciło się w perzynę, a wówczas Yayomi nie mieliby schronienia przed deszczem, ponieśliby zatem sprawiedliwą karę za swoje błędne przekonanie. Tak się jednak nie stało, bo wszystko zostało przebaczone, a wszyscy tu obecni żyją w przyjaźni tak jak przedtem.

Odniosłem wrażenie, że mowa zadowoliła wszystkich, a w odpowiedzi Manokwo wygłosił swoją i poprosił, żeby Gerhard przetłumaczył mnie. W długim, zawiłym przemówieniu położył nacisk na szczególne miejsca zajmowane przez Yayomich w świecie, o czym powszechnie wiadomo i co potwierdziło przybycie delfinowych ludzi, przyjaciół Yayomich, którzy mogą tu pozostać na zawsze. Yayomi

wyrażają głęboki smutek z powodu śmierci matki delfinicy i jeszcze głębszy z powodu karygodnej omyłki, która jednak należy do wybaczonej już przecież przeszłości, odtąd zatem wszyscy będą żyli szczęśliwie jak jedna wielka rodzina. Oficjalnie więc potwierdzono moją niewinność. W tym momencie niebiosa uznały za stosowne otworzyć się i chlusnąć popołudniowym deszczem, i natychmiast wszyscy mieszkańcy shabono rozbiegli się do swoich hamaków, żeby żuć tytoń, bawić się z papugami albo uciąć sobie drzemkę, dopóki nie przestanie padać. Zeppi przybiegł wraz z kolegami do shabono i teraz szukał, gdzie by się schować. Mitzi wczepiła mu się we włosy, a piersi podskakiwały mu i perliły się kroplami deszczu. Kiedy mnie dopadł, zdyszany, wysapał:

- Biegliśmy całą drogę powrotną!
- To dobrze, Zeppi.
- Pogrzeb już się skończył?
- To była kremacja, nie pogrzeb.
- A kogo spalili?
- Kobietę.
- Dlaczego oni je palą?
- Bo uważają, że pozostawienie ciała, żeby zgniło w ziemi, to zła przysługa dla nieboszczyka.
- Ojej.
- Idź już sobie, bo mnie boli brzuch.

Poszedł. Zostałem, bujając się wolno w hamaku, deszcz ściekał po okapach, a mój brzuch skarżył się na swoje brzemię. Wszystko dlatego, że po zjedzeniu zupy plantanowej długo męczą gazy. Jeszcze przez kilka godzin wiatry po tak sutym posiłku odchodziły szmerkami i wybuchami, aż wzdęcie zaczęło przechodzić. Niegdyś mama nosiła mnie w brzuchu, po czym wydała mnie przez pochwę na świat. Teraz ja nosiłem mamę w brzuchu, a wkrótce miałem wypuścić ją na zewnątrz tyłkiem.

Świadom, że niebawem wyjeżdżamy, wkroczyłem w nową, dziwną fazę, w której

całe otoczenie postrzegałem jako nie do końca rzeczywiste. Jediną rzeczywistością był dla mnie plan ucieczki. Niby

255

nie mieszkaliśmy w więzieniu ani nie byliśmy jeńcami Yayomich, ale Gerhard wyłożył mi dobitnie, że wszystkie nasze niemożliwe do spełnienia obietnice dotyczące zamiany płci Zeppiego zmuszają nas do ucieczki, zanim wódz upomni się o swoje.

Zgodnie z zapowiedzią Gerharda deszcze tego roku padały obficie niż zwykle. Zwyczajna popołudniowa ulewa przybierała postać burzy z piorunami, podczas której klepisko w shabono obracało się w błoto i nie miało szans wyschnąć przed ulewą nazajutrz. Wszyscy chodzili bez przerwy z ubłoconymi nogami. Schronienie można było znaleźć tylko na hamakach, toteż wszyscy godzinami się na nich wylegiwali, zrezygnowani, z nieszczęśliwymi minami, prawie nie odzywając się, bo i tak zagłuszyłyby ich grzmoty. Skwar był większy niż zwykle, ponieważ deszcz nie przynosi ochłody, a jedynie zwiększał wilgotność powietrza.

Gerhard zaczął znów czuć objawy gorączki malarycznej i poprosił Klausa o chininę, lecz Klaus, nawet nie zaglądając do torby, odparł, że już nie ma. Nie uwierzyłem, podobnie zresztą jak Gerhard, sądząc po jego minie, ale nie wpadł bynajmniej w rozpacz, lecz obrócił sprawę w żart.

- Jak tylko deszcz ustanie, skoczę do apteki i dokupię.

Klaus nawet się nie uśmiechnął.

Gerhard położył się na hamaku, a ociekał tak obficie potem, że powstała pod nim kałuża. Przemknęło mi nawet przez myśl, żeby podwędzić Klausowi lekarstwo z torby, ale ulotki do wszystkich środków były w języku portugalskim, nie wiedziałbym zatem, które pigułki są na co. Poza tym Klaus dzień i noc trzymał torbę na podorędziu, mógłbym więc nie móc mu jej podkraść. Było mi jednak żal Gerharda, kiedy patrzyłem, jak pot spływa zeń strugami w błoto pod hamakiem i jak mruczy pod nosem. Jeżeli wcześniej nienawidziłem Klausa, to teraz znienawidziłem go w dwójnasób.

Któregoś dnia przed południem, godzinę przed spodziewaną ulewą, przyszedł do

mnie Zeppi, czerwony na twarzy, zasłaniając sobie genitalia.

- Erichu, boli mnie siusiak i nie chce przestać.
- Pokaż.

256

Odsłonił. Członek miał tak spuchnięty, że był dwa razy większy niż zwykle.

- Ojej, bardzo mnie boli - wyjęczał ze łzami w oczach.
- Coś cię ugryzło? Pająk albo inny owad?
- Chyba nie. Zrób coś, żeby przestało boleć.
- Chodź ze mną.

Poszliśmy do Klaus, który patrzył tępo przed siebie.

- Klaus, Zeppiemu coś się stało.

Odwrócił się do nas.

- Co się stało?
- Spuchł mu członek.

Klaus ożywił się, jak przystało na lekarza i obejrzał Zeppiego.

- Nie mam pojęcia, co ci jest. Boli cię tylko tam, gdzie spuchło?
- Brzuch też mnie boli - odparł Zeppi i aż się skrzywił z bólu.
- Idź po Wentzlera - poprosił mnie Klaus.

Gerhard, blady, w gorączce, leżał na swoim hamaku i pocił się obficie. Kiedy powiedziałem mu o Zeppim, z nie lada trudem zwlekł się z hamaka. Wspierając się na mnie, podszedł do pozostałych. Obejrzał spuchnięty członek Zeppiego.

- No nie... - powiedział takim tonem, że ścisnęło mi się serce. - Zeppi, powiedz mi, sikałeś w rzece podczas kąpieli?
- Czasem sikałem.
- Przecież ostrzegałem cię. Źle się to skończyło...
- Dostały się tam te małe rybki? — spytałem.
- Tak, to na pewno candiru. Idź po Noroniego.

Pobiegłem po swojego teścia. Noroni na widok członka Zeppiego bardzo się zafrasował i zaczął kiwać głową. Gerhard zamienił z nim szybko kilka słów i powiedział:

- Zaleca yoppo dla uśmierzenia bólu.
- Yoppo nie wystarczy - orzekł Klaus. - Musimy coś zrobić.

Gerhard wziął Klause oraz mnie na stronę i powiedział szeptem:

- Na to nie ma żadnego lekarstwa, nie ma jak usunąć tych rybek z penisa. Będą tam tkwiły aż do jego śmierci. Noroni nie widział nikogo, kto przeżyłby z candiru. Zawsze ich ofiarą padają mali chłopcy, bo nie słuchają rad starszych.

17 — Biali bogowie

257

- Chcesz powiedzieć, że chłopak nie ma żadnych szans? - zapytał Klaus.
- Żadnych. Noroni przygotowuje szczyptę yoppo. Nie możemy mu bardziej pomóc, chyba że miałbyś dla niego odrobinę morfiny.

Tymi słowami dał wyraźnie do zrozumienia, co myśli o Klausie, lecz ten przemilczał jego aluzję. Od kilku tygodni nie widziałem go tak przytomnego.

- Nie mam nic na uśmierzenie bólu, ale mam narzędzia. Yoppo będzie musiało posłużyć mu za znieczulenie.
- Co za idiotyzm! - skomentował Gerhard.
- Bo nie dotyczy ciebie. - Klaus obruszył się i zwrócił do mnie. - Erichu, to twój brat. On nie ma nikogo bliższego, dlatego proszę ciebie o wyrażenie zgody na zabieg chirurgiczny. Podejmij decyzję natychmiast. Ten dzieciak najwyraźniej przechodzi katusze.

- Ale bez środka usypiającego...
- Wystarczy odpowiednia dawka yoppo. Ten środek może nie tyle blokuje doznanie fizyczne bólu, ile... przekierowuje je w bok. Przecież sam to przeżyłeś, Erichu.

- Tyle że wtedy nic mnie nie bolało.

Klaus nalegał.

- Zdecyduj się. Jeśli go nie zoperuję, umrze w męczarniach.
- W takim razie zgadzam się.

Co miałem powiedzieć? Noroni biegł już do nas z mieszkiem yoppo i rurką do nosa. Zeppi zwijał się z bólu. Podszedłem i objąłem go. Był zlany potem, dygotał

niemiłosiernie. Usłyszałem, jak Klaus rzuca polecenie Gerhardowi, żeby kobiety jak najszybciej przygotowały wrzątek.

- Posłuchaj, Zeppi - powiedziałem. - Stryj Klaus wyjmie ci te rybki, ale może cię trochę boleć, dlatego dostaniesz miejscowy środek znieczulający. Muszą ci go wdmuchnąć nosem. Widziałeś, jak go wdmuchują mężczyznom? Sam go spróbowałem, Gerhard i Klaus również. Na początku, kiedy ci go wdmuchają, poczujesz się dziwnie, ale potem wszystko będzie dobrze. Zgadzasz się?

- Tak - wycedził przez zęby.

- Noroni już idzie. Podnieś głowę i staraj się nie podskakiwać, kiedy będzie wdmuchiwał. Zaraz ból minie.

258

Sam nie wierzyłem we własne zapewnienia, ale Zeppi już uniósł głowę, gotów przyjąć rurkę. Obstało go pół shabono. Wsadziłem rurkę do lewej dziurki w nosie Zeppiego, Noroni mocno dmuchnął. Zeppi kopnął jeden raz o ziemię, lecz zaraz się odprężył. Włożyłem mu więc rurkę do prawej dziurki i po drugim dmuchnięciu wyprostował nogi. Oczy wyszły mu na wierzch, co przyjąłem za dobry znak, bo jeszcze przed chwilą zaciskał powieki z bólu.

Klaus spojrział w jego źrenice.

- Poczekajcie chwilę - zakomenderował - i powtórzcie dawkę.

- Nie przesadzajcie - sprzeciwił się Gerhard.

- Postaw się w jego położeniu - odparł Klaus. - Za chwilę rozplątam mu penisa.

Gerhard nie skomentował. Osłabiony malarią, nie miał siły się kłócić. Pomogłem Noroniemu wdmuchnąć kolejną porcję zielonego proszku Zeppiemu, aż jego ciało kompletnie uległo zwiotczeniu. Oczy miał szeroko otwarte, chociaż próbowałem mu je zamknąć. Był gotów. W ciągu kilku minut zagotowała się woda. Klaus wyjął z czarnej torby kilka narzędzi, włożył je szczypcami do wody, następnie wyjął buteleczkę środka dezynfekującego i polał sobie ręce aż do łokci.

- Pożalowania godne warunki - rzekł. — Podnieście go teraz i połóżcie na hamaku.

Usłuchałem, a Klaus kazał mi rozłożyć Zeppiemu nogi. Penis stanął mu jak gruby

korzonek.

- Przydałby się stół - utyskiwał Klaus. - Hamak będzie się bujał, a ja muszę mieć twarde podłoże.

Ukląknęłam pod Zeppim na czworakach i wygiąłem plecy tak, żeby wpasowały się idealnie w jego plecy.

- I jak teraz?

- Doskonały pomysł! Nie ruszaj się, muszę mu zdezynfekować genitalia.

Usłyszałem plusk i poczułem silny odór środka dezynfekcyjnego.

- Powiedz tym dzikusom, żeby nie podchodzili tutaj i zrobili mi miejsce.

Wystarczyło kilka słów, żeby wiele par nóg cofnęło się o kilka kroków.

259

- Wentzler, będziesz moim asystentem. Podaj mi mały skalpel. Ale szczypcami.

Słyszałem, jak Gerhard biegnie po sagan z wrzątkiem, potem wraca.

- Zaczynamy - oznajmił Klaus i chwilę później poczułem, że Zeppi drgnął, kiedy wbił się w niego skalpel. Zaraz jednak znów się odprężył. Byłem ciekaw, o czym teraz myśli. Miałem nadzieję, że nie kojarzy, co się dzieje z jego ciałem. Ze śni mu się dom, wizyta w sklepie Frau Ulrich ze słodyczami albo w piekarni na naszej ulicy, gdzie opycha się ptysiami i cukierkami, odpływając na różowym, cukrowym obłoku błogości.

Klaus uwijał się, nie przestając komentować.

- Niepodobna stwierdzić, na którym odcinku cewki moczowej utkwiała rybka, musimy więc zacząć od środka i posuwać się w głąb... Nic... Czyli trzeba głębiej...

Niestety rybka przeniknęła głębiej, niż sądziłem... Wentzler, proszę o srebrne kleszcze... Muszę zatem sięgnąć jeszcze głębiej... Niemożliwe, że dotarła aż do prostaty... Chyba mi tu nie zemdlejesz, Wentzler?

W tym momencie Gerhard stracił przytomność i osunął się tuż obok mnie. Twarz miał bladą, błyszczącą od potu, oczy zamknięte.

- Stryju, mam wstać i mu pomóc?

- Najlepiej pomagasz tam, gdzie jesteś. Dzięki naszemu omdlałemu przyjacielowi na razie wszystko mam pod ręką. A ty się, Erichu, nie ruszaj.

Potem pracował już w milczeniu. Co jakiś czas Zeppim wstrząsał dreszcz. Za którymś razem zląkłem się, że zsunie mi się z pleców.

- Coś niemożliwego! - rzekł Klaus. - Yoppo! Yoppo! - Zobaczyłem nogi Noroniego i usłyszałem, jak wdmuchuje Zeppiemu kolejną dawkę proszku. Mój brat ponownie opadł bezwładnie. - Teraz lepiej - powiedział tylko Klaus i wrócił do pracy. Gerhard leżał bez ruchu podobnie jak Zeppi i poświstywał tylko przez nos. Jeszcze go nie widziałem w tak złym stanie.

Plecy miałem śliskie od potu, Zeppi również. Ponadto ciekła po mnie jego krew. Spływała mi czerwonymi strugami po bokach, żebrach i kapiała w błoto pode mną. Bolały mnie ręce i nogi od utrzymy-

260

wania bez ruchu ciała brata, głowa ciążyła mi u szyi jak kula armatnia. Oślepił mnie spływający do oczu pot. Klaus nucił coś pod nosem. Yayomi przyglądali się w absolutnym milczeniu. Wkrótce usłyszałem grzmot, a następnie lunął deszcz. Klaus zaczął nucić głośniejsz, żeby jego głos wzbił się ponad szum ulewy, potem zaczął śpiewać! Zaśpiewał kilka zwrotek jednej piosenki, potem drugiej, chyba z jakiejś nieznanej mi operetki. Przyznam, że miał niezły głos.

- Stryju, znalazłeś rybkę?

- Rybkę? A tak, już jakiś czas temu. Wybacz, ale pochłonał mnie ten zabieg. Na śmierć zapomniałem, że tam klęczysz! Cha, cha, cha! Owszem, usunąłem już tę ohydłą rybkę.

- Kończysz niedługo?

- Niedługo. Muszę usunąć nadmiar tkanki i oczyścić brzegi. Wytrzymasz jeszcze chwilę, chłopcze?

- Tak.

- Teraz potrzebna mi igła z nitką, ale nie przejmuj się, sam sobie wezmę.

Odszedł do ogniska i wrócił, pogwizdując wesoło.

- To już ostatni etap, szycie. Proszę cię o chwilę cierpliwości.

- Wytrzymam.

Nucił, śpiewał, gwizdał. Gerhard leżał tam, gdzie upadł. Nikt nie podszedł, żeby go

podnieść. Wydawało się, że śpi kamiennym snem. Nie był już blady, dlatego nie próbowałem go budzić. Zresztą i tak nie mogłem ruszyć ręką. Ścierpłem na całym ciele, zastygłem jak stół, klęcząc długo w jednej pozycji.

- Już kończę, Erichu.

Klaus zmienił się nie do poznania. Z ubłoconego żywego trupa stał się pełnym animuszem, pewnym siebie profesjonalistą. Chyba dlatego, że dostał sposobność zrobienia czegoś, do czego go przyuczono, mógł ulżyć ludzkiemu cierpieniu oraz użyć skalpela, żeby wyciąć coś niepożądanego. Znow stał się lekarzem, a nie rzeźnikiem.

Zrozumiałem, że zbieram argumenty dla Gerharda. Klaus uratował Zeppiego od straszliwej śmierci, okropnego bólu i cierpienia, czyli postąpił jak prawdziwy lekarz. Gdybyśmy zabrali go znow do cywilizacji, mógłby jak dawniej zostać pełnoprawnym lekarzem

261

m

i pomagać ludziom, zamiast wdmuchiwać sobie yoppo w nos. Mógłby rozpocząć nowe życie, jeśli tylko pomogę mu się utrzymać w ryzach. Był w końcu moim stryjem, dlatego czułem, że jestem mu to winien.

- Koniec! - zawołał Klaus, odchodząc od hamaka. — Erichu, wyjdź stamtąd i zobacz!

Wysunąłem się spod hamaka, czując, jak oddziera mi się od pleców, jakby schodziła mi skóra. Wokół siebie zobaczyłem czerwone błoto. Wstałem pomału, mięśnie rąk i nóg aż mi wyły z bólu. Zeppi był od pach po kolana unurzany we krwi. Nie sądziłem, że tyle jej popłynie. Sam zresztą byłem czerwony od szyi po tyłek. Dookoła unosił się zapach krwi. Yayomi patrzyli na Zeppiego, Klause i na mnie. Widziałem, że nic z tego nie rozumieją, bo nigdy nie słyszeli o zabiegach chirurgicznych. Z pewnością osłupieją, kiedy Zeppi wstanie po obudzeniu zdrowy. Klaus kopnął lekko Gerharda, który się poruszył.

- Wentzler, już po wszystkim. Przekonaj się na własne oczy. Bylebyś tylko znow nie zemdlął.

Odciągałem chwilę, w której spojrzę na Zeppiego. Czułem zawroty głowy i mdłości. Chciałem popatrzeć razem z Gerhardem, żebyśmy wspierali się nawzajem. Gerhard podniósł się bardzo powoli, z niepewną miną.

- Przepraszam. Długo byłem nieprzytomny?

Odwrócił się do Zeppiego i szczeka mu opadła.

- Nie histeryzuj - poprosił Klaus. - Wygląda to gorzej, niż jest w rzeczywistości. Nie miałem pielęgniarki, która usuwałaby na bieżąco krew. Patrzcie - zachęcił nas niczym cukiernik, który właśnie upiekł trzypiętrowy tort. - Zobaczcie, co zrobiłem. Spójrzcie panowie, oto moje dzieło.

Podeszliśmy, spojrzeliśmy. Brzuch Zeppiego przypominał zaplecze sklepu rzeźnika. Widziałem tylko ogromne nacięcie między nogami, zeszyte czarnym końskim włosiem. Wyglądało jak pęknięty ukwiał oblepiony drobnymi martwymi owadami. Coś mnie ścisnęło w dołku. Jeszcze nie dotarło do mnie, co mam przed sobą.

- A gdzie... gdzie jego kutas i jaja?

- Usunąłem mu zewnętrzne narządy płciowe - wyjaśnił Klaus z dumą profesora chirurgii podczas wykładu dla studentów. - Usu-

262

nałem komplet narządów męskich, łącznie z prostatą. Oto jesteście, panowie, świadkami rozwoju medycyny.

- Rybka... - wysapał obok mnie Gerhard.

- Właśnie, rybka stworzyła mi tę szansę. Gdyby nie ona, nigdy nie miałbym okazji do zabiegu. Niejednokrotnie historię tworzą szczęśliwe zbiegi okoliczności, tak jak w tym wypadku.

- Ale coś ty zrobił?

- Co? Przekształciłem młodego Zeppiego w istotę, jaką od początku chciała zeń stworzyć natura. Zamieniłem go w kobietę!

Ten nagus umazany krwią, promieniał szczęściem, dumny z istoty, która, skąpiana we krwi, leżała przed nim w hamaku. Deszcz bębnił o dach, o ziemię i o mój mózg.

- Przecież... miałeś tylko wyciąć rybkę, jedną małą rybkę...

- Gorszy chirurg ode mnie zadowoliliby się takim poślednim zadaniem. Ja jednak

spojrzałem na sytuację z szerszej perspektywy, zrozumiałem, że trzeba skorzystać z okazji, wykonać zabieg od razu, nawet w tak karygodnych warunkach... i wykonałem! Nawet Muller z Berlina nigdy nie podjął się przeprowadzenia całej transformacji! Zeppi ma teraz pochwę, którą natura od początku powinna go była obdarzyć, czyli jest normalnym przedstawicielem Homo sapiens płci żeńskiej. Dzięki mnie! Przyroda dała Zeppiemu za dużo, musiałem mu więc trochę ująć i przerobić go z mężczyzny na kobietę. Kiedy się obudzi, na pewno mi podziękuje. To może chwilę potrwać, bo nie wiem, jak długo będzie działała taka dawka narkotyku... ale na razie środek zdał egzamin. Oto Zeppi leży przed nami jak Królowna Śnieżka. Zasypiał jako chłopiec, a obudzi się jako dziewczyna.

Gerhard podszedł bliżej. Ja nie miałem odwagi.

- Zeppi nie żyje - powiedział.
- Mylisz się - zapewnił go Klaus. - Żyje. Tylko śpi.

Przełamałem się i podszedłem bliżej. Zeppi nie oddychał. Zbrzydła krwią pierś zastygła w bezruchu. Oczy miał na wpół otwarte, źrenice wywalone do góry. Nie żył. Mógł nie żyć już od dłuższego czasu, mógł już nie żyć, kiedy Klaus zaszywał mu potworną ranę, nucąc i pogwizdując. Stałem jak sparaliżowany. Nie widziałem przed

263

sobą brata, a jedynie udreńczone ciało, pocięte, zmasakrowane i pozszywane w fikcyjnej operacji wykonanej przez szaleńca.

Cofnąłem się, wyszedłem spod dachu na otwartą przestrzeń pośrodku shabono i tam zwymiotowałem. Stałem tam, dopóki deszcz nie zmył ze mnie krwi Zeppiego. W głowie mi się kręciło. Nie mogłem uwierzyć w to, co rozegrało się za moimi plecami. Na pewno Zeppi gdzieś tu się bawi z kolegami, małpka siedzi mu na ramieniu, a on zaśmiewa się w słońcu. Niemożliwe, żeby Klaus zrobił coś takiego rodzonemu bratankowi, przybranemu synowi. Trudno wyobrazić sobie szaleńca, który pokroi trupa i z dumą pokaże światu. Nie sposób zrozumieć jego postępków ani go wybaczyć. W duchu rozpaczałem za Zeppim, a w głowie już układałem plan, jak by tu zabić stryja. Klaus Linden zapłaci życiem za tę zbrodnię, a także za inne niezliczone

morderstwa, którymi się przechwalał. Wówczas kto inny stracił bliskich, lecz teraz ja straciłem Zeppiego, przeżywałem tragedię. Niewystarczająco go kochałem, a teraz Klaus, szalony rzeźnik, mnie go pozbawił. Deszcz chłostał moją zwróconą ku niebu twarz. Nie było na niej łez, które mógłby omyć. Tragedia, która spotkała Zeppiego, wymykała się łzom.

Słyszałem za sobą kłótnię Gerharda z Klausem.

- Proszę się przyjrzeć uważniej, Herr Doktor. Przekona się pan, że pacjent zszedł.
- Pacjent jest znieczulony. Proszę mnie nie pouczać w mojej dziedzinie.
- Pan wybaczy, łaskawco, sądziłem, że właśnie śmierć to pańska dziedzina.
- Niechże pan odejdzie od niego... od niej. Nadal istnieje ryzyko infekcji.
- Jak pan sobie życzy, Herr Doktor. I pańskim zdaniem rokowania są dobre? Zeppi obudzi się i zapyta o swoją małpkę? A kiedy dorośnie, zajdzie w ciążę? Bo wszył mu pan macicę, prawda?
- Niezmiernie ubolewam, ale nie było to możliwe.
- Może następnym razem.
- Może.

Gerhard podszedł do mnie.

264

- Erichu, nie wiem, co powiedzieć...
- Nic. Ja go zabiję.
- Klausem zajmiemy się później. Na razie bawi na sali operacyjnej własnego umysłu, rozdziela ukłony, planuje wykłady, odbiera nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny. Bardziej zajmuje mnie teraz co innego. Do dżungli przybyły cztery delfiny, a zostały dwa, przy czym jeden na oczach Yayomich zabił swojego ziomka. Nie poradzą sobie z tym, dopóki nie podsunę im zgrabnego wyjaśnienia, chociaż i tak nie ma pewności, czy mi uwierzą. Bardziej prawdopodobne, że uznają, iż byli świadkami wyszukanego zabójstwa. Manokwo dostanie szału, bo po raz kolejny złotowłosa panna młoda wymknęła mu się z rąk. Ktoś będzie musiał za to zapłacić, niekoniecznie tylko Klaus. Mam wrażenie, że magia przestała działać. Wszystkim

nam grozi niebezpieczeństwo.

- Nic mnie to nie obchodzi. Zabiję łotra, mniejsza o to, kto mnie przy tym zobaczy.
- Erichu, zastanów się, jeśli ci życie miłe.
- Nie mów mi, co mam robić.
- Zrozum, jeśli narazisz nas jeszcze bardziej, zostawię cię na pastwę losu, żeby ratować własną skórę. Nie mam szacunku dla niemądrych ludzi. Jeśli ruszymy głowami, wyjdziemy z tego cało. Schowaj ambicje do kieszeni, muszą czekać stosownej chwili. Jeszcze raz wszystko przemyśl. Spróbuję teraz nakłamać Manokwie, a następnie przygotuję stos całopalny dla Zeppiego. Musimy zachować się zgodnie z oczekiwaniami. Na kolację w jadłospisie mamy tylko jedno danie - dobrze ci znaną zupę plantanową.

I odszedł. Słyszałem jeszcze, jak serwuje Yayomim stek kłamstw, żeby wyjaśnić posunięcia delfinów. Tłum otaczający hamak Zeppiego zaczął się rozchodzić. Dwóch kolegów Zeppiego płakało, Mitzi szalała wokół, bujała się na kolejnych drągach wspierających dach shabono, bo czuła, że coś strasznego spotkało jej pana. Klaus pilnował ciała, ale minę miał już znacznie mniej pewną niż przed kilkoma minutami. Prawda wdzieriała się na obrzeża jego pola widzenia, zasnuwając chytrze cieniem jego ogromny wyczyn, tak jak chmury zakrywają słońce.

265

Patrzyłem na Klause, do którego powoli docierało, że jest tylko nagim mężczyzną stojącym nad zmarłym chłopcem, którego zabił. Zdradził go wyraz oczu. Na chwilę odzyskał zdrowe zmysły.

- Już wiesz, co zrobiłeś? — spytałem. Nie miałem odwagi spojrzeć na Zeppiego ani wskazać go palcem.
- Zabiła go mała rybka... rybka wykałaczkowa.
- Tyś go zabił, stryju.
- Rybka i tak by go zabiła. Tak twierdził Gerhard i Indianie.
- Przecież ją wyciąłeś. Zeppi przeżyłby zabieg, może z blizną na członku, ale pozostałby przy życiu. Zabiły go twoje dalsze poczynania.

- Erichu, brak ci kwalifikacji do wydawania sądów w sprawach medycznych.

Nie krytykuj tego, czego nie rozumiesz.

- Jasne, stryju. Teraz pochowamy Zeppiego. Ale już nam nie pomagaj.

Zostawiłem go i poszedłem z Gerhardem, który patrzył w ślad za odchodzącym Manokwą.

- Co mu powiedziałeś? - zapytałem.

- Tym razem prawdę, może nieco ubarwioną. Powiedziałem, że Klaus próbował wyciąć candiru, ale naciął za głęboko i Zeppi umarł z upływu krwi. Teraz ubolewa, że pozbawił Manokwę jego drugiej panny młodej, ale nie ma na to rady.

- A co wódz na to?

- Nic, i to mnie właśnie martwi. Chyba powinniśmy uciec dziś wieczorem.

Jeszcze dzisiaj rytualna kremacja i wypicie zupy z Zeppiego odwróci od nas uwagę, ale jutro rano sytuacja może wyglądać inaczej. Musimy uciec dzisiaj, nie czekając już na powódź. I tak przeciągnęliśmy gościnę. Rozumiesz?

- Tak.

- Kto poinformuje Klause, ty czy ja?

- Ty. Ja nie mogę na niego patrzeć.

- Dobrze. A teraz zajmijmy się wzniesieniem stosu całopalnego.

Kiedy zabraliśmy się do roboty, deszcz ustał. Większość drewna opałowego w shabono była mokra, ale spiętrzyliśmy je w tradycyjny sposób, tak jak przedtem dla Tagerriego i mamy, położyliśmy

266

Zeppiego w zakrwawionym hamaku na przygotowanym dla niego prowizorycznym drewnianym katafalku, który obłożyliśmy drewnem, żeby go zakryć. Wyjąłem płonącą szczapę z jednego z ognisk kuchennych i położyłem na stosie Zeppiego. Nie zajął się, dopóki Gerhard nie dołożył chrustu, a po chwili, kiedy drewno na stosie podeschło, buchnęło wreszcie ogniem i jaskrawe płomienie uplotły mojemu bratu kołyskę.

Odstąpiłem do tyłu i patrzyłem, jak się pali, wdychając smród skwierczącego ciała, mimo wszystko czystszy od zapachu krwi nadal unoszącego się w powietrzu. Zapadł

już zmierzch, a ogień buzował sympatycznie, rozpraszając ciemności, oświetlając wnętrze shabono złocistą łuną.

W odróżnieniu od poprzednich spaleń, jakie tu widziałem, stos Zeppiego nie wzbudził zainteresowania Yayomich, wręcz trzymali się od niego jak najdalej. I bez Gerharda wiedziałem, że to zły znak. Właśnie dokładałem do ognia, Awomay zaś przygotowała plantany na zupę, gdy nagle podszedł Manokwo i kazał jej przestać. Usłuchała, spojrzała na mnie z ukosa, dając mi do zrozumienia, że nie może mu się sprzeciwić. Skinąłem głową, aby wiedziała, że jej nie winię. Odesłał ją na hamak, a jej plantany kazał rzucić na stos. Nie będzie zupy za Zeppiego, wyraźnie brzmiała wiadomość, ani dla żywych delfinów.

Klaus stanął przy Gerhardzie i przy mnie. Nie chciałem go widzieć na oczy, ale głupotą byłoby się kłócić z nim na oczach Yayomich.

- Coś jest nie tak - powiedział. - Dlaczego oni mają takie posępne miny?
- Drobiazg. Zmarło dziecko - przypomniał mu Gerhard.
- Takie rzeczy się zdarzają - odparł oschle Klaus.
- Przy tobie zapewne są na porządku dziennym.
- Nie podoba mi się twój ton, Wentzler.
- Posłuchaj, Herr Doktor, dziś wieczorem uciekamy. Zwinęli dywan powitalny. Pozwól, że powody omówimy później. Erich i ja zamierzamy ukraść kanu i uciec stąd, kiedy wszyscy będą spali. Prawda, Erichu?

267

*

- Prawda.
- Możesz uciec z nami albo zostać i zabawiać Yayomich swoimi chirurgicznymi zdolnościami. Proponuję, żebyś na dobry początek sam sobie podciął gardło, zanim oni zrobią to za ciebie. Jedziesz z nami?
- Jak mógłbym odrzucić tak serdeczne zaproszenie?

Czekałem, co Gerhard powie dalej.

- Plan jest prosty. Najpierw, kiedy zgaśnie ogień, zmielimy kości Zeppiego. W tym czasie Yayomi zostawią nas w spokoju z szacunku dla zmarłych. Wygląda na to,

że nie będziemy musieli pić tradycyjnej zupy z kości, ja natomiast wygłoszę krótką mowę, że chcemy wyrzucić prochy do rzeki, co chyba pasuje do wizerunku delfinów, prawda? Zaniesiemy je tam we trzech, a kiedy znajdziemy się przy kanu, złapiemy pierwsze z brzegu i spuścimy na wodę. Z powodu deszczu wszystkie leżą do góry dnem, a pod każdym znajdują się wiosła. Żebyście tylko o nich nie zapomnieli.

- A jeżeli popłyną za nami? - spytałem.

- Nie przypuszczam. Skoro nas odrzucili, to znaczy, że chcą nas za wszelką cenę unikać. Traktują nas jak intruzów ze śmierdzącymi pachami w małym pomieszczeniu, a zatem istnieje duże prawdopodobieństwo, że pozwolą nam odejść z shabono z prochami Zeppiego. Podkreślam z całą mocą, żebyście nie brali nic innego. Co znaczy, że musisz się rozstać z torbą - rzekł, zwracając się do Klausea.

- Nie ma mowy. Te narzędzia są bardzo drogie. Cóż ze mnie byłby za lekarz bez narzędzi?

- A co z ciebie za lekarz z narzędziami?

- Przestańcie - poprosiłem. - Nie czas teraz na kłótnie.

- Jeżeli zobaczą, że bierzesz torbę, idąc tylko nad rzekę, zrozumieją, że nie masz zamiaru wrócić. Rusz głową i zostaw torbę.

Ponieważ Klaus milczał, Gerhard wrócił do swojego wywodu.

- Jeżeli będziemy mieli pecha i ruszy za nami pogoń, nie bacząc na nic, pędzimy do kanu. Yayomi nie lubią po zmroku opuszczać shabono, bo uważają, że noc jest siedliskiem duchów. Mogą się więc bać nas ścigać. Czy obaj akceptujecie plan?

268

Skinąłem głową. Klaus prychnął.

- Pamiętajcie - dodał Gerhard - że to nasza ostatnia szansa. Musimy wiać teraz, zaraz.

Potem patrzyliśmy już tylko w płomienie. Gdy już doszczętnie pochłonęły ciało Zeppiego, po godzinie smród palonego ciała nieco zelżał. Yayomi zjedli kolację, wcale nas nie częstując, a Gerhard nas przestrzegł nas, żebyśmy się nie dopominali, bo możemy ich tylko sprowokować. Twierdził, że tak ryzykowną wyprawę lepiej zresztą podjąć na pusty żołądek, bo mniejsza szansa, że się zesramy, jeśli nasz plan

spali na panewce. Wziąłem jego słowa za żart.

Po kolacji Yayomi wrócili na swoje hamaki, tyle że nie trajkotali ani nie dokazywali jak zwykle. Patrzyli w milczeniu, jak dbamy o stos Zeppiego, zagarniając tłące się coraz słabiej węgle, które w końcu zagasły. Gerhard szepnął, że jeśli przeciągniemy mielenie do świtu, zdążą zasnąć wszyscy Yayomi, a wtedy zdołamy się wymknąć, nie korzystając nawet z pretekstu, że musimy rozsypać prochy w rzece. Zbliżała się chyba północ, większość ludzi wokół nas już chrapała.

Gerhard przyniósł drągi do mielenia, a myśmy przegrabili ognisko, żeby wygarnąć kości Zeppiego. Brat miał mniejszy stos od stosu mamy. Pracowaliśmy jedynie w blasku księżyca, bo pozostałe ogniska już przygasły. Zaczęliśmy ucierać kawałki kości na proch.

Pracowałem tylko z Gerhardem. Najwyraźniej Klaus potraktował poważnie moją prośbę, że nie chcę jego pomocy. Siedział z boku ze swoją torbą medyczną i przyglądał się nam. Kiedy skończyliśmy ścierać kości na pył, pod dachem shabono nadal panowały ciemności, trudno więc było ustalić, czy ktoś jeszcze czuwa i nas obserwuje.

- Rozegramy to następująco - powiedział szeptem Gerhard, odkładając drąg. - Na wypadek, gdyby ktoś się obudził, zabierzemy prochy. Erichu, będziesz je niósł na głowie, żeby to wyglądało na delfinowy obrzęd. Wszyscy razem, wolnym, miarowym krokiem, wymaszerujemy przez otwór w ścianie. Ja pójdę przodem, będę rozgarniał cierniste krzewy, żeby wszystko wyglądało na rytuał. Pod żadnym pozorem nie wolno nam się spieszyć. Nawet najmniejsza oznaka pośpiechu uzmysłowi patrzącym, że uciekamy. Rozumiemy się? W takim razie teraz poszukajmy naczynia na prochy.

269

W pobliżu znalazłem garnek. Zebraliśmy do niego prochy Zeppiego, postawiłem go sobie na głowie i ruszyliśmy gęsiego. Klaus zamykał pochód. Gerhard narzucił tempo dziwnego marszu, który musieliśmy naśladować. W innych okolicznościach stanowilibyśmy nader osobliwy widok — trzech nagich mężczyzn, którzy dają dwa kroki, robią skłon, kolejne dwa kroki naprzód i znów skłon. W ten sposób dotarliśmy do otworu w ścianie, zasłoniętego, jak zwykle, ciernistymi krzewami. Znajdowaliśmy

się już niemal przy wyjściu, gdy ktoś wyszedł z cienia i stanął z założonymi rękami, zastawiając nam drogę.

To był Waneeri. Wyczułem raczej, niż zobaczyłem grymas drwiny na jego twarzy.

Powiedział kilka słów tonem, z którego przebijały podejrzliwość i pogarda. Gerhard coś odpowiedział. Obaj mówili półgłosem, nikt inny nie zwracał na nas uwagi.

- Każe nam wrócić i poczekać z rozsypaniem prochów do rana.

- Powiedz mu, że delfinowy zwyczaj każe rozsypywać prochy nocą -
podsunąłem.

- Już mu powiedziałem, na co wypalił, że delfiny nie mają własnych zwyczajów, skoro zjadłeś prochy matki zgodnie ze zwyczajem Yayomich. Nie da się okpić.

- Teraz nie możemy się zatrzymać - syknął Klaus. - Rano zabiją nas, jeśli zechcemy zrealizować swój plan.

- Fakt - przyznał Gerhard. - Może ktoś ma jakiś genialny pomysł?

- Stryju — powiedziałem — Waneeri boi się twojej torby. Po tym jak się wtedy zaciął skalpelem, uważa, że mieszka w niej demon. W takim razie pokażmy mu demona.

- Jakiego demona? Przecież tam są wyłącznie narzędzia.

- Świetny pomysł, Erichu - pochwalił Gerhard. - Klaus, otwórz torbę i przemów do demona. Nie omieszka przy tym chichotać, jakbyś nie mógł się doczekać, kiedy podsuniesz torbę Waneeriemu, żeby demon go porwał. Tylko dobrze zagraj swoją rolę. W twojej torbie mieszka demon, którego chcesz zetknąć z Waneerim. Spraw się, byle przekonująco!

Muszę przyznać, że Klaus natychmiast wczuł się w swoją rolę. Otworzył torbę i zaczął chichotać jak osobnik opóźniony w roz-

270

woju. Co za ironia! Szaleniec udawał szaleńca, żeby ocalić nas wszystkich.

Klaus podszedł do Waneeriego, szepcząc jego imię niczym zboczeniec, który uwodzicielskim głosem kusi dziewczynkę, proponując słodczyce w ciemnym zaułku, a słowa sączyły mu się z ust wyszczerzonych w niewidocznym uśmiechu. Waneeri cofnął się na widok podsuwanej torby i czarnego prostokąta kryjącego jej czeluść.

Klaus pochylił się nad nią i przemówił zachęcająco do demona, po czym pchnął torbę ku Waneeriemu, który usłyszawszy swoje imię powtórzony w ciągu pół minuty tyle razy, uznał, że właściciel torby rzucił na niego klątwę i teraz demon będzie go gonił trop w trop. Stał plecami do ciernistych krzewów, a Klaus szedł z torbą wolno ku niemu. Gerhard i ja szliśmy z obu stron Klause, wprawdzie nieuzbrojeni, lecz zaprzyjaźnieni z panem demona, zatem nie mniej groźni. Przerażony Yayomi mógł więc zrobić tylko jedno. Waneeri tak szybko rozgarnął cierniste krzewy, że musiał podrapać sobie przy tym boleśnie ręce, a następnie, nie odrywając oczu od torby Klause, wyszedł na zewnątrz.

- Chodu! - zakomenderował Gerhard, na co Klaus rzucił się do otworu, ja za nim, za mną Gerhard. Kiedy wyskakiwałem, upuściłem niechcący misę z prochami, stanąłem na chwilę, a potem puściłem się biegiem. Widziałem leżące rzędem kanu, przypominające w poświacie księżycy czarne banany. Pobiegliśmy ku nim, tylko klaskała torba, która obijała się Klausowi o biodro. Usłyszeliśmy jeszcze za plecami, jak Waneeri krzykiem budzi współplemieńców.

- Prędeż! - zawołał Gerhard.

Z shabono dobiegł mnie jazgot głosów, który nasilił się, kiedy Indianie wybiegli. Co bardziej przejęci uderzyli w krzyk, widząc w świetle księżycy nasze umykające sylwetki, a myśmy zrezygnowali z przyczajenia na rzecz prędkości, aż błoto plaskało nam pod bosymi nogami, a oddech świstał w płucach. Tylko czekałem, że zaraz strzała z łuku trafi mnie między łopatki. Żelazny Krzyż obijał mi się boleśnie o mostek. Zdjęty trwogą, nie zwalniałem kroku, tylko biegłem co tchu w stronę kanu. Minąłem Klause, który sunął naprzód, targając ciężką torbę. Nie będę go żałował, jeśli opadnie z sił i go złapią. Oliwa sprawiedliwa!

271

Przyspieszyłem kroku w nadziei, że zniechęcony, zostanie w tyle, tymczasem on jakby złapał drugi wiatr, bo minął mnie, przyciskając torbę do piersi, z rozchylonych ust dobywał mu się przez zaciśnięte zęby świst, a kolana pracowały jak tłoki w maszynie.

Gerhard dopadł kanu, odwrócił jedno. Chwycił wiosła, wrzucił je do środka, skoczył

do dziobu, podniósł. Drugi dobiegł Klaus, wrzucił torbę do kanu, podniósł je za środek, a po chwili dotarłem i ja, złapałem za rufę, ale wyśliznęła mi się z rąk, bo Gerhard i Klaus już mknęli do wody, mniej więcej dziesięć metrów od nas. Ponownie chwyciłem rufę, nie wypuszczałem z ręki i dostosowałem swoją prędkość do ich kroku. W środku między grzechoczącymi drewnianymi wiosłami podskakiwała torba Klausa, a wszyscy trzej, zdyszani i zasapani, przypominaliśmy uczestników maratonu. Wtem coś świsnęło mi za uchem - strzała!

Przyspieszyłem kroku, jakbym ciął kanu powietrze, pchając je szybciej naprzód, aż nie nadążali moi towarzysze z przodu. Uczestnicy pogoni wydawali z siebie coraz głośniejsze wrzaski i wycia niczym rozzłoszczone małpy. Zupełnie jakby wyległo całe shabono i teraz deptało nam po piętach. Druga strzała! Usłyszałem, jak wpadła z pluskiem do rzeki przed nami. Usłyszałem zarazem jęk i zrozumiałem, że dochodzi z mojego gardła.

- Już niedaleko! - zapiszczał niewyraźnie Gerhard przerażonym głosem. Słyszałem chlupot jego nóg na mieliźnie, w ślad za nimi tupot Klausa, lecz wtem stanęliśmy, bo trzeba było spuścić kanu i odbić od brzegu. Dziób wbił się z pluskiem w wodę, po czym wyskoczył na powierzchnię. Gerhard wgramolił się do środka, w plątanie własnych rąk i nóg, za nim Klaus, burcząc ze strachu i z wysiłku. Woda sięgała mi dopiero do kolan, ale nie chciałem, żeby kanu zwolniło, kiedy Gerhard i Klaus próbują znaleźć i zanurzyć wiosła. Zostałem więc na zewnątrz, odpychałem się od dna nogami, ściskając wąskie drewniane burty, i tak pchałem ich na głęboką wodę, na której Yayomi nie mogli nas doścignąć, nie tracąc prędkości, pchałem, aż zobaczyłem, że wiosła tną już wodę.

Zaczerpnąłem tchu, podciągnąłem się i wyskoczyłem z wody. Nie zdążyłem jeszcze znaleźć się w kanu, a już wynurzyłem się częściowo-

272

wo z rzeki, kiedy strzała ugodziła mnie w lewy pośladek na granicy z udem.

Poczułem przeszywający ból, jakby użądlił mnie szerszeń, tyle że stokroć silniejszy. Zastygłem w bezruchu, bardziej chyba z szoku niż bólu, i puściłem burte, żeby wyciągnąć sobie strzałę. Powinienem był zaczekać, aż wejdem do środka. Powinienem

był zostawić tę sterczącą strzałę, chociaż jej czubek tak mnie palił, że nie pamiętałem podobnego bólu. Kiedy sięgnąłem do tyłu, żeby ją wyciągnąć, otarłem się o szorstką burtę. Kiedy zacisnąłem palce na drzewcu i szarpnąłem, rufa śmignęła mi przed nosem, a woda zasyczała tylko wzdłuż kadłuba.

Strzała wyskoczyła, a ja krzyknąłem cicho. Z bólu aż mnie zemdliło, ale nie miałem czym wymiotować. Kanu znalazło się teraz poza moim zasięgiem i nabierało prędkości. Wiosłujący, nieświadomi, że nie dostałem się na pokład, machali rękami w nieskoordynowany sposób, młócąc wodę niczym oszalałe roboty. Wtedy dotarło do mnie, że zaraz mnie złapią, bo im bardziej kanu oddalało się ode mnie, tym donośniejszy plusk słyszałem za plecami. Na mieliznę wpadły dziesiątki Yayomich, wyjąc jak stado czworonożnych myśliwych polujących u zarania dziejów.

Poczułem mdlący strach ofiary, którą łowcy za chwilę powalą z łoskotem, przygniota kłębowiskiem włosów i ciał, rozszarpną drapieżnymi szponami, rozerwą błyskającymi zębami. Tuż zanim dostałem w bok głowy powalający cios, spojrzałem do góry i zobaczyłem tarczę księżyca niewiarygodnie blisko, tak blisko, że widziałem każdy szczegół jego dziewiczych równin i bezwietrznych, niezmiernych gór. Potem już czyjeś ręce zacisnęły mi się na gardle i ktoś mnie wciągnął pod wodę, powietrze uszło ze mnie jak z dziurawego bojlera, a nad tym wszystkim, wśród zamazanych sylwetek ludzkich falujących jak flagi na wietrze, kiedy duszono mnie na śmierć, widziałem nadal żółtobiały księżyc, błogi i czysty, niczym oko pozbawione tęczówki, spozierające ślepo na moją śmierć.

Mrugnęło i zgasło.

18-

Rozdział 12

Zaciągnęli mnie z powrotem do shabono, przywiązali za ręce w przegubach do wspornika dachu, a następnie rozpalili ogniska i zaczęli powtarzać w kółko historię naszej ucieczki. Kiedy widziałem, jak Waneeri opowiadając o moim pojmaniu, zwiera palce w morderczym uścisku, wywnioskowałem, że to on przytrzymał mnie pod wodą aż do utraty przytomności. Twarz promieniała mu z triumfu, gestykulacja zakrawała na bohaterską pyszałkowatość.

Waneeri tańczył wokół wraz z innymi, którzy poklepywali mnie po ramieniu albo szturchali w tył głowy, lecz raczej po to by mnie upokorzyć, niż skrzywdzić.

Wniesiono yoppo, które wdmuchiwno sobie dla rozkręcenia zabawy, po czym całe shabono na wiele godzin zamieniło się w istne pandemonium. Gdy tak patrzyłem, jak celebują zwycięstwo i napawają się opowieściami, nurtowało mnie pytanie, kiedy i w jaki sposób zamierzają mnie zabić. Bo nie miałem wątpliwości, że to zrobią.

Oszukani Yayomi nie wybaczą. Będę musiał zapłacić za tę zniewagę, a także za ucieczkę Gerharda i Klausa.

Usiłowałem wyobrazić sobie ich dwóch w jednym kanu i nie mogłem.

Podejrzewałem, że zaraz się zaczną kłócić i pozabijają nawzajem. Czyli wszystko na nic! Głowa mnie bolała, piekły ręce związane w przegubach. Rana pośladka paliła i pulsowała. Ssało mnie z głodu, targała mną rozpacz.

Awomay pozwolono mnie nakarmić, ale kiedy stała obok, żeby pocieszyć mnie bez słów, Manokwo odciągnął ją na bok. Wiedziałem, że wyda decyzję, żeby mnie zabić.

Obiecałem mu brata na żonę,

274

tymczasem Zeppi nie obrócił się w dziewczynę, lecz w proch. Za to też będę musiał zapłacić. Mężczyźni z shabono wykonali przede mną taniec zwycięstwa, a Waneeri nasikał mi na plecy. Nawet dzieci się ze mnie natrzęsały, wśród nich koledzy Zeppiego. Tylko Noroni i Kwaytcha mniej się radowali, a Awomay siedziała jak najbliżej mnie i patrzyła ze smutkiem.

Im więcej yoppo wdmuchano im do nosów, tym więcej było popisów i rozpasanych tańców. Oderwałem wzrok od widowiska i przyjrzałem się dragowi tuż przed sobą. Niebawem podzielę los mamy i Zeppiego, a Yayomi zapomną, że gościli pod swoim dachem białych ludzi i wrócą jak gdyby nigdy nic do codzienności. A jeśli znów tu zawitają biali ludzie, chyba od razu ich zabiją, żeby oszczędzić sobie czasu i wysiłku straconego na dociekaniach, jak bardzo okażą się zdrajczy.

Nie mogłem usiedzieć na miejscu w obawie, że zabrudzę sobie ranę na pośladku.

Nawet jeśli czekała mnie śmierć, zachowywałem się, jakby nic takiego mi nie groziło. Dlaczego? Czyżby jakaś wewnętrzna siła kazała mi wierzyć, że ujdę z

życiem, chociaż wszystko wskazywało na zgoła inne zakończenie? Czemu nie miałbym usiąść, narażając się na infekcję, zapewniając sobie za to lepszą wygodę? Bałem się jednak, przez co uświadomiłem sobie, że wcale nie jestem gotów na śmierć. Przedtem sądziłem, że jestem, ale kiedy nie chciałem usiąść na ziemi w błocie, zrozumiałem, że się myliłem. Dziwna nauka, aczkolwiek wcale nie zwiększała moich szans na przetrwanie.

Instykt nakazywał mi żyć, oddychać, słowem trwać przy życiu, dopóki ktoś nie rozwali mi głowy lub nie poderżnie gardła. Waneeri już dwa razy chwycił mnie za włosy, pociągnął głowę do tyłu i przejechał ostrą maczetą pod jabłkiem Adama, ale go nie tknął. Oba razy wywołał głośny aplauz. Za trzecim razem był już tak naćpany yoppo, że niechcący drasnął mnie w policzek, na szczęście niezbyt głęboko.

Po pewnym czasie ogarnęło mnie zmęczenie, zsunąłem więc ręce po wsporniku, żeby ukucnąć. Nogę od strony skaleczonego pośladka wyciągnąłem przed siebie, żeby nie napinać w tym miejscu skóry. Musiałem się wypróżnić, ale nie miałem jak kogokolwiek o tym zawiadomić. Nie przypuszczałem zresztą, że mnie w tym celu oswobodzą, pewno będą woleli, żebym się zhańbił.

275

Kiszki mi się ścisnęły, poszły wiatry. Garstka dzieci nieopodał, rozbawiona moją opresją, zaczęła chrząkać i wydawać odgłosy pierdzenia. I wtedy Awomay poszła w kąt shabono, gdzie dach był najniższy, i wyciągnęła z niego duży liść. Przyniosła mi go i położyła między nogami. Wysrałem się, nie dbając o to, że narażam się w swej bezradności na pośmiewisko. Awomay wyjęła spode mnie liść i wyniosła. Manokwo jej nie powstrzymał, bo leżał otumaniony na hamaku, podobnie jak większość mężczyzn, którzy również przesadzili z yoppo.

Harmider wokół z wolna cichł. Wielogodzinne fetowanie zmęczyło wszystkich. Pokładli się teraz po jednym do hamaków na spoczynek. Ogniska dogasały, a kiedy w dziurze w dachu zamajaczyły pierwsze oznaki świtu, wszyscy poza mną już spali jak susły. Zacząłem trzeć pęta z włókien roślinnych na nadgarstkach o słup, ale były za grube, a słup za gładki, żeby pękły. Zauważyłem, że nie zastawiono nawet otworu w ścianie shabono ciernistymi krzewami. Gdyby wróg chciał teraz zająć shabono,

wszedłby bez najmniejszego trudu. Czekałem z nadzieją, że zobaczę nagie sylwetki intruzów przemykających na tle otworu, obce twarze w barwach wojennych, lecz nic takiego nie ujrzałem. Nie mogłem liczyć na pomoc z zewnątrz, gdy więc Manokwo i cała reszta się obudzą, mogę się pożegnać z życiem.

W dżungli przez jakiś czas panowała cisza, bo nocni przedstawiciele fauny szukali schronienia, a dzienni pomału budzili się do życia. Wszędzie wokół dymy ognisk pełgały po ziemi w oparach mgiełki przywianej znad rzeki. Widziałem, jak biała i bezszelestna, ledwo widoczna, wdiera się dołem przez otwór w ścianie.

Przed oczami przemknęła mi czyjaś sylwetka. Zaraz potem Awomay już piłowała maczetą włókna z drugiej strony słupa. Po chwili pękły, a oswobodzone ręce opadły mi na boki.

Wstałem. Awomay spojrzała mi w oczy i prędko się odwróciła. Patrzyłem, jak odkłada maczetę na miejsce, pod czyjś hamak, po czym wraca na swój, kładzie się i patrzy na mnie. Za ten czyn mogli jej obciąć uszy albo ukarać jeszcze srożej.

Wezwałem ją gestem, pokazując, żeby uciekła ze mną. Zamknęła oczy i już nie otworzyła.

Zdjąłem z szyi Żelazny Krzyż i położyłem na ziemi. Nie wiem, po co, może chciałem ich udobruchać, kiedy zobaczą, że uciekłem.

276

Tagerri przyplącił chrapkę na niego życiem, a mnie przestał być potrzebny. Był jedynie kawałkiem metalu na brudnej wstążce, a kiedy go zdjąłem, od razu lepiej się poczułem.

Podszedłem do otworu w ścianie, wygramoliłem się na zewnątrz, pokuśtykałem do rzeki. Tam zaciągnąłem pierwsze z brzegu kanu nad wodę, wróciłem po wiosła i wypłynąłem na głęboką wodę. Z piersi wyrwał mi się niezbyt głośny, lecz żarliwy pomruk, zew wolności.

Jeszcze ostatni rzut oka na shabono, ale nikt nie ruszył za mną w pogoń. Zupełnie jakby siedziba Yayomich stała na unoszącej się mgle, gotowa w każdej chwili odpłynąć niczym sen. Machałem mocno wiosłem, aż zostawiłem za sobą nadbrzeże z rzędem kanu i minąłem zakręt rzeki.

Zostałem sam. Powinna towarzyszyć mi Awomay, ale nie chciała, bo za trudno jej było zerwać z plemieniem i z rodziną. Wiedziałem, że podejrzenia spadną na nią, że będą ją bili, dopóki nie przyzna się do winy, a wtedy ją ukarzą. Miałem pretensje do siebie, że zostawiłem ją tam na pastwę plemienia, ale może Noroni i Kwaytcha się za nią wstawią. A może obie strony zaszachują się nawzajem, zechcą zapomnieć wszystko, co ich spotkało ze strony białych ludzi udających delfiny. Chyba lepiej spuścić zasłonę niepamięci na tak niehonorowych i zdradzieckich ludzi. Nie można wykluczyć i takiego zakończenia, ale ja go już nigdy nie poznam.

t

Wiosłowałem wiele godzin bez ustanku. Po tak wyczerpującej nocy Yayomi zapewne obudzą się późnym rankiem, co wcale nie musi ich powstrzymać od pogoni.

Ukradziono im dwa cenne kanu, a co gorsza zbiegł jeniec, dlatego całe shabono okryło się hańbą. Postępowałem zatem tak, jak gdyby pogoń była nieunikniona i aż rozboleły mnie ręce od wiosłowania.

Istniała ponadto szansa, że jeśli dołożę starań, to dogonię Gerharda i Klause. Byli tylko cztery lub pięć godzin przede mną.

Według moich rachub płynąłem już dwie godziny, kiedy spadł deszcz i chociaż utrudniał mi nawigację, pocieszałem się myślą, że najprawdopodobniej zatrzyma Yayomich w domu.

277

Siekł mnie po głowie i po ramionach, a każda gruba kropla razila jak kula. W krótkim czasie siedziałem już w dużej kałuży, która zebrała się w kanu podczas ulewy.

Miałem nadzieję, że deszczówka nie zabrudzi mi rany, lecz ją omyje. W każdym razie ból nie ustawał, a ponieważ nie mogłem go uśmierzyć, starałem się nie zwracać nań uwagi. Byle płynąć naprzód, nie ustawać. Niekiedy rzeka ginęła na dłuższe chwile w strugach ulewnego deszczu, a gdy tak pędziłem w nurcie rwącym szybciej niż zwykle, odnosiłem wrażenie, że brzegi rozstępują się pod naporem wzburzonej wody.

Gdy nawałnica wody kotłowała się w korycie, próbując wyrwać z korzeniami przybrzeżne drzewa, fale skakały do najniższych gałęzi. Rzeka zaczęła wdzierać się z

obu stron w dżunglę, a była już dwa razy szersza niż tam, gdzie zwodowałem kanu. Po niebie, przesłoniętym przez płachty deszczu, przetaczały się bezustannie grzmoty. Czułem się, jakbym wiosłował wśród muślinu.

Czas nie miał znaczenia, zwłaszcza że ze zmęczenia traciłem na dłuższe chwile orientację. Parłem jedynie naprzód, mając pustkę w głowie. Każda godzina przypominała poprzednią i wiele następnych. Przystawałem tylko po to, żeby złapać oddech i na chwilę odciążyć ranę, a także ocenić odległość od brzegów. Cierpłem na myśl, że mógłbym zaryć się na mieliźnie w gąszczu drzew. Rzeka parła teraz tak mocno, że podczas takiego wypadku kanu o cienkich burtach mogłoby pęknąć na dwoje.

Po południu deszcz nieco zelżał, mogłem się więc rozejrzeć wokół. Nie byłem sam na rzece. Obok śmigały ogromne pnie drzew, wyrwane z brzegów, ciśnięte w brązową pianę, z korzeniami nadal brzemieniami ziemią, gałęziami obciążonymi liśćmi i lianami, które obracały się dookoła, rwane naprzód, czasem z wczepionymi w nie mokrymi, żalonymi małpami. Widziałem też inne płynące zwierzęta, kilka tapirów z giętkimi ryjkami prującymi fale, a nawet lamparta, który ocalił skórę, wskoczywszy na dryfujące drzewo. Jeżeli na jego pokładzie znajdowały się również małpy, nie wróżyłem im nic dobrego. W pewnej chwili zielony wąż przykleił się do wiosła i próbował wypełznąć mi na rękę, ale straciłem go, zanim mnie zdążył ukąsić.

278

Wszystko mnie bolało, ale na wspomnienie bólu, jaki musiał znieść Zeppi, nawet mimo znieczulenia yoppo, bólu, jakiego doznała mama, kiedy piranie odrywały jej ciało żywcem od kości, powiedziałem sobie, że jestem słabeuszem, tchórzem, niezasługującym na wolność podarowaną mu przez kobietę, właściwie dziewczynę, która poważyła się na najśmielszy wyczyn, pogwałciła reguły swojego świata i oswobodziła niewdzięcznego małżonka. Nie wyobrażałem sobie, jaki ból będzie musiała ścierpieć w zamian. Z myślą o nich wszystkich i o sobie machałem zapamiętane wiosłem.

Wtem ktoś zawołał mnie po imieniu.

Rozejrzałem się, ale w strugach ulewnego deszczu niczego nie zobaczyłem. Nawet

przemknęła mi przez głowę myśl, czy to aby nie Bóg mnie woła, bo nikogo nie widziałem w pobliżu, ale zaraz skarciłem się w duchu za takie bzdurne pomysły. Wołanie jednak się powtórzyło.

— Erichu, tutaj!

Po swojej lewej zobaczyłem walące się tuż za mną drzewo, którego upadek spowalniały trochę gałęzie. Przywarł do niego Gerhard, który jedną ręką się go trzymał, a drugą machał.

Wykręciłem kanu, jednocześnie wiosłując wstecz, żeby nie minąć drzewa, które kołysało się na boki na fali. Kiedy Gerhard zobaczył, że go dojrzałem, przestał machać, bo musiał się uchwycić oburącz pnia. Zacząłem zapamiętane wiosłować do tyłu, żeby drzewo zrównało się ze mną, a jednocześnie manewrowałem niezdarnie w lewo. Kiedy wreszcie znalazłem się na jednej wysokości z grubymi konarami, resztką sił dopłynąłem do pnia, do którego przylgnął Gerhard. Podpłynąłem bliżej, a on wyciągnął rękę i dopiero kiedy chwycił mocno burzę, puścił drzewo.

Kanu przechyliło się trochę pod jego ciężarem, a potem jeszcze bardziej, kiedy próbował wejść. Przeniosłem się na drugą stronę, żeby zrównoważyć niebezpieczny przechył i omal nie doszło do ka-potażu, kiedy Gerhard przerzucił najpierw jedną, potem drugą nogę przez burzę. Padł na dnie bez ruchu, a ja machając żwawo wiosłem, odpłynąłem jak najdalej od drzewa, zanim kłębowisko korzeni chwyci nas w szpony i zatopi.

279

- Erichu! Ależ mi zgotowałeś wspaniałą niespodziankę! Już sądziliśmy, że cię pojмали...

- Bo pojмали! Ale uciekłem! Gdzie jest Klaus?

- Gdzieś przed nami. Ma kanu.

- Co się stało?

- Z powodu deszczu nie zauważyliśmy tego drzewa i w nie rąbnęliśmy.

Wypadłem za burzę. Klauś porwała woda.

- Dawno to było?

- Bo ja wiem? Kilka godzin temu. Nic ci nie jest? Nie skrzywdzili cię?

- Strzelili mi z łuku w tyłek. Trochę mnie piecze.

Obrzucił mnie spojrzeniem i roześmiał się, ja za nim. Wyliśmy ze śmiechu jak hieny, zanurzeni w beztrosce, zagubieni w świetle rzeki i deszczu. Kiedy oprzytomniał, wziął wiosło, zaczął ciąć wodę i popłynęliśmy szybciej niż przedtem. Dopiero teraz zauważyłem, że woda w kanu ma różowawy odcień. Byłaby bardziej czerwona, gdyby wciąż nie rozwadniał jej deszcz. Zranione miejsce nie bolało mnie już tak bardzo, ale nadal krwawiłem, zacząłem się więc martwić, czy nie zemdleję.

Wiosłowałem jednak bez wytchnienia, bo liczyła się każda minuta, czy to żeby odpłynąć jak najdalej od Yayomich, czy żeby dogonić Klausa.

W końcu deszcz ustał i zobaczyliśmy rzekę w całej okazałości. Była w tym miejscu tak szeroka, że ledwo widzieliśmy brzegi, a raczej drzewa majaczące na styku z lądem. Podejrzewam, że miała tam ponad dwa kilometry szerokości, a w pobliżu shabono co najwyżej sto metrów. Jeżeli takie masy wody nadal popłyną korytem, tereny w górze rzeki również się rozszerzą, co oznacza, że powódź może zalać Yayomim shabono. Pocieszałem się tą myślą, bo wówczas zapewne nikt by się nie kwapił wymierzać kary Awomay, a moje pojmanie i ucieczka wyraźnie zbladłyby w świetle większych zagrożeń.

Znów, mimo bólu, poczułem się szczęśliwy. Nieważne, że nie mieliśmy jedzenia ani środków niezbędnych do przetrwania, ważne, że moja żona być może uniknie kary, a mój przyjaciel siedział ze mną w jednym kanu, wiosłując zawzięcie, aż marszczyła mu się skóra na chudych plecach.

280

Jeżeli zdołam przeżyć, będę głosił wszem wobec, zarówno pytany, jak niepytany, że Żydzi nie różnią się od innych ludzi bardziej niż niebieskie papugi od zielonych. Papuga jest papugą i tylko głupiec nazwie ją nietoperzem. Porzuciłem głupotę i już nigdy więcej nie zamierzałem się na nią nabrać.

- Gerhard! - zawołałem.

Odwrócił głowę.

- Co?

- Papuga to nie nietoperz!

Zastanowił się, zamyślił, powiedział:

- Wiem - i dalej machał wiosłem.

Wtedy straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, poczułem ziemię pod grzbietem. Była mokra, miękka, zapewne błotnista, ale zawsze ziemia. Otworzyłem oczy i zobaczyłem tylko ciemność. Czyżby noc zapadła tak wcześnie? Po chwili zobaczyłem nad sobą kanu, usłyszałem bębnienie deszczu o kadłub. Gerhard przykrył mnie odwróconą łodzią.

Gdzie on jest? Wyciągnąłem rękę, uniosłem kanu. Przewróciło się na bok i zobaczyłem Gerharda leżącego kilka metrów ode mnie, wpatzonego w rzekę, odwróconego tyłem do mnie. Usiadłem, zobaczyłem, że pod pośladkiem mam szeroki liść, zabezpieczający ranę przed błotem. Był zakrwawiony, ale nieznacznie.

Gerhard się odwrócił.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

Bolał mnie brzuch. Od dwudziestu czterech godzin nie mieliśmy niczego w ustach, ale w deszczu nie było mowy o upolowaniu czegokolwiek ani nie było szans na rozpalenie ogniska, żeby zdobyć upiec. Brzuch bolał mnie bardziej niż tyłek, co dobitnie świadczyło o moim stanie.

- Nie miałem siły dłużej wiosłować - przyznał Gerhard.

Pokiwałem głową.

- Ty też jesteś taki głodny? - spytałem. - Bo mnie aż mdli z głodu.

281

- Mdliło mnie wiele godzin temu. Teraz jest gorzej.

- Cha, cha.

- Jeżeli się czujesz na siłach, popłynijmy jeszcze trochę, zanim się ściemni. W rzece nie znajdziemy nic do jedzenia, ale ponieważ płyniemy w tamtą stronę...

Wstałem.

- Jestem gotów.

- Na pewno? Miałam kłopot, żeby utrzymać kanu w linii prostej, kiedy nie siedziałeś na rufie. Jeżeli znów padniesz, możemy mieć kłopoty.

- Nie padnę. Już odpocząłem.

- No to płynimy.

Zwodowaliśmy kanu. Siedziałem na liściu, gładszym od drewna. Kiedy spałem, nic się nie zmieniło. Nadal grzmiało, padał ulewny deszcz, rzeka rwała naprzód i nie sposób było powiedzieć, gdzie jest wschód, a gdzie zachód. Zakładaliśmy, że płyniemy na zachód, bo na ogół biorąc, w tym kierunku płynęła rzeka, nad którą mieszkali Yayomi. Wiła się jednak zakolami i zakrętami, a myśmy musieli podążać jej nurtem, dokądkolwiek nas doprowadzi.

- Jak daleko stąd do ziemi Iririch? - spytałem.

- Zawsze mówiono, że ich terytorium zaczyna się trzy dni wiosłowania od Yayomich, ale chyba w normalnych warunkach. Niewykluczone, że pokonaliśmy już tę odległość.

Wiosłowaliśmy dalej. Nigdzie śladu żadnej żywej duszy, pominąwszy nieliczne stworzenia, które widzieliśmy płynące w nurtach rzeki lub wczepione w wyrwane z korzeniami drzewa. Wreszcie wyjrzało słońce, zdumiewająco nisko na niebie, powlekając chmury od spodu czerwonym i żółtym blaskiem. Została jeszcze chyba godzina do zmroku, obaj byliśmy wyczerpani do cna. Postanowiliśmy płynąć bliżej lądu, żeby łatwiej nam było wysiąść, kiedy zupełnie się ściemni. Wybraliśmy prawy brzeg, właściwie bez powodu, a gdy znaleźliśmy się sto metrów od niego, zobaczyliśmy kanu Klausa, a po chwili jego samego.

Już wylądował na brzegu i teraz patrzył na dżunglę. Wcale nas nie zauważył, dopóki go nie zawołałem. Odwrócił się, ale na jego

282

twarzy nie odmalowało się ani zaskoczenie, ani radość, zupełnie jakby nas widział pięć minut przedtem. Wmanewrowaliśmy kanu w pewnej odległości od niego, wśród drzew, którym woda sięgała teraz po niższe gałęzie. Mniejsze drzewa całkiem zniknęły pod wodą, tylko wierzchołki falowały na wodzie niczym wodorosty. Klaus stał na samym brzegu.

Spojrzał na mnie, potem na Gerharda.

- Jak to się stało, że jesteście razem?
- Uciekłem i dogoniłem go w rzece. Płyniesz dziś jeszcze dalej?
- Nie byłoby to rozropne. Nawet w świetle dziennym trudno się płynię.
- W takim razie też tu rozbijemy obóz - powiedział Gerhard.
- Nie zgadzam się - rzekł Klaus. - Ty, Erichu, możesz zostać, ale nie to...
indywiduum.

- Powiedziałeś mi, prawda? — spytałem, odwracając się do Gerharda.
- Nie najlepiej to przyjął, ale nie spodziewałem się lepszego przyjęcia.
- To dlaczego mu powiedziałeś?
- Wyrwało mi się tak samo jak przy tobie. Kiedy już wygadałem się przed tobą, uznałem, że głupio byłoby nie powiedzieć jemu. Tyś zareagował znacznie ładniej. Nasz przyjaciel faszysta, wzburzony tym, że płynię jednym kanu z Żydem, kazał mi wysiąść. Nie chciałem oczywiście wyskakiwać, bo słabo pływam, więc nie usłuchałem.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?
- Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że jeszcze spotkam tego dobrego doktora.
- Ale spotkałeś - powiedział Klaus - i musisz się wynosić. Bierz swoje kanu i wynocha!
- Jestem za bardzo zmęczony - wyznał Gerhard. - Może w takim razie ty się wynieś?
- Ja tu byłem pierwszy!

Sprzeczali się jak dwóch sztubaków, którzy się kłócą o huśtawkę.

- Naprawdę zmusił cię do opuszczenia kanu? - spytałem Gerharda.

283

- Nie, ale podczas kłótni uderzyliśmy w drzewo.
- Podał ci rękę, żeby z powrotem wciągnąć cię na pokład?
- Niech sam odpowie.

Spojrzałem na stryja. Wskazywał Gerharda.

- Pozwoliłem, żeby zadecydował los - rzekł wyniośle. - Skoro wypadł, nie do mnie należało go ratować. Szczury umieją pływać!

- A faszyci utrzymywac się na wodzie — odparł Gerhard - jak gównno, którym są.

- Stryju - zapytałem - masz coś na ranę? Postrzelili mnie z łuku. Rana nie jest głęboka, ale boli.

Podszedł do swojej torby w kanu, otworzył.

- Chodź no tu.

Posypał mi ranę proszkiem odkażającym z papierowej torebki, a potem zabandażował udo i biodro.

- Tylko nie siadaj na ziemi - przestrzegł. — I pilnuj, żeby rana była sucha.

- Dobra rada, lecz niewykonalna, stryju.

Klaus miał kamienną twarz, zacięte usta. Sięgnął ponownie do torby, ale tym razem wyjął skalpel.

- Wentzler, zlituję się nad twoją czarną żydowską duszą i pozwolę ci ujść z życiem, jeżeli zaraz się stąd wyniesiesz. Lecz jeśli będziesz grał na zwłokę, poderżnę ci gardło.

- Stryju, nie...

- Zamilcz, Erichu. Ten człowiek zbrukał naszą przyjaźń, nie przyznając się od początku, że jest Żydem.

Gerhard się roześmiał.

- Tak jak ty od początku przyznałeś się, że jesteś żydobójcą? Gdzieś w głębi duszy, Brandt, została ci resztką sumienia, dlatego wiesz, że jesteś potworem. Ze wstydu ukryłeś swoją prawdziwą naturę.

- Srodze się mylisz, Żydzie. Nie wstydzę się ani jednej przeżytej chwili. A teraz masz dziesięć sekund na to, żeby się stąd wynieść.

- Wierzę ci - powiedział Gerhard. - Zatem myliłem się co do resztki sumienia.

Nie masz go wcale.

- Siedem sekund.

284

- Czyli jeszcze bardziej jesteś potworem.

- Pięć.

- Stryju, przestań!
- Trzy.

Rozdzieliłem ich, stając przodem do Klausu.

- Nie waż się!

Ominął mnie.

- Dwa...
- Tylko spróbuj! - zawołał Gerhard.

I znów zastawiłem mu drogę, ale Klaus znów mnie obszedł, piorunując Gerharda rozjuszonym spojrzeniem.

- Jasne, Żydzie. Z najwyższą chęcią cię usłucham.

Ale nie zbliżał się do Gerharda.

- Czekam, Brandt.
- Nazywam się Linden, Klaus Linden! I wynoś się stąd, ale już!

Gerhard popatrzył na mnie i wzruszył ramionami, po czym podszedł do Klausu i odebrał mu skalpel. Rzucił go przez ramię za siebie do wody, po czym spoliczkował zaskoczonego Klausu oburącz, raz po raz, z dziesięć albo i piętnaście razy. Jeszcze przy ostatnim policzku Klaus nadal nie wierzył, że Żyd trzaska go po twarzy. Gerhard tak zaciekle atakował Klausu, że ten musiał się cofnąć. Przy ostatnim policzku padł już na kolana, rozdziawiwszy usta ze zdumienia, a może złości.

Po prostu mowę mu odebrało. Dopiero kiedy Gerhard odszedł, Klaus zawył. Z gardła wyrwał mu się dziwny dźwięk przypominający syrenę alarmową podczas nalotu. Rozdzierający krzyk świdrując powietrze, leciał ku niebu, coraz to donośniejszy, aż w końcu Klausowi zabrakło tchu i przestał. Upadł, zwinął się w kłębek. Nigdy nie widziałem, żeby dorosły tak się zachowywał. Widok Klausu wstrząsnął mną nie mniej, niż nim wstrząsnęło spoliczkowanie.

Gerhard tak kipiał nienawiścią, że nawet na niego nie spojrział, czemu się zresztą nie dziwiłem. Klaus był teraz wrakiem człowieka, i to z własnej winy. Straciłem dla niego litość. Zupełnie jakbym patrzył na nieboszczyka, świadom, że skoro nie da mu się pomóc, nie ma co się nad nim użalać. Widziałem teraz w Klausie kogoś zupełnie innego, już nie swojego stryja, lecz przypominającego go trupa.

Po chwili Klaus wstał równie szybko, jak upadł, i podszedł do czarnej torby. Sięgnął do środka, wyjął kolejny skalpel, przyłożył sobie ostrze do lewego nadgarstka. Obaj, Gerhard i ja, patrzyliśmy z przekonaniem, że zaraz jednym cięciem zakończy swój nieszczęsny żywot. Nie miałem nawet odruchu, żeby go powstrzymać. Klaus jednak nie umiał albo nie chciał odebrać sobie życia. Rozplakał się. Stał wstrząsany szlochem, z ostrzem przytkniętym do nadgarstka, po czym ucichł i odrzucił skalpel. Jakby mu tego było mało, chwycił torbę i ją również wrzucił do wody. Upadła na bok, otwarta, dlatego prędko nabrała wody i zatoneła.

Klaus zebrał się w sobie, jak gdyby znów obudził się w nim mężczyzna, podszedł do kanu i zepchnął je z dala od błotnistej wysepki, na której staliśmy. Wskoczył do środka, chwycił wiosło. Nie oglądając się za siebie, przepłynął między zatopionymi drzewami, gdzie porwał go prąd i uniósł poza zasięg naszego wzroku. Dopiero kiedy odetchnąłem, zrozumiałem, jak długo wstrzymywałem powietrze.

Nadciągał zmierzch, dzień kończył się kolejnym deszczem. Gerhard wstał, dygocząc, kiedy pierwsze krople spadły na jego wymyżowaną twarz i skołtunioną brodę, kościsty tors i chude, zabłocone nogi.

Deszcz przeszedł w ulewę. Wciągnęliśmy kanu głębiej na błotny ląd, na wypadek gdyby w nocy podniósł się poziom wody. Następnie wspięliśmy się na najbliższe drzewo niezajęte przez zwierzęta. Rozsiedliśmy się, szykując na najbardziej niewygodną noc w życiu. Dużo myślałem o Klausie, ale w końcu zmęczenie wzięło górę. Skoro przestałem go traktować jak człowieka, uznałem, że nie jest wart mojego zainteresowania. Postanowiłem więc pomyśleć o czymś naprawdę dla mnie ważnym, czyli o jedzeniu, i jeszcze bardziej uzaliłem się nad sobą.

Cały następny dzień płynęliśmy rzeką, a po południu zobaczyliśmy ponownie Klause. Jak zwykle padało, gdy wtem przez szkwał ujrzeliśmy jego kanu, lecz nie samo. Obok stały dwa inne kanu, a w każdym po kilku Indian. Dopadli Klause z dala od nas. Po chwili deszcz ich nam przesłonił.

- To Yayomi? - spytałem Gerharda.

Pokręcił głową.

- Tak daleko mogą już być tylko Iriri. Mówiłem ci, że są łowcami głów?

- Nie.

- Widocznie nie chciałem cię straszyć. Wezmą jego głowę, roztrzaskają czaszkę, wyciągną odłamki kości przez otwór gębowy, wyjmą mózg, a potem nasypią do środka gorącego piasku i zaszyją usta. Kiedy skończą, głowa przybierze wielkość jego pięści.

Pracowałem wiosłem bardziej zamasyście niż przedtem, żeby jak najprędzej stamtąd odpłynąć, wdzięczny naturze za nawalnicę deszczu, którego ściana oddzielała nas od Iririch. Zmęczenie i głód straciły na ważności. Teraz liczyła się tylko wolność, moja i Gerharda.

Gdzieś dalej nasza rzeka połączy się z drugą, kiedy śmigniemy jak cień przez zatopioną dżunglę, a potem ta druga wpadnie do następnej, która zasili potężną Orinoko płynącą aż do oceanu. Gdzieś na szerokiej wstędze Orinoko napotkamy parostatek, ktoś nas wypatrzy, a wtedy parostatek stanie i weźmie nas na pokład. Tam Gerhard i ja wymyjemy się, doprowadzimy do porządku, po czym przy długim, zastawionym jadłem stole najemy się do syta.

Wówczas porzucimy kanu, którym tam dopłynęliśmy, chybotliwy wydrążony pień z lasów Yayomilandu. Puścimy go z prądem, na wodę połyskującą srebrem z wierzchu i błotnistobrazową pod spodem, aż pewnego dnia dopłynie do morza, gdzie woda przybiera kolor zielononiebieski, i tam pójdzie na dno, wciągnięty przez fale w barwach dżungli i nieba.